TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

9

WRZESIEŃ

ROK VIII 1952

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 9

WARSZAWA, WRZESIEŃ 1952 ROK

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 3168 z dn. 2.8.52 r. Nakład 6.230 Druk ukończono 8.9.52. 3-B-25307

STEFAN ZAWADZKI

PLAC KONSTYTUCJI

Jak mi opiewać dziś piękno marmurów,
Wysmukłość kolumn strzelistych.
Jeszcze pamiętam strzaskany złom muru,
Co domem był mi ojczystym.

Gdzie kiedyś nieba wąskiego pasma
Gniotła czynszówek fasada,
Robotnik w domu od słońca jasnym
Do snu córeczkę układa.

Szumi drzewami plac Wielkiej Karty —
Jakich słów szukać do pieśni,
Aby wysławić wysiłek twardy
Tych, co go z ruin podnieśli.

I trud ich widzę dzisiaj ogromny,
Zaklęty w kształty ulicy...
Trudno wystawić im lepszy pomnik,
Tu, w robotniczej stolicy.

1952

Stefan Zawadzki

JAN KOPROWSKI

WIERSZ

Chciałem napisać wiersz o Marksie,
wiesz najpiękniejszy, jaki umiem.
Lecz raz zaczęty, ciągle rwał się
jak napinana struna po strunie.

Długo się wiersz ten palił we mnie,
burzyły spokój jego treści.
Serce pojęło: nadaremnie,
tej sprawy ono nie pomieści.

Tej sprawy serce nie ogarnie.
ciężaru nie udźwignie świata,
który w godziny dziejów czarne
dźwigały Marksa męskie lata.

Nie mogło sprostać słowo moje
i nie wiem, kiedy sprostać zdoła
sprawie, co serce niepokoi
i w mózg się wdziera i snami woła.

Nienapisany wiersz jak owoc
nie spadł na trawę z ciepłym szumem.
Ale w tej klęsce zmężniało słowo,
które zwycięstwa trud rozumie.

BALLADA O WODZIE ŹRÓDLANEJ

Wodo błękitna, czysta, zdrowa,
wodo z okolic Tomaszowa —

do źródeł twoich od zachodu
Pilica śpieszy jak za młodu.

od źródeł twoich, od zachodu
z ciemnozielonej oprawy glonów,

z ciemnozielonych włosienniczków
wytryska pulsem wiele strumyczków.

Popłynie stamtąd woda do Łodzi,
oczy ucieszy, skronie ochłodzi.

Wodo błękitna, czysta, zdrowa,
wodo z okolic Tomaszowa —

Do pracy wolnym ludziom potrzebna
będziesz nam, wodo, do miasta biegła

przez pola, obok dróg, polnych ścieżek.
Rurociąg ciebie, wodo, zabierze,

ażeby z kranów i chłodnych studzien
mogli cię, wodo, używać ludzie.

NAD PILICĄ

W lipcowym słońcu olchy się grzeją,
z łąki nadlata zapach siana.
Na piasku, który co dzień bieleje,
brodzimy z dziećmi po kolana.

Pilica płynie pluszcząc bezgłośnie
o brzeg oparta, w olchowych cieniach,
i opowiada samotnej sośnie
dzieje idące przez pokolenia.

A kiedy wieczór przyjdzie — na wzgórzu
siadamy pod wysokim dębem.
Księżyc ogromny w rzece się nurza
i mgła nurkuje srebrzystym kłębem.

Liście dębowe drżą w lekkim wietrze,
szmer się na nasze zsypuje głowy.
Pachną poziomki i grają świerszcze
w ten wieczór ciepły, wieczór lipcowy.

Mówimy: za tę ciszę i spokój,
za wodę, piasek i dom wśród gaju,
za radość naszych dzieci głęboką —
wszystkie dla ciebie siły, nasz kraju.

PIOSENKA O ZIEMI OPOLSKIEJ

Po niebie wysokim, szerokim
płyną lekkie, wiosenne obłoki.
Tu ziemia twarda i sucha,
wiatr po gałązkach dmucha.

To od pól, od dawnych Polan
nazwa starego Opola.
Ostry zapach powietrza wsysa
pełna pracy i dziejów Nysa.

Skrzy się w słońcu wiosenna oddal,
toczy wody zielona Odra.
Płyną statki z węglem i drzewem
i śląskim wesołym śpiewem.

Przyjedź ze mną. Tu wielka praca.
Dzień skończony za góry się stacza.
Pójdziemy dróżeczką wąską,
zaśpiewamy piosenkę śląską.

Jan Koprowski

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

POLACY NIE GĘSI

KOMEDIA W 3 AKTACH

OSOBY

MIKOŁAJ REY Z NAGŁOWIC
PANI PILECKA z Paśmiech
PANI BALOWA
PAN MIECZNIK BAL
PAN RUDOMINA rezydent Reyów
PAN ROTMISTRZ LIGENZA
PAN TRZEBIŃSKI
MŁODZI PANOWIE TRZEBIŃSCY
PANNA ROŻNÓWNA z Sędziszowa (przyszła żona Reya) *)
PANI ROŻNOWA matka panny
KASZTELANOWA GNOJEŃSKA
PAN OTWINOWSKI
PAN MARSZAŁEK WOLSKI
KRÓLOWA BONA (ma lat około 30, młoda i piękna)
DZIEWCZYNY Z CHÓRU REYA:
Dziewczyna pierwsza
Dziewczyna druga
Dziewczyna trzecia
Dziewczyna czwarta
Chłopcy grający na lutni
PANNY z fraucymeru Bony:
BEATRICE DE ROSELLI, PORTICA ARCAMONE,
FAUSTINA OPOZZONI, DIANA DE CARDONA,
ORSZULA MACIEJOWSKA

AKT I

Scena wyobraża izbę stołową we dworze w Kobylnikach. Podłoga we flader ułożona, wkoło ścian ławy i zydle z poręczami, w głębi sceny jeden stół zastawiony mięsiwem i dzbanami, obok niego almaria — szafa i skrzynia malowana. Na lewo komin murowany z zielonych kafli, przed nim zasłona chroniąca zimą od żaru. Na suficie meluzyna — świecznik osobliwego kształtu, pół-ryby, pół-kobiety, trzymającej lichtarze ze świecami. Obok komina stoi cygańska kapela gotowa do muzyki: dudy i bęben. Na prawo wyjście do sieni.

Przy podniesieniu kurtyny siedzą na zydlach Ligenza, pani Balowa i pani Pilecka w poufnej rozmowie.

---

*) Za współczesnym Reya biografem Trzecieckim nazywam ją Rożnówną, choć była córką Kościeja. Widocznie przez snobizm używała nazwiska matki, siostry arcybiskupa. (Przyp. autora).

Scena 1

PANI PILECKA: Myślicie, że pan Mikołaj Rey przyjedzie dziś wieczór?

PANI BALOWA: Przyjedzie, obiecał mi przecie.

PANI PILECKA: Obiecać i dotrzymać — siła na jednego.

PANI BALOWA: Obiecał mój fest taneczny uświetnić swoją osobą i dowodzić tańcami.

PANI PILECKA: U mnie jak był ostatnio w Paśmiechach, bo to, wiecie, najbliższe sąsiedztwo Topoli, w której pan Rey niedawno osiadł...

PANI BALOWA: Moje Kobylniki jeszcze bliższe, tylko Nidzicę przeskoczyć.

PANI PILECKA: A od moich Paśmiech jadąc, rzeki nie trzeba przepływać.

PANI BALOWA: Wielka rzeka, tyle w niej wody, co psina naleje, gdy nogę pod krzakiem podnosi.

PAN LIGENZA: Ja myślę, że chociaż tam siedzi wielki dziwotwór, pan Mikołaj Rey, przecie Topola nie taka stolica, by się spierać warto, kto bliżej mieszka.

PANI BALOWA: Co ty wiesz o tym, mości rycerzu, co nam warto, a czego nie warto.

PANI PILECKA: Pan Mikołaj niechętnie teraz z domu wyjeżdża, bo z tą włością, którą po stryjcu odziedziczył, dużo ma do czynienia, by ją w jakim takim ochędóstwie utrzymać.

PANI BALOWA: Ale mnie bardzo mile widzi i do mnie przyjedzie. Prawda, panie Rotmistrzu?

PAN LIGENZA: Szczyra prawda, pani śliczna, dobrodziejko najłaskawsza.

PANI PILECKA: *(jakby go dopiero spostrzegła):* Ale, że wasza mość, panie mistrzu roty, w taki upał chodzisz w pancyrzu, tak kota by upiekł żywcem w tych blachach.

PAN LIGENZA: To moderunek naszej chorągwi. Wierz mi jejmość pani, że na tym pancyrzu wiele strzeł tatarskich i wołoskich się stępiło, więc choć się męstwem nie chwalę, niepotrzebnie sobie dworujesz ze mnie.

PANI PILECKA: Nie dworuję sobie, gdzieżbym śmiała.

PANI BALOWA: A ja do pana Mikołaja Reya jeszcze w liście napisałam, żeby koniecznie przyjechał, bo mam do niego ważną sprawę, którą załatwić muszę.

PANI PILECKA: A jaką? — wolno wiedzieć?

PANI BALOWA: Chcę go do Krakowa zabrać i królowej na Wawelu sprezentować.

PANI PILECKA: Chcesz królowej pana Mikołaja Reya sprezentować?

PANI BALOWA: A co? Czy nie godzien on tego, rymarz doskonały? A królowa lubi muzyki i śpiewy, przez to sława jego urośnie i majętności przysporzy, a może kiedyś na senatorskim krześle zasiędzie. Czy myśl nie wyborna?

PANI PILECKA: Niepotrzebnie się trudzisz, przezacna pani, bo już o tym dawno pomyślałam, a będzie przyzwoiciej, że jako krewna ja go królowej sprezentuję.

PANI BALOWA: Krewna? A to quo modo? [1])

PANI PILECKA: Mikołaj Rey rodzi się z Herburtównej, czy tak?

PANI BALOWA: Ano podobno.

---

[1]) jakim sposobem (łac.).

PAN LIGENZA: Herburtowie po śmierci w orły się zamieniają, tak mówi stara przypowieść.

PANI PILECKA: A dziad mojej matki, świeć Panie nad jego duszą, tyż z Herbutównej się rodził.

PANI BALOWA: Umarł i w orła się nie przemienił?

A ja i tak królowej pana Reya sprezentuję, bo już o tym przez biskupa Tomickiego wspominałam.

PAN LIGENZA: Z biskupami pan Rey w niedobrej żywie komitywie.

PANI BALOWA: Ale ja z królową w jak najlepszej...

PANI PILECKA: Nie w takiej chyba jak ja, pani Balowo. Mnie królowa bardzo lubi i ostatnio, jak byłam u niej na Wawelu, po plecach mnie poklepała, przyjaźnie dworując sobie, że bardzo utyłam.

PANI BALOWA: Mnie królowa nie klepie po plecach ani w pośladki nie szczypie, ale ma w dużej estymie i tego, co powiem, lekce sobie nie waży.

PANI PILECKA: Ja cię bardzo proszę, abyś w tej materii rozmowy z nią nie zaczynała, bo ja pana Mikołaja forytuję i jako krewna do tego mam prawo.

PANI BALOWA: Jaka krewna? Dziesiąta woda po kisielu, to i wrona słowikowi krewna, bo ptacy oboje, ino że on cudnie śpiewa, a ona kracze żałobliwie.

PANI PILECKA: Nie dziesiąta, nie woda i nie po kisielu. Nie obrażaj mnie, bo tyż sroce spod ogona nie wypadłam.

PAN LIGENZA: A któż by tak myślał...?

PANI BALOWA: Nie mam zamiaru cię obrażać, droga pani Pilecka, ale nie pozwolę rozkazować sobie, co mi czynić należy, nikt nie ma prawa do tego. Prawda, panie rotmistrzu?

PAN LIGENZA: Szczyra prawda, dobrodziejko moja najśliczniejsza.

PANI PILECKA: Siedziałbyś cicho, mości rycerzu, bo na tych sprawach tyle się rozumiesz, co Francuz na kobzie. Juści, że co ona powie, to ty będziesz przytakiwać, bo patrzysz na nią jak kot na szpyrkę i nawet powiem, nieprzystojnym spojrzeniem ją macasz.

PANI BALOWA: Proszę, pani Pilecka, takich uwag nie robić w mojej obecności.

PANI PILECKA: A proszę mi żadnych rozkazów nie dawać, bo ich nie usłuchnę.

Nie swatem tobie, nie bratem pan Mikołaj Rey, więc czemu się nim zajmujesz?

Nie masz dość innych młodzieńców koło siebie? — choćby tego w blachach?

PANI BALOWA: A czy ty sobie pana Mikołaja Reya na targu kupiłaś jak niewolnika, albo zgoła małpę, simię afrykańską, że masz jedyna prawo nim rozporządzać?

PANI PILECKA: Mówiłam już, że krewną jestem.

PANI BALOWA: I co z tego? Mnie pan Mikołaj lubi, choć krewnym nie jest. I tak najczęściej bywa, bo gdyby każdy mężczyzna ino z krewną mógł obcować, to z babką, siostrą, ciotką musiałby mieć miłosne sprawy i dzieci z nimi płodzić. I jakby świat wtedy wyglądał? No powiedz, pani Pilecka, jakby świat wtedy wyglądał?

PANI PILECKA: Przestań, bo mnie cholera trzęsie, jeszcze wam tu trupem padnę ze złości.

PAN LIGENZA: Jejmości najłaskawsze, panie moje miłościwe, pozwólcie i mnie słowo wtrącić.

Kłócicie się, która pana Mikołaja Reya królowej ma sprezentować, a nie wiecie wcale, czy on tego zechce. Mówicie tak o nim, jakby to było dziecko, które niańka za rękę musi prowadzić, bo dopiero niedawno od cycka się oderwało, a to mąż jest, jak słyszę, rozumu spełny i jak jeszcze. Może wcale waszej opieki nie potrzebować.

PANI PILECKA: O, powiedział, co wiedział, wielki Judasz w małej pańskiej sprawie. My chcemy, żeby pan Mikołaj Rey, który jest chlubą ziemi krakowskiej, w całej Polsce był sławny, i dlatego go chcemy na dwór królewski sprowadzić.

PANI BALOWA: By tam świetne rymy jego i krotofile ludzi zachwycały i te śpiewki, które układa, że w nich słowa jak błazenkowie wesoło kuglują, a gdy się ich słucha, to równocześnie i ślozy z ócz płyną z rozrzewnienia, i serce z radości w piersiach skacze. A cóż tylko włoskie lutnie i niemieckie symfonały mają rozbrzmiewać na Wawelu?

PANI PILECKA: A ty sobie myślisz, że całe życie w tej Topoli ma siedzieć, żeby kury macał i chodził patrzeć do chlewa, czy maciora się locha?

PANI BALOWA: Wiadomo, kto dziś Rzeczpospolitą rządzi, przed kim drżą biskupi, hetmany i inne wielmoże. Juści nie król stary. A wiadomo tyż z babą, choćby w koronie, najlepiej baba się dogada, co wie, jakimi przychlibstwami do jej serca trafić, a do rozumu przemówić.

PANI PILECKA: A jak sam pan Rey pojedzie, to tylko mu królowa rękę do pocałowania poda i z tym pocałowaniem może do końca życia w swojej Topoli przesiedzieć, gdzie świnie przez okno dzień dobry mówią.

PAN LIGENZA: Ja tylko rzec chciałem...

PANI PILECKA: Czasem lepiej zamilczeć, niż słowa mówić niepotrzebne, mości rotmistrzu. Od ryb się obyczajów uczmy, które to gady milczą cierpliwie, bo rozumu nie mając Stwórcy swojemu nie chcą się naprzykrzać.

PAN LIGENZA: Ja chętnie milczę, ale wy, panie moje najśliczniejsze...

PANI BALOWA: My co? — może my za dużo mówimy?

PAN LIGENZA: Boże mnie uchowaj od takiego mnimania, ale skoroście się już pogodziły, nie nacierajcie teraz na mnie wspólną siłą, bo nawet ten pancyrz, który noszę, mnie nie obroni.

Scena 2

Wchodzi Pan Bal, jegomość starszy, trochę szpakowaty.

PANI BALOWA: Oto nasza sąsiadka, pani Pilecka z Paśmiech, a to mój małżonek.

PAN BAL: Wielce mi miło powitać jejmość panią.

Niedawno do majętności mojej żony przybywszy, jeszcze wszystkich sąsiadów nie znam.

PANI PILECKA: Na Rusi lepiej wam było żyć, panie mieczniku?

PAN BAL: Prawdę mówiąc, to lepiej, ale mojej żonie tam za ludźmi tęskno, że dzicze i skały okrutne, ode wsi do wsi daleko, tak my tu przyjechali, by trochę pobaraszkowała z młodymi, bo to lubi. Prawda, Maryna?

PANI BALOWA: Każda lubi się zabawić, a nie siedzieć jak jaźwiec w norze.

PANI PILECKA: A was, mości panie, to nie cieszy?

PAN BAL: Mnie ludzi nie potrzeba, ze zwirzem dzikim lubię obcować. U nas na stepach tego pełno. Żubry bujają samopas w puszczy. Widziałaś jejmość pani kiedy żubra?

PANI PILECKA: Nie, ale myślę, że do krowy podobien, ino brodaty.

PAN BAL: W sam raz jego konterfekt. A wiesz jejmość pani, jak się na żubry poluje?

PANI PILECKA: Nie wiem.

PANI BALOWA: Chodźmy gości witać, miły mężu. Przyjechała pani Rożnowa ze Sędziszowa z córką... *(do pani Pileckiej)* Siostrzenica arcybiskupa Rożnego.

PANI PILECKA: Znam ją, znam.

PANI BALOWA: I panny Sansygniowskie i stary pan Trzebiński z Miłowczyc z synami.

PANI PILECKA: O la Boga, cała chorągiew tych Trzebińskich się tu wali! Ilu ich jest?

PANI BALOWA: Siedmiu przyjedzie, bo mi pisał, że ino najzgrabniejszych do tańców przywiezie.

PANI PILECKA: A ma ich ilu?

PANI BALOWA: Ze dwunastu albo więcej, kto by policzył.

PANI PILECKA: Jeśli wybrał najzgrabniejszych, to ładnie muszą wyglądać, ci, co w domu zostali. Smorgońskiej akademii [1]) chyba pirwsi uczniowie.

PANI BALOWA: Tam pojętne niedźwiedzie obłaskawiają, nie takich kokodrylów. *(podchodzi do drzwi)* Witamy miłych gości.

PAN TRZEBIŃSKI: Witamy wielmożnych państwa gospodarzy.

Młodzi panowie Trzebińscy kłaniają się niezgrabnie.

PAN BAL: Witamy.

PAN TRZEBIŃSKI: Synów moich niegodnych wielmożnym państwu sprezentować pragnę i po kolei imiona ich chcę wymienić.

PANI BALOWA: Bardzo o to prosimy.

PAN TRZEBIŃSKI: Ustawcie się po starszeństwie, żebym się nie pomylił. A więc incipiam [2]): Mateusz, Marek, Łukasz i Jan.

PANI BALOWA: To, widzę, czterech ewangelistów mają za patronów ichmościowie?

PAN TRZEBIŃSKI: Bystrym umysłem miłościwa pani to od razu odgadłaś. Gdy zaś już ewangelistów zabrakło, a chłopcy się dalej rodzili, królów my onych spomnieli, co Bożą Rodzinę w sławnym mieście witali.

PANI BALOWA: I kadzidło jej przynieśli, by po pastuchach i baranach szopę wykadzić mogła, a także kilka sztuk złota.

PAN BAL: Które Święty Józef zaraz przyłapał, bo choć święty, jako że z niskiego stanu, na złoto był łakomy.

PAN TRZEBIŃSKI *(pokazując na synów)*: A więc Kacper, Melchior, Baltazar. Gdy zaś tych świętych Pańskich zabrakło, w dzieje krześciaństwa dalej

---

[1]) Smorgonie — miasto na Litwie, słynące w dawnej Polsce z obłaskawiania niedźwiedzi. Stąd mówiono żartobliwie o „smorgońskiej akademii".

[2]) zacznę (łac.)

brnąc — ale tamci w domu zostali, to pewnie już nie ciekawią państwa ich imiona?

PAN BAL: Żałuję, że jegomość nam wszystkich nie przywiózł.

PAN TRZEBIŃSKI: Wielką by tu szkodę uczynili, bo chłopy bardzo na żarcie łakome i na pokojach pańskich nie obyte... A za tych ręczę, że nieprzystojnego żaden z nich nic nie uczyni, nawet po pijanemu. *(spojrzawszy groźnie na synów)* Choćby z obawy, żeby w gębę od ojca nie dostał, co by mu się łacno przydarzyć mogło.

PANI BALOWA: Miło mi tak grzecznych kawalerów w domu przyjmować; a teraz prosimy do stołu.

PAN BAL *(przysiadł się znowu do pani Pileckiej):* Opowiem jejmość pani, jak się na żubry poluje.

PANI PILECKA: Słucham...

PAN BAL: O, wyszła ze swoich komnat pani kasztelanowa Gnojeńska, ciotka mojej żony, muszę iść do niej, bo widzę, że ją czegoś cholera trzęsie.

Scena 3

Wchodzi pani kasztelanowa, niewiasta otyła, starsza, ubrana w koszulę bogatą, cyfrowaną i na niej kaftan, opiera się na lasce.

PAN BAL: Nie trzeba wam czego, pani ciotko miłościwa?

KASZTELANOWA: A trzeba, trzeba, daj mi się czego napić, bo parno i duszno w tych waszych izbach. Chciałam się zdrzymnąć trochę po obiedzie, ale muchy mi spać nie dały, bo żarły mnie okrutnie. Skąd tyle tego plugastwa się naroiło w waszym dworze?

PAN BAL: Z gnoju się rodzą, bo stajnie niedaleko.

KASZTELANOWA: To gnój wyrzucić, stajnie przenieść, szkapom w łby postrzelać, jeżeli chcecie zacnych gości w tym dworze przyjmować, a nie to mógłbyś, panie mieczniku, sam muchy łowić w siatkę alboli packą bić, żeby tak nie gryzły bąki uprzykrzone. Nic lepszego nie masz do roboty. W końcu z tej zgryzoty poduszką łeb przykryłam, to mi dech zaparło i gorąc do łba uderzył. Daj mi się czegoś napić dla ochłody. Krzesło mi podaj — nie to — większe — widzisz, że nie mam tyłka jak szczudło. *(siada, pan Bal nalewa jej puchar wina)* Co mi wina lejesz, nie chcę tego. Piwa mi nalej, bo piwo dobry olej i wilgoć w brzuchu dłużej przetrzymuje. Małmyzyją mnie częstuje jak włoską kurwę *(pije).* Już mi trochę lepiej. Idź, mości mieczniku, gości twoich zabawiać, mną się nie zajmuj *(pokazuje laską).* Któż jest ta niewiasta pod ścianą?

PAN BAL: Jejmość pani Pilecka z Paśmiech, sąsiadka nasza.

KASZTELANOWA: Podoba mi się, bo na gębie gładka i ciało ma tłuste i różowe jak młode prosię. Nie lubię chudych bab, są zawsze kąśliwe, czemu się dziwić nie można, bo jadowite efekty krew burzą, gdy ona się w sadło nie przemienia. Chodźno tu, pani Pilecka, podobasz mi się jejmość.

PANI PILECKA: Wielce mi to miło, miłościwa pani kasztelanowo.

KASZTELANOWA: Nie gadaj, że ci miło, bo nic ci z tego nie przyjdzie, że stara baba ze swoimi miłościami ci się oświadcza. A gdzieżeś ty męża posiała, pani Pilecka?

PANI PILECKA: Pomarł łońskiego roku.

KASZTELANOWA: Świeć Panie nad jego duszą, a cóż mu się stało?

PANI PILECKA: Ożarł się gruszek niedoźrałych i we trzy dni go biegunka wzięła.

KASZTELANOWA: Ale to tych gruszek musiał zjeść niemało.

PANI PILECKA: Wszystkie drzewa w sadzie do czysta poobrywał, dobry był człowiek, ale w żarciu nieposkromiony.

KASZTELANOWA: Wola Boska. Więc wdową jesteś, to ci czas już nowego chłopa poszukać.

PANI PILECKA: Owa, nie pilno mi, z nimi znów tyż nie takie rozkosze. Żeby na dobrego trafić, ale po większej części pijanice są obrzydliwi, leniwce ospałe, a dla nas niebożątek pany okrutne.

KASZTELANOWA: Są i poćciwi między nimi. Choćby mojej siostrzenicy mąż, nasz Pan miecznik Bal. Rozumu mu wiele Pan Bóg nie dał, to prawda. Żubry mu się we łbie tyrkają i psi jazgocą, bo ino o łowach myśli. Ale serca jest miękkiego i żona może na nim grać jak na fujarze...

PANI ROŻNOWA *(podchodzi)*: Córkę moją, Zofię, miłościwej pani sprezentować chciałam i jej łaskawości polecić.

KASZTELANOWA: Pokaż się, dziewczyno. Ładne to i skromne, a ślepia jej się żarzą jak gwiazdki. To trzeba, pani Rożnowa, męża dla dziewki poszukać.

PANI ROŻNOWA: Jeszcze czas na to.

KASZTELANOWA: Czas, nie czas, myślisz, że Pan Bóg będzie ci dziewosłębem, a aniołowie swatami? Nie, pani Rożnowa. Bierz przykład ze mnie, cztery córki wydałam, ale trzy lata z wozu nie zlazłam. Chcesz dziewce męża znaleźć — musisz ją światu pokazać.

PANI ROŻNOWA: Tyż ja tu z Sędziszowa przyjechałam, taki kawał drogi.

KASZTELANOWA: I — co tu za młodzież, same pokraki.

Czegoż tych pląsów nie zaczynacie? Maryna, każ grać kapeli.

PANI BALOWA: Czekamy na jegomościa pana Mikołaja Reya, z Topoli ma przyjechać.

KASZTELANOWA: A cóż on biskup, żeby czekać na niego?

PANI BALOWA: Biskup nie jest, ale rozumu ma więcej niż wszystkie biskupy, rymarz sławny.

KASZTELANOWA: To dziwne, znałam jego ojca Stanisława, głupi był jak podogonie. A pan rotmistrz Ligenza nie mógłby tańców poprowadzić?

PANI BALOWA: On rotę w bój powiedzie i huf w porządku ustawi, ale do tańca nie jest.

PAN LIGENZA: Bo ja żołnierzom potrafię rozkazować, ale nie ślicznym niewiastom.

KASZTELANOWA: Widać ty z tych rycerzy walecznych, mości rotmistrzu, co lezą na działa na pewną śmierć, a jak baba macherzyną [1]) z grochem potrząśnie, to ich strach oblatuje.

Nasz król miłościwy tyż wielki rycerz w polu, a Włoszka z nim dziwne harce wyprawia. Ostatnio słyszałem, że morwy na Woli każe mu sadzić, polskich jedwabiów się jej zachciało, bo nasz len jej donicellom [2]) skórę drapie, że aż publicznie iskać się muszą.

---

[1]) macherzyna — pęcherz.
[2]) donicella (włosk.) — pannica.

PAN LIGENZA: To dobrze robi, morwy są drzewa pożyteczne.

KASZTELANOWA: A właśnie dobrze! Jej krewniaczek pod Mediolanem tyż morwy sadził, aż na pośmiewisko Ludovico il Moro go przezwali i błazeńskie to imię do niego przylgnęło. Ale niechby sobie już drzewka sadziła i codziennie na nie sikała ciepłą wodą, ino zimy patrzeć, a nasz mróz poćciwy z tym porządek zrobi. Gorzej, że absolutum dominium [3]) chce zaprowadzić i wolność pogrzebać, a nasz król...

PAN LIGENZA: Nie godzi się o naszym wielkim królu nic złego mówić.

KASZTELANOWA: Ty mnie nie ucz, co się godzi, a czego się nie godzi, bo preceptorów nie potrzebuję, a w szczególności takich, co ino końskie zady wąchają, a wiadomo, że z tego zapachu żadna szczęśliwa myśl urodzić się nie może.

GŁOS ODE DRZWI: Pan Mikołaj Rey z Topoli przyjechał.

PANI BALOWA: Pan Mikołaj Rey...

Scena 4

Wchodzi jegomość pan Mikołaj Rey. Wygląda tak jak na wizerunku z pierwszych wydań „Zwierciadła", tylko dużo młodszy. Broda krótsza, przystrzyżona, czoło wypukłe, spojrzenie „spode łba". Chód trochę niezgrabny i ciężki, jak wtedy mówiono, „niedźwiedzi".

PANI BALOWA: Witamy w naszych progach miłego gościa i wielce się cieszymy z przybycia.

PAN BAL: Witamy.

REY *(do Bala):* Zaszczyt to dla mnie niemały, mości miecznikuu, gościem być w waszym domu. Wiem, że Bala pierwsi nasi przodkowie w dawnych wiekach za boga chwalili. A wy teraz tam na tej Rusi waszej na poły w niebie, bo w górach mieszkacie.

KASZTELANOWA: Boga z naszego pana miecznika robi, słyszałaś, pani Pilecka?

PANI BALOWA: W górach, tam gdzie mieszkamy, orły się w skałach gnieżdżą, ale tu w ziemi krakowskiej także orła spotkać można, jak po ziemi stąpa i do lotu górnego się rychtuje.

KASZTELANOWA: Jak wy tak z sobą dłużej będziecie gadać, to się wam gęby wykrzywią od pochlibnego łgarstwa.

Kasztelanowa Pinczowska jestem, mości Reyu, znałam ojca twego i stryjca.

REY: Łaskawości wielmożnej pani się polecam.

KASZTELANOWA: Dobrze, będę ci łaskawa, ino z moim nazwiskiem żadnych figlów nie próbuj, bo ci nie wyjdzie. Gnojeńska jestem z dziada i pradziada, a komu się to nie podoba...

REY: Gnojeńscy, o ile mi wiadomo, zawżdy rycerskiego stanu używali, także na dworach zawdy znaczni byli, a dobrą i wolną myślą się parali.

KASZTELANOWA: Toś dobrze powiedział, mości panie Reyu. Dobrej myśli zawsze byli i do śmiechu siebie i drugich podniecali. A wisz, czym człowiek od gada, świni i inszego zwirzęcia się różni? — tym, że się śmieje.

REY: Ino, że nie zawdy śmiać się można, pani kasztelanowo, są takie spra-

---

[3]) rządy absolutne (łac.).

wy, co nie do śmiechu, a do wylewania słonych łez człowieka poćciwego przymuszają.

KASZTELANOWA: Ale są takie, co do krotofili się nadają i takimi ja się zajmuję. A że i ty błazeństwa ludzkie rymami chętnie prześmiewasz, będziemy w przyjaźni, tylko mi się nie sprzeciwiaj, bo tego nie lubię.

REY: I ja tyż tego nie lubię.

KASZTELANOWA: To trefiła siekiera na osełkę, będą iskry się sypać.

PAN BAL: Prosimy do kielicha, zacny gościu, kurz z drogi w gębie trzeba przepłukać. Poprowadźcie go do stołu, niewiasty.

Pani Balowa i Pani Pilecka biorą Reya pod rękę i prowadzą w głąb.

PAN BAL *(do Reya):* A ja ci opowiem, jak się na żubry poluje na Rusi, bo wy tego tu nie znacie.

KASZTELANOWA *(do Ligenzy):* Cudny ten wasz pan Rey nie jest, ale, widzę, chłop mowny i do rzeczy.

PAN LIGENZA: No i co z tego, że mowny, gębowaniem jeszcze niczego nikt nie zbudował.

KASZTELANOWA: A ino czym? Kto dużo mówi, dużo myśli.

PAN LIGENZA: Ja nic nie myślę, ja w wojsku służę.

KASZTELANOWA: Wołaj mi tu panią Pilecką, chcę z nią pogadać.

Ligenza podchodzi do pani Pileckiej i pokazuje kasztelanową.

Pani Pilecka wstaje niechętnie od stołu i podchodzi do kasztelanowej.

KASZTELANOWA: Nie martw się jejmość, zaraz cię do niego puszczę, ino siądź chwilę, coś ci chcę rzeknąć. A słuchaj uważnie.

PANI PILECKA: Słucham.

KASZTELANOWA: Masz się wydać za pana Mikołaja Reya.

PANI PILECKA: Nie chcę. On by wcale nie chciał, gdzie mnie o tym myśleć.

KASZTELANOWA: On by nie chciał, czy ty nie chcesz, gadaj wyraźnie!

PANI PILECKA: Jemu trza młodszej.

KASZTELANOWA: Młodszej — do czego? Stara nie jesteś, a że cię już raz chłop przetrząsnął, to i lepiej, będziesz miała większe rozeznanie.

PANI PILECKA: Jemu trza uczonej — książki pisze.

KASZTELANOWA: Uczony musi być biskup, a niewiasta musi mieć rozum. Oj, żebym się nie bała, że nas słuchają, to bym powiedziała, co musi mieć niewiasta, by żoną dobrą była. A ty to masz... On se będzie książki czytał i z nich fabuły układał, a ty mu będziesz majętności przysparzać, lubisz to, prawda?

PANI PILECKA: Z tych nie jestem, co ino myślą, by mężowi wszystkiego uszczyrbić i majętności, i dobrej sławy, a latają za młodszymi jak kotki w marcu po dachach.

KASZTELANOWA: Ano właśnie, więc będę cię swatać.

PANI PILECKA: To się nie uda.

KASZTELANOWA *(bijąc laską o ziemię):* Nie sprzeciwiaj mi się, bo tego nie lubię. Będę was swatać. Ja chcę, żeby ludzie się koło mnie miłością parali, żenili, potomstwo płodzili. Póki byłam młoda, sama to robiłam, nikogo o zastępstwo nie prosiłam. I miłowałam tyż, miłowałam, noc nie przeszła...

Ej, co dawne czasy wspominać! Chcę się teraz patrzeć, jak insze to robią. A zrozum, chłop niektóry — zdarzy się taki, szczególnie z tych, co książki

czytają, że dziesięć razy przejdzie koło niewiasty jak pies koło gorącego pieroga, i na myśl mu nie przyjdzie, że można ją obłapić i w gębę pocałować. Dopiero, jak mu kto powie: sprobuj, do tego się zabiera. Włość jaką masz?

PANI PILECKA: Paśmiechy, Posiłów, Piekary, co mi mąż zapisał. Za ten dobry uczynek na pewno mu to straszliwe obżarstwo na tamtym świecie odpuszczone będzie. I inne grzychy tyż.

KASZTELANOWA: No widzisz, no widzisz, a Reye na ziemię chciwe, znany ten ród od dawna, bo to z chudopacholstwa wyszło, teraz się bogaci. Ja mu powiem, co ty masz. Ale idź do niego, bo widzę, baby go obsiadły jak muchy psie ścirwo. Szczyrz do niego zęby, a ja swoje zrobię. Idź. *(Pani Pilecka odchodzi).* Wróć na chwilę, nachyl ucho, coś ci jeszcze rzeknę. A żebyś mu pirwej skosztować nie dała, bo go potym do ołtarza wołami nie zaciągniesz, tacy oni są, ja ich znam.

PANI PILECKA: Ani mi w głowie takie myśli.

KASZTELANOWA: Nie o głowę tu chodzi, a że o miedzę mieszkacie, więc rozum miej.

(Pani Pilecka odchodzi)

PAN BAL: No, ichmoście, dość z kielichami zabawy, ustawcie się do tańca. *(do Reya)* Panie Mikołaju, tańce prosimy poprowadzić.

REY: A jest kapela? Zagrajcie.

(Kapela gra)

REY: Nie tak głośno, nie tak głośno, to nie dzikie janczary w bój iść mają, a niewiastki delikatne do tańca będziemy prowadzić.

Ustawcie się parami.

Chorus [1]) taneczny się ustawia, Rey tańczy z panią Balową, pan Bal z panią Pilecką

Chorus taneczny krąży i w koło się rozwija.

PAN MIKOŁAJ REY *(wchodzi do koła i śpiewa):*

Widzę piękny gaj zielony
płotem, różą osadzony,
kierz w nim biały, kierz cyrwony,
fiołecki drobne,
jabłonecka się rozwija
i rozmaryn i lilija,
kwiatuski nadobne.

Chorus taneczny powtarza:

Kwiatuszki nadobne...
(krąży)

REY *(śpiewa):*

Stoją sadu równe grzędy,
wonniejsze niźli lawendy,
pląsają panienki.

Chorus:

Wonniejsze niźli lawendy
pląsają panienki...

Chorus przestaje krążyć

[1]) orszak, gromada (łac.)

WSZYSCY: Niech żyje pan Mikołaj Rey, rymarz doskonały!

Kapela przestaje grać.

KASZTELANOWA: Bardzo misternie to jegomość ułożyłeś, panie Mikołaju, tylko żeby nasze panienki były od lawendy wonniejsze, to już za Boga nie uwierzę.

REY: Perfumy cnoty rozsiewają.

KASZTELANOWA: Ale myją się raz na tydzień i to nie zawsze.

PANI BALOWA: Bardzo wdzięczne one rymy. Jak się ich słucha, to aż serce z radości świrkoce.

PANI PILECKA: Największym ty rymarzem ziemi krakowskiej.

PANI BALOWA: W Polsce całej.

PANI PILECKA: I u narodów postronnych.

PANI BALOWA: W całym ziemskim uniwersum.

PANNA ROŻNÓWNA: A ja tak myślę, że i w niebie wdzięczniejszych pieśni nie śpiwają.

REY: W niebie, miła panno, są cheruby z gładkości lica bardzo do ciebie podobne, to i śpiewać tam łatwo, patrząc na nie.

PANNA ROŻNÓWNA: Grzych to, panie Mikołaju, z aniołami niebieskimi ziemskie istoty porównywać.

REY: Z tego grzychu każdy mnie ksiądz łatwo rozgrzyszy.

PANI PILECKA: Nie jestem tego pewna.

REY *(śmiejąc się)*: A choćby i nasz pleban, szczególnie, jeśli mu poślę furę koniczu albo suchego jinczmionka na kaszę.

PANI BALOWA: Taki on jest na ziemskie zbytki łakomy?

PANI PILECKA: Co ma robić nieborak, brzuch ma jak beczkę, to go jedną misą krup nie napełni.

REY: Tyż mówią o nim, że na ołtarzu jajca liczy, a pytajcie biednych kmiotków, jak z nich łyka drze.

PANI PILECKA: Chłopa, żeby kto miodem smarował, zawsze powie, że mu nędza. Od tego jest chłop, żeby bidę cirpiał.

REY: Ej, czy od tego, pani Pilecka?

PANNA ROŻNÓWNA: A mnie każdego żal, komu krzywda się dzieje, i na niesprawiedliwość patrzyć nie mogę.

REY: I czy nie mówiłem szczyrej prawdy, że niebieskim cherubom jesteś podobna?

PANNA ROŻNÓWNA: Dość o tym, mości Reyu, anioły nie jedzą i nie piją jako ja.

REY: Kto ich tam wie, co one robią, dozrzeć trudno, bo wysoko nad obłokiem siedzą i tam się złotym piórem pierzą, które to pióra lecą na ziemię, kiedy słońce dogrzywa. Ale skoroś o piciu wspomniała, chodźmy się czegoś napić, miła panno, bo mi z tego śpiwania w gardle wyschło. A gdy mi tak wdzięczna ręka szklenicę naleje, to i pić będzie z niej przyjemniej.

PANNA ROŻNÓWNA: Dworujesz sobie ze mnie jegomość panie Mikołaju, ale chętnie sławnemu człowiekowi usłużę.

REY: To chodźmy do stołu.

(bierze ją za rękę i prowadzi w głąb sali.)

PANI BALOWA: No i co, pani Pilecka, ostałyśmy same, a nasz pan Mikołaj z tą panną z Sędziszowa poszedł sobie przepijać.

PANI PILECKA: A, głupia koza!

PANI BALOWA: Głupia, ale przychyrna i pochlebna.

PANI PILECKA: Miękkością serca mu się przymila, w gębie słodka, bo to nic nie kosztuje, a jak przyjdzie co do czego, będzie ostatni grosz ludziom wydzirać. Ja takie znam!

PANI BALOWA: Ale gładka na gębie i ślipiami wierci jak świdrem.

PANI PILECKA: Wierci ślipiami i kuprem trzęsie, trusia niewinna, słodyczka wdzięczna. Już ja jej radę dam.

PANI BALOWA: A w jaki sposób?

PANI PILECKA: Taką nie trudno omierzić człowiekowi mądremu. Najpirw ubogie, to i pewno często głodne, więc do miłowania niezdatne. Ja ten ich Sędziszów znam, bom tamtędy do Włoszczowy do krewnych przejeżdżała. Piaski to i wydmy, na których nie to pszenica, ale i chwast się nie urodzi.

PANI BALOWA: Ale jest siostrzenicą arcybiskupa, a temu pono swojej krewnej dać włość, to jak innemu splunąć na pawiment [1]).

PANI PILECKA: Ale jej nic nie da.

PANI BALOWA: Takaś jest pewna?

PANI PILECKA: Pewną nie jestem, ale tak panu Mikołajowi powiem. Nie chcę, żeby się żenił z tą Rożnówną, a wiem, że ją po to tu przywieźli. Nie chcę, żeby się z nią żenił, bo chuda, bidna i szpetna. A ja dbam o niego, bo przecie mój krewny.

PANI BALOWA: Czy taka szpetna?

PANI PILECKA: Biała, jakby jej pies rumieńce z gęby zlizał. To nie może być pana Reyowa żona.

PANI BALOWA: No radź sobie jak możesz, pani Pilecka, ale ci powiem, że na taką słodką niewinność to mężczyzna łakomy jak niedźwiedź na miód w barci, a jak od razu skosztować nie może, to się choć z daleka oblizuje.

PANI PILECKA: Nie wiem, jakie smaki w tym oni czują, to znów nie taki marcypan.

PANI BALOWA: Ale czują.

PANI PILECKA: Pójdę poradzić się kasztelanowej, ona doświadczenie w tych sprawach ma.

PANI BALOWA: A ja do mojego rotmistrza, on przynajmniej wiernie służy i gdy ze mną gada, za inszą ślepiami nie wodzi.

PANI PILECKA: Nawet by mu to łacno nie przyszło, bo sztywny jak kołek w płocie.

PANI BALOWA: Sztywny to on jest, ale pewny jak żołędny tuz.

PAN BAL: Ważne nowiny, sławną pocztę właśnie odebrałem.

PANI BALOWA: Co się stało?

PAN BAL: Chodźcie wszyscy, słuchajcie, bo są ważne nowiny.

PANI PILECKA: Ale złe, czy dobre?

PAN BAL: Dobre, dobre, niech się wszyscy zejdą.

(wszyscy się schodzą)

PAN BAL: Regina Poloniae [2]) królowa Bona przyjeżdża z dworem na kilka dni do zamku w Proszowicach.

---

[1]) pawiment — podłoga.
[2]) Królowa polska (łac.)

KASZTELANOWA: Ji, tylko tyle. Włoszka na miejscu usiedzieć nie może i swoje lemoncelle obnosi po kraju.

PANI PILECKA: Co to są lemoncelle?

KASZTELANOWA *(pokazując na biust):* To niby te... masz je tyż, pani Pilecka, ino nie takie pokaźne.

Pani Pilecka zachichotała.

PAN BAL: Nie przerywajcie mi, bo chcę więcej powiedzieć. Na powitanie królowej cała ślachta z ziemi krakowskiej do Proszowic zjechać się musi.

STARY PAN TRZEBIŃSKI: Stawimy się wszyscy jako jeden mąż.

MŁODZI TRZEBIŃSCY *(chórem):* Stawimy się jako jeden mąż.

PAN BAL: Ale nie na tym koniec. Aby uczcić panią królową godnie, bierzemy ze sobą tę kapelę, która nam tu przygrywa. Jegomość pan Mikołaj Rey chory nam ułoży, którymi królowę w Proszowicach powitamy.

STARY PAN TRZEBIŃSKI: Godzimy się na to, że tak powiem, unanimiter.

MŁODZI PANOWIE TRZEBIŃSCY: Godzimy się na to.

PAN BAL: Chory te przez te parę dni pan Mikołaj Rey wyćwiczy, mój dwór na tę akademię śpiewaczą oddaję i wszystkim gościny udzielam. Pan Rey do jutra piosenki ułoży na powitanie królowej, a nasza młódź je wyśpiewa.

PANI BALOWA: Cudne śpiewki nam pan Mikołaj Rey ułoży!

PAN BAL: Panie Mikołaju, cóż ty na to?

REY: Wielmożny panie mieczniku, a miły gospodarzu, nie może to być, niestety.

Ta kapela królowej grać nie może, bo to muzyka nikczemna: kozi róg i dudy kwiczą jak świnie za uchem, a w bęben tłuką jak w pudło. A królowa ma uszy delikatne, bo włoskie, i nie byłoby miło, gdyby słuchając palicami sobie je zatykała.

A wy tyż, mili państwo, śpiewać nie umiecie, nie wiecie, jaka nuta mile piska, a jaka nieznośnie bęczy.

Tedy zrobimy inaczej. Ja mam chory, które sobie wieczorami ćwiczę z chłopskich dziewczyn i moich pacholików, co wcale pięknie na luteńkach już grają. Te więc chory na zamek poprowadzę i królowej mile będzie im posłuchać, a wam tyż.

PAN BAL: Chłopskie chory chcesz na zamek prowadzić, to despekt dla majestatu.

REY: Jaki despekt, mości mieczniku, jaki despekt? I ptaszkowie, którzy śpiewają w gałęziach, tyż sygnetów na pazurkach ni mają i herbów sobie na gnieździe nie wieszają, a miłe ich śpiewanie większemu panu od królowej.

PAN TRZEBIŃSKI: Onemu pomysłowi uroczyste zakładam weto.

MŁODZI PANOWIE TRZEBIŃSCY: My uroczyste zakładamy weto.

REY: Milczcie, wy końskie łby, gdy starsi rozprawiają.

PAN TRZEBIŃSKI: To ubliża całemu ślacheckiemu stanowi.

REY: Ślacheckiemu stanowi nie chcę ubliżać, ale król i królowa nad całą ziemią chyba panują i chłop ich mierzić nie może. Że chłopa teraz każdy niewoli, to wiecie chyba dobrze, że każdy na niego woła: daj czynsz, a daj kokoszy, a daj sery, a gęś, a jajca — i urzędnik, i wójt, i sołtys, i pan, i pleban. Że starosta żeńców nie ze słonkiem, ale z ostatnim zmrokiem z pola spuszcza, to

wiecie tyż dobrze, bo żniwa teraz są i gdy my tu pląsamy, kto wie, czy oni jeszcze sirpami żyta nie żną.

A gdyby te kmiotki na dwór królewski się dostawszy na swoją dolę się tam uskarżyły, tyż by nic nie szkodziło.

PAN BAL: Chcesz, żeby na zamku królewskim chłop na ślachecki stan skargi zanosił?

REY: Nie wiem, czy by to mu pomogło, choć za króla Piasta tak było i przez to Kazimierz Wielkim w narodzie jest nazwany.

KASZTELANOWA: Ej, mości Reyu, co nam będziesz stare dzieje wspominał. Król Kazimierz za Żydówką po karczmach gonił, to i mógł się z chłopami przyjaźnić. Kto zresztą wie, jak tam było.

REY: Dobrze było, inośmy to popsowali z wiekiem. Sprawiedliwości ni masz teraz w Rzeczypospolitej naszej. Płone my grona w winnicy Pańskiej, mówię wam, ichmościowie.

PAN TRZEBIŃSKI: Jesteś, panie Reyu, ślachcicem, czy nie?

REY: Jestem. I właśnie dlatego nie chcę, żeby każdy z nas podobien był temu dudkowi śmierdzącemu, co i sam śmierdzi i gniazdo swe plugawi, czego inszy żaden ptak nie robi, owszem codziennie je chędoży.

PAN TRZEBIŃSKI: Mówi nam, żeśmy dudki śmierdzące, słyszeliście?

MŁODZI PANOWIE TRZEBIŃSCY: Słyszeliśmy.

REY *(przedrzeźniając)*: Słyszeliśmy, słyszeliśmy.

Jak się zając w trawie kocił,
jak się z kozą wilk sromocił.

Tyleście słyszeli, panowie Trzebińscy.

PAN TRZEBIŃSKI: O nas już mniejsza, już my dudki śmierdzące być możemy, ale tym zacnym naszym gospodarzom, których cnota od pokoleń roście, żali możesz coś zarzucić?

REY: Nie mogę i nie chcę. Zawdy wielkie przymioty tego rodu ceniłem. Państwa Balów w wielkiej mam estymie. Bardzo to szczęśliwie, że z dalekiej Rusi do majętności swojej zjechali, bo na pewno sprawiedliwość swoim poddanym uczynią.

PAN BAL: A czy im źle się dzieje?

REY: Bardzo źle. Starosta tej włości, panie miecznikuu, wielce dla chłopów okrutny, z maczugą za nimi po polu goni, biczem po grzbiecie kołacze.

PAN BAL: Ej, ktoś ci bajdy naopowiadał, panie Mikołaju, co tyle warte co muchy brzęczenie. Powtarzasz je wodę obracając na wspak.

REY: Nie bajdy, bo sam widziałem.

PAN BAL: Co widziałeś?

REY: A jadąc tu widziałem, jak na polu dziewkę korbaczem [1]) w łeb uderzył, aż się krwią obliznęła.

PANI BALOWA *(przerażona)*: Aż się krwią obliznęła??

PAN BAL: Nie może być!

REY: Było, bo sam widziałem.

PAN TRZEBIŃSKI: Nie bardzo to ładnie, młody panie, u kogoś być w gościnie, kielichy wypróżniać i talerze zlizać, a później mu wypominać, że krzywdzi poddanych.

---

[1]) korbacz — bicz rzemienny.

REY: Dużo byłoby nieładniej oną rzecz zataić i pozwolić, by człowieka poćciwego jego własny urzędnik u poddanych zohydził. Takim pochlibstwem parać się nie będę, bo to nie moje rzemięsło.

PAN BAL: I nikt tego od ciebie nie żąda, ale mogłeś mi na ucho o tej przygodzie wspomnieć, a nie publicznie gębować.

REY: Dość tych gadań na ucho, każdy w naszej Rzeczpospolitej na ucho swój grzech księdzu wyznaje, później brnie w niecnocie. Głośno nam mówić trzeba, co nas mierzi, bo z tego nieprawości rosną na tej świętej ziemi naszej, jeno zbytki sprośne, marne utraty, krzyk, pisk, kołat, łupiestwo, gwałt możnego nad bidnym, bogatego nad ubogim, tyrana nad niewolnikiem. Przeto sami się oskarżać powinniśmy, a na ścieżkach naszego żywota słupy miłosierdziem malowane postawić, bo inaczej przeklęctwo nas czeka i zguba.

Wybaczcie ichmościowie, że przy kielichu i na wesołej zabawie takie dolegliwości nasze rozważam i o niemocach Rzeczypospolitej deliberuję, ale samiście mnie do tego przywiedli spierając się o rzecz niewinną, przystojną, sprawiedliwą, z której ino pożytek przypaść nam może.

PAN BAL: O godność stanu naszego ślacheckiego nam chodzi.

REY: Na darmopychach się wzorując i zbytnią dufność w sobie mając stan ten tylko w poniżenie wobec innych stanów wprowadzamy. Bo pycha smardem [1]) jest w gębie, a na sukni pięknie uszytej plugawym obercuchem [2]). *(po chwili)* No jakoż będzie? Godzicie się ichmościowie, by moje chłopki w Proszowicach królowę witały? I pomożecie mi do tego?

PAN BAL: Nie godzimy się i nie pomożemy, owszem przeszkody czynić będziemy.

REY: Ale dlaczego?

PAN BAL: Chyba już jasno powody wyłuszczyłem.

PAN TRZEBIŃSKI: Clarissime [3]) mości Reyu, clarissime. A ty szanuj poważne głowy w powiecie i słuchaj ich rady, a jeśli po łacinie umiesz, to ci powiem: quod tibi displicet in me, hoc tu ipse corrige in te [4]), co się tłomaczy: co tobie we mnie paskustwem być się wydaje, to u siebie tyż za gnidę uważaj.

REY: Piękne to przysłowie łacińskie, acz nie bardzo misternie na język polski przełożone. Więc nie godzicie się ichmościowie? I cóż mnie począć bidnemu? — Chyba, że bez waszego pozwoleństwa moje chory królowej sprezentuję, bo już taki się urodziłem, że ino własnemu rozumowi ważne sprawy poruczam. W skalbmierskich strojach moje dziewczyny będą wdzięczniej wyglądać niż insze w złotochlawach i adamaszkach. A teraz za gościnę wielmożnemu państwu pięknie dziękuję, bo muszę wracać do Topoli.

PAN BAL: Żegnamy.

Rey kłania się i wychodzi.

Scena 5

PAN BAL: Harda bestyja, jak żubr rogami bodzie.

KASZTELANOWA: Jak baran, powiedz, panie mieczniku, jak baran.

PAN LIGENZA *(do Pani Balowej i Pani Pileckiej)*: No i cóż, śliczne panie

---

[1]) smard — plugastwo.
[2]) obercuch — okrycie.
[3]) Jak najjaśniej (łac.).
[4]) Co ci się nie podoba we mnie, to popraw sam w sobie (łac.).

moje, będziecie się dalej spierać, która pana Reya królowej ma sprezentować?

PANI PILECKA: Nie probuj, mości rycerzu, być trefnym, bo to nie na twój rozum.

KASZTELANOWA: Nagadał wam i poszedł. Mędrzec z Nagłowic. Sprawiedliwości Bożej psi kaznodzieja. Sypia pewno z jaką dojarką, to mu chłop nie śmierdzi i chce nim komnaty królewskie ucukrować. Gdybyście go były lepiej wzięły w obroty, moje niewiasty, to by mu chłopskie kochanie z głowy wywietrzało i z nim takie bezecne pomysły.

A ty, mości miecznikiu, mógłbyś powiedzieć swemu staroście, że jak chce dziwkę leniucha sprać, to niech robi to w komorze, a nie przy gościńcu i niech ją po głowie nie tłucze, bo insze jest miejsce na ciele ku temu sposobne.

Ty, pani Pilecka, pojedź jutro do Reya i przemów mu do rozumu, żeby na pańskie komnaty dziwek chłopskich nie sprowadzał, bo ona fraucymer delikatny koło siebie ma. Różne Lukrecje, Laury i Beatryce z Neapolu i z Bari posprowadzane i naszych Kasiek i Marysiek spod Skalbmierza jej nie potrzeba, choćby najmisterniej pana Reyowe piosenki piszczały.

A teraz niech kapela gra, a wy młodzi do niewiast, niech każdy swoją tęgo chyci w pasie, a tak nią potrząśnie, żeby aż kiszki w niej się poruszyły i broić zaczęły, to się one bez przyśpiwek obejdą, a z plęsów rade będą. *(zaganiając laską)* Dalej do tańca, do tańca, gonionego, wyrwańca, po ślachecku, bujnie. *Muzyka zaczyna grać.*

AKT II

U pana Mikołaja Reya w Topoli. Scena wyobraża izbę we dworze. Skromne sprzęty: stół, ławy, półki z książkami w skórę oprawnymi. Okna szeroko otwarte i drzwi na oścież. Widok na ogród i drzewa stare, topole nadwiślańskie, które dwór ocieniają.

Scena 1

Wchodzi kasztelanowa i pani Pilecka.

PANI PILECKA: Czy jegomość pan Mikołaj Rey jest w domu?

PAN RUDOMINA: Jest... ale nie ma. Rudomina jestem, panów Reyów rezydent i sługa.

PANI PILECKA: A ja Pilecka z Paśmiech. Pana Mikołaja sąsiadka i krewna, a to kasztelanowa Gnojeńska.

PAN RUDOMINA: Pan Mikołaj Rey jest przy żniwie, żytko żną sirpami na polu.

PANI PILECKA: A daleko stąd to pole?

PAN RUDOMINA: Będzie ćwierć mili.

KASZTELANOWA: Ta oto zacna pani zaprosiła mnie do Paśmiech, bym jej majętność poznała, ale koło nam się ochwierutało [1]) na trytwie [2]) i musiemy was na chwilę o gościnę poprosić.

PAN RUDOMINA: To ja zaraz cieślę zawołam.

---

[1]) ochwierutać się — obluzować się.
[2]) trytef a. trytew — droga sypana na łąkach, trzęsawiskach.

PANI PILECKA: Już się wasi ludzie wozem zajęli, nie potrzeba, panie starosto.

PAN RUDOMINA: Czemu mnie jejmość pani starostą nazywasz?

PANI PILECKA: Bo nie wiem, jak mówić, by godności nie ubliżyć i zacnego stanu nie sponiewierać.

PAN RUDOMINA: Nie byłem nim i nie jestem. Panów Reyów rodziny dawny przyjaciel, któremu wszelkie dobra ziemskie fortuna nieprzychylna zabrała.

PANI PILECKA: I tu z Ukrainy z panem Mikołajem przywędrowałeś?

PAN RUDOMINA: Gdy po stryjcu Topolę odziedziczył i do ziemi krakowskiej powrócić zamierzył.

PANI PILECKA: No i jakże wam się wiedzie na nowym gospodarstwie?

PAN RUDOMINA: Ano włość zapuszczona, bo długo była bezpańska.

PANI PILECKA: Że zapuszczona, to zapuszczona, widać od razu. I sprzęt macie tyż w domu niebogaty.

PAN RUDOMINA: Przespać się jest na czym i wypić z czego, a pan Mikołaj lepszego się szybko dorobi.

PANI PILECKA: Może się i dorobi.

PAN RUDOMINA: Jest na czym: Topola, Słonowice to majętności nie liche, a Bobin nad rzeką Szreniawą, ziemie czarne jak smoła.

PANI PILECKA: Ziemia jak ziemia, nie zasiejesz, tyż ci nie urodzi. Na początek, co trzeba po sąsiedzku pożyczę.

PAN RUDOMINA: Pożyczać u obcych pan Mikołaj nie bardzo lubi.

PANI PILECKA: Jakich obcych? Ja panu Mikołajowi krewna, bo z Herburtównej się rodzi, a dziad mój...

KASZTELANOWA: A co tak śmierdzi w tej izbie?

PAN RUDOMINA: A za oknem kapustę z dołów wyciągano, a że trochę przegniła...

KASZTELANOWA: Są na świecie perfumy cudniejsze. Ale widział tyż kto za oknami kapustę dołować, gdzie na grzędach kwiaty róść mają. Ale u was pokrzywa i łopian do okna zagląda.

PAN RUDOMINA: Zmieni się to, zmieni. Zobaczysz jejmość pani, jakie za rok będą tu wirydarze.

KASZTELANOWA: A czemu u was taki kurz na sprzętach? Widać, że nie ma kto dziewczyn prać po gębie, żeby lepiej ścierały? Żenić się pan Rey powinien — są dorodne białogłowy...

PAN RUDOMINA: Nie dość świnię przyprowadzić do koryta, jeszcze trzeba, żeby żarła.

KASZTELANOWA: A to prawda, bez rozmysłu tego czynić nie powinien. Głupi ten, co gdy mu się dziewka spodoba, zaraz jak kozę za rogi do łożnicy ją wiedzie, na obyczaje i wychowanie nie patrząc.

Niechże zatem weźmie stateczną gospodynię, żeby mu dom w ochędóstwie utrzymywała.

Uf, jak gorąco, znowu lać będzie, w niebie się dziura nad nami zrobiła czy co?

PAN RUDOMINA: Na drogach już takie błoto, że chłopu do rzyci dochodzi.

KASZTELANOWA: Dajcie mi się czego napić.

PAN RUDOMINA: Woda świeża w dzbanku stoi, zaraz do szklenicy naleję.

KASZTELANOWA: Woda nawet w cholewie od buta niemiła, cóż dopiero w brzuchu. Szkodzi na zdrowie wszelkiemu stworzeniu. Tylko ryby wodę piją, za co Stwórca ma je w pogardzie i mowy ich zaprzeczył.

PAN RUDOMINA: Mamy i piwo sławne, skalbmierskie.

KASZTELANOWA: Sławne jak sławne, ale nalej.

PAN RUDOMINA: A król nasz miłościwy tylko wodę pije, a rozumny jest i stary.

KASZTELANOWA: Kto tam wie, co król pije, nikt mu do gardła nie zagląda.

PANI PILECKA: Za to Włoszka z biskupami małmazyję [1]) ciągnie i limonami [2]) przegryza, by jej w gębie na przemian słodko było i kwaśno. *(rozglądając się po izbie).* Co macie na tych półkach?

PAN RUDOMINA: Książki. Pan Mikołaj lubi czytać wieczorami, gdy z gospodarstwem się upora.

PANI PILECKA: Książki? — ależ to największe kurzołapy. Ja bym w moim domu tyle książek nie zniosła, bo i myszy do tego paskudztwa się złażą. *(wyjmuje jedną z nich)* Po łacinie...

PAN RUDOMINA: Polskich jeszcze nie ma.

KASZTELANOWA: I nie będzie.

PAN RUDOMINA: A pan Mikołaj mówi, że on będzie pisał po polsku. Niech się świat dowie, że Polacy nie gęsi i swój język mają — mówi.

KASZTELANOWA: Oj gęsi, gęsi, panie Rudomina.

PANI PILECKA *(sylabizując tytuł):* Cy-ce-ro. Nie bardzo przyzwoicie się ten poganin nazywał.

PAN RUDOMINA: Pan Mikołaj mówi, że to wielki rzymski mędrzec, ale większy był od niego Greczyn, niejaki Plato, co rad bardzo patrzał na swawolne i wszeteczne krotofile, a naśmiawszy się z nich z dyscypułami rozważał, jakie to są rzeczy zelżywe i sprośne, i żeby się ich wystrzegali.

KASZTELANOWA: Ale sam wszeteczeństwom się oddawał. Znam ja tych mędrców starożytnych i nie starożytnych mnichów, opatów, nikt tak broić z białogłową nie lubi jak oni. I jeszcze nie dość, że oni mędrcowie gwoli nauki czynią wszeteczeństwa, ale piszą o tym fabuły niepotrzebne.

PANI PILECKA: Nie ładniej by tu było, by na półce kwiatuszki w doniczkach stały, różyczki, lilije, goździki pachnące, szałwije szkarłatne, a nie te brudne szpargały?

PAN RUDOMINA: Trzeba czasem do księgi zajrzeć, żeby wziąć przykład z tych naszych pierwszych przodków i ich poćciwego żywota. — Tak mówi pan Mikołaj.

PANI PILECKA: E, co mu z tego czytania przyjdzie prócz tego, że sobie wzrok łacno popsować może.

Mądrzejszy on od tych Platonów i Cyce-ronów, najpirw jako ślachcic polski, który z przyrodzenia od innych nacji większy ma rozum, powtóre, jako że się z Herburtównej rodzi, czego o tym Platonie i Cyce-ronie powiedzieć nie można... A wiesz przecie, że z Herburtów mądrzy ludzie na świat przychodzą... Po trzecie krześcianin jest, więc przez ten święty sakrament od obrzydliwców pogańskich mądrzejszy być musi.

---

[1]) małmazja — słodkie wino południowe, zwłaszcza greckie.
[2]) limony — cytryny.

PAN RUDOMINA: Bardzo misternie jejmość pani to wywiodłaś. Nie można powiedzieć.

PANI PILECKA: A co? Szczyra prawda. W piecu bym spaliła te zdechłe skóry.

Co prawda od młodości wstręt do książek miałam, bo nas tak wszystkie świętej pamięci rodzic nasz poćciwie chował, który mawiał, że na książkę patrzeć nie może, bo mu starym mnichem śmierdzi. Pan Mikołaj tyż taki łacinnik wielki nie jest, ja go znam.

PANI RUDOMINA: Jakto? Przecie rok cały w Akademii krakowskiej w bursie Jeruzalem siedział.

PANI PILECKA: *(śmiejąc się):* Ale go stamtąd przegnali, sam ci opowiadał, bo żaby na błoniach łapał i magistrom kładł do łóżek, a gołębie na rynku łowił, z kitajki [1]) proporczyki im do skrzydeł przypinał, a potym wolno puszczał. A raz przekupce, co pod kościołem Mariackim gzelce [2]) przedawała, zaskrońca pod spódnicę włożył, to takiego wrzasku baba narobiła, że ją żmija użarła, że aż mieszczanie z wemborkami [3]) przylecieli, bo myśleli, że pożar. Taki był on i łacinnik zawołany, nasz Mikołaj kochany. Dobra krew w nim, z ziemi krakowskiej, z Nagłowic ród swój wywodzi.

Słychać śpiew za oknami.

Bida, wielka bida jest wieśnej chudzinie,
marnie sobie żyje i tyz marnie ginie.

PANI PILECKA: Oj, coś ty jegomość, panie Rudomina, kręcisz ja liszka chwostem, gdy ją psi gonią, mówiłaś, że żniwa daleko, a tu zaraz za dworem sirpami żną, skoro pieśń słyszymy.

PAN RUDOMINA: Nie zełgałem, jejmoście najłaskawsze, nie zełgałem, bo żniwa stąd daleko.

KASZTELANOWA: A te dziewki co śpiewają?

PAN RUDOMINA: Siedzą w szopie, a pan Mikołaj z nimi.

PANI PILECKA: W szopie żniwa robicie?

PAN RUDOMINA: Nie żniwa ino chory się ćwiczą.

PANI PILECKA: Ładnie wy gospodarzycie w tej Topoli, zboże trzeba kraść z pola, by nie zamokło, a wy sobie takie krotofile muzyczne urządzacie.

PAN RUDOMINA: Pan Mikołaj mówi, że już z lejbą [4]) koniec i będzie teraz długa pogoda.

KASZTELANOWA: Widać, że z wójtem niebieskim, który wszelkimi mokrościami tam zarządza, zawarł pakt osobny.

PAN RUDOMINA: On ino na niebo spojrzy, a wie, jaka będzie pogoda.

KASZTELANOWA: Taki jest astronom?

PAN RUDOMINA: Praktyk, praktyk zawołany!

Słychać śpiew z szopy.

Bida, wielka bida jest wieśnej chudzinie,
marnie sobie żyje i tyz marnie ginie!

---

[1]) kitajka — materiał jedwabny.
[2]) gzelce — nieznana bliżej dawna potrawa.
[3]) wemborek — cebrzyk, wiaderko.
[4]) lejba — deszcz (ulewny).

KASZTELANOWA: Bardzo wdzięcznie śpiewają te chory.

PANI PILECKA: Śpiwają, śpiwają, a jak zboże porośnie na pniu, będziecie rzewniej śpiwać. Tego jeszcze świat nie widział!... W żniwa w szopie z dziwkami siedzieć w biały dzień i z gardła im melodyje wyciągać, gdy każdą co rychlej z sirpem na pole by trza gnać i jeszcze batem popędzać, żeby się nie leniły.

Dobrze wy w tej Topoli gospodarzycie.

PAN RUDOMINA: A ja i tak namyśliwszy się powiem, że nie najgorzej. A oto pan Mikołaj Rey nadchodzi.

Scena 2

REY: Witam, witam jejmoście najłaskawsze.

KASZTELANOWA: Witaj, mości Reyu. Zabrała mnie ta oto jejmość do siebie do Paśmiech, a że nam się koło ochwierutało na grobli, musimy cię prosić na chwilę o gościnę, zanim nam cieśla wóz naprawi.

REY: Wielce mi miło, nie że się koło ochwierutało, ino że tej przygodzie gościnę pań najłaskawszych w mych skromnych progach zawdzięczam. A w Kobylnikach, u zacnych państwa Balów, co się dzieje?

PANI PILECKA: Wczoraj po twoim wyjeździe, mości Mikołaju, jeszcze harce taneczne trwały do rana.

REY: A upił się kto?

PANI PILECKA: Jeden z panów Trzebińskich zaczął szczkać, zataczać się, włos mu się najeżył, ale go na czas za drzwi wyrzucono.

KASZTELANOWA: A drugi zamknął się w komórce ku wielkiej wszystkich obecnych niewygodzie, nikogo tam puścić nie chciał, wrzeszcząc wniebogłosy, że twierdzy broni, chciał szablą ciąć, a i tam go w końcu zdobyli.

PANI PILECKA: Zresztą wszyscy się bardzo przyzwoicie bawili.

REY: To pięknie, że bez bardziej sprośnego opilstwa się obyło.

KASZTELANOWA: I zaraz po twoim wyjeździe, mości Reyu, panna Rożnówna zachowała się nieprzystojnie.

REY: Jak to możliwe?

KASZTELANOWA: Chyciły ją mdłości i musieli jej wodę na gębę lać.

REY: Bidna ona.

PANI PILECKA: Objadła się pewno pieczeni z kapustą i kiszki jej zaczęły broić.

KASZTELANOWA: A nie inaczej, bo to głodne z domu, jak się jadła nagle dorwało na pusty żołądek, tak drożdże z piwa, którem się ochlała, nagle się poruszyły i kisnąć zaczęły jak w browarze. Stąd mdłości i nagła niemoc.

REY: A dlaczego głodna być miała?

PANI PILECKA: Bida u nich straszna. Ten Sędziszów to lichy majątek, krupy cały dzień dziobają jak kury z talerza i mięsa nie uwidzą.

REY: Ej! Czyż oni tacy bidni?

KASZTELANOWA: Nie widziałeś, jakie to zachudzone?

PANI PILECKA: Byłam tam u nich, kachel gliną zalepiony, na ławie mógłby rzepy zasiać, w koszulach chodzą podartych, pościel brudna.

REY: Nocowałaś tam, pani Pilecka?

PANI PILECKA: Nie, byłam na obiedzie.

REY: To skąd wiesz, jaka pościel? W dzień do łóżka się nie kładłaś jak ten opat, co jak na obiad łososia zeźre, to zaraz do łóżka idzie, by po brzuchu się klepać.

KASZTELANOWA: Pani Pilecka, coś się tobie zaplotło w tym opowiadaniu.

PANI PILECKA: Mówię, że widziałam, zresztą co mnie pościel Rożnównych obchodzi, choćby ich nawet do krwi robactwo gryzło, ja się za nie iskać nie będę. Skoro się o tym zgadało, tak szczyrą prawdę powiadam, bo wiem, że wy tego dalej nie powtórzycie. Ja ludziom szkodzić nie lubię, to grzych jest wielki takie na bliźniego naszczuwanie.

REY: Toś dobrze teraz powiedziała, pani Pilecka. Są tacy, co gdy o bliźnich zaczną mówić, to jakby rogate kijce z gęby im pierzchały.

Nie bądźmy takim podobni.

KASZTELANOWA: Poćciwa to niewiasta jest ta pani Pilecka, mości Reyu. Znam ją od dziecka. W kołysce jeszcze widziałam, niemowlęciem będąc już takie przyrodzenie miała, że cyckiem matczynym byłaby się z innym dzieckiem podzieliła, gdyby się takiemu pić zachciało.

PANI PILECKA: Wcale się za taką ni mam, a jak kogo lubię, to mu chętnie pomogę. I tobie, panie Mikołaju, chętnie pożyczę sprzętu i koni do roboty w polu. Przyjeźdź do mnie, a mów szczyrze, czego ci trzeba.

REY: Wdzięczny jestem, bardzo wdzięczny.

PANI PILECKA: Bo jak kogo lubię, koszulę bym z siebie zdarła, a jego w nią odziała.

KASZTELANOWA: Nie mów tak, pani Pilecka, bo jakby cię za słowo chycił, to widok mielibyśmy ucieszny. Idź teraz, zobacz, jak oni to koło macają, inaczej do wieczora stąd nie wyjedziemy.

PAN RUDOMINA: To ja pójdę.

KASZTELANOWA: Idźcie razem, a ja sobie tu z jegomością panem Reyem pogwarzę.

Scena 3

KASZTELANOWA: Chciałam z tobą pogadać.

REY: Ino nie o tym, o czym wczoraj było publiczną rozmową, bo to szkoda waszych słów, miłościwa pani, mnie nikt nie przekona.

KASZTELANOWA: Myślisz o tych chorach? A rób co chcesz, mości Reyu, zaprowadź nawet wszystkich chłopów ze swojej wsi na zamek królewski i tak nic nie zmienisz. Gdyby chłopy na ślachtę nie pracowały, to by ślachta zginęła. A jakby ślachta zginęła, to cały kraj z nią. Nad bydlęciem tyż się możesz litować, że w pługu chodzi, a sam się do pługa nie zaprzężesz i jak kiernoz [1]) na Wielkanoc zarżnąć się nie dasz, choć pieczeń byłaby z ciebie smaczna. Na ślachcica chłop ma w pocie czoła pracować, tak postanowił Stwórca, który to chamstwo niemiłe sobie stworzył.

REY: A szczyra wiara krześcijańska jakiej uczy sprawiedliwości?

KASZTELANOWA: Księża z ambony nam tłomaczą, co jest sprawiedliwe, chłopa tyż miodem smarować nie każą, ino na niego krzyczą, by i ślachcie służył, i im.

---

[1]) kiernoz — wieprz nietrzebiony.

REY: A skąd oni wiedzą, co jest sprawiedliwe?

KASZTELANOWA: W szkołach duchownych ich tego uczą.

REY: A któż ich w szkołach tego uczy? Nie takie same żółtobrzuchy jak oni?

KASZTELANOWA: Biskupi, co w Rzymie bywali.

REY: A w tym Rzymie, co się dzieje, miłościwa pani? Wszystko za złoto możesz tam kupić — odpust, grzychów odpuszczenie i święte relikwie. A jakie relikwie? Trochę rdzy z wideł, którymi święty Michał diabłów z nieba wyrzucał.

Znalazł się na świecie taki mnich zawzięty, co papieżowi to wszystko wypomniał i inną rozpustę tyż, ale że o nim u nas mówić nie wolno.

KASZTELANOWA: Na Rzym się nie ciskaj, bo cię na stosie przypieką jak grzankę i jeszcze będą patrzeć, czy się dobrze rumienisz. Ale nie o tym chciałam mówić, o innych sprawach, naszych, białogłowskich.

REY: O tym chętnie posłucham.

KASZTELANOWA: Więc bez wstępu zacznę, bo czasu szkoda: mości Reyu, mam dla ciebie żonę.

REY: Żonę dla mnie??

KASZTELANOWA: Białogłowę dorodną, gospodarną, poćciwą, bogatą, bo mąż jej trzy włości testamentem zapisał, cnotliwą, nie chudą jak szczapa, ale taką, że jak ławę tyłkiem zgniecie, to dyle trzeszczą. I chce iść za ciebie. Trochę się jeszcze broni, ale to każda musi tak przecie udawać, że nie chce. Takie są białogłowskie obyczaje. Nie będzie ona jak ta pani suka na psim weselu każdemu się przychlibiać, a jak się postarasz, to za ciebie pójdzie. Cóż ty na to?

REY *(przerażony):* Ja nie chcę, ja się żenić nie chcę, ani myśleć mnie o tym.

KASZTELANOWA *(bijąc laską w stół):* Nie pleć głupstw, bo słuchać niemiło. Podaję mu wyborną pieczeń na srybrnym półmisku, a on cerymonie robi. Jak Żyd się wykręca, że świniny nie jada. Ożenić się przecież kiedyś musisz i takich Reyów-bałwanów, jak sam jesteś, napłodzić. Wisz, o kim mówię?

REY: Wiem.

KASZTELANOWA: I mało ci jeszcze?

REY: Gdzież mnie do niej? Ona wielka pani, wykwintów pełna, w zbytku urodzona, a ja prostak, darmobit w lesie wychowany, w świecie nie bywalec. Ona ambrą zlana i piżmem natarta, ani bym jej dotknąć nie śmiał.

KASZTELANOWA: Lepiej, że piżmem natarta, niż żeby insze wonie mniej przyjemne rozsiewała.

Głupi jesteś, mości Reyu, głupi, w oczy ci to powiem, bo przecież starej baby kordem ciąć nie będziesz i na pojedynek nie wyzwiesz. Z tych ksiąg, które czytasz, widać, tak zgłupiałeś.

REY: A może ja nie taki głupi. Bo nie sądzisz mościa pani, że równego z równym ożenienie najlepsze. Żywota pomiernego, poważnego, statecznego, kto chce użyć, żonki musi stanu sobie równego poszukać.

KASZTELANOWA: Chłop ty przy niej lichy, mości Reyu, bo i urody, i postawy rycerskiej Pan Bóg ci odmówił, to prawda, ale ślachcic jesteś i rymarz

doskonały, i przez to się jej spodobałeś. Niewiasty czasem mają w głowie takie faramuchy, korzystaj z tego, nie wydziwiaj i nie mędrkuj.

REY: Gdzież mnie do niej, nawet byśmy się rozmówić szczyrze nie umieli, bo moja mowa prosta, a jej gracyji pełna, pańska i dworna.

KASZTELANOWA: Nie słyszałam w jej gębie takich znowu dworności. Ale zrobisz, jak zechcesz, namawiać cię już nie będę, bo ty, widzę, jak kozioł, cap cuchnący, gdy go za rogi ciągnąć, to się zadem zaprze i z miejsca nie ruszy. Ino ci radzę, przyjrzyj się jej jeszcze raz, otrzyj się o nią niby nieumyślnie, a poczujesz, jaki żar bucha z jej ciała, to i sam gorącością zapłoniesz. Posłuchaj mnie, mości Reyu.

Scena 4

Wchodzi Pani Pilecka z Rudominą.

PANI PILECKA: Koło naprawione, możemy jechać.

KASZTELANOWA: Jedziemy.

PANI PILECKA: A o mnie, panie Mikołaju, nie zapominaj, zawsze cię z szczyrą radością powitam. Na wieczerzę kiedy przyjedź, posiedzimy wieczorem na ławce przed dworem, słowiki wprawdzie dawno zamilkły...

KASZTELANOWA: Ale są żaby, a na bezpticu i żaba sołowiej [1]), jak mówią na Rusi.

PANI PILECKA: Ale przypiórki w prosie świrgocą.

REY *(zamyślony)*: Kto taki? Przypiórki? A świrgocą, świrgocą... i chruściela można ugonić...

KASZTELANOWA: Mało ty przytomny dzisiaj, panie Mikołaju. Jedziemy. *(wychodzą).*

Rey je odprowadza i wraca.

Scena 5

PAN RUDOMINA: Pojechały. A jaki pojazd mają te zbytnice, jakie pompony szkarłatne, jakie lewki [2]) i kutasy nad kolebką [3]), a uciarane to błotem do niemożliwości.

REY: Pojechały.

PAN RUDOMINA: Ale czy nie wrócą? Koło im się ochwierutało na grobli, teraz dyszel im może pęknąć z góry.

REY: Chyba nie wrócą.

PAN RUDOMINA: Uf, jak ja tego rodu niewieściego nie lubię!

A wścibskie to, złe i gadatliwe. Panu Bogu dziękuję, że mnie uchronił od tego podarunku, co przy ołtarzu ci dają na wieczne nieoddanie, a żonką nazywają. W nocy to jeszcze można ścirpić, ale gdy słoneczko jej w ślipia zaświeci, a świrgotać zacznie, Boskiej pomocy możesz wzywać, by gębę jej zamknęła, nic ci nie pomoże.

Ładne czy szpetne, stare czy młode, śniade czy białe, tłuste czy chude, wszystkie jednego warte, każda za błazna cię ma i prędzej czy później, błazna z ciebie uczyni.

---

[1]) Na bezpticu i żaba sołowiej — w braku ptaków i żaba słowikiem.
[2]) lewki — ozdoby.
[3]) kolebka — pojazd.

REY *(śmiejąc się):* Ej, zrzędzisz, panie Rudomina, takie znowu nie są obmierzłe. Jedno ino mnie ciekawi, skąd tę chytrość posiadły? Nie z przyrody, boć mężczyźni powinni być chytrzejsi, których sam Bóg stworzył, a Ewę dopiero z ich kości.

PAN RUDOMINA: Mnie opowiadał jeden stary góral, że to nie tak było.

REY: Ino jak?

PAN RUDOMINA: Że gdy tę kość Stwórca Adamowi wyjął, z której niewiastę miał tworzyć, tak skądsić psa diabli nadali i on mu ją sprzed nosa porwał. Pan Bóg za nim gonił, w końcu za ogon chwycił. Z tego tyż psiego ogona Ewę, pierwszą niewiastę utworzył.

REY: Tego górala musiała żona co dzień po gębie prać, skoro taką o rodzie niewieścim opowieść ułożył. Bo jednak przyznaj, panie Rudomina, że choć z niemi niewola ciężka, ale bez nich żywot trudny,

A nie przyszło ci nigdy na myśl, gdy widzisz taką białogłówkę foremną, w koszulce pod szyją nadobnie koronkami upstrzonej, przysunąć się do niej, za rączkę chycić, a nóżkę kształtną pogładzić, ba, nawet uszczypnąć to schludne ciałko, nie brała cię nigdy ochota, powiedz szczyrze?

PAN RUDOMINA: Nie, tego nigdy... nie... może dawniej czasem. Ale wnet zrozumiałem, że za takie niezbyt znów rozkoszne a nieprzystojne krotofile drogo trzeba zapłacić, gdy uczepi się ciebie taka przygodnie upieszczona, jak rzep psiego ogona, na całe życie.

REY: A powiedz, nie żal ci czasem, że dziatek ni masz, tych błazenków co by ci w izbie trzpiotali, gdy siedzisz jak sowa przy kominie, nadęty i samotny.

PAN RUDOMINA: A właśnie, dobrze, że o nich wspomniałeś, panie Mikołaju. Bo i tym potrafi cię miła niewiasta, kuna przebiegła, niespodzianie obdarować, gdy wdasz się z nią w komitywę.

Dzieci nie lubię, a gdy słyszę, jak się ludziom naprzykrzają, to myślę, że Herod, on król żydowski, rozumu całkiem pozbawiony nie był, oj, nie był.

REY: Ej, dziwotwór ty jesteś, panie Rudomina, jakiego drugiego szukać po świecie.

Ale huknij teraz na moje dziewczyny, w tej izbie będę dalej chory ćwiczył, już nam chyba nikt nie przeszkodzi.

PAN RUDOMINA *(podchodząc do drzwi od ogrodu woła):* Chodźcie no tu, te od śpiwania, do izby.

Scena 6

Wchodzi kilka dziewczyn i chłopców. Chłopcy trzymają w rękach lutnie zrobione na wzór tej, której obraz z r. 1504 znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, podpis Jan z Dobczyc: Opusculum 1504.

REY: A więc za parę dni jedziemy do Proszowic witać królową i będziemy jej śpiwać na zamku. Bać się nie macie czego.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: My się tyż nie boimy, królowa z batogiem nie chodzi i nie będzie lać po grzbiecie.

DZIEWCZYNA DRUGA: Ale berło w łapie stale trzymo, jak ci tym wytnie przez plecy, to pocujes.

DZIEWCZYNA TRZECIA: O rany Boskie, to przecie ciężkie, bo ze złota.

JEDEN Z CHŁOPCÓW: No a buty to śrybrem podkowane, jak cię takim butem w zadek kopnie, to ze trzy dni nie siędzies, miej się na bacności, bo ty lubis tak cienko pisnąć, jakby kot zamiaucał.

REY: Nie bójcie się, nie będzie królowa ani bić, ani kopać, piknie wam podziękuje i moze nawet po gębie pogłaszcze.

DZIEWCZYNA CZWARTA: Juści królowa to nie panów Balów starosta, co dziewki katuje. Od niej na buty cyrwone nie dostanies.

DRUGI Z CHŁOPCÓW: A kiej usłysy, jak Kaśka cudne melodyje wyciąga, to się jej koroną pokłoni jak kapelusem *(śmiech).*

REY: Napatrzycie się tam złotości na staniczkach a naszywek, a tęczości, a kolorów, bo włoskie panny ze sobą przywozi.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ja, wiecie, nicego bym nie chciała, ino tego małego człowiecka obacyć, co go pani królowo ze sobą z ciepłych krajów przywiozła. Nie więksy un jak moja renka, a gada ludzkim głosem, śpiwo i tańcy.

REY: Może to być, że i karła królowej jutro obaczycie, jeśli na Wawelu nie ostał.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ciekawe, cy to krzcone jest, cy jakie?

DZIEWCZYNA DRUGA: Pewno, że nie krzcone, to jakby wodę świnconą na prosie lał i patrona mu dawał.

DZIEWCZYNA TRZECIA: A może krzcone, przecie dusę mo nieśmirtelną.

REY: Zaśpiwajmy teraz tę śpiwkę, którą wam ułożyłem na proszowski z królową festyn. Lutnie pirwsze grają cicho, cicho jak te pszczoły, co tam koło ula bęczą, później głośniej, trochę głośniej. A teraz chory.

CHÓR *(śpiewa):*

Na wawelskim dworze okna malowane,
a zaś u cysarza wiechciem zatykane...

(długi krzyk)

REY: Bardzo cudnie wyszło, dziwczęta kochane, jeszcze raz.

Chór powtarza tę samą zwrotkę.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ale ten pan cysarz, jak się dowie, jak my tu śpiwali, to go dopiro cholera trząść będzie ze złości.

DZIEWCZYNA DRUGA: A daleko on stąd siedzi?

REY: Daleko, w mieście niemieckim, hardy chłop jest, w pluderhuzach aksamitnych chodzi.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Za morzem?

REY: Za morzem nie, ale za górą, za rzeką...

DZIEWCZYNA TRZECIA: A i tak mu doniosą, bo przecie tacy będą, co usłysą i na skargę polecą, że go tu obśmiwamy w tych nasych Prosowicach.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Może się i królowo sama pochwali, ze ona cudnie mieska, a on jak ta pani świnia w chlewie, i ze na świecie o tym śpiwają.

DZIEWCZYNA DRUGA: I dopiro pan cysarz gwałtu narobi, a zacnie nowe futryny do okien wstawiać, zeby jego zamek tyz tak wyglądał jak dwór wawelski.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ale cy da radę?

DZIEWCZYNA TRZECIA: Nasego cieślę Sendka posłać, ten by w lesie cy-

sarskim kilka chojniaków ścion i we trzy dni miałby robotę stolarską skończoną.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Później musiałby pan cysorz babę nająć, żeby wiechciem cysto piknie ramy wybieliła.

DZIEWCZYNA TRZECIA: A cyrwoną farbą nie byłoby paradniej?

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Nie wiadomo, cy go stać na takie zbytki.

REY *(który słuchał tych rozmów z widoczną radością):* Nie martwcie się, dziewczęta, o cysarski dwór, bo i tak nigdy wawelskiemu równym nie będzie. I nie martwcie się o śpiwanie, bo nikt wam niczego przyganić nie może. Mogą sobie Włoszki galardy [1]), ale tak miłych głosów nie usłyszą. *(podchodząc do jednej z dziewczyn i biorąc ją pod brodę)* I takich ślipiów jasnych nie uźrą, co kolą serca chłopców, że aż krew różana z nich wypływa. Ale nie żal ci ich, prawda, że ci ich nie żal?

DZIEWCZYNA PIERWSZA: A któżby ich żałował, psiogłowców zatraconych.

Scena 7

PAN RUDOMINA: Jakowaś panna na koniu wpadła na podwórze, mówi, że rumak poniósł z błonia w Kobylnikach i tu dopiero dał się zatrzymać.

REY: Panna na koniu z Kobylnik? Ale prowadźże ją tutaj, mości Rudomina.

PAN RUDOMINA: Nie chce wejść do izby, mówi, że tylko chwilę chce ochłonąć i wraca.

REY: Ale to ja zaraz idę po nią, sam poproszę. *(wychodzi).*

Scena 8

PAN RUDOMINA: A wy, dziewczęta, idźcie do sadu i tam się połóżcie na trawie. Czekajcie, aż was zawołają.

Niewiele będzie dziś z tego muzykowania, dzień taki niespokojny. Jednej koło się łamie, drugą koń ponosi. A niech je wszystkie...

DZIEWCZYNA PIERWSZA: A roją się tu i roją te goście od rana.

DZIEWCZYNA DRUGA: W domu usiedzieć nie mogą, bo słonecko piknie przygrzywa, to każdą roznosi.

(wychodzą, z nimi Rudomina).

Scena 9

Wchodzi Rey z panną Rożnówną.

REY: Ale proszę, proszę, miła panno, wejdź na chwilę, despekt byłby wielki dla mnie, gdybyś będąc w Topoli, do dworu nie wstąpiła.

PANNA ROŻNÓWNA: Prosiłam pana Bala, by mi się dał przejechać na jednym z tych jego dzikich źrebców. Szedł niby spokojnie, ale jak błoń poczuł pod nogami, tak już go utrzymać nie mogłam. Pędził ze mną jak wicher, aż tu się zaparł w podwórzu i jakiś chłopak za cugle go chycił.

REY: Tak, te pana Balowe dzikie są rumaki, z Ukrainy je tu przywiózł. Siądźże, miła panno, chwilę na ławce, bo dech ci zaparło od pędu.

---

[1]) Galarda — skoczny taniec włoski.

PANNA ROŻNÓWNA: A włosy mi się rozchynęły spod czapki, nie masz zwierciadła, panie Mikołaju? Muszę je uczesać.

REY: Zwierciadła? Nie, ni mam, może jegomość pan Rudomina? E, on też pewno ni ma. Jest w kuchni taka konew na mleko z blachy bardzo śklącej, każę ją przynieść.

PANNA ROŻNÓWNA: Nie trzeba, dam sobie jakoś radę. No co, mości panie Mikołaju, nie spodziewałeś się takich odwiedzin?

REY: Mam szczyrze rzec, to nie, ale bodaj częściej zdarzały się takie przygody, co rozkosz płodzą.

PANA ROŻNÓWNA: Długo tu nie zabawię, mości Reyu, bo mnie szukać będą, a mam ci rzec coś bardzo ważnego.

REY: Cóż takiego, miła panno?

PANNA ROŻNÓWNA: Dowiedziałam się, że czeka cię wielki despekt, który chcą ci uczynić, i chcę cię przestrzec, ino mnie nie zdradź, na miłość Boga, że niby ode mnie wisz, ino mnie nie zdradź, drogi panie Mikołaju.

REY: Uspokój się, bo serce ci tak bije pod tym stanikiem jak u ptaszka, którego ręce człowiecze chycą, gdy z gniazda wypadnie.

Ja cię nie zdradzę, moje niebożątko, mów śmiele.

PANNA ROŻNÓWNA: Po twoim wyjściu wczoraj z tego festu oni uradzili: pan Bal, pan Trzebiński i insi — że nie dopuszczą do królowej chłopskich twoich chorów. Że rozpędzą swymi pachołkami przed wejściem do grodu. A każą bić dziewczyny i chłopców korbaczami, żeby trupem nawet położyć, a nie puścić na zamek.

REY: Tak uradzili?

PANNA ROŻNÓWNA: Dobrze słyszałam.

REY: Ależ to zbójnicki byłby postępek, niegodny ślachcica. Czekajcie, łotrzyki niewierne, znajdę na was sposób, nie wiem jaki, ale znajdę. Burdy chcecie ze mną, będziecie ją mieli.

Ale mniejsza o to, ważniejsze, żeś ty, miła panno, z wiadomością do mnie przyjechała, że nie bałaś się w taką przygodę się narażać, że jak bidne jagniątko z osady wilków się wyrwałaś. To mnie poruszyło do żywego i powiedzieć nie mogę, co wewnątrz serca teraz dla ciebie czuję, jaką niezmierzoną tkliwość.

PANNA ROŻNÓWNA: Źrebiec mnie poniósł z błonia i skorzystałam z tej okazji.

REY: Koń cię poniósł?

PANNA ROŻNÓWNA: Nie wierzysz może?

REY: Wierzę, ale miałaś także chęć mnie zobaczyć.

PANNA ROŻNÓWNA: Żeby ci to powiedzieć, co rzekłam przed chwilą.

REY: Dlatego?

PANNA ROŻNÓWNA: Dlatego. I także, że miło mi zawsze...

REY: Co ci jest miło?

PANNA ROŻNÓWNA: O, za wiele chciałbyś wiedzieć, panie Mikołaju.

REY: Nie powiesz?

PANNA ROŻNÓWNA: Nie powiem.

REY: A jak się sam domyślę?

PANNA ROŻNÓWNA: Myśleć nikomu nie mogę zabronić.

REY: A czuć we wnętrzu serca?

PANNA ROŻNÓWNA: Tyż nie.

REY: A to cudnie, cudnie.

PANNA ROŻNÓWNA: Czego się tak radujesz?

REY: Już ja wiem, z czego się raduję. Jesteś miła, zacna, dobra, ale chytrością mnie nie prześcigniesz. Koń od domu nie ponosi, bo takie jest zwirza tego przyrodzenie, że do swojej stajni ucieka.

PANNA ROŻNÓWNA: Znasz się, panie Mikołaju, na rymach, ale nie na koniach, gdy źrebiec poczuje błoń pod sobą, gna jak opętaniec przed siebie.

REY: Ale ta rączka mała, delikatna, najbardziej niesfornego bachmata okiełznać potrafi, córa ślachecka konia osiec umie i od włoskiego kawalkatora [1]) uczyć się nie potrzebuje.

PANNA ROŻNÓWNA: Juści, że nie. Nas by oni czego uczyli!

Jak matka z domu wyjechała, to jako dzieciak jeszcze do stajni uciekałam i w żłobie sypiałam — konia prowadzić umiem.

REY: A widzisz, sama się teraz złapałaś na najmilszym łgarstwie. *(panna Rożnówna odwraca twarz)* Nie odwracaj się, bo i tak widzę, żeś spłonęła cudnym rumieńcem.

PANNA ROŻNÓWNA: Nie spłonęłam wcale, a nawet gdyby tak było jak mówisz, czy to grzych, że ścirpieć nie mogłam takiej dla ciebie zniewagi?

REY: Gdyby tylko takie były grzychy na świecie, to byłby on rajem niebieskim.

PANNA ROŻNÓWNA: Więc czemu mnie prześladujesz, panie Mikołaju?

REY *(przerażony)*: Ja ciebie prześladuję?

PANNA ROŻNÓWNA: A tak, tak, ty mnie, bo na siłę chcesz się dowiedzieć, jak z tym koniem było. I tak się nie dowiesz, niczego się nie dowiesz. *(po chwili)* Przyznaj mi chociaż, że chytrze to obmyśliłam.

REY: Ale co?

PANNA ROŻNÓWNA: No ten wypad do ciebie. Chytra jestem, prawda?

REY: Jak Daniel, jak Daniel...

Chciałbym ci nie tylko dank złożyć, ale więcej jeszcze coś rzec, ino słów na to znaleźć nie mogę i stoję całkiem bezradny, jak ten głup pod ścianą.

PANNA ROŻNÓWNA: I to ty mówisz, panie Mikołaju, któremu w śpiwkach słowa same do rymów doskakują?

REY: A na to, co czuję w sercu do ciebie, miła panno, i od pirwszego ujrzenia, słów należć nie mogę i lękam się co nieco.

PANNA ROŻNÓWNA: Przecie nie taki ze mnie smok okrutny.

REY: Widzisz, jest mały bożek greczyński Amor, pani Wenery syn rodzony, mówi on biegle po łacinie, po włosku, po francusku, ale po polsku nie, bo przez niedbalstwo naszej tej mowy nikt go nie wyuczył. I piszą Horacjusze, Owidiusze, Petrarki miłosne pieśni, ale Polacy nie. Nie znamy więc tych słów delikatnych a przymilnych. A cóż dopiero taki nieuk, darmochleb jako ja jestem. Ale gdybym mógł od tych listeczków, co tam się bujają na drzewie, ich szumu pożyczyć, cudnie wdzięczne pieśni dla ciebie, miła panno, bym wyśpiewał. Gdybym był Włochem albo Francuzem, napisałbym ci to wszystko w kanconie, posłałbym jutro przez umyślnego, czytałabyś ją z rozkoszą, a w sercu tkliwość dla mnie może by się urodziła.

---

[1]) kawalkator — ujeżdżacz koni.

PANNA ROŻNÓWNA: Ji, co mnie po kanconie. Cieszę się, że takie poćciwe uczucia masz dla mnie, panie Mikołaju, i że dobre o mnie masz mnimanie.

REY: A ty co o mnie myślisz?

PANNA ROŻNÓWNA: Żeś człowiek szlachetny, sprawiedliwy, serca miękkiego, poćciwy, dzielny i mądry.

REY: Naprawdę tak myślisz?

PANNA ROŻNÓWNA: Naprawdę.

REY: Ale nie mam rycerskiej postawy, kształt raczej nieurodny.

PANNA ROŻNÓWNA: To mi nie wadzi.

REY: Więc pozwolisz mnie miłować siebie szczyrze i prawdziwie?

PANNA ROŻNÓWNA: Pozwolę.

Rey uściskał ją.

PANNA ROŻNÓWNA: Co czynisz, panie Mikołaju, to się nie godzi.

REY: Wiem, wiem, nieprzystojnie się zachowałem, nieprawie jak człowiek bez rozmysłu i nieślachetny. Ale przebacz, moja ptaszyno, mój króliku biały, już się to nigdy nie powtórzy.

PANNA ROŻNÓWNA *(jakby z żalem):* Nigdy? Ale na konia siadać muszę, bo jakby spostrzegli, że do ciebie przyjeżdżałam, chyba by mnie rózgami ze wsi wyświęcili.

Przyjedź do nas do Sędziszowa, będziemy ci z matką bardzo radzi.

REY: Przyjadę, ale już po ciebie, jeśli Bóg pozwoli.

PANNA ROŻNÓWNA: Skoro się lepiej poznamy...

REY: Ja cię znam dosyć, że jesteś szczyre złoto.

PANNA ROŻNÓWNA: Idę już, idę, nie wychodź za mną, niech nikt nas nie widzi, na konia skoczę i do domu wrócę.

Żegnaj, drogi panie Mikołaju. *(już od drzwi)* A to, co opowiadają te niewiasty niepoćciwe, że u nas taka bida, to nieprawda. Włość mamy nędzną, ale stryjec arcybiskup mi obiecał, że jak za mąż wyjdę, lepszą mi daruje. *(wychodzi).*

Scena 10

REY *(woła):* Panie Rudomina, panie Rudomina, chodźże tu prędzej.

PAN RUDOMINA: Co się stało?

REY: Wiktoria, panie Rudomina, Wiktoria, zwycięstwo!

PAN RUDOMINA: Gdzie, kiedy? Zali hetman pobił znów Wołosza pod Nowym Obertynem?

REY: Jaki hetman? Co mnie hetman? — Ja odniosłem Wiktorię. Niczego ty nieświadomy, panie Rudomina, ale powiedz, rycerskiej ni mam postawy, prawda?

PAN RUDOMINA: No... nie...

REY: Ale jestem dość foremny, prawda? Mogę się niewieście spodobać?

PAN RUDOMINA: Niewieście każdy może się spodobać, nawet kulawy i garbaty, ino ona nie każdemu.

REY: Widziałeś tę pannę, co tu była na koniu?

PAN RUDOMINA: Pęcina trochę nie bardzo, kark gruby.

REY: U tej panny?

PAN RUDOMINA: Nie, u konia. A panna skoczyła na siodło jak usarz i pewną ręką go prowadzi, a mówiła, że ją koń poniósł. Łgarstwem się parają te białogłowy, ród wszelkiej prawdzie i zacności nieprzychylny.

REY: Panie Rudomina, ja się żenię.

PAN RUDOMINA: Panie Mikołaju, zaklinam cię na Boga, nie czyń tego. To jakbyś zwirza okrutnego, żarłacza wszelkiej ciszy i spokoju do domu brał, z jednej miski jadać mu pozwolił i łożem się z nim dzielił. Nie chodzi tu o mnie, samolub nie jestem, choć mówią złośliwcy, że ino mi o to chodzi, by pchły własne tuczyć przy panów Reyów ognisku. Ja sobie pójdę w świat daleki, a ty ostaniesz z tą jaszczurką, gadem białą skórą lśniącym i żadna cię już moc od niej nie wybawi. Znam cię od dziecka, ty się do małżeństwa nie nadajesz: miękki jesteś, miękki: każda cię z mienia i dobrej sławy wyzuje.

REY: Ożenię się, mości Rudomina, i będziesz niedługo na weselu wygłaszać kwiecistą przemowę, sławiąc zacność i cnotę naszych polskich białogłów.

Scena 11

Drzwi się otwierają i staje w nich piękny, młody mężczyzna, przybrany wspaniale pan Otwinowski.

PAN OTWINOWSKI: Mikołaju!

REY: Przyjacielu! *(padają sobie w objęcia)* Co za radość niepomierna. Panie Rudomina, to jest pan Otwinowski, szczyry mój przyjaciel i kompan, praktykowaliśmy razem na dworze wojewody Tęczyńskiego i tam mnie łaciny uczył, bo łacinnik jest zawołany.

PAN OTWINOWSKI: Insze też figle nieraz my płatali.

REY: Skąd się tu wziąłeś?

PAN OTWINOWSKI: Z Proszowic, królowej Bony orszaku.

REY: Jest już w Proszowicach?

PAN OTWINOWSKI: Jutro przyjeżdża, a mnie wysłano przodem, bym cerymoniał powitania ułożył.

REY: Z nieba mi spadasz, to ułożymy go razem.

PAN OTWINOWSKI: Ja tyż myślałem, że do ciebie pirwszego się zwrócę.

REY: Więc ty królewski teraz dworzanin... Godności winszuję. Panie Rudomina, przynieś gąsiorek tego najlepszego, co mamy: takiego gościa trza zdrowie wypić. Siadajże, siadaj, przyjacielu. Opowiedz o sobie.

PAN OTWINOWSKI: Ty pirwej o sobie. Zagrzebałeś się na wsi jak jaźwiec [1]) w norze, szkoda cię, Mikołaju.

REY: Szkoda, do czego?

PAN OTWINOWSKI: Twego rozumu szkoda i twej sztuki rymowania. Słyszałem, że sławią cię w ziemi krakowskiej za pieśni i wirszyki, ale ta sława nie bieży daleko.

REY *(nalewając miodu, który przyniósł pan Rudomina i zaraz wyszedł)*: Napijmy się, przyjacielu.

PAN OTWINOWSKI: Bonum vinum laetificat cor hominis [2]).

---

[1]) jaźwiec — borsuk.
[2]) Dobre wino rozwesela serce człowiecze (łac.).

REY: To nie żadne vinum, ino miód, który poćciwe nasze pszczółki zebrały z kwiatuszków słodkich, te, co tam za oknem bęczą.

PAN OTWINOWSKI *(pijąc):* Oj nie te, nie te, bo wiele lat minęło i wymarły już te pożyteczne insekta, które zbieraniem tego miodu się parały. Tak mi się widzi, że on królów Piastów pamięta. *(po chwili)* A więc, drogi Mikołaju, dość tych wiejskich wywczasów, wyrobimy ci stały urząd na dworze królewskim, mamy tam znakomitych wieszczów, będziemy mieli jednego więcej.

REY: Jacyż to są wieszczowie?

PAN OTWINOWSKI: Dantyszek, Krzycki, Janicki.

REY: A czy to są Polacy?

PAN OTWINOWSKI: Przecie wiesz dobrze.

REY: Nie wiem, nie wiem, drogi przyjacielu, nic pisanego po polsku przez nich nie czytałem.

PAN OTWINOWSKI: Piszą łaciną tak wyborną, że wsławiają nas u narodów postronnych.

REY: Ino nie mów o naszej sławie u narodów postronnych, każdy inszy naród się stara, jako może, sprawy swoje zdobić pisząc wiele, co prawda nieraz leda co i rzeczy nikczemne. Ino my Polacy nie.

Pytają się tyż insi narodowie, jeśli Polska jest miasto, wieś, kraina, czy może bór i puszcza, i ni ma co odpowiedzieć, bo chlubić się ni ma czym.

PAN OTWINOWSKI: Wiedzą wszyscy, iże potężnym jesteśmy królestwem.

REY: Wiedzą, że jest król, hetmany, biskupy, ale narodu nie masz. Tak, drogi przyjacielu, nie masz tego narodu.

Mnimają o Polsce, że w niej świnie kwiczą, kury gdakają, gęsi gęgają, bydło ryczy, a lud niemy jest. Tak postronni narodowie mnimają.

Ale słuchaj, przyjacielu, chcesz mi wielką przysługę uczynić, to mi urzędu na dworze nie wyrabiaj, ino to zrób, o co cię poproszę.

PAN OTWINOWSKI: Wszystko, co w mojej mocy.

REY: Cerymoniał powitania królowej będzie taki: Najpirw ja będę przyjęty z moimi chorami, a ślachta cała okoliczna będzie czekać w antykamerze, dopiro gdy my z królową rozmowę naszą ukończyć raczymy, wejdzie, by słuchać, jak śpiwają moje chory. Możesz to uczynić?

PAN OTWINOWSKI: Marszałek dworu królowej, pan Mikołaj Wolski, trochę będzie się krzywił, ale mu wytłomaczę. On na mnie bardzo łaskaw i szczyry afekt dla mnie żywi.

REY: I jeszcze jedno: straż królewska powita mnie i moich kmiotków u bram grodu i wprowadzi na zamek, a kto chciałby napaść, ustrzeli go z arkebuza.

PAN OTWINOWSKI: Jeśli ci taka parada i taka osłona potrzebna.

REY: Potrzebna. Bo dybają na mnie zbójcy niecnotliwi.

PAN OTWINOWSKI: A dobrze aby te twoje kmiotkówne śpiewają? Bo królowa na to bardzo czuła.

REY: Jak skowronki pod kopułą niebieską.

PAN OTWINOWSKI: A teraz mi powiedz, Mikołaju, czemu od wszelkiej służby publicznej się usuwasz? Ani to nie jest utile [1]), ani honestum [2]). Idą

---

[1]) pożyteczne (łac.).
[1]) uczciwe (łac.).

czasy wielkich przemian, mocny wicher powiał przez dusze i zatrzęsły się kształtowne filary, które gmach świata dźwigały.

Tak jest, miły bracie, coraz więcej nas takich, co chcemy mores depravatos reformare [1]). Reformować obyczaje, zaprowadzić sprawiedliwość i szczyrą wiarę krześciańską światu przywrócić. Nie cofniemy się przed niczym, pójdziemy tam, gdzie bije cor mundi, serce świata. Na miejscu świętości i ubóstwa apostołów rozsiadły się darmopychy w złotych koronach.

REY: Słyszałem, słyszałem, ale tam, gdzie ty służysz, głośno wam o tym mówić nie wolno.

PAN OTWINOWSKI: Mówimy więc po cichu, ale przyjdzie czas, że głośno o tym krzyczeć będą.

Mikołaju, Mikołaju, miej oczy i uszy otwarte. Ludzie, co odkryli torsy obnażonych bogiń greckich i źródło mądrości bijące ongi pod kolumnami Partenonu, już czynią wielkie larum [2]) na to, się dzieje w krześciaństwie. Na brednie scholastyki, tak marne wobec tamtych mądrości, na Borgiów, Medyceuszów na tronie Piotrowym, ubranych w togi cezarów, którzy Neronowym obyczajem palą ludzi żywcem za herezje, co nawet ze zwirzem czynić byłoby nieludzkim okrucieństwem. Oni, ci ludzie nowi, skrewnieni duchem z największymi mędrcami starożytności, badający nieznane nam jeszcze prawo przyrody, odrzucają ze wzgardą nędzną łaciną klecone bulle proboszcza rzymskiego.

REY: O, to wam się nie podoba, że pisane łaciną nikczemną, miejcież większe baczenie, co jest pisane, a nie jak. Ci twoi wielcy reformatorowie odgradzają się od narodu obcą mową.

Czynicie społeczność w społeczności. Ta wasza mądrość jest dla paniąt: dla Kmitów, Ostrorogów, Radziwiłłów, a nie dla maluczkich, których jest wielu. Tak Polski nie zreformujecie.

PAN OTWINOWSKI: Zreformujemy. Ino nam ludzi trzeba śmiałych, odważnych, gotowych na każdy czyn zuchwały.

REY: A macie kogo? Kupczychę Melchiorową Weiglową [3]), u której w Krakowie zbierają się ławniki, rajce i tłuste mieszczki i po cichu, by ich nikt nie słyszał, drwią ze świętych na ołtarzach i tych, co liżą fałszywe relikwie, a naprzeciw niej kogo? Biskupa Gamrata [4]), sprośnego męża wszystkich niewiast niecnotliwych. Między nimi toczy się bój o duszę narodu... Mimo żeśmy otwarli na oścież wrota ojczyzny dla wszystkich włóczęgów, darmochlebów, krain postronnych i zastawili im stoły naszej gospody, ni ma nas przy tym.

Ni ma nas w tej wojnie o sprawiedliwość, mądrość, o rąbanie nowych ścieżek w puszczach świata.

Wieją wiatry z południa i z północy na tę kopę stęchłego siana, jaką jest Rzeczpospolita nasza, ona kiśnie dalej we własnej zgniliźnie.

Po co sobie oczy ćmić, kiedy jest, jak mówię.

PAN OTWINOWSKI: Mówiłem: ludzi nam potrzeba.

Mikołaju, mógł cysarz Dioklecjan kapustę sadzić po żywocie bujnym i sławnym, ale od sadzenia kapusty zaczynać żywot, gdy się jest człowiekiem tak

---

[1]) obyczaje zepsute naprawiać (łac.).
[2]) larum — krzyk.
[3]) Melchiorowa Weiglowa — Żydówka, spalona potem na stosie na rozkaz biskupa Gamrata.
[4]) Biskup Gamrat — faworyt Bony, wyniesiony przez nią na biskupstwo.

potrzebnym i procul negotiis [1]) dni swoje pędzić, nie godzi się. Przyjm więc urząd na dworze królewskim, skoro sposobność się nadarza.

REY: Nie przyjmę, nie przyjmę. A wiesz dlaczego?

Tyle się tam teraz kręci Włochów, Francuzów, Iszpanów, że wstyd by mi było przed nimi za tę Polskę naszą, za te nasze gęganie w obcej mowie i wiele innych grzychów.

A mówię ci, przyjacielu, jest niemiło sromać się za sietrę lub żonę, gdy swawoleństwa wyczynia, ale za matkę się rumienić to ból największy.

A za matkę ojczyznę rumienić bym się musiał.

PAN OTWINOWSKI: Tego już pojąć nie mogę. Nie gorsi my od innych.

REY: Nie gorsi, ale głupsi.

A już niedbalszych od nas ni ma na całym świecie. Czy wy wiecie, co się u nas dzieje? Jaka niedola ludzi uciśnionych, a daremnie kołaczących do drzwi bogaczów, którzy wyssali mleko ich i odarli ich wełnę, a jeszcze kijem odpędzają, gdy się o krzywdę upominają. Co wy o tym wicie?

PAN OTWINOWSKI: Wiemy niejedno i powiem ci, Mikołaju, że królowa Bona wcale nie sprzyja tym wielmożom, co uciskają poddanych, a ciągną sukno wspaniałości tego królestwa, by je na drobne śtuki pokrajać, i ślachcie tej nie sprzyja, co krzywdą chłopów i mieszczan zdobywa nowe przywileje. To bardzo jest mądra pani i wielkie ma zamysły.

REY: Ja tyż mam wielkie zamysły. A o królowej ino tyle wiem, że chce do Polski sprowadzić obyczaje włoskie, co nam tak potrzebne jak gówno w marcypanie.

PAN OTWINOWSKI: Mówisz, że masz wielkie zamysły, co chcesz uczynić?

REY: Znałeś mnie, że całą młodość od ksiąg uciekałem. Wisz, żem nieuk i łacinnik lichy. Ale co począć, co począć mnie bidnemu? Skoro panowie Krzyccy i Dantyszkowie uczeni, mądrzy, na świecie obyci, nie chcą pisać po polsku, to ja za nich muszę tę robotę zrobić: Trudno, jak kowala we wsi ni ma, to i chłop konia podkuje, bo szkapa boso chodzić nie może. I nie myśl tyż, że będę twoich Cyceronów i Horacjuszów fabuły niepotrzebne na język polski przekładał. Li tylko o tym opowiadał, jak azyjski Artaksyrkses Babilon zdobywał lub jak atyński mędrzec Platon dyscypułom sprośności opowiadał. Pisać będę o tym, jak ksiądz jajca liczy, które chłopu zabrał, jak wójt na czynsze narzeka, jak ślachcic w opilstwie sprośnym wieprzom staje się podobnym i, niby beczka skisła, wszystko z siebie na wirzch wyrzuca. O tym właśnie, o tym pisać będę.

PAN OTWINOWSKI: Ależ, Mikołaju, któż ci takie księgi będzie drukował?

REY: Kto mnie będzie drukować? Juści nie te Niemcy, co siedzą w krakowskich oficynach [2]), i opat Bernardynów tyż na to grosze łożyć nie zechce. Ale ja sam druk opłacać będę. Włość sprzedam, pas zastawię i rzucę na Polskę moich ksiąg tysiące. Taki kozioł uparty jestem.

PAN OTWINOWSKI: A któż to czytać będzie?

REY: Cały naród, cały naród, przyjacielu. Każdy już wypluwa ze wstrętem to łacińskie paskudztwo, co mu je gwałtem pchacie do gardła. A ta

---

[1]) z dala od spraw publicznych (łac.).

[2]) Wybitni drukarze krakowscy XVI w.: Jan Haller, Florian Ungler, Hieronim Wietor i Maciej Scharffenberg pochodzili z Niemców.

szczyra wiara, o której wspomniałeś, jak ma się w narodzie przyjąć, jeśli po łacinie ją głosić będziecie?

PAN OTWINOWSKI: Mnie się ten nasz polski przyrodzony język widzi taki nieokrzesany dla wyrażenia myśli ślachetnej, taki nieporadny.

REY: Chodź ze mną do okna, przyjacielu. Słońce zachadza właśnie. Żarze na niebo wpływają, barwy czysto różanej i jasne odmienności w obłokach się broją [1]). Posłuchaj ano teraz jak szumią listeczki śrybrne na białodrzewach, jak trawki drżą w podmuchu wietrzyka, co przynasza z łąk miły chłodek, to ziemia nasza tym szumem śpiwa swoje cudne melodyje. Taki jest i nasz język polski. Mowa, z którą żadną inszą przyrównać nie można, a że uszko delikatne jakieś grube słowo, jakiś dźwięk chropawy urazi, to ino takie, co słyszą ciągle: par ma foi, par ma foi [2]) albo: buon giorno [3]) albo: nostros cavalieros [4]).

Ale narodowi, wierz mi — lepiej smakuje chlebek z pszenicy albo klusek z jinczmionka niż francuskie blomuzie i włoskie makarony. Słowo polskie pisane lepiej mu smakować będzie niż obcej mowy mdłe słodkości.

PAN OTWINOWSKI: Cóż ci mam rzec na to. Mikołaju? chyba: audaces fortuna juvat [5]).

REY: Chciałeś powiedzieć, że twardego chłopa o mocnym karku los żadną mitręgą nie zmoże i nawet kijem nie dobije.

Śpiew chóru *(od strony sadu, gdzie poszły dziewczęta):*

Bida, wielka bida, jest wieśnej chudzinie,
marnie sobie żyje i tyz marnie ginie.

AKT III

Sala przyjęć na zamku królewskim w Proszowicach, którego ruiny stały do roku 1850.

Naprzeciw widowni okna otwarte i widok na Koniuszę, najwyższe wzniesienie ziemi proszowskiej, odcinającą się na tle nieba smukłą sylwetką i kończącą łańcuch małych pagórków. Na lewo, na podniesieniu krzesło królewskie i obok szereg innych krzeseł, za nimi małe drzwi do komnat królewskich, którymi wchodzi fraucymer i wielkie, którymi wchodzi królowa. Na prawo duże drzwi od tak zwanej antykamery.

Scena 1

Wchodzi królowa Bona.

KRÓLOWA BONA: Santa Madonna, mamma mia, che buoto in questo paese, che buoto. Beatrice de Roselli, dove è Beatrice?

BEATRICE: Sono qui, serenissima.

KRÓLOWA BONA: Cara mia, che buoto sulla strada e non c'era aqua calda per lavarsi, casa maladetta...

BEATRICE: Ma la vista è bella.

---

[1]) broić się — dziać się.
[2]) naprawdę, na honor (franc.).
[3]) dzień dobry (włosk.).
[4]) my szlachta (hiszp.).
[5]) Odważnym sprzyja szczęście (łac.).

KRÓLOWA BONA: Bellissima è l'aria e fresca. Maresciallo Wolski, dove è il Maresciallo Wolski? [1]).

MARSZAŁEK WOLSKI: Najjaśniejsza Pani Królowo...

KRÓLOWA BONA: Zaczynamy audiencje.

MARSZAŁEK WOLSKI: Pan Mikołaj Rey z Nagłowic prosi, byś go przyjąć mogła.

KRÓLOWA BONA: Pan Rey, il cantatore niech wejdzie. *(królowa siada na krześle, Marszałek Wolski wychodzi, wchodzi Pan Rey i Otwinowski, który staje za krzesłem królowej).*

Scena 2

REY: Najmiłościwiej nam panująca, Najjaśniejsza Pani Królowo. Ziemia proszowska, do której przybyć raczyłaś, wita cię niegodnymi moimi słowy jak najpoćciwiej.

KRÓLOWA BONA *(daje mu rękę do pocałowania):* Piękna to kraina, panie Reyu *(patrząc przez okno)* I ta góra come si chiama? [2]).

REY: Koniusza.

KRÓLOWA BONA: Tak, Koniusza, Monte Cavallo, z kształtu przypomina il Vesuvio [3]) nad moim Neapolem.

REY: Ino się tym od niego różni, że tak nie śmierdzi smołą i siarką, i inszem paskudztwem, które z tego Wezuwiusza ponoć wylatuje.

KRÓLOWA BONA: I te colliny [4]) łagodne, ufarbowane kolorem, to mi także Italię przypomina.

REY: Trzeba je ujrzeć przy wschodzie słonka, gdy jego promienie zaczynają niebo rozświeżać, a żarze w górę się wznaszać, dopiro wtedy jasne odmienności broją się na tych polach.

KRÓLOWA BONA: Mnie, gdy byłam jeszcze dziewczęciem, małą bambiną, powtarzał do znudzenia mój sędziwy nauczyciel, surge mane, wstawaj rano, ne perda avium cantus [5]), byś ptaków świergotu nie straciła.

REY: Juści, jeżeli cały dzień nad uchem ino to jedno bęczał, to snadnie o mdłości mogło cię to przyprawić, Najjaśniejsza Pani Królowo. Ale szczyrą prawdę mówiło to stare Włoszysko, bo śpiw ptaków świtem najwdzięczniejszy. A już żadni ptakowie w Polsce tak nie śpiwają jak proszowscy. Nie mówię już o tych kapelach, co we wiklach nad rzeką Szreniawą grają, bo one sławne są na całą Polskę, ale wystarczy rano do sadu okno otworzyć o każdej porze lata, a trzęsie się powietrze od tego zin, zin, tara, tara ziąb, sikorek, strzyżyków i inszego skrzydlatego pospólstwa. Jest czym się weselić.

KRÓLOWA BONA: Widzę, panie Reyu, że my oboje miracola [6]) natury podziwiać umiemy.

REY: Ano my nie z tych, co jak zwirza głupie lezą i za żarciem węszą.

---

[1]) Bona: Panno Najświętsza, matko moja, jakież „buoto" w tym kraju, jakież „buoto". B. de R., gdzie jest B.? Jestem tutaj, Najjaśniejsza Pani. B.: Droga moja, cóż za błoto na gościńcu, i nie będzie ciepłej wody do umycia się. Przeklęty dom... — B.: Ale widok jest piękny. — Bona: Bardzo piękny i powietrze jest świeże. Marszałku W., gdzie jest marszałek W.?

[2]) jak się nazywa? (włosk.).

[3]) Wezuwiusz (włosk.).

[4]) wzgórza.

[5]) (łac.).

[6]) cudy (włosk.).

I dopiro trza takiemu powiedzieć: patrzcie, ślepiu, co się na niebie i na ziemi wyrabia.

KRÓLOWA BONA: Słyszałam, że jesteś sławnym muzykantem, panie Reyu.

REY: Somobit ja w tym, jak we wszystkim, Najjaśniejsza Królowo, ale chciałbym ci moje chory sprezentować.

KRÓLOWA BONA: Posłuchamy, posłuchamy con gaudio e con amore [1]). A mówił mi pan Otwi-nos-ki, że i poetyckiej sztuki probujesz. Czytałeś może naszego Petrarki „sonetti" dla madonny Laury pisane? Meravigliose [2]), solenne, płonące żarem, palpitante di afetto [3]), cudne kancony.

REY: Nie czytałem, bo po włosku, choćby mnie kto kijcem bił po łbie, a nawet szydłem kłuł w zadek, ani słowa nie rozumiem.

PAN OTWINOWSKI: Pan Rey w ojczystej swojej mowie rymy układa.

KRÓLOWA BONA: O pirwszym takim słyszę w Polszcze.

No, panie Reyu, może ty Dante będziesz polski, skoro lingua vulgaris [4]) cię nie mierzi.

REY: Dworować sobie ze mnie raczysz, nieboraka, Najjaśniejsza Pani Królowo. Ale czas byłby już, czas, żeby Polacy swojego Dantego albo i Homera mieli: wżdy oni nie gęsi i swój język mają.

KRÓLOWA BONA: Czas byłby, ale zanim taki uomo geniale [5]) się narodzi, księgi obce czytać wam trzeba, z onych sztuk i mądrości się uczyć, które przez wieki na naszej ziemi były gromadzone, kultem antycznym umocnione. Na tej ziemi starych bogów, co tam się urodziły i tam „morte eroica" [6]), śmiercią wspaniałą umarły. Do wielkiej rodziny się przyłączyć, która humanitas [7]) się zowie. Dobre obyczaje kunsztem polerowane poznać i naśladować. A wy w tym bardzo oporni.

REY: Bo swój obyczaj mamy, Najjaśniejsza Pani Królowo, klejnot po przodkach odziedziczony i strzec go musiemy, by w nieprawości nie utonął. A nieprawości dużo stamtąd przychodzi. A cóż my kozą być mamy, co przez dziurę w płocie się patrzy na kapusty w cudzym ogrodzie i chuć w sobie podnieca, by z tego coś niecoś ukąsić.

KRÓLOWA BONA: Więc sądzisz, panie Reyu, że niczego od narodów postronnych nauczyć się nie możecie?

REY: Głup byłbym ciemny, gdybym takie miał mnimanie. Ino mam rozeznanie, czego się od nich uczyć trzeba, a czego nie lza. Sól mądrości waszej lizać chcemy, ale słodyczkę trucizny z gęby wypluwać. A niektórzy Polacy, jako te małpy, które w boty się obuły, skakać ino chcą jako drudzy, nie patrząc, czy tamci czasem nieprzystojnie nie kuglują. Nikt nam tu nie pomoże, sami się w jarzmo zaprząc musimy i chwasty z ziemi wyrywać.

KRÓLOWA BONA *(z lekką ironią):* Wielki mędrzec jesteś, panie Reyu, un gran filosofe [8]).

REY: Przypatrz się ino, Najjaśniejsza Pani Królowo, jako się łzy leją ludzi

---

[1]) z radością i miłością (włosk.).
[2]) Cudowne (włosk.).
[3]) drżące namiętnością (włosk.).
[4]) język gminu (łac.).
[5]) człowiek genialny (włosk.).
[6]) śmiercią bohaterską (włosk.).
[7]) ludzkość (łac.).
[8]) wielki filozof (włosk.).

uciśnionych. Prawo nasze jak pojęcza sieć, którą bąk przebija i mucha przegryzie, i ni masz nad nędznym opieki, jeno tyraństwo i samowola. I myślę tak, że król, nasz, pan miłościwy, mógłby to sprawić.

KRÓLOWA BONA *(gwałtownie):* Król, król, co król u was może uczynić? Niente, niente [1]). Wasi wielmoże, palatyny chcieliby nad królem być, a z władzy wszelkiej go wyzuć.

REY: Oni to bący są, którzy sieć tę przegryzają, a przyczyną tego nienasycone łakomstwo bogactwa i zbytków. Patrz, jako u nas się dzieje, będzie plebanisko łyse, oprzałe, siwe, ma plebanię, na której mógłby dobrze siedzieć i spokojnego życia użyć, dajże mu drugą. Aliści wlecze się do Rzymu, jako bocian w jesieni do cieplic, a czasem tamże zdechnie.

KRÓLOWA BONA: A więc chowajcie swój naród w cnocie, skoro tak zacne mamy królestwo, miejcie większe o nie baczenie.

REY: Kto ma naród chować w cnocie? Włodarze duchowni nasi jacy są? Kto by zaś chciał się do nich dopytać, a szukać świętych dróg, to już heretyk, to już mieczem, ogniem, klątwą, dzwonkiem go prześladują.

KRÓLOWA BONA: Basta, basta, panie Reyu. Słyszeliśmy, że ty w niezgodzie wiecznej z władzą kościelną, a to nam się podobać nie może.

REY: A mnie się oni nie mogą podobać, Najjaśniejsza Pani Królowo. Mamy Rzeczpospolitą naprawiać, to musimy wszystkie jej słabości znać.

A one niepotrzebne sakry [2]), co do Rzymu idą, nie mogłyby one w skarbie polskim ostać? A nie mamy niepotrzebnych myt, które z płaczem ludzkim i bez ustawy bywają wymagane i nie wiedzieć, gdzie się podziewają? Nie mogłyby do skarbu dopływać i tam być użyte na ćwiczenia krwie koronnej, wojska ku Rzeczpospolitej obronie?

Stoją zamki, stoją mury puste, wilcy a świnie dzikie się w nich lęgną, a na nic ich nie chowamy, ino na baszty nieprzyjaciołom naszym. A te nasze darmopychy [3]) mówią, że lepiej, aby nieprzyjaciel trzykroć koronę zwojował, niż żeby oni wyzbyć się mieli jednego skarba z tych, co ukradli.

KRÓLOWA BONA: Każ się wybrać posłem, panie Reyu, i in publico [4]) twoje przekonanie deklaruj. Cóż mnie to mówisz?

REY: Bo słyszę zewsząd, że rozum masz, Najjaśniejsza Pani Królowo, choć jesteś białogłową.

A komu mam mówić? Nie przekupce, co z wieńcy, z ziółki i czyrwoną maścią na rynku siedzi, ino polskiej królowej. Bo lekarstwa szukam nie na ból kiszek i zaparcie stolca, a na Rzeczpospolitej chorobę.

KRÓLOWA BONA: Ja Polską nie rządzę, ino król i senatory.

REY: Ale jak to u nas mówią, ksiądz przy ołtarzu bliżej Pana Boga niż jego świnia w karmniku.

Coś ta niecoś do gadania masz w tej sprawie, Najjaśniejsza Pani Królowo. Taki o tobie słych chodzi, żeś nie taka, co ino upina na sobie koronki, a do zwierciadła się patrzy, jaki glanc od niej bije.

PAN OTWINOWSKI: Sławią twój rozum, ilustrissima [5]), we wszystkich

---

[1]) Nic, nic (włosk.).
[2]) Sakry — opłaty posyłane do Rzymu przez duchownych obejmujących nowy urząd kościelny.
[3]) darmopych — pyszniący się nie wiedzieć z czego.
[4]) publicznie (łac.).
[5]) najjaśniejsza (łac.).

językach świata, a ten nasz krakowskiej ziemi trubadur w polskiej mowie go wysławi.

REY: Rozum najjaśniejszej władczyni naszej w wielkiej mam estymie, ale na trubadura ja się nie nadaję, miły bracie. Nie jestem jako oni pieszczoszkowie, co słowem wymyślnym się bawią. U mnie co w myśli to w gębie. Moja mowa piórkiem nastrzępiona nigdy nie będzie.

KRÓLOWA BONA: Mnie uczono, że ogni momento della nostra esistenza puo contenere un poema [1]). Wszystko może być poematem i każda godzina niesie poetę do „immortalità" [2]). Ale ty powinieneś satyry pisać, panie Reyu, jak Horacjusz, bo ciebie, widzę, więcej rzeczy boli, niż cieszy.

REY: Oj, że boli, to boli, Najjaśniejsza Królowo. A choćby i ślachta okoliczna jaka jest? Nie wiem, kto jej tak rozum popsował. Oni moich chorów na zamek przed twój majestat puścić nie chcieli, że chłopskie, i musiała mnie straż królewska bronić. W warcholnym łbie taka myśl się tylko może urodzić.

KRÓLOWA BONA: E vero [3]), panie Otwi-no-ski?

PAN OTWINOWSKI: Tak było, illustrissima.

KRÓLOWA BONA: *(do Otwinowskiego).* Proś do mnie pana marszałka.

Pan Otwinowski wyszedł drzwiami na prawo, wraca z marszałkiem Wolskim.

Scena 3

KRÓLOWA BONA: Wstępu do króla jego poddanym bronić nikt prawa ni ma. Nessuno, nessuno [5]) i w żadnej okazji.

Bo król wspólny jest, a jego persona regni fundamentum [5]), respubliki waszej wiąz najsilniejszy.

Silna władza, choć czasem niemiła, to pokoju i prosperitatis [6]) zapewnienie. Ona jak ta „ancora", kotwica, na dno mórz rzucona, statek na fali trzyma i fluktom nieprzyjaznym unieść nie daje.

Wiem, że tego nikt tu nie rozumie, a już najmniej szlachta wasza, która po trupach inszych stanów do władzy dochodzi i w końcu zgubę na to królestwo przywiedzie, i będzie z tego wielki lament. A jak powiedział nasz gran poeta, Dante Alighieri: nessun maggior dolore"... ni masz większej boleści jak w czasach niefortunnych szczęście minione wspominać.

Widziałam w Neapolu smutny Aragonów koniec i wiem, jakie klęski na kraj wtedy spadły. A powodem była baronów samowola, i niestety, także stanu duchownego niecnota i chciwość.

Waszemu narodowi by się król nadał malowany, który ni ręką, ni nogą ruszyć by nie mógł ani ust otworzyć, jak to bywa, gdy na ścianie effigies [1]) powieszą. Takiemu byście pokłony bili, byle się ino nie ruszył i słowa nie po wiedział.

Dlatego prosimy cię, panie marszałku, zanim nobilów przyjmiemy, byś im ten incydent wypomniał i nasze nieukontentowanie wyrazić zechciał.

---

[1]) Każda chwila naszego istnienia może zawierać poemat (włosk.).
[2]) do nieśmiertelności.
[3]) Czy naprawdę (włosk.).
[4]) Nikt, nikt (włosk.).
[5]) jego osoba fundamentem królestwa (łac.).
[6]) pomyślności (łac.).
[7]) wizerunek (łac.).

Nie chcieli dopuścić chłopów na zamek, których myśmy przyjąć postanowili.

Powinni wiedzieć o tym, że wszyscy dobrzy ludzie są patryciuszami dostojnymi, a źli i niesprawiedliwi plebejuszami, sługami i barbarzyńcami.

Tak pisał w swojej księdze „De... humani generis et nobilitate" [1]) mój nauczyciel maestro Galateo, którego principia mam w pamięci. Czy nie sądzisz, panie Reyu, że słusznie mówił?

REY: Jakbyś mi to z gęby wyjęła, Najjaśniejsza Pani Królowo. Głupi on nie był, ten twój Galato, ino poćciwy i rozważny człowiek. Przydałby się był taki preceptor naszej ślachcie tutejszej okolicznej za ich młodości, ale musiałby wiele rózeg połomić, zanim by w te łby ciemne coś wpakował.

KRÓLOWA BONA: Zresztą wszystko, co się naszej woli sprzeciwia, nasz majestat obraża. Non è vero [2]), panie marszałku?

Marszałek Wolski skinął głową.

KRÓLOWA BONA *(wstaje):* A teraz sprezentuj nam twoje chory, panie Reyu, a później nobilów przyjmiemy i oni tyż ich śpiewu posłuchają. *(zwracając się do drzwi z lewej strony woła)* Beatrice, Diana, venga qui [3]).

Wchodzi chór Reyowy i fraucymer królowej i staje za nią.

KRÓLOWA BONA *(do Reya):* Oto moje donny, panie Reyu: Beatrice de Roselli z Bari, Portica Arcamone z Neapolu, Faustina Opozzoni z Mediolanu i Diana de Cardona z Neapolu.

REY: A ot moje chórzystki, Najjaśniejsza Pani Królowo: Franka Sendkówna z Topoli, Magda Cygan ze Słonowic, Hanka Zapartówna z Bobina i Kaśka Cicha z Pławowic.

KRÓLOWA BONA *(do swego fraucymeru):* Weźcie te panny do swoich komnat i zabawcie je tymczasem, lemoniadą poczęstujcie: Orszula Maciejowska sara interprete. Będziesz tłomaczem.

Panie marszałku, poproś nobilów, którzy mnie chcą witać, niech się zgromadzą, za chwilę do nich wyjdę. *(wychodzi).*

Wychodzą drzwiami na lewo panny i chór Reyowy.

Scena 4

Pan Otwinowski otwiera drzwi od antykamery, wchodzi cała szlachta okoliczna. Ci wszyscy, co występowali w akcie I, i jeszcze kilku szlachciców i szlachcianek. Kasztelanowa idzie na czele wprost na marszałka Wolskiego.

KASZTELANOWA *(w furii):* Despekt, despekt, panie marszałku, my już blisko godzinę czekamy, a jegomość pan Mikołaj Rey był przed nami przyjęty. Czy to senator, czy hetman, czy biskup, mędrzec z Nagłowic, psi kaznodzieja za świńskiej ambony. Cóż to za nowe obyczaje?

MARSZAŁEK WOLSKI: Sacra Maiestatis voluntas, święta wola królowej, której nikt się sprzeciwić nie może.

KASZTELANOWA: Święta voluntas, niech będzie święta, ale do tych, co cerymoniał układali, wnosimy protest. Cóż my gorszego niźli ten szwab bez ogona, kozioł na ledzie, alchimik nieprawy, ten zasra...

MARSZAŁEK WOLSKI: Spokojnie, miłościwa pani, spokojnie, na królewskich pokojach jesteście, miejcież to na uwadze.

[1]) O... i szlachetności rodu ludzkiego (łac.).
[2]) Nieprawdaż (włosk.).
[3]) chodź tu (włosk.).

KASZTELANOWA: Nie pirwszy raz, panie marszałku, nie pirwszy raz. Nie o mnie tu jedną chodzi, ale o cały stan ślachecki. *(do Pana Bala)* Odezwijże się, panie miecznikuu. Cóż ja mam za was wszystkich gębować, nie myślże teraz o żubrach, bo ich tu nie upolujesz, nie krząkaj pod nosem, gadajże coś.

PAN BAL: Dysgusta nam Najjaśniejsza Pani Królowa uczyniła, jegomościa pana Reya i jego kmiotkówne przed nami przyjmując.

KASZTELANOWA: Które choćby ługiem pigwowym co dzień mył a wodą różaną podlewał, chamskiego brudu z nich nie zmyje.

MARSZAŁEK WOLSKI: O żadnych dysgustach mowy być nie może, panie miecznikuu, królowej prawo jest, kogo zechce i o jakiej porze, przyjmować, bo to jej zamek jest, nie wasz i królestwo jej, a nie wasze. Nie mieliście prawa nikomu wstępu do jej komnat bronić i królowa kazała mi swoje nieukontentowanie z powodu tego wam wyrazić.

Pan jegomość Rey jest człowiek zacny i ślachcic jako i wy, ale jakby królowa chciała, to mogłaby sobie i diabła z piekła sprowadzić z panem Lucyperem, piekielnym niedźwiednikiem, i kazać mu na blasze rozpalonej kuglować a chwostem czerwonym, jak kutasem, przed sobą wywijać. Gdyby ją bawiły tego rodzaju krotofile, mogłaby to uczynić i nikt z was by nie miał prawa jej zaprzeczyć.

Nie radzę wam, zacni ichmościowie, więcej o tym incydencie wspominać, żadnych mnie impedymentów [1]) dalej nie czynić, a czekać cierpliwie, aż was illustrissima przyjąć raczy. Kto ma królową powitać?

PAN BAL: Senior nasz, pan Trzebiński piękną łacińską oracją.

KASZTELANOWA: Czy piękną, to nie wiem, ale oracją. Gdy po polsku mówi, to w słowach język mu kołczeje i staje jak łyżka w siadłym mleku, a cóż dopiro, gdy mu każą w mowie Cyceronów się deklarować. *(po chwili)* Ale widzę, stoi ten krasnomędrek Rey pod ścianą jak żona Lota na bałwana ze soli przemieniona. Pójdę z nim pogadać.

PAN BAL *(do Wolskiego)*: Ja, panie marszałku, chciałbym królowej opowiedzieć, jak się na żubry poluje, mogłaby tych dzikich bawołów parę do Niepołomic sobie sprowadzić... *(odchodzi z Marszałkiem Wolskim)*.

KASZTELANOWA *(do Reya)*: Witaj, mości panie Reyu, cóżeś tam królowej na nas nagębował? A twoje kmiotkówne, słyszałam, z damami włoskimi się bawią. Winszuję komitywy, ale we łbie im się przewróci i już do żadnej roboty ich nie zapędzisz.

REY: A cóż myślisz, miłościwa pani, że przez tę krótkę chwilkę nauczą ich Włoszki kuradentów [2]) używać i na szyję serwetkę zakładać, że nie będą już niczego źreć chciały ino sałatę, by jak wół później robić na zielono? Że żabkę, kotka, ślimaczka jak cenną zwierzynę będą łowić i na obiad sobie gotować? Nie, nie bój się o to, pani kasztelanowo, tak nie będzie.

KASZTELANOWA: Oj głupi ty jesteś, mości Reyu, z tymi chłopami na zamku królewskim, jeszcze raz ci to powiem.

Myślisz, że królowa Bona sprzyja chłopom i będzie ich od poddaństwa uwalniać, czynsze zakaże ściągać? Mało to jej król intercyzą ślubną dóbr ziemskich nadał: Nowy Korczyn, Wiślicę, ziem urodzajnych całe płachty. Ona tyż tam jedzie, a do nas po drodze wstąpiła i każe rzącom swoim więcej pieniędzy przysyłać, z czego ucisk i niewola będzie sroższa.

[1]) impedyment — przeszkoda.
[2]) kuradent — wykałaczka.

REY: Niczego się tyż od niej nie spodziewam, ale nie źlijcie mnie już, pani kasztelanowo, bo miejsce nie po temu, żeby burdy broić, a na was złość wielką mam.

KASZTELANOWA: Na mnie, niby za co?

REY: A bo wiem dobrze, że to wasz był pomysł, by zbójców na moich kmiotków nasłać i do grodu ich nie puścić. Jużci, że wasz, nie zacnego pana Bala i tego starego kłapoucha Trzebińskiego, bo oni w umyśle swoim niczego jeszcze nie wymyślili. A niecny to był pomysł, nikczemny, w niewinność godzący.

Wydałem się wam nieprzyjazny, mogliście się do korda brać i dybać na mnie, ale niekrześciański to był postępek tych niewinnych kazać ścigać, a nawet może życia pozbawić.

KASZTELANOWA: I tak się nie udało, boś wszystko przechytrzył, nie wiem, jakim sposobem.

REY: Bo złość przegrać musi i wędzidło, on stalowy kryg na gwałt i zbrodnię zawsze się najdzie w ludzkim rozumie. Tak jest, pani kasztelanowo, wy możni, w świecie obyci, od innych uczeńsi, zamiast cały stan ślachecki do cnoty nakłaniać, jeno do niecnych uczynków go podszczuwacie. Więc muszę temu wdzięcznemu mojemu stanikowi przypominać, by z występkiem się wadził, a z cnotą wieczny mir zawarł.

KASZTELANOWA: Jużci krześciański to obowiązek. Szkoda, żeś księdzem nie został, mości Reyu, pasyję byś cienko śpiwał, a na niecnotę z ambony, jak kogut piał. Ale ty z dziwkami wolisz w szopie kuglować, rymy dla nich układać, a może i lascywia [1]) wyczyniać. Kto cię tam wie... To i kot w marcu taką wiarę ma, gdy swoje miłosne litanije miauczy.

REY: A wasza wiara jaka jest? — Gdyby Krystus na ziemię mógł wrócić, to wy byście go przed sąd biskupi zawlekli, skargę wnosząc, że chłopów podżega i że im w niebie jakieś równości obiecuje.

KASZTELANOWA: Znów swoje zaczynasz, już raz ci rzekłam, że cię spalą na stosie, jak będziesz harcował bezbożnie. A nie myśl tylko, że takim psim szczekaniem na panów polskich przed Włoszką wiele wskórasz. Jeszcze coś znaczy w tym królestwie senatorska moc i powaga i takim ślacheckim krzykaczom gębę zamknąć potrafimy.

REY: Że na was kary ni ma, że grady i pioruny nie tłuką waszych pól, a szarańcza po osiewkach waszych nie lata...

Ale za to obiecuję sobie, że cudny przysmak z was zrobią Lucyperowe kuchmistrze w piekielnej otchłani. Użaliłem się na was królowej, nic wam złego nie uczyni, skoro, jak mówicie, z wami trzyma, ale was w pogardzie mieć będzie, jeśli nie za łotrostwo, to za tchórzostwo i wykręctwo wasze. A ciebie, wielemożna pani kasztelanowo, w pirwszym rzędzie. *(odwraca się i odchodzi).*

Kasztelanowa zostaje, zdruzgotana, laska jej na podłogę upadła, stoi bez ruchu, pani Pilecka podbiega i laskę jej podnosi.

KASZTELANOWA *(po chwili ochłonęła):* Król piekielny, Kain, sodomita... Słuchaj, pani Pilecka, jeśli ty się wydasz za tego Tatarzyna, za tego antykrysta, to ja cię więcej znać nie chcę.

---

[1]) rozpustę.

PANI PILECKA: Za jakiego Tatarzyna? O kim mówisz, miłościwa pani?

KASZTELANOWA: A o tym Reyu przeklętym, co psu jest podobien, a choć komizu, mleka kobylego nie pija, pogańską ma duszę.

PANI PILECKA: Ale przecie sama radziłaś mi...

KASZTELANOWA: Źle ci radziłam, głupio ci radziłam, a teraz inaczej radzę. To diabeł jest, nie kładź się z nim do łóżka, bo ci wszystkie cielesności twoje siarką spali, a podrapie pazurem, który mu pewnie u nóg roście, jak zwirzowi drapieżnemu.

PANI PILECKA: Nie mów tak o panu Mikołaju, miłościwa pani, bo mój krewny jest i bronić go muszę.

KASZTELANOWA: Jaki krewny, jaki krewny? Rozpustność chcesz czynić z tym czortem przeklętym. Chciałam cię z nich swatać, bo mnimałam, że niewiasta stateczna tego gwałtownika rozsiepać potrafi. Ale nic z tego, nic z tego, on by nam wszystkim brzuchy porozpruwał i jelita na lutnie naciągnął, by grać na nich swoje chłopskie melodyje.

PANI PILECKA: Czy wy nie bzdurzycie, miłościwa pani, w majace chorobliwej? Może wam się w głowie pomięszało z tego rannego wstania, cośmy musieli wszyscy zrobić, by na to powitanie zdążyć. Chłopski to jest przywilej, a ślachetnemu człowiekowi łatwo na cały dzień rozum odbiera, gdy go z pianiem kurów obudzą. Pójdę do pana Reya i z nim się poćciwie rozgadam.

KASZTELANOWA: Nie chodź.

PANI PILECKA: Pójdę. *(odchodzi).*

PANI BALOWA *(podbiega do pani kasztelanowej):* Pani ciotko, co ci jest? Takaś czyrwona, jakby cię ktoś po gębie wyplaskał. Czy gorąc do łba ci bije z oparów brzucha?

KASZTELANOWA: Prowadź mnie do okna, to mnie wiatr otrzeźwi. To cholera tak flegmy poruszyła.

PANI BALOWA: Ale to śmierć nagła mogła cię trzasnąć, pani ciotko, jak można się tak dać afektom ponosić!

KASZTELANOWA: A opowiem ci, Maryno, co mi się zdarzyło, to i ciebie złość będzie tłukła.

PANI BALOWA: Ale kto ci tak dogodził?

KASZTELANOWĄ: Ten wasz pieszczoszek ukochany, ten wasz Rey.

odchodzą w głąb, Pani Pilecka podeszła do Reya.

PANI PILECKA: Panie Mikołaju, coś ty nagadał za bezeceństwa tej pani?

REY: Pogruchotałem jej kości, co? Spadła z tronu kasztelanowa Piczymirska... [1]).

PANI PILECKA: Nie wiedziałam, że umiesz być taki waśniwy.

REY: Miła pani Pilecka, nie bądź ty jej obrońcą, bo jej sprawa jest obmierzła.

PANI PILECKA: Ja tobie ino zawsze niezmiernie życzliwa.

REY: Bardzo to sobie cenię i tak tuszę, że oną życzliwość zawsze dla mnie zachowasz.

PANI PILECKA: Zawsze.

REY: I także, gdy się ożenię i dzieci spłodzę, tę miłość na moją żonę i moje potomstwo przeniesiesz?

---

[1]) Tak Rey nazywał kasztelanowe na małych kasztelaniach.

PANI PILECKA: Gdy się ożenisz?

REY: Ano każdy chce z onym miłym a równym sobie towarzyszem żywota dokonać. Nie będzie samopas tkwił po wszystkie czasy jak kół w ziemię wbity.

PANI PILECKA: Chcesz się żenić?

REY: I tobie życzę męża godnego, pomiernego, statecznego, bogatego, żebyś z nim rozmnożyła te potrzebne owoce swoje, wdzięczne gronka z winnicy twojego łona, Panu Bogu ku czci, a pociesze onemu towarzyszowi swemu.

PANI PILECKA: Tak mi życzysz?

REY: Bo nie jest dobrze, miła pani, we wdowieństwie żyć, z tą chucią swoją przyrodzoną się porać i macać po świecie, z kim by ją zaspokoić. Przez to myśli niepoćciwe w takiej białogłówce się rodzą i idąc drogą chybić mostu łacno może.

PANI PILECKA: Te rady, panie Mikołaju, to dobre by były bosemu psu na boty z cholewami. Dla mnie tyle warte, co woda zimna na pępek, gdy w syrcu boli.

Pani Pilecka odchodzi od Reya, który podszedł do Panny Rożnówny.

REY: Wreszcie okazja mi się trafiła, by z tobą mówić, miła panno.

PANNA ROŻNÓWNA: Wreszcie, panie Mikołaju.

REY: Tobie zawdzięczam ocalenie od sromoty, a może i większego nieszczęścia, bo bez krwie rozlewu by się nie obyło.

PANNA ROŻNÓWNA: Ale chytrze to obmyśliłam, jak słusznie powiedziałeś, jak Daniel, co z jaskini lwów się wyrwał, choć go te dzikie bestie już po tyłku ozorem lizały.

REY: Ino mi szczyrze powiedz, czy to, com ci wczoraj mówił, nie widzi ci się dziś kłopotem, z którego nie wiesz, jak się wychynąć?

PANNA ROŻNÓWNA: Nie i już z matką mówiłam, która szczęściu naszemu nie jest przeciwna.

REY: Więc mogę wyznać publicznie, cośmy wczoraj uchwalili?

PANNA ROŻNÓWNA: Czy to potrzebne?

REY: Tak, by rzecz uczynić jawną i one języki jadowite, co jak żmijki kąsają, do milczenia zmusić. A wszystkim niepoćciwym gębaczom ich niecne rzemięsło zohydzić.

PANNA ROŻNÓWNA: Ja na wszystko się godzę.

REY: Ale namyśl się jeszcze, miły ptaszku, skowroniątko moje, na jaką rzecz się ważysz: Spokojnego żywota ze mną mieć nie będziesz, bo wszystkiego muszę się dorabiać, włość zapuszczona.

Chcesz-li ten skromny chlebuś ze mną jeść zamiast śliwkami, pomarańczami, pigwami, morelami wdzięczną gębusię cukrować?

PANNA ROŻNÓWNA: Marcypanami mnie od niemowlęcia nie karmili, małmazyją nie poili, żebym wędzonki z grochem jeść nie mogła. Z gospodarstwa, czego nie umiem, to się od ciebie wyuczę, wiem, że jak kwoka gdacze, to trzeba jaja poszukać. Majętności będziemy przysparzać dla dziatek naszych, choć to nieskromnie pono jest dziewce o potomstwie wspominać.

REY: Wspominaj, wspominaj, bo nieskromność taka wdzięczna jest i cnotliwa.

Ale, kwiatuszku nadobny, posłuchaj mnie jeszcze. Głupio jest przed osobą miłą sercu siebie i swoje uczynki czarnymi farbami malować. Ale uczciwość

każe mi prawdę szczyrą rzec, że gwałtownik jestem, umysłu niespokojnego, którego rzadko munsztukiem rozwagi umiem pohamować.

PANNA ROŻNÓWNA: Nie bardzo się tej gwałtowności boję u mężczyzn, bo i po cóż by się na mnie taki miał srożyć, choćby krwi był chciwszy niż tygrys zwirze. Ciebie, panie Mikołaju, to już wcale się nie lękam.

REY: Ale uważ jeno, jak się na mnie patrzą wszyscy, jakby mnie pożreć chcieli, bo taki jestem, że gdy mnie u nich coś mierzi, to ludziom do oczu wypomnąć muszę, a gdy ubożuchny o krzywdzie swojej zawoła, będę za nim gardłować, niechby mi nawet za to łeb podrapać mieli.

PANNA ROŻNÓWNA: I przez to dla mnie miły jesteś, panie Mikołaju.

REY: I walczyć chcę o niemałą rzecz, o zniesienie ucisku możnego nad biednym i o język polski w piśmie i mowie. Słowosiewcą chcę być, a grunt bardzo chwastami zarosły.

PANNA ROŻNÓWNA: Jak te łęgi nasze w Sędziszowskiem.

REY: Jak te łęgi...

A kto burdy wszczyna, tego gęsto strzałami sieją i z takim po świecie chadzać nie zawsze przyjemnie.

PANNA ROŻNÓWNA: Juści skoro żoną twoją chcę być, to wszystkie przygody fortunne i niefortunne losy godzę się dzielić.

REY: Chyba mnie miłujesz...

PANNA ROŻNÓWNA: Nie wiem, ino tak myślę, że gdyby ciebie kto bił, mnie by bolało, gdybyś ty był głodny, to nie miałabym chęci połknąć ani kawałka słoniny, gdyby tobie się pić chciało, to nawet słodkie wino z korzyniami na miskę bym wypluła, gdy ktoś na ciebie szczeka, to mam chęć przekłuć mu gardło szydłem. Nie wiem, co to jest, ni mam rozeznania.

REY: Chyba szczyra miłość do mnie, dziw nad dziwy...

PANNA ROŻNÓWNA: Taki dziw zdarzył się nieraz ludziom na świecie.

MARSZAŁEK WOLSKI *(oznajmia silnym głosem):* Najjaśniejsza Pani Królowa:

Scena 5

Wchodzi królowa Bona, za nią jej fraucymer, królowa siada na krześle

PAN TRZEBIŃSKI: Illustrissima regina Poloniae...

Clementissima ac serenissima... [1])

(długa chwila milczenia)

KASZTELANOWA *(do Pani Balowej):* Mówiłam, że mu język skołczeje, i skołczał.

PAN TRZEBIŃSKI: Illustrissima...

PAN BAL: Dość już tytułów, mówże, panie Trzebiński, coś więcej.

PAN TRZEBIŃSKI: Nie przerywaj mi, bo zapomnę, com chciał rzec.

KASZTELANOWA *(do Pani Balowej):* Mówi, że dopiro teraz zapomni.

PAN TRZEBIŃSKI: Cuius fama sub orbe volat. Urbs Proszoviensis [1])... *znowu zamilkł.*

KASZTELANOWA: Urbs, jakie urbs, w Proszowicach jesteś, nie w Rzymie, stary bałwanie.

PAN TRZEBIŃSKI: Urbs Proszowiensis et loci incolae immenso gaudio...

---

[1]) Najjaśniejsza królowo Polski... Najłaskawsza i Janie Oświecona... (łac.).
[2]) Której sława niebios sięga. Miasto (stolica) Proszowice... (łac.).

dobrze mówię — immenso gaudio — exultati cum boris, silvis, gajis, rivis, campis, błonis, łąkis te salutant [1]) — skończyłem.

KASZTELANOWA Chwała Panu najwyższemu, że skończył.

KRÓLOWA BONA: Gdy do Castelnuovo z dalekiej i nie znanej mi jeszcze Sarmacji posłowie waszego króla po mnie przybyli, kasztelan Stanislao Ostroróg powitał nas Wergiliuszową mową tak piękną, iż zgromadzeni całej Italii uczeni, rerum humanarum periti [2]), wyjść z podziwu nie mogli. Cieszę się, że antyczna mowa i wam nie obca, a w oracji Pana... *(nachyla się do marszałka Wolskiego).*

MARSZAŁEK WOLSKI: Pana Trzebińskiego.

KRÓLOWA BONA: Pana... troppo difficile [3]), że ta mowa, tu u stóp Monte Cavallo, góry Koniuszy, może nie tak w formie doskonałej jak w uściech pana Ostroroga, ale przecież słyszeć się nam dała i wielką nam radość sprawiła.

Teraz śpiewu chórów posłuchamy. Siadajcie, signory [4]).

Scena 6

Panie siadają, obok królowej kasztelanowa, panie stoją za nimi: drzwi od komnaty się otwierają, wchodzi fraucymer królowej, kmiotkówne Reya i chłopcy z lutniami.

REY: Najjaśniejsza Pani Królowo, rozkaz twój spełnię. Ale ponieważ ten fest jest dziś dla mnie podwójnym świętem, pozwól mi moją przyszłą żonę sprezentować i łaskawości monarszej polecić.

bierze za rękę pannę Rożnównę i prowadzi ją do królowej, która jej kładzie rękę na głowie.

KRÓLOWA BONA: Twoja promesa sposa [5]), panie Reyu, bardzo wdzięczna panna.

KASZTELANOWA *(nachylając się do Pani Pileckiej):* Widzisz, Pani Pilecka, nie mówiłam, że Lucyper.

Rey odszedł i ustawia swój chór.

BEATRICE *(do królowej pokazując na dziewczyny):* Dulcissime fanciulle [6]).

ORSZULA MACIEJOWSKA *(do królowej):* Bardzo wdzięczne te pana Reyowe chórzystki.

Lutnie w rękach chłopców zaczynają grać, muzyka rzewna i smętna.

Śpiew chóru:

Bida, wielka bida jest wieśnej chudzinie,
marnie sobie zyje i tez marnie ginie.
Ciężka jest przy żniwie bidnych chłopków praca,
co najtłustszą kopkę pleban zaraz zmaca.
Ksiądz bierze kolendę, sołtys dziesięcinę,
tak wszyscy marnują te wieśną chudzinę.

---

[1]) Miasto Proszowice i tutejsi mieszkańcy, przejęci niezmierną radością, witają cię wraz z borami, lasami, gajami, strumieniami, polami, błoniami, łąkami (łac.). Rozstawny druk oznacza wyrazy, które w tekście mają źródłosłów polski, a końcówkę łacińską.

[2]) tu: wybitni humaniści (łac.).

[3]) zbyt trudne (włosk.).

[4]) panie (włosk.).

[5]) narzeczona (włosk.).

[6]) Przemiłe dziewczęta (włosk.).

Choć ksiądz wini pana, a pan wini księdza,
to nam, prostym ludziom, wiecnie głód i nędza.

REY: A teraz na inszą nutę, raźnie i wesoło.

Śpiew chóru:

Na wawelskim dworze okna malowane,
a zaś u cysarza wiechciem zatykane.
(krzyk) [1])

A królowa nasa, jak ten cherub w niebie,
siedzi se na stołku małą nózką grzebie.
(krzyk)

Król chodzi w koronie od janioła gładsy,
co chwilkę przystanie i w ślipia jej patrzy.
(krzyk)

Patrzy się w jej ślipia i sam się dziwuje,
ze tej ślicnej pani tak się przypatruje.
(krzyk)

KRÓLOWA BONA *(klaszcze w dłonie):* Ancora, ancora, jeszcze, jeszcze! *(dziewczęta porozumiewają się cicho z sobą).*

Śpiew chóru:

Pan Rey cudny nie jest, ale się odmieni,
coś wróble ćwirkają ze się będzie zynił.
(krzyk)

Lutnie grają znowu, ciszej i smutniej.

Śpiew chóru:

Bida, wielka bida jest wieśnej chudzinie,
Marnie sobie zyje i tyz marnie ginie.
(chór skończył śpiewać)

KRÓLOWA BONA: Bardzo pięknie, che suoni, che melodia, che armonia [2])! Głosy piękne i dobra muzyka. Dziękujemy, panie Reyu.

KASZTELANOWA: A czy zrozumiałaś, Najjaśniejsza Pani Królowo, co one śpiwały?

KRÓLOWA BONA: Nie wszystko.

KASZTELANOWA: No to ja ci, Najjaśniejsza, słowo za słowem wytłomaczę.

KRÓLOWA BONA: Później, później, pani kasztelanowo. Nie było nic w tym śpiwaniu, co by było indecente [3]), prawda, panie marszałku?

MARSZAŁEK WOLSKI: Ależ nie, illustrissima, takie rzewne narzekanie na swoją dolę.

KRÓLOWA BONA: Chciałabym, żeby te piękne głosy usłyszał pan nasz miłościwy. On tak lubi muzykę. Panie Reyu, zaprosimy cię z twoim chorem na Wawel.

REY: Przyjedziemy, Najjaśniejszą Pani Królowo.

KRÓLOWA BONA: A teraz panów nobilów i signory prosimy na ucztę. Panie marszałku, czy wszystko gotowe? Tutto è pronto?

MARSZAŁEK WOLSKI: Tak jest, serenissima.

---

[1]) Krzyk ten jest śpiewnym zawołaniem bez słów zbudowanym na gamie greckiej.
[2]) jakie dźwięki, jaka melodia, jaka harmonia! (włosk.).
[3]) niewłaściwe (włosk.).

Scena 7

Królowa idzie do drzwi wiodących do antykamery, za nią wychodzi jej świta i cała szlachta. Zostaje Rey z dziewczynami.

REY: A o nas zapomnieli. Głodne jesteście, dziewczęta?

DZIEWCZYNA PIERWSZA: No juści, wyjechaliśmy przed świtem z Topoli.

DZIEWCZYNA DRUGA: A u pani królowej dano nam się trochę wody kwaśnej napić z jakichś włoskich limon, cy z cego?

DZIEWCZYNA TRZECIA: Chciałam wypluć to świństwo, ale cóż, stoi nad tobą taka włoska panna i becy jak owca, beve, beve [1]).

DZIEWCZYNA PIERWSZA: A druga za nią skrzeczy: cara, cara [2]), wronę udaje, ino jej nie wychodzi.

REY *(zamyślony):* Nie wychodzi, powiadasz, nie wychodzi.

Słychać głosy z sali biesiadnej.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Wodę kwaśną piją zamiast słodkiego mleka, ale przyodziane są... śliczności mają na sobie.

REY: Mówisz, że śliczności...

(głosy z sali biesiadnej)

Piją i wiwaty wznoszą. To każdy potrafi, w gębie mocarze są, zdawałoby się, że lwy i smoki im nie straszne.

CHŁOPIEC PIERWSZY: Chciałabyś i ty takie świecidła mieć, obwiesić się kamykami, dopiero by chłopcy za tobą gonili jak wróble za gilem.

DZIEWCZYNA DRUGA: Nie potrza mi. Jak w rosie rano się wykąpię, to świecideł na mnie więcej i jaśniejse.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ino, że je słonecko w ocymgnieniu wysusy i nie mos nic.

REY: A więc teraz, dziwczęta kochane, pójdziemy na rynek, gzelców od przekupek kupimy i nad brzegami Szreniawy, rzeczki naszej kochanej, ucztę sobie wspaniałą zrobimy. Tam gdzie olchy wysokie rosną, co to po śmierci drzewo czyrwone mają, a niby słupy marmurowe imają się niebieskiej kopuły.

Tam będziemy mieli komnatę prawdziwie królewską.

Scena 8

PAN OTWINOWSKI *(wpada):* Mikołaju, twoje miejsce przy stole królowej.

REY: Dziękuję, drogi przyjacielu, ale ja z moim chorem zostanę, muszę je odwieźć do Topoli.

PAN OTWINOWSKI: Teraz im już nic nie grozi, mogą iść same.

REY: Nie, ja pójdę z nimi. Wyeksplikuj mnie przed marszałkiem Wolskim.

PAN OTWINOWSKI: A królowa?

REY: Królowa nie zauważy, że mnie nie ma przy stole. Zbyt nikczemna ze mnie persona.

PAN OTWINOWSKI: A jak zauważy, będzie się gniewać na ciebie.

REY *(śmiejąc się):* A ja się na nią gniewam, że moich dziewczyn na ucztę nie zaprosiła.

PAN OTWINOWSKI: Mikołaju, sam się śmiejesz z tego, co mówisz. Ale

[1]) pij, pij (włosk.).
[2]) droga, droga (włosk.).

pamiętaj, z takimi można żarty stroić i trefnować, którzy nie są tak wielcy, żeby gniew ich nam szkodę wyrządził. Z innym lepiej nie.

REY: Można i wielkiemu się sprzeciwić, gdy się jest tak małym, że on wcale nie zauważy, żeś gębę na niego wykrzywił. Gniewam się na najjaśniejszą, że poszła ucztować z tymi, którzy mnie i jej despekt chcieli uczynić.

PAN OTWINOWSKI: Sacra maiestatis voluntas [1]) — zresztą nie mogła inaczej uczynić, byłoby to dla całego stanu ślacheckiego obrazą.

REY *(gwałtownie)*: Ślachectwo musi w cnocie zabłysnąć. Gdyby na sprośnego osła uprząż wsadzić, tyż do słońca świcić będzie. Ci, co przodkami się szczycą, nie widzą, że przodek nie wiem jaki był, lecz potomka w każdej sprawie można nazwać zadkiem. Sama królowa to przed chwilą powiedziała, cytując swego Galatę, nie słyszałeś?

PAN OTWINOWSKI: Słyszałem.

REY: Więc czemu czyni inaczej?

PAN OTWINOWSKI: Bo wie, że obyczaje trzeba powoli naprawiać, ludzi, którzy w dziczy byli chowani, przyuczać, co jest obmierzłe, a co cnotliwe i przez to piękne, honeste et dulce [2]). Strofować, ale nie obrażać, upominać, a nie odstręczać i tym sposobem, gdy zwierzchność nad poddanymi sprawuje, wielkiej monarchini wpływ i powaga rośnie.

REY: I czekać, aż kopuła niebieska na łeb nam spadnie i skowronki potłucze?

PAN OTWINOWSKI: Żaden tytan świata jednym zamachem nic nie przemieni.

REY: Wracaj do komnat królowej, przyjacielu, gdyby się o mnie pytała, powiedz, że niemoc mnie nagła wzięła.

PAN OTWINOWSKI: Że dur ci do głowy uderzył, choć wina nie piłeś.

REY: Że na Wawel z moim chorem przyjadę, śpiewać królowi przy stole, bo tam panów Trzebińskich i takiej zacnej kompanii chyba nie znajdę.

PAN OTWINOWSKI: Że chimeruje vates polonus [3]) *(wychodzi)*

Rey patrzy się za nim chwilę i podchodzi do chóru.

Scena 9

CHŁOPIEC PIERWSZY: Cego te panny królowej po polsku gadać nie umieją?

DZIEWCZYNA DRUGA: Siedzi to u nas tylo lat, chleb ji z nasej psenicki, a mowy się nie naucy. Głupie to, cy jakie?

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Bo nie chce.

REY: Dobrze powiedziałaś, bo nie chce.

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Bo im nie potrza. Wszyscy sobie gęby wykrzywiają, żeby tak gęgać jak one i ta panna, co z nimi była, tyz skrzecała jak sroka.

DZIEWCZYNA DRUGA: A jak się spiesy taka panna, by swoje wygadać, nawet tchu złapać nie moze. Jesce jedna gęby nie zamknęła, a już druga otwiro. Drą się jak wróble na ściernisku. Ale wróblowi nie ma się co dziwić, bo ptok.

---

[1]) święta wola Jej Królewskiej Mości (łac.).
[2]) uczciwe i słodkie (łac.).
[3]) polski wieszcz (łac.).

DZIEWCZYNA TRZECIA: Wróbel ptok, ale ona mogłaby zackać, aż jej sąsiadka swoje skończy, bo nie wie nawet, co jej powiedzieć. Ale nie, za bardzo jej pilno, by swoje wyskrzecyć.

DZIEWCZYNA CZWARTA: Takie to widać od młodości nie wyucone po ludzku rozmawiać.

REY: Przyjdzie taki czas, moje dziewczęta, że w Polsce ino po polsku wszyscy mówić będą naszą cudną, soczystą mową. Co taka jest, że słowo, kiej z gęby wyleci, to tak mocno dźwięka, że z drugim słowem poczekać trzeba, aż po tym pirwszym echo zamilknie. A iskry się z niego sypią jak z żelaza na kowadle, ino taka gwiazdeczka — iskierka — to sparzyć może, gdy kto łapę niebacznie podstawi. I przyjdzie taki czas, że każda księga tym słowem napisana będzie i wam najmilszym stanie się towarzyszem. Wrócisz z sirpem od żniwa, sirp powiesisz na ścianie, a książkę z półki zdyjmiesz i czytać sobie zaczniesz. Nocka już na niebie zaszła, ptaszęta ucichły, cisza jest dokolusieńko, nawet pies mało który zaszczeka, a u ciebie gwarno i rojno. Bo zapaliłeś sobie kaganek i książkę czytasz.

I różni błazenkowie wyszli z tych literek, co je trzymasz przed ślipiami, a nuż opowiadać, jako im się na świecie powodziło, co nabroili, a czego się ustrzegli, jakie góry, ziemie i morza widzieli.

Niemiło ci słuchać będzie?

DZIEWCZYNA PIERWSZA: Ale na to trza umieć cytoć. Ha, mało rzec. Nie kazdy, choć bogactw ma do syta, nie kazdy zołnirz, ba nawet ksiądz, nie kazdy to potrafi, a cóz dopiro chłop bidny.

DZIEWCZYNA DRUGA: Ksiądz umie cytoć, bo zawdy na ołtarzu jakąś księgę mo.

DZIEWCZYNA TRZECIA: Ino ci, co do msy słuzą, to mu tę księgę casem zabirają, z lewa na prawo przenosą.

DZIEWCZYNA CZWARTA: Na złość mu robią, czy co?

REY *(w zachwyceniu jakby do siebie):* Książkę czytasz, co twoją własną mową do ciebie gada. Kiedy życie ludzkie, jako bańka szklana, malutkim wiatrem zachwiawszy się spada, słowo pisane grzmi przez wieki.

Gdy słowo roztoczy skrzydła, już fałsz chodzi ponuro, już wszelka nieprawość w ziemię łeb tłoczy. Góry i wieże padną i kamienne sklepy, wszystko, co z gliny ulepione, a książeczka mała, małymi literkami drgająca jak promienie słońca w powietrzu czystym, zostanie wiecznie.

I sława z niej nawet po śmierci człowiekowi może być pożyteczna.

Słuchajcie, dziewczęta, nową jeszcze piosenkę do waszych śpiwek dodam, tylko słuchajcie uważnie *(mówi):*

To, co oczy widzą, wszystko z czasem minie
a poćciwa sława nigdy nie zaginie.

CHÓR: *(śpiewa)*

To, co ocy widzą, wszystko z casem minie
a poćciwa sława nigdy nie zaginie.

(okrzyk)

(wychodzą)

KONIEC

Ludwik Hieronim Morstin

STANISŁAW ZIELIŃSKI

RODACY*)

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Polska! Polska!

Mało kto spał po wagonach. Ludzie, choć przywykli do stuku i twardych legowisk, siedzieli przy tobołach czekając świtu od głębokiej nocy.

Przez szpary prześwitywała ziemia nakryta śniegiem, a w okratowanym oknie ledwie zaczynało świtać. Mężczyźni ćmili na potęgę, kobiety mocniej zaciskały supły na pakunkach, pociąg toczył się wolno, jakby i maszynista oglądał się na słońce. Wygasły lampy, poczerniały piecyki. Ziąb przechodził przez ściany i wpełzał pod koce i płaszcze. Czwarta noc podróży dobiegała końca. Wyjechali wiosną, przyjeżdżali zimą.

Może światła zabłysły znajomo lub swojskie wydały się żurawie schylone nad obejściami, albo wierzby szeregiem ciągnące przez pola przypomniały drogę wiodącą do domu.

Z hurkotem odsuwano drzwi. Wytknąwszy głowy patrzyli na brzozowe zagajniki.

— Polska! Polska — wołano ze wszystkich wagonów.

Słońce właśnie wschodziło. Zorze były blade i śniegi świeciły chłodnym sinym blaskiem stykając się na widnokręgu z popiołowym niebem. W zaspach tkwiły kadłuby popularnych czołgów, a w środku pola, jak drzewo złamane przez burzę, sterczało skrzydło samolotu z biało-czarnym krzyżem. Lokomotywa gwizdała raz po raz.

Z bliskich chat wychodziły na spotkanie kobiety otulone w chusty i biegły bose dzieci. Rojem śpieszyli ku torom. Transport posuwał się wolniuteńko, więc bez wysiłku towarzyszyli repatriantom i zaglądali do wnętrza wagonów.

Pociąg wjechał już między perony, na których stali żołnierze i baby czekały z kiełbasą. Dziwny powrót. Przyjechała kupa ludzi, lecz na stacyjce ani krewnych, ani znajomych. Wysiadać, nie wysiadać? Prawdę powiedziawszy, mało kto wiedział, jak się wobec Polski należy zachować. Półgębkiem wymieniano uwagi.

— Artyleria...

— Matko Święta! Gdzie armaty?!

---

*) Patrz Twórczość nr poprzedni.

— Armat nima, ale sukno przy rogatywkach zielone, więc mówię, że artyleria służbę przy nas trzyma.

— Spoglądaj bystro, jakie mają orzełki!

— Blaszane.

— Zgłupiał chłop od jazdy! Z koroną, czy te nowe?

— A jak bez korony, to co? Będziemy wracać? Oj, ludzie, ludzie!...

— Patrzcie go! Zapytać nie wolno! Obtarganiec!

— Płaszcze kuse i wiatrem podbite. Postrzępione...

— Niemiec też, proszę pana, płaszczy nie podszywał od dołu. Taka wojenna moda, aby prędzej.

— Dzieciaki bose, a wojsko ma w futrach chodzić? Hitler ludzi wywoził, nie biedę. Została. Trudno odrobić się przez dwa lata. Biedy człowiek spodziewał się, to i jest. Każdemu równo.

— Ciszej! Dwóch wojskowych idzie! Nie może pani dziecka zabawić? Drze się jak opętany! Chory czy co?

— A co mu zrobię? Jak zobaczy mężczyznę z karabinem, to zaraz myśli, że hitlerowiec.

— Źle chowany. Miał czas odwyknąć.

— Akurat trafił!

— Ciszej!... Ciszej!...

— Słyszycie? Mówią po polsku.

Umilkli porażeni odkryciem. Żołnierze przeszli dalej. Zapisywali numery wagonów, liczyli piecyki i skrzynie na opał. Wszystko musiało powrócić na amerykańską stronę.

— A co my tak patrzymy i patrzymy? Transport dalej nie idzie. Stać będzie do wieczora. Trzeba wysiadać czy jak?

— Jakże wysiąść, kiedy zapchali drzwi i mędrkują!

— Właśnie! Pocą się chłopy niby w lipcu. Dziecku dech zatyka.

— Wysiadać! Wysiadać!

— Zeskoczył i zadowolony! Podajże rękę!

Mężczyźni mocniej nacisnęli pilśniowe kapelusze, które za papierosy pokupowali w Pradze, i skakali na udeptany śnieg. Za nimi kobiety. Od wagonów na razie nikt nie odchodził z uwagi na rzeczy. Obrotniejsi zajadali już kiełbasę i popijali herbatą z arakiem. Wszyscy patrzyli ciekawie na baraki ustawione tuż za stacyjką, na wyblakłe flagi i portrety przybrane zrudziałą jedliną. Transport nie był pierwszy.

Wtem od strony szosy zawarczał samochód. Z klekotem łańcuchów zajechała ciężarówka wioząca orkiestrę. Żołnierze chwilkę przytupywali dla rozgrzewki i zabijali ręce. A potem stanęli czworobokiem naprze-

ciw wagonów. Kapelmistrz dał znak. W skąpym słońcu wspaniale zalśnił mosiądz. Pisnęły trąbki i zahuczał bęben.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Ludziom tchu zabrakło. Melodia walnęła po sercach i zamgliła oczy. Słuchano, a słońce świeciło wprost w twarze tak przenikliwie, że i mężczyźni wyciągali chustki.

Marsz, marsz Dąbrowski...

Kobiety pochwyciły pierwsze. Bardziej nawykłe do wzruszeń ozwały się śmiało i „złączym się z narodem" śpiewali już wszyscy, prowadząc orkiestrę od zwrotki do zwrotki.

— Marsz, marsz!... Do Polski!... — huczała pieśń coraz głośniej. Kto myślał inaczej, krył się w rozrzewnionym tłumie. Przez łzy każdy każdemu wydawał się bratem, na dziś i na zawsze.

Tański stał obok urzędnika PUR-u, który przemówić miał zaraz po orkiestrze. Popatrzył jednak po twarzach i machnął ręką, by grano dalej krakowiaki, kujawiaki.

— Teraz są w Polsce. Chodźmy, kapitanie, już po wszystkim. Nie pierwszy transport spotykam, ale przy każdym skrzypi serce i wzrok się psuje. Wiecie, tu „Jeszcze Polska" brzmi jakoś inaczej... A może rozklejam się na starość? Pan od wojny poza krajem? Pamiętam pańskie artykuły. Ho, ho! Toż były rewelacje! Biły pałką w łeb, ale mówiąc szczerze, mało kto panu wierzył. Więc to tak... Jednak prawda...

Tański skinął głową. Nie wdawał się w rozmowę. Trudno pomieścić wszystko w paru słowach. Daleka droga podobna do wykresu gorączki ciężko chorego człowieka... Od Berezy do Ałma Aty, od Iranu do kamienistej pustyni Khanaqinu. Potem Palestyna, Syria... Manewry w górach Judei... Znów pustynne piaski. To już Egipt. Wreszcie front włoski. Wreszcie — Polska.

Długo była odległym celem trudnej walki i oto — jest. Im dłużej poza krajem, im dalej od ojczyzny, tym prędzej wspomnienia zmieniają się w obrazy, a te urastają z czasem do symbolu. I towarzyszą wędrówce po rozległym świecie. Wystarczy potem pomyśleć „Polska", by ją zobaczyć tak wyraźnie, jak widzi się szyldy w obcym mieście lub krajobrazy obcych stron. A kiedy w drodze powrotnej przekroczy się granicę, obrazy giną zmyte falą prawdziwych wspomnień. Zapomniane imiona

i twarze odżywają w pamięci. Ludzie sprzed lat są znowu blisko i choć się dobrze wie, że wiele zmian i dużo upłynęło czasu, myśl mimo woli biegnie w przeszłość. Nie zrozumie, kto nie w r a c a ł, kto nie tęsknił i tęsknotą nie żył.

— Wstąpcie do mojej klitki. Repatriantów zostawmy w spokoju. Po cóż przypominać im obóz, długie namysły, zwlekanie. Po co krążyć wśród nich jak wyrzut sumienia? Hej, kapitanie! Wzięło i was. Gadam, gadam, a wy ani mru-mru!

Tański myślał o bracie, który powikłał mu życie jednym bezmyślnym żartem. Oczywiście, tyle w tym winy Jacka, ile kobiecej ambicji. O, tak. O n a ufała tylko ambicji...

— Tak, oczywiście, macie rację — odpowiedział nie słysząc pytania. — Chcę przed wieczorem dojechać do Katowic.

Orkiestra umilkła i odeszła. Repatrianci wynosili rzeczy, ładowali zagraniczny dorobek na sanki i ciągnęli do baraków. Przed kuchnią formował się ogonek po grochówkę z boczkiem. Dzielono chleb. Ludzie ważyli bochenki w dłoni, wąchali i mówili, że pachnie jak piernik. Amerykańska eskorta patrzyła nie kryjąc pogardy: czarny chleb!

— Kapitanie, kapitanie! Polska nie kończy się o zmroku. Będzie jutro i za tydzień. Siadajcie, rozprostujcie nogi! Nim porucznik upora się z samochodem, zdążymy wypić po jednym i zakąsić. Popatrzcie na słoninkę: tu bialutka jak śnieg, a na bokach rumiana. Uważacie, nie ma stosowniejszej przyprawy od papryki. No, stary żołnierzu...!

— A jednak... — Tański wyciągnął rękę w kierunku wioski ukrytej za brzozowym laskiem. — To bieda nie kłamana.

— Zima była ciężka. Transporty zboża radzieckiego nie mogły do nas dotrzeć. W portach utknęły transporty unrrowskie. Ministerstwo Aprowizacji nie miało zapasów nawet na pokrycie chleba kartkowego dla robotników miast. I dopiero akcja ujawniania resztek w magazynach, podjęta z inicjatywy Partii, przyniosła osiemdziesiąt tysięcy ton ukrytego zboża. Tak tu się dzieje na razie... O wszystko trzeba walczyć, nic nie spada z nieba. No, mgła w oczach, mgła na kieliszku... Niebo ciemnieje. Nie jedźcie, idzie śnieg...

Po południu zaczęło prószyć, a gdy samochód wydostał się na szosę, śnieg walił w szyby lepkimi płatami. Trafili w zadymkę. Wóz szedł środkiem drogi między fałdami zasp, wśród ciemniejących ścian lasu.

W obozie odradzano jazdę. Kierownik PUR-u bąkał o pogodzie i ciężkiej drodze nie przetartej pługiem. Oficer UB ruszał ramionami — Chcecie jechać, to sobie jeździcie. Jeśli wpakujecie się w jakąś kabałę, nikt po was nie ruszy przed świtem.

Porucznik Ciągardlak uparł się.

— Wóz na łańcuchach. Pociągnie. Za godzinę będziemy w Katowicach. Ja, chłopski syn, nie boję się polskiej nocy. Widziałem lepszy śnieg.

Zanim odjechali, oficer UB powiedział do Tańskiego:

— Zadzwońcie z Katowic! Różnie bywa po drodze. Lasy w tych stronach tęgie. No, tak. Pistolet jest? To dobrze, ale i spryt też przydaje się czasem.

Co kilka minut Tański wysiadał i odgarniał śnieg z przedniej szyby, bo wycieraczki podmarzły i odmówiły posłuszeństwa. Śnieżyca nie cichła. Zmrok zapadał szybko. Jechali w milczeniu nie mogąc doczekać się końca posępnego lasu. Naraz spomiędzy drzew wysunął się człowiek i błysnął czerwonym światełkiem latarki.

— Gazu! — krzyknął Tański.

Wóz poderwał się. Przemknęli mimo, ale paręset metrów dalej musieli stanąć. Niewielki świerk leżał w poprzek drogi. Tański opuścił boczną szybę. Kilka uzbrojonych postaci otoczyło samochód. Świecili w twarz latarkami i czekali na dowódcę, który gramolił się z lasu. Zapytał otwierając drzwiczki:

— Cóż to panowie tacy nieuprzejmi? Kolega was prosił, byście go podwieźli kawałek, a wy nogi za pas jak złodzieje. Bagażyk u panów ładniutki. Proszę, nie róbcie głupstw i trzymajcie rączki na wierzchu. Ależ dmie! Służba, co?

— Bałem się, że utkniemy w śniegu. A poza tym, straszono nas bandytami. Rozumiecie? — Odparł Tański. Na kożuszku dowódcy połyskiwały gwiazdki. Podkomendnych pięciu, sześciu... Tański porzucił myśl o strzelaninie. — Na szczęście trafiliśmy lepiej. Bo my, panie kapitanie, do Polski jak po ogień. Na urlop i z powrotem. Sięgnijcie do kieszeni. Mam tam papiery amerykańskie. Są i papierosy. Trzeba opalić spotkanie.

Dowódca cofnął się, zerknął na numery samochodu. Litery U. S. widniały jak byk. Spojrzał niepewnie na podkomendnych. Zaszeptali żarliwie:

— Brać wory... Wóz aż trzeszczy od wszelkiego dobra... Brać, panie kapitanie, brać! My ich migiem...

Ciągardlak zdrętwiał nad kierownicą. Powracał na stałe do Polski, więc wiózł to i owo. Repatriację miał gdzieś, ale handlu nie obchodził bokiem. Przyśpieszyło to rozbrat z Misją, lecz kiepską opinią nie trapił się wcale. Gromadził z uporem, co tylko wpadło w ręce. „Samych elektrycznych maszynek do strzyżenia uzbierał człowiek ze dwieście i teraz

mam oddać byle przybłędzie? Niedoczekanie! Tański dureń! Ma pistolet i nie strzela!" Więc Ciągardlak wtrącił się do rozmowy.

— My, kolego, pracujemy w UNRRA... Pozwólcie bliżej... W Katowicach czeka na nas jeden Amerykanin. Mieliśmy być w południe, ale sami widzicie, jaka dziś droga. Nie macie mocniejszej kropelki w manierkach? Ziąb paskudny!

Tański wyciągnął papierosy i podsunął dowódcy. Zapalili. Światło zapałki wydobyło z cienia szeroką twarz, czarną od zarostu i czerwoną od mrozu. Tański drgnął i szybko zdmuchnął płomyczek. — Bez wątpienia znajoma gęba!

— Manierki puste... Skąd wódka na takim odludziu? — Dowódca poprawił futrzaną czapę i olśniony własną chytrością, spytał — Ten Amerykan, to taki duży chłop, barczysty, co? Jasne włosy i białawy pysk?

— Dajcie spokój żartom, panie kapitanie! Jak czekacie na tramwaj, to wiecie z góry, kto kręci w nim korbą? Czy łysy, czy rudy? Każcie chłopcom odwalić drzewo, bo samochód nie koń i nie skoczy.

Chwilę trwała cisza. „Kapitan" zaciągał się raz po raz i myślał. Wreszcie dał znak. Chłopcy podeszli do zapory i z wyraźną niechęcią odsłonili drogę.

— Kłaniajcie się Katowicom... A jakby pytali o mnie, to szepnijcie Amerykanowi, że kapitan Bratek na posterunku dzień i noc. W pogodę i śnieżycę. Aby do wiosny, co? Czołem, czołem! My tu poczekamy jeszcze. Może kto będzie jechał. Szkoda każdej nocy...

Odjechali spory kawał, zanim odezwał się Ciągardlak.

— Ale z ciebie fujara, Roman! Myślałem, że poczęstujesz bandziora z dziewiątki, a ty z nimi w układy. No, no... Gdybym się w czas odezwał, pognaliby nas w las jak amen w pacierzu. Trzeba było haratać, jak tylko poznałeś, co za jeden. Bagaż mu się podobał...! Ja bym dał na gaz i — w nogi!

— Ze strzelaniem, to tak jak z gadaniem. Nie sztuka zacząć. Rzecz w tym, kto powie ostatnie słowo. Zresztą zapomniałeś o drzewie.

Reflektory jeszcze utykały w puszystej zasłonie, ale śnieżyca straciła na sile. Pozostała nad lasem, który rozchyliwszy się nagle ukazał dalekie światła jakiejś osady. Obydwaj odetchnęli z ulgą. Przez otwartą przestrzeń jechało się raźniej. Czasem korciło, by obejrzeć się poza siebie na las, ale i to minęło po kilku kilometrach drogi. Miasteczko spało. Krótki postój na rogu ulicy Słowików i Bohaterskich Bojowników nie przyniósł nowych wrażeń. Knajpa, do której próbowali się dostać, istniała od 1540 roku, ale tej nocy bawiono się w niej przy drzwiach zamkniętych.

„Zabawa prywatna", przeczytał Tański. Znów wsiedli do samochodu. Późną nocą dotarli do miasta.

Młodziutki oficer nie przejął się opowiadaniem. Patrzył na Tańskiego znużonym wzrokiem nie ukrywając zniecierpliwienia. Postawił krzyżyk na mapie i podsunął meldunek do podpisania.

— Odradzali jazdę! No, proszę! Kto kazał tłuc się po nocy? Połączenie telefoniczne zerwane od dwóch godzin. Niby co mam zrobić? Patrzycie na mnie jak kurczę na kaczkę.

Tański zagryzł wargi. Mruknął:

— Uważałem za swój obowiązek zameldować wam o spotkaniu. Róbcie, co do was należy. Grymasów nie jestem ciekaw.

— O, właśnie! Już pan się nadąsał! A ja tylko pytam, co mam robić? Ani jednej maszyny na miejscu, wszystkie tłuką się w terenie. Ludzie, eh... Co wy wiecie o Polsce...! Tyle, że mówi się „obywatelu" albo „towarzyszu". A tu, proszę was, aż kipi! Ukrop parzy ręce. Ludzie wracają z wyprawy, prześpią parę godzin i już gonią w inną stronę. Myślicie, że tamci nie mają broni? Umieją strzelać celnie. Wojna...

— Znam wojnę. I nie tylko wojnę. Nie trzymali mnie w worku do dzisiejszego wieczoru.

— Znacie? A ja wam powiem bez obrazy, że nie znacie. Wojna wojnie nie równa. Tu inaczej się krew leje niż u tego barona, jakże go tam?... Andersa! No, nic. Poślemy ciężarówkę rano. Linię trzeba naprawić. To wasz wóz? — Oficer spojrzał przez okno. — Nie? Szkoda. Ładny. Towarek też pewnie ładny? Ej, kapitanie, po co takie miny. Ja nie celnik. Przyjechało, to zostanie w kraju. A wasze nazwisko znajome. Tański, Tański... Znałem Tańskiego. Imię wyleciało z głowy, a pseudonim nic wam nie powie. Może brat, kuzyn? Podobniście nawet.

— Tańskich dużo.

— Pewnie. Tylko Puganiec został jeden, bo ojciec nie żyje. Wiecie, jak rodzina rodziną, nie było u nas oficerów. Dopiero ja — pierwszy kapitan wśród Pugańców. Maturę teraz robię na kursach. Ot, panie kapitanie, tak. Nauka idzie ciężko.

Zadzwonił telefon. Puganiec słuchał chwilę, potem powiedział zmienionym głosem:

— Nie poślemy ciężarówki rano. Dwa wozy wjechały na miny. Maszyny spalone, a ludzie ledwie się odbili. Nie wszyscy. Czy zaczynacie rozumieć?

Ciągardlak bardzo niepokoił się w samochodzie.

— Chciałem już ruszać. Myślałem, że cię zamknęli.

— Za co?

— Mnie pytasz? Dobre sobie! Ich pytaj!

— O kim ty mówisz? — zapytał Tański hamując złość. — Człowieku, przestań ględzić! Ich! Ich! Kogo?

— Przecież ja nikogo zamknąć nie mogę, więc dlatego mówię o nich... Ale jedźmy. Czas poszukać noclegu. Najwięcej hoteli w pobliżu dworca. Pytałem wartownika.

Ciemnawą ulicę rozjaśniały światła rozrzucone jak ogniska cygańskiego biwaku. Barwne łuny szumiały gwarem i dudniły przytłumioną, niespokojną muzyką. W ciszy nocnej huczały „Lotosy", „Bajki" i „Andaluzje". Od dworca odzywały się głosy lokomotyw przypominające do złudzenia syreny statków nawołujących się we mgle.

Ciągardlak wykłócał się z portierem o pokój. Tański siedział w hallu i mimo woli słuchał rozmowy sprzątaczek czekających cierpliwie, aż goście opuszczą hotelową restaurację.

— ...mój mąż ubrał wszystko nowe i tak siedzieliśmy w piwnicy. Było za pięć trzy na piątą, jak weszli. Wychodzimy na górę, a oni zaraz pytają o familię i gdzie „germany". Mąż pokazał na drugi dom, bo tam mieszkał stolarz Herman. Ale pokazało się, że pytali o niemieckich wojoków. Zaczęli nas ściskać, a ja myślę: duszą! Niemiecki wojoki mówiły tak, nie? Przed nocą napalili w kuchni i wołają, żeby dać „wiłki i sal"! A jeden miał taki nóż! Chodził z tym nożem i ino bruskował. Chce nas popodrzynać na śpiączku! Z tego strachu usnęłam wnet. „Wstawaj chaziajka!" — krzyczy na mnie i świeci w oczy, bo mieli ze sobą karbidka. Myślę — koniec! A w tym gastrolu wre! Nagotowali mięsa i mnie budzą, żeby jeść. Ten kawał, co mi go dał, na trzy obiady mógł być dla całej rodziny. Albo i na cztery.

— Za Niemca było lepiej, nie? Dużo kartofli i mało mięsa. Jest tam ale gotowe?

Portier pokręcił głową. Za ścianą bawiono się jeszcze wesoło, Ciągardlak schował portfel i szepnął do Tańskiego:

— Trudniej o pokój w hotelu niż o nową wojnę. Zdarli okropnie. Policzymy się później. Chodź, trzeba wypełnić druczki. O, patrz...

Wysoki, prawie chudy mężczyzna i pani w szarym futrze odebrali klucze od portiera i nie czekając na windę poszli na górę.

— Jego znam... Jakiś Malinowski, czy inny Wiśniewski. Wyprawiłem go do Polski przed paru miesiącami. Wyglądał w Niemczech jak półtora nieszczęścia, a teraz z wytworną kobietą pod pachę! Proszę, proszę, nawet nie poznaje! Szefie, kto to jest?

Portier uśmiechnął się dyskretnie. Ciągardlak sięgnął do kieszeni.

— Pani Monika Wypęska — rzekł portier chowając banknot.

— Aha... Dama, co?

Gdy w grę wchodziły kobiety, Ciągardlak stawał się rozrzutny, a że ponadto był bardzo ciekawy, więc raz jeszcze otworzył portfel. Chciwie słuchał wynurzeń portiera i mrugał znacząco na Tańskiego: patrz, jak trzeba kręcić w życiu!

— No, nareszcie! — wykrzyknął Tański, gdy weszli do pokoju.

Przypomniał sobie nazwisko, które męczyło go od kilku godzin. Oczywiście ani Bratek, ani kapitan! Po prostu starszy przodownik Bizuń! Jak się wyraził? „Na posterunku dzień i noc...". Aha, tędy myśl biegła! „Na posterunku", to przecież nazwa gazetki policyjnej! Dawno to było, bo dawno, ale takich twarzy nie zapomina się łatwo. Trzeba było stawać przed Bizuniem na baczność i meldować się: panie komendancie. Taki był regulamin w Berezie.

— Znasz Wypęską? — zdziwił się zaniepokojony Ciągardlak.

— Ah, nie. Pamiętam dobrze twarze, lecz łatwo gubię nazwiska. Właśnie przypomniałem sobie jedno. To wszystko.

Następnego dnia Tański pojechał do Krakowa. Ciągardlak pozostał czas jakiś, by sprzedać samochód i zawartość worków. Miał też i inne plany, bardziej intymnej natury, lecz wzięły w łeb. Wypęska znikła z hotelu, zanim Ciągardlak zdołał nawiązać znajomość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szli pod światłami sygnałów oddalając się od zorzy dworca. Przechodzili przez puste wagony, omijali lokomotywy prychające różową parą i znów kluczyli pomiędzy latarkami zwrotnic. Wśród przeplotów szyn szukali składu warszawskiego pociągu.

— Spokojna głowa, znajdziemy. Jestem tu na emigracji, ale znam już te ich krakowskie kąty jak, grzech porównać, naszą świętej pamięci Warszawę Główną. Wsiądzie pan sobie wygodnie i byle za Miechów wyjechać, bo największe zaspy właśnie przed Tunelem. Mówią też, że Pisany odszedł od gór i pokazał się w tamtych stronach z wielką siłą. Teraz czas taki, że niczemu dziwić się nie można. Ot, nie dalej jak tydzień papieża widziano na Rynku. Szedł w cywilnym ubraniu, a trzy amerykańskie samoloty pilnowały go z góry krok w krok. Podobno przyjechał popatrzeć, czy rząd sprawiedliwy i czy bieda wielka. Z czym odjechał — nie wiadomo. Musi być to prawda, bo niemieckich niewolników odesłano na Warszawę. Powiadają, że papież na niemiecką odmianę losu najwięcej czuły. Nad prawosławnymi władzy nie czuje i z tej

złości nie chce nam przyznać Wrocławia ani Zielonej Góry. Mówiła wczoraj bufetowa, że już się jakoby zgodził na Szklarską Porębę. Warunek jednak postawił taki, że hitlerowiec nie będzie nam zamiatał ulicy, ani gruzów rozbierał. Jak tylko nasi wyremontują salonki, to zaraz mają się brać do roboty i rozwozić hitlerowców po szkopskich parafiach. O, jest nasz skład. Przejedzie pan Tunel i można już Warszawy wyglądać. Teraz tylko pan sobie wsiądzie i gotowe. Uszanowanie.

Numerowy zniknął. Tański stał chwilę przyglądając się ciemnym i sennym wagonom. Wreszcie szarpnął klamkę. Z mrocznego wnętrza odezwały się rozdrażnione głosy.

— Zamknąć drzwi! Pociąg ruszy, to na wszystko będzie czas. Jeszcze ktoś do naszego wagonu? A cóż to się dzieje? Każdy tu lezie jak po swoje! Zobaczcie, czy bagaż duży! Tylko walizka?A skąd gęś się odzywa? Oj, czy kojca nie trzyma za plecami! Wojskowy? Wsiadaj pan! Wsiadajcie, obywatelu! Śmiało, pociągniemy was troszkę. Razem panowie, ho-hop! Walizkę niech pan weźmie na głowę! A teraz kolanami i do przodu! Do środka, dalej, dalej!

Tański zatrzymał się w połowie korytarza. Szyba była wybita i podróżni unikając zimna zostawili przy oknie akurat tyle miejsca, że mógł swobodnie postawić nogi. Głosy ucichły i wagon zapadł znów w czujną drzemkę. Po dwóch godzinach stuknęła lokomotywa i pociągnęła skład między perony. Tam wsiadło jeszcze parę osób. Wkrótce potem semafor dźwignął ramię, zabłysło zielone światło i pośpieszny potoczył się w stronę Warszawy.

Iskry tuliły się do torów. Pęd porywał sypki, nawiany śnieg i ciągnął za pociągiem wirującą kitę. Pola, domy, drzewa — wszystko było niebieskie. Księżyc w pełni wisiał nad przesuwającym się krajobrazem. Często zgrzytały hamulce. Ostrożnie postukując kołami wjeżdżali na mostki pilnowane przez uzbrojonych strażników. Potem znów powracała szybkość. Pociąg nadrabiał stracony czas, by po kilku minutach zatrzymać się przed naprawianym odcinkiem. Wagony sunęły wolno mimo postaci opartych na łopatach i kilofach. Koks płonął w koszach i oświetlał twarze i broń przewieszoną przez plecy. Ozwały się gwizdki, zakołysały latarki, pojechali.

Z kilkodniowych wrażeń układał się już nowy obraz, który przesłaniał dawne, wyrosłe we wspomnieniach. Notatka z wczorajszej gazety, że już odbudowano dwadzieścia kilometrów mostów i naprawiono dziesięć tysięcy kilometrów toru, nie przemówi tak dobitnie jak widok człowieka pracującego z karabinem na plecach. „Polska wciąż pod bronią". Tański przypomniał sobie rozmowę z ojcem Masłowca. Nocował

u niego w Krakowie. „Przeżywamy, panie towarzyszu, rewolucję rozłożoną na raty niby podatek. Na dziesięciu przechodniów pięciu nosi mundury, a co najmniej trzech dźwiga pepesze. Nie jest to broń od parady. Oddziały leśne lub, jak pan woli, bandy, można zobaczyć nie wchodząc na wieżę mariacką. Dość powiedzieć, że spowiednicy odwiedzają je na piechotę. A śnieg jeszcze leży i zima ścieli się nadal. Teraz stukają dzięcioły po lasach, ale na wiosnę ustąpią miejsca karabinom. Tu każdy strzał budzi stokrotne, kawiarniane echo. Kraków, to nie Warszawa. Kto stracił szyby w oknach, uważa się za zbombardowanego. Spokojni radcy, spłoszeni dalekim dudnieniem armat, opowiadają dziś o froncie ze swadą ułana-zabijaki.

Poza nami Referendum i wyborcza gorączka. Spodziewano się po klęsce Mikołajczyka Bóg wie czego. Desant z morza, spadochroniarze z powietrza; bomby atomowe i zwykłe miały się znów posypać na miasta i wioski. Nic podobnego, jak dotąd, się nie stało. Wolno więc fantazjować: a gdyby demokracja padła w wyborach? Nie wiem, czy masło byłoby tańsze, a kiełbasa lepsza. Zyskalibyśmy z pewnością wojnę domową. Niech pan nie wierzy w owych chłopków, co siąkając nosami wspominają rzewnie dawne pańskie czasy. Chłop oporniej od robotnika idzie za nowym, ale jak już krok postawi, to cofnąć go nie ma ochoty. Robotnik też prędzej chwyci za karabin, niż da się zepchnąć do przedwojennej roli. Zatem, byłaby wojna. A my, nie mamy zmagazynowanej krwi do jeszcze jednej transfuzji. Nadto, odeszlibyśmy z kwitkiem z Ziem Odzyskanych. Bez poparcia Związku Radzieckiego nie utrzymamy granicy na Odrze i Nysie.

Czy pan zwrócił uwagę, że na Ziemiach Odzyskanych zwolennicy Mikołajczyka zdobyli tylko jeden mandat? Bodajże w Gdańsku? Kto patrzy baczniej, zobaczy nie tylko dolary, ale i pana Byrnesa. Politykę anglosaską w Niemczech zachodnich zna pan zapewne doskonale. Powiem tyle: liczymy każdego uzbrojonego hitlerowca... Amerykanie i Anglicy postawili już zapewne krzyżyk na Mikołajczyku, ale nie oznacza to ani zawieszenia broni, ani ciszy w lasach. Czeka nas praca nad utrwaleniem ustroju. Odbudowa i budowa. Były dziwaczne pomysły, żeby Oświęcim utrwalić w pamięci świata milionem krzyżów, Warszawę zaś pozostawić w gruzach, by stała się pomnikiem w i e l k i e j r u i n y. Być może, Rzym zzieleniałby z zazdrości, lecz cóż przyszło by nam z takiego rozwiązania? Musimy, a raczej wy, bo ja niewiele zdziałam już na świecie, przekazać następnym pokoleniom pomniki z zieleni, pomniki-szpitale, szkoły... Mieszkania z łazienkami i słońcem w izbach. Inaczej, proszę kochanego pana, prawnukowie będą ze wstrętem oglądali się

w przeszłość. Nie zrozumieją łez i sensu wytoczonej krwi. Będą ruszali ramionami widząc ułomki ścian, nie wiedząc nawet, kto i komu napisał wapnem c h w a ł a.

Pan pyta na kogo głosowałem? O, przepraszam! Szanujmy tajność głosowania. Opowiem panu za to o pobycie w majątku Pysowy, gdzie razem z żoną mieszkaliśmy czas jakiś po wyjściu z Warszawy..."

Tański ocknął się, szarpnięty mocno za ramię. Mężczyzna w kożuszku potrząsnął raz jeszcze i cofnął rękę. Pociąg dudnił przemierzając noc.

— A, sen zmorzył... Myślałem, że wam słabo, bo głowa zwisła jakby za okno miała ochotę. A teraz trzeba jej pilnować. Maszynista już gwiżdże na Miechów. Przeleciał sygnały, widać droga wolna. Ot, jest i stacja. Pokaże się teraz, jaka wypadnie nam podróż dalej. Ja, proszę pana, do Jędrzejowa jadę.

Wysiadło parę kobiet. Zarzuciły toboły na plecy i podreptały do budynku stacyjnego. Z otwartych drzwi buchała para. Kilkunastu żołnierzy szło pobrzękując oporządzeniem w stronę lokomotywy. Śnieg chrzęścił pod butami. Mróz trzymał. Gdzieś poza stacją cicho dzwoniły sanie. Już rozległy się krzyki „wsiadać, drzwi zamykać!", lecz maszynista zwlekał, choć dyżurny dał znak i konduktor przy ostatnim wozie kołysał podniesioną latarką. W wagonie ludzie chuchali na szyby, przecierali rękawem okno i najwyraźniej na kogoś czy na coś czekali. Naraz drzwi otworzyły się ponownie. Mężczyzna w wojskowym płaszczu i czarnym berecie kuśtykał śpiesznie do pociągu. Schwycono go zręcznie i wciągnięto do wagonu. „Gotowe! Jazda!" — zawołał któryś z kolejarzy. Pociąg ruszył.

— Co to znaczy? — zapytał Tański swego sąsiada przy oknie. Chłop poprosił o ogień, zaciągnął się i odrzekł z namysłem:

— Pierwszy raz jedziecie, to nic dziwnego, że nie wiecie. Czekajcie, posłuchamy, co zaśpiewa.

Inwalida wtórował piosence brzdąkaniem gitary zawieszonej na szyi. Śpiewał o kasztanach kwitnących w alejach, o słońcu, gwiazdach i błękitnym niebie, o malwach pod oknem i fladze nad domem, o dziewczynie patrzącej gdzieś w dal, czy wracają żołnierze, chłopcy silni jak stal... Ot, na polską modłę piosenka. Dziewczyna, bukiet i garniec łez.

Zbierano pieniądze w czapkę. Śpiew ucichł, inwalida przeciskał się w drugi koniec wagonu. Chłop oparł się o Tańskiego.

— Pozwólcie, troszkę przytrzymajcie: but psia jego mać jakby przyrósł do nogi. A rękę mam od lat słabą i jedną nie poradzę... No, już!

— Pieniądze?

Chłop wydostał z onucy zawiniątko okręcone papierem i wetknął za pazuchę.

— Nie. Legitymacja partyjna. — Widząc zdziwienie oficera, wytłumaczył — Jakby znaleźli przy mnie, to koniec z demokracją! Pieniądze zabiorą i pójdą dalej, ale legitymacji nie przepuszczą. Dlatego wyglądali wszyscy, czy kulawy wsiada. Skąd on wie? Sam nie powie, a ludzie mówią raz tak, raz inaczej. Znak jest pewny, dojedziemy spokojnie. Do Tunelu najtrudniej.

— Więc, inwalida?... — Tański utknął w połowie zdania.

— No, przecież widzicie, że nogi nie ma. Kto zna tę linię, to mu wierzy. Nawet żołnierze pewnie śpią spokojnie. A są takie dni, że nie przychodzi i nie gra. Wtedy wojsko ładuje broń i nikt oka nie zmruży. Mnie już bliżej jak dalej. Od Jędrzejowa dwadzieścia kilometrów i — dom.

— A dwór Pysowy znacie? Od Jędrzejowa ma być niedaleko...

— Znam.

— Słyszałem, że szkoła zajęła dom po dziedzicu?

— A pan, za przeproszeniem, dworski krewniak? Pytam, bo młody Szopiski na zachodnim froncie służył, a na was mundur widzę angielskiego kroju. Nie? To i lepiej. Nie spodziewam się go w naszych stronach. A kraj ładny... Byliście kiedy? Może w wojnę? Pod gajówką Przedbórz wielka była bitwa w trzydziestym dziewiątym roku z czołgami Hitlera. O, mocny był wtedy, psiapara! Nasi utłukli tanków tyle, że w Kalinkach śmierdziało przypalone ścierwo, ale Hitler przemógł i pojechał tratować dalej. A z naszych urósł cmentarz nie gorszy od parafialnego. Pod dębem w polu. Dąb stary, he, he... Nikt go nie pamiętał młodym. Bo jakże? Tysiąc lat!

— Dąb?

— Ano!

Chłop zamyślił się. Ćmił papierosa i patrzył w okno. Przelatywały żółtawe światełka i po dawnemu ścieliły się iskry na śniegu.

— Pod dębem ludzie postawili krzyż i kopczyk usypali. Nieduży, ale godnie obłożony darnią. Tam porucznika pochowano. Pocisk z czołgu rozniósł biedaczynę w kawałki. Litowali się ludzie, oj wyrzekali na los! Pamiętam, co kobiety znajdą szmatkę sukna, to w płacz uderzają. Poznawały po nazwisku, że chłopskie dziecko grzebią, Masłowiec...

— Kto? — krzyknął Tański.

— Dobrze mówię. Masłowiec Jan. Z artylerii oficer.

— Czekajcie! Niemożliwe!

— Na wojnie, proszę was, kula nie przebiera. Przez całą okupację dokładali ludzie pod dąb cichcem, bo hitlerowiec nie dałby pogrzebać

partyzanta. Aż ciasno zrobiło się na cmentarzu. I teraz przybywa tam ludzi, bo wiecie, po wojnie nie każdy idzie do święconej ziemi. A, tam — nikt nie wie jaka. Przyjedźcie! Kraj u nas jak księga. Tyle, że zamiast liter ludzie albo groby.

— A szkoła? — bąknął Tański. — W głowie czuł szum, Polska uderzała obuchem. Wszystko zdawało się być splątane razem, trudne do rozeznania. Chłop roześmiał się.

— Nie było jak przed wojną! Chciałeś posyłać dziecko do szkoły, toś słał, a jak nie, to się dało nauczycielowi garczek masła i całą wiesnę szkolniak mógł w domu siedzieć i pomagać w robocie. A teraz, jak się nie stawi w szkole, to nauczyciel czy nauczycielka zaraz odkazuje, czemu nie był na lekcji. Widzicie, kapitanie, że jest źle ze szkołą. Najwięcej narzekają gospodarze z Kusacza, że niby przez szkołę nie mogą wyjść z robotą na swoje. Jest już na nich śpiewka:

Wysoko na lipie trzy listeczki w kupie,
Kusackie chłopaki połamane...

Chłop zachichotał. Cisnął niedopałek i spod oka spojrzał na Tańskiego.

— Nie wiem jak tam za granicą, bom mało co wyjeżdżał poza powiat ostatnimi laty, ale u nas nazywa się po staremu. Prawdę powiedzieć, nie bardzom nawet ciekaw obcych krajów. Brat Józef pisze mi w każdym liście, że w Ameryce żyje swobodnie i bogato. Może. Ja z nim do stołu nie siadam. Zapytuje także, kiedy na mnie przypada kolejka na Sybir. Pyta, bo bratanek, znaczy syn Józefa, dostał rządową posadę i już jedzie z Ameryki do Warszawy. Chciałby więc jeszcze stryja zobaczyć i pozdrowić w biedzie. Odpisałem bratu, żeby Grzegorza ubrał w ciepłe buty i upomniał młodziaka, by nie zachował się głupio. Mnie ludzie znają szeroko i wstyd rozniósłby się zaraz na Kielce, a może i dalej. Co zaś do wolności, to różna jest. Każdy przyprawia ją sobie do smaku jak spirytus wiśnią. Mnie, choć widzicie, żem stary, nie do gustu ta amerykańska wolność. Przysyła Józef kolorowe fotografie, na których domy wyższe są od jasnogórskiej wieży. Popatrzę na te nowe jorki i zapytuję listownie brata: Józiu, a który dom twój, bo po firankach nie mogę poznać? Odpowiada, że żaden, ale wolność ma. To mu przyznaję. Wolno mu tyrać na cudze pałace. Pozwólcie ognia, bo zapałek nie mogę się doszukać...

Chłop zapalił, pomilczał chwilę, ale widać nie rozstał się jeszcze z myślami, bo rzekł:

— Taka ich wolność... Chcieliby świat nią obdarować, by każdy mógł

we własnym powiesić się domu. Wyglądam więc teraz bratanka. Ciekawe, co Grzesiowi w głowie świta. I po miastach, i na wioskach czekają jeszcze ludzie na bliskich. U nas, jak się obcy pokaże na drodze, zaraz patrzymy, a kto, a do kogo? Największy krzyk podnosi się u sąsiadów. Byle chłopa zobaczą, to już myślą, że nikt inny, tylko Anders wraca.

— Tak tęsknią za nim? Dlaczego?

— Zwykła rzecz i rodzinie uszczerbku nie przynosi. Wolno za swoimi oglądać się. Ja, rad obejrzę bratanka, oni Władysława radzi by powitać. Bo, proszę was, jak poszedł z saperami na wojnę, to od września go nie widać.

— Ah, więc mówicie o synie sąsiadów!

— A wy o kim słuchacie? Myśleliście może o tym generale? Ano! Początkowo, jak się głośny zrobił, zachodziliśmy w głowę, czy nie nasz Władek z Kalinek. Matka jak to kobieta opowiadała, że od dziecka był zręczny, choć trochę ciapa. Tłumaczyła, że się przez wojnę jeszcze rozwinął, i sprawiedliwie generałem został. Rzec można, trochę nosa darła. Stary Anders przemyśliwał nad naprawą dachu, bo akurat zarwał się trochę w środku i chałupa wyglądała nie lepiej od miejskiej szkapiny. Spierano się, ile taki generał dostaje od Anglików pieniędzy. Wojna skończyła się, dach obsunął się niżej, stary dostał pożyczkę na odbudowę. A Władek ani listu, ani grosza. Żeby choć paczkę przysłał! Nic! Poznała rodzina, że to nie ich Anders, choć także Władysław. Nasz byłby się odezwał od matki. Dobre było dziecko. Ot, widzicie, warto do nas jechać. Posłuchacie o panu Szulawce, o strachach na moście, zobaczycie jak teraz żyjemy.

— A z Masłowcem, to prawda? — Tański poczęstował papierosem.— Wierzyć się wprost nie chce! Może podobne nazwisko, albo inne imię? Masłowiec?

— Inaczej nie usłyszycie ode mnie. Wrony też z początku nie chciały wierzyć, jak zobaczyły pięć skib za traktorem. Uciekały od maszyny i bały się więcej niż dubeltówki. A po żniwach, to szły już za traktorem jak dawniej za koniem! Mało na portkach nie siadały traktorzyście. Mówię, że Masłowiec, to wierzcie. Ot! — chłop umilkł. Odezwała się urywanie lokomotywa. Zaczynały szumieć hamulce. Pociąg zwalniał zobaczywszy stację. Tański zaniechał pytań, by starego nie złościć.

— Spadnie śnieg. Też pewnie nie uwierzycie? — roześmiał się chłop. Bo — gwiazdy świecą, chmury wysoko i księżyc czysty jak medal. Będzie prószyć. Już gdzieś pada. Do dwóch godzin wjedziecie w zadymkę. No, będę się zbierał do wyjścia. Maszynista nieznajomy i nie zaczeka na starego...

— Legitymacji nie chowacie? Noc, daleka droga... Mówiliście, dwadzieścia kilometrów? Więc...?

— Inna sprawa w pociągu, a inna w moich stronach. Swój czy obcy, każdy mnie zna! — chłop wprostował się z godnością. — Poradzę sobie. Nie sztuka wetknąć łeb Pisanemu pod lufę, ale portkami trząść — nie uchodzi. Kto ze strachu umiera, temu bździnami dzwonią.

Tański uśmiechnął się. Chłop stał chwilę na peronie, obciągnął kożuszek, wreszcie krzyknął za odsuwającym się wagonem:

— O Kalinkach pamiętajcie! Jaskółka Michał was prosi do siebie!

Zawiesił torbę na ramieniu, stuknął laską i odszedł szparkim krokiem. „Co najmniej dźwiga sześćdziesiątkę, a zwija się żwawiej od niejednego czterdziestolatka" — ocenił Tański. Po prawdzie Jaskółka dobiegał już siódmego krzyżyka. Znikły światła, znów pola oświetlone księżycem zasłoniły okno.

Przepowiednie Jaskółki sprawdziły się, zanim minęli Kielce. Zerwał się wiatr i przypędził ciężkie, napęczniałe śniegiem chmury. Pociąg szedł w poświstach wichury rwanej huczeniem lokomotywy. Naraz śnieg chlusnął po szybach i szarą zamiecią przesłonił śródnocne widoki. Na korytarzu pozostało kilka zaledwie osób. Tański usiadł na walizce, palił i porządkował wrażenia.

Grób Masłowca pod Kalinkami? Nieco zagadkowy zbieg okoliczności. Czy tylko? Dziwaczna zbieżność nazwiska... A rodzina w Krakowie? Czyja? Tański potarł czoło. Masłowca spod gajówki Przedbórz, czy tego, z którym żegnał się parę dni temu?... Tajemniczy inwalida z gitarą i piosenką mdłą jak marmolada... Pisany? Przezwisko wczepiło się w stukot kół: pisany — pisany — pisany! Tański drgnął. Pisany? Poczuł niepokój, tym przykrzejszy, że nie mógł doszukać się jego przyczyny.

Robotnicy przy torze. Wiatr zacinający śniegiem. Łopaty i karabiny. I gdzieś daleko ledwo dostrzegalne światełka stacji. Socjalizm. „Wszystko co było, już nie jest; wszystko, co będzie jeszcze nie jest". Stary chłop w Partii?

Czy starczy sił i ludzi? Nie zbędzie pracy słowem, trzeba zrobić. Z zakamarków pamięci przypomniał się wiersz:

Gdyby można w dni kilka szczęście kraju sprawić,
Polak swoją ojczyznę potrafiłby zbawić.
Gorliwy w nagłym razie, czynny na początku,
Szafuje ofiarami życia i majątku,
Lecz gdzie się ma okazać duch prawdziwie męski,

Wyższy nad fawor losu i wyższy nad klęski,
Gdzie w porządku, w jedności burze wytrwać trzeba,
Przyznajmy, tych przymiotów nie dały nam nieba.

Nie dały nieba, dać musi ustrój wyrosły z rewolucji. Postrzelana Polska wychodzi w pole z orężem, jakim nie władała nigdy. Posiada wreszcie z a u f a n i e Jaskółki z Kalinek, Pugańca z Katowic, robotników naprawiających zerwane szyny. Kto napisał wiersz? Wybicki? Tym lepiej, przecież „Jeszcze Polska..., kiedy my żyjemy!" Znów zadudniły koła: pisany — pisany — pisany...

Potem pojawiła się twarz kobiety. Miłość sprzed lat, uśmiech sprzed lat i jasne, popielate prawie włosy. Wtedy dziewczyna, dziś kobieta, zawsze zapewne niewolnica własnych nieopatrznych postanowień.

Szumiała zamieć zmieszana z monotonnym stukotem kół. Pociąg wytrwale walczył z rosnącym opóźnieniem. Tański spał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Droga do Gajów odchodzi od szosy i kręto, jakby ją pies wytyczył ogonem, biegnie wśród zabudowań aż do samej Wisły. Droga zła. Pełno w niej dziur i stromych wygarbień. Od razu widać, że w gromadzie każdy ogląda się za cudzą łopatą i żałuje swojej. Za to ogrody bujnie zarosłe. Płoty chylą się pod naporem bzów, jaśminów, kwaśnych wiśni i berberysów. Od wiosny po zimę zieleń otacza ubożuchne domy, a jarzębina czeka do przymrozków. Krasne Gaje to już nie wieś, a jeszcze nie przedmieście. Po prostu wiejskie izby na progu Warszawy.

Dojechali pod sam dom. Niski, kryty papą, przytykał ścianą do drogi, zwracając na południe szybki małych okien. Pies wyskoczył z budy i szarpiąc łańcuch oszczekiwał gościa. Siwy mężczyzna wyszedł na podwórze.

— A do kogo, panie oficerze?

— Do Ksawerego Coka. Jeśli to pan, to trafiłem dobrze. Przywiozłem wiadomość o Tusi.

— Tusia! A my ją opłakali! Widać prawda, że co nagle, to po diable. Andrzej, wołaj babcię!

Za chłopcem w mundurze sierżanta pojawiła się stara kobieta. Chwyciła Tańskiego za ramię i potrząsała bez skrępowania.

— Mówcie przecież, gdzie Tusia! Śniła mi się w środę cała bielusieńko ubrana. Chodziła po naszym ogrodzie i niby zbierała kwiaty. Co

krok postawiła, to gołąbek wzbijał się w powietrze i zaraz odlatywał. Poznałam, że będzie wiadomość na dniach. A dziś, ledwie zaczęłam ogień przegarniać pod kuchnią, iskry walą wysoko jak w kuźni. Powiedziałam od razu: przyjedzie ktoś i przywiezie wiadomość z dalekiej drogi. Ale mówcie już, bo nigdy nie wiadomo, czego po snach się spodziewać. Jakby Tusia miała sukienkę wzorzystą, to sprawa prosta, ale biel na dwoje wróży. Może ślub, może, uchowaj Panie, pogrzeb.

— Od Powstania nic o siostrze nie wiemy, więc teraz taki rwetes — wtrącił Andrzej, smagły chłopiec o ciemnych falujących włosach. — Szukałem Tusi po Niemczech, ale gdzie tam! Tyle ludzi, kto dziewczynę zapamięta!

Cok szarpnął wąsa i zarządził ostro:

— Idźże już, Wikciu, i nakryj stół. A ty, Andrzejku, skocz po wędlinę i piwo. Jak ci dadzą mocniejsze, to bierz, ale z białą główką. Chodźmy, panie kapitanie, do środka prosimy. Nie uchodzi stać pod psią budą, jak nie przymierzając hycle. Panie mechaniku! Zostaw pan maszynę spokojnie. Samochód nie garnek, sąsiadki nie pożyczą.

Zanim weszli, nadleciał od rzeki głuchy trzask, któremu odpowiedziały inne głośniejsze i bliższe. Wisła zaczęła huczeć i dudnić jakby gdzieś w oddali strzelały armaty.

— Budzi się i próbuje siły. Nocą kra ruszy i może być bieda, bo lód, psiapara, gruby tej zimy jak rzadko.

W chwilę później usiedli do stołu. W izbie było mrocznie. Z trzaskiem płonęło drzewo w żelaznym piecyku, a spoza ścian szedł łoskot pękających lodów.

* *
*

Dziadek Ksawery Cok urodził się w Kicankach pod Baniochą, ożenił w Kalinkach, a w Krasnych Gajach doczekał się wnucząt. Trzeba wiedzieć, że Kicanki i odległe od nich Pysowy, należały niegdyś do państwa Szopiskich, którym ojciec Ksawerego służył jako gajowy. I pilnowałby lasu dłużej, gdyby nie śmierć, po którą pojechał nad Wisłę. Wrócił nie ten sam. Ledwie konia rozsiodłał, już o księdza wołał. Widać czuł, że zaraza chwyciła mocno i nie puści aż na cmentarzu. Stało się w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Był to trzeci rok azjatyckiej cholery zawleczonej przez wojska z południowej Rosji. Zaraza waliła ludzi najpierw w Lublinie, a potem rozpełzła się z wodą po całym Królestwie. Z czasem dotarła aż do Hamburga, taka to była cholera.

Gajówkę zlano karbolem i umazano wapnem. Szopiski, człowiek dobry, nie zostawił rodziny na opiece Boskiej. Dla wdowy z czteroletnią

Julką znalazła się praca przy dworze, a Ksawery pojechał do pysowskich lasów. Lat miał wtedy piętnaście, ale siły za więcej. Wiózł rzeczy niewiele i trochę nauki wyniesionej z klas w Kicankach. Wskazania matki musiały wystarczyć za wszystko: kościoła nie omijaj, a z chłopstwem się nie brataj, boś lepszy.

Po sześciu latach odmienił się los. Gajowego z Przedborza przywaliła sosna i Ksawery zajął miejsce po starym samotniku. Nauki matki zachowywał w pamięci, ale wierny pozostał im tylko w połowie. Ożenił się bowiem z Wiktusią Jędraszek, która do gajówki nie wniosła nic poza pościelą i to podobno mizerną, bo poduszek było trzy, nie cztery. Dziwiono się w Kalinkach: co w niej zobaczył? Przecież to bezkrowia bida! Tyle, że dziewczyna ładna. Wyśpiewała sobie męża, chytrucha! Ksawery, jak obiecał matce, tak jeździł do kościoła w Bradczycach. Schodziły się tam Kalinki z Kusaczem i państwo śpieszyli powozem, jeśli akurat bawili w Pysowach. Ksawery słuchał sumy pod chórem tak gorliwie, że dosłuchał się Jędraszkówny. Zanim wpadła w oko, już wleciała uchem. Po mszy dziewczęta wracały gromadką, za którą szli chłopcy hałaśliwą kupą. Dogadywali to tej, to tamtej, ale Wiktusi nie zaczepiał żaden. Cok kroczył odęty jak indyk i choć słowa nie rzekł jednego, wiedzieli wszyscy, czemu na koń nie siada i nie kłusuje pod las.

Prowadzali się tak przez wiele niedziel, aż do chrzcin u Andersów. Ksawery został kumem, a kumą — Jędraszkówna i w ten sposób dopiero się poznali. Jak kum kumy nie ruszy, to w piekle siedzi po uszy, więc ledwie znaleźli się za stołem — Cok rwał się do całowania. Wiktusia piszczała, by nie przynieść ujmy domowemu wychowaniu, ale broniła się słabo. Nie chciała zbytnim oporem pozbawiać się przyjemności uświęconej przez zwyczaj. W rok potem zamieszkała w gajówce i tam urodziła córkę, którą po długich debatach nazwano Klarą.

Dwie wojny, choć podchodziły blisko, oszczędziły Coków. Szosy huczały wojskiem, łuny podpalały niebo, lecz pod lasem nikt nie doznał krzywdy. Matka Ksawerego umarła już w Polsce. W krótki czas potem powieziono starego Szopiskiego do murowańca na Powązkach. Majątki dostały się w ręce syna. Pysowy zabłysły jak gwiazda lecąca przez sierpniowe niebo. Świt gasił okna we dworze, a od południa ryczały samochody i bryki gnały na kolej po gości. Dwór szumiał, dudnił, pędził na złamanie karku. Wartko płynęły angielskie funty. Każdy kto miał pszenicę, brał wtedy zaliczki nie wglądając w warunki kontraktu. Pod jesień zrobiła się cisza. Dziedziczka chodziła z migreną, a dziedzic klął przebiegły Albion. Ziarno okazało się liche, Anglia pszenicy nie wzięła. Nie wahając się długo sprzedali państwo Kicanki. Opowiadano

w Bradczycach, że Szopiski od trzech wyłudził zadatek, a dopiero czwartemu odstąpił majątek. Jak dzbana przechylić, to już leci samo... Za Kicankami poszedł las kusacki i samochód z popielatą budą. Wreszcie dwór. Dziedzicem został fabrykant Szulawka. Zaraz sprowadził robotników i kazał naprawiać maszyny. Wśród warszawskich majstrów był Wincenty Kieszek.

Nagle zrobiło się blisko z gajówki do dworu. To Wincenty u Coków, to Klara w Pysowach, zawsze w pilnej sprawie. Aż pewnego dnia oznajmił Kieszek, że wnet odjedzie, ale chciałby się przed tym zaręczyć, bo żelazo kuć trzeba, póki gorące. Cokowej odjęło mowę. Bo, jakże tak, bez swatów, pytania i przepijania? A któż Kieszka zna?! Ksawery zamknął się z Kieszkiem w izbie i dla lepszego namysłu pił spirytus z miodem. Cokowa za ścianą lamentowała nad córką: że wstyd, że nie uchodzi, że ona z ojcem przez dwa lata nie zamieniła słowa i dopiero na chrzcinach u Andersów... Klara słuchała ze zwieszoną głową, a potem powiedziała spokojnie, że lepiej nie zwłóczyć ze ślubem. Bo, coś jej się zdaje, że wdała się w matkę, a więc będzie córka...

Od tej chwili starzy parli do ślubu. Odbył się w Bradczycach przy pełnych światłach i z rozwiniętym chodnikiem. Przyjechała z Baniochy Julka z synami i mężem Michlonkiem, zeszli się wszyscy Jędraszkowie, nie brakło nikogo z Andersów, tylko od strony pana młodego dziwnie było pusto. Kieszek przywiózł paru kolegów w niedzielnych ubraniach i Błażka z żoną. Okazało się, że sierota. Cokowa kręciła głową. — Przypomnij sobie, Wicek, może choć jaka ciotka żyje? Przyjedzie za nasze pieniądze. — Mamo kochana, nie urodzę. Ani wuja, ani stryja. Sierota na sto procent — zbywał teściową żartem i dopiero po latach wydała się cierpka prawda: podrzutek! Na razie nikt nie wiedział.

Po weselu młodzi odjechali do Warszawy. Dokładniej: na Dolny Marymont. Przeczucia nie zawiodły. Pierwsza przyszła na świat Tusia. Lecz jeszcze wcześniej Cokowie opuścili gajówkę.

Stało się to na długo przed zajadłym sporem o łąkę, który rozwścieklił Szulawkę i ściągnął na Kalinki policję. Pewnej nocy zapalił się las. Po co był ten pożar Szulawce, tego Cok nie dowiedział się nigdy. Leśniczy ruszał ramionami: nie trza gadać, panie Cok, jak się nie złapało za rękę. Pilnujcie tego, z czego macie chleb. Uważajcie, bo zięć też może wylecieć z fabryki na zbity pysk...

Gdy nadeszła odpowiedź od Wincentego, że jest dom i działka na sprzedaż, Cok podziękował za pracę. Spieniężył dobytek i pojechał z rodziną do Krasnych Gajów. Zdążyli na czas: Cokowa przyjmowała Tusię.

Nowy dom był bardzo stary. Strzechę mech pokrył zielonym pluszem, ale nie dach świadczył o latach, lecz ściany. Zbudowano je bowiem z bali na pół metra grubych, a tak pięknej sosny próżno dziś szukać w okolicznych lasach. Izby duże i równie wielka sień, z której schodziło się do głębokich piwnic, bo chata stała na podmurówce z polnego kamienia. Kiedyś miała służyć za karczmę na rozstaju nie istniejących już dróg. — Istny chłop — powiedział Cok na widok krasnogajskiej siedziby. — Nogi mocne, ciało silne, a głowa świętego Floriana prosi o opiekę.

Przy domie gruntu morga. Wszystko zarosłe chrzanem i tylko nad samym brzegiem parę wierzb na okrasę. Wisła w tym miejscu czyni zatokę i każdy przybór wód podmywa coraz bardziej skarpę. Woda niby pod nosem, a w ziemi jej brak. Gdy ułożono osiemnasty krąg, praca przy studni stanęła. Natrafiono na kamień i żwir tak zbity, że odpór dawał jak beton. Zrozumiał Cok niewysoką cenę i brak chętnych na chatę „pod górką". Ale, kto sam po los sięga, nie załamuje rąk. Po dziś dzień noszą Cokowie wodę na s ą d a c h od sąsiada z „dołka". Warzywa wyparły chrzan, a na miejsce chwastów powtykano krzaczki agrestu, porzeczek i pędy malin. Drzewka owocowe mają dokładnie tyle lat, co Andrzej, który urodził się w rok po Tusi.

Narodzinom chłopca towarzyszyły strzały przewrotu majowego. Pierwsze wiadomości o wypadkach warszawskich przywiozły mleczarki, które wcześniej niż zwykle powróciły z miasta. W Warszawie wybuchła rewolucja! Robotnikom wydają karabiny! Od mostów ciągnie wojsko z Piłsudskim na czele! Kupcy barykadują sklepy, kule świszczą jak na wojnie, tramwaje stanęły, a taksówki jeżdżą z Czerwonym Krzyżem. Prezydent posłał po pomoc, ale czy zdąży, wątpliwe, bo kolejarze za Piłsudskim stoją i transporty jadące z Poznania wstrzymują jak mogą. Na koniec odezwały się armaty i samoloty wzbiły się w powietrze. Kieszek nie wrócił na noc. — O, psia para, — mruczał Cok — zaplątał się w wojnę.

Kieszek z czerwoną opaską na ramieniu i karabinem w garści szedł razem z piechotą zdobywać lotnisko. Przy tak zwanych „pałatkach" u zbiegu Filtrowej i Suchej dostali się w silny ogień maszynowych karabinów. Żołnierze przypadli do ziemi, a cywile rzucili się hurmem na okopanych „rządowców". Ułożono ich potem szeregiem pod kasztanami. Zginęli jednakową śmiercią: od postrzału w brzuch. Ocalał Kieszek i dwóch tramwajarzy, którzy z bojów 1920 roku wynieśli trochę wojennych umiejętności.

Trzydniowe walki poróżniły Wincentego z Błażkiem. — Jakto! Nie

idziesz po broń? — A nie — odpowiedział spokojnie Błażek. — Nie idę. Kieszek nie mógł zrozumieć. — Przecież wszyscy!... Rewolucja!

Błażek machnął ręką.

— A za kim jest Szulawka?

— No, za Piłsudskim...

— Znaczy, że nie ma co pchać się razem. Szulawka nie towarzysz. Nie idę. To nie moja rewolucja. — I jak gdyby nic poszedł z fabryki do domu.

Kieszek, dumny z odniesionego zwycięstwa, zjawił się w Krasnych Gajach z miną bohatera. Z miejsca trafił pod język Cokowej.

— O, widzicie go! Jakie to ważne się zrobiło! Dał mu wojskowy dwa razy wystrzelić do wiwatu i już generał! Wicek, wybij sobie z głowy takie ćmoje-boje! Umyj gębę, to ci syna pokażę.

Szło Cokowej o to, że Andrzej urodził się coś tydzień przed czasem. Do dziesiątego roku życia nie zdarzyło się nic, co by zaciążyło na losach dziecka. Choroby przychodziły, ale zapominano o nich szybko, bo to rzecz zwykła. Kto ma pszczoły, ten ma miód, a kto dzieci, temu smród. Dziadek, dobry stelmach, wyciosywał oble, delnice i rozwory. Ojciec jeździł kolejką do miasta i po dawnemu pracował u Szulawki. Fabryka powozów zmieniła się w wielką wytwórnię rowerów i silników samochodowych. Błażek zaglądał rzadko do Gajów, ale widać było, że znów z Wincentym w dobrej jest komitywie.

Zaczęło się na wiosnę od straty konia, który padł, zanim przyjechał weterynarz. Nieszczęście, to ziarno biedy. Tak stało się i tym razem. Na świętego Jana Wisła rozlała szeroko zatapiając wsie, niszcząc dobytek i rujnując budynki. Spieniona woda podmyła skarpę i kawał piaszczystej górki zwalił się w Wisłę jakby ucięty siekierą. Zięć i synowie byli jeszcze w pracy, więc Ksawery zabrał się sam do roboty. Ścinał wierzchołek wydmy i spychał ziemię na ogród. Przed domem Cokowa ugniatała karmę dla kur i zerkała na męża, czy nie leni się zbytnio. Naraz od strony szosy pokazał się wóz. Konie szły stępem, bo trakt był miękki i kurz podnoszący się spod kopyt drażnił siedzącego za woźnicą policjanta. Przodownik Bizuń wachlował twarz czapką i przekrwionym z upału okiem spoglądał ponad płoty. Przy Cokach kazał stanąć. Powódź bowiem powodzią, ale dobrze jest zerknąć niespodzianie, co porabia teść komunisty. Właśnie! Skąd przyczepił się „komunista" do Kieszka, tego Cokowie zrozumieć nie umieli. Fakt, że parę razy zaczepiali Wicka agenci. Przetrząsnęli kieszenie, naderwali podszewkę i puszczali wolno. Do gminnego posterunku przyszła opi-

nia: niby wszystko w porządku, a jednak niepewny. Więc Kieszek pracę miał nadal i rząd go do więzienia nie ciągnął, ale...

Dla pewności miał komendant Kieszka na oku. Jedno bowiem budziło nieufność: za mało pił.

Przodownik wszedł na podwórze. Coś smyrgnęło spod nóg i skryło się w krzakach. Bizuń ozwał się basem:

— To wasz pies?

— A któren, panie komendancie?

— Nie kręćcie, Cokowa, bo kosztować będzie drożej. Muszę wam mandat wpisać.

— Toż prosiak, wielmożny komisarzu! — pisnęła kobieta zaniepokojona wzmianką o pieniądzach. — Andrzejku! Andrzejku! Dajże tutaj maluśkiego! Zwijaj się dziecko, pan komisarz czeka!

Z porzeczek, dzielących sad od podwórka, wysunął się Andrzej. Ciągnął „maluśkiego" za uszy. Prosiak kwiczał i próbował ucieczki.

— Okazały... — westchnął policjant. — Duży bestia... Wydał mi się jak brytan, tylko głos ma inny i pewnie inaczej smakuje, he-he!...

Komendant roześmiał się hałaśliwie. Dowcipkować lubił, a żarty miał lekkie, po dziesięć kilo jeden. Cokowa pozostała nieczuła na zręczną przymówkę, więc Bizuń odwrócił się od prosiaka, by serca nie krwawić. Rzekł:

— Prawda, jeszcze takiego przepisu nie ma, żeby prosiaka na łańcuchu trzymać. Udało się wam, Cokowa. A gdzie, dziadek?

— Nad wodą. Zawaliła się górka... — tłumaczyła kobieta idąc za policjantem.

— Nie narzekajcie. Po tamtej stronie Wisły wszystko stoi pod wodą. Saperzy ludzi zdejmują z dachów. Tu brzeg wysoki. Dobrze macie u mnie!

— A tak, a pewnie... — potakiwała, bo rozdrażniony policjant, to cholera najgorsza. — Ksawery! Pan komisarz do ciebie!

— Przecież jestem... — mruknął Cok i wbił łopatę.

Przodownik zbliżył się ostrożnie. W dole szumiała rdzawa, zmącona rzeka. Wartki prąd uparcie podmywał brzeg. Szeleścił zsypujący się piach.

— Nie wielka bieda! — Bizuń machnął ręką. — Woda opadnie i będzie spokój.

— Z jednej morgi i łopata dużo znaczy. Gdyby tamy były jak należy, to nurt szedłby środkiem. A tak, coraz gruntu ubywa. Tylko patrzeć, jak zatoka dojdzie pod sam dom. Będzie prosiak w czółnie jeździć.

Na wzmiankę o prosiaku Bizuń uśmiechnął się i rozpiął przepocony kołnierz. Odezwał się przyjacielskim tonem.

— Widzicie, panie Cok, to jest tak: małe podatki, niskie tamy. Duży podatek — wysoka tama. Rząd gospodarzy nie gnębi, żyć pozwala, więc nie narzekajcie. Zbierzcie się kiedy razem i pojedźcie do Warszawy. Proście rząd o większy podatek. Pewnie się zgodzi i może będą tamy.

— Ano właśnie! Jeszcze tego nam brakowało! Ty, ojciec wyrwiesz się zawsze z jakim głupim słowem.

— Nie odbierajcie mężowi obywatelskiego prawa! Więcej zapłacić zawsze wolno. Rząd nie ukarze i ksiądz grzechu nie wytknie. Piecze słonko... Czas jechać. Służba, panie Cok. Skwar, śnieżyca, wszystko równo. Dzień i noc na posterunku. — Tak gadał, ale nie ruszał z miejsca. — Mam jeszcze do Ciągardlaków wstąpić. Żona gęś u nich wybrała, bo imieniny na dniach. Obiecałem przywieźć.

— W sklepiku też czeka paczka... — bąknął Cok patrząc na wodę. Policjant poprawił pas.

— Dobre macie oko, Cok, ale ja też bez okularów obywam się jeszcze — Bizuń pochylił się nad rowem wykopanym przez Coka. — Spychacie ziemię na ogród? Mądrze. Kto sobie radzi, ten biedę omija. Czekajcie, ruszcie tu łopatą!

Cok rozgarnął ziemię. Przodownik podniósł zardzewiały bagnet. Przymrużył oko i cichutko gwizdnął.

— I co teraz, panie Cok?

— Niby z czym? — spytał Ksawery. Wiedział, że nieopatrzne słowo rośnie w protokóle jak ciasto w dzieży.

— Powiedzcie sami, co to jest? — Bizuń podsunął bagnet. Cok milczał, więc przodownik dokończył za niego:

— Broń! Tylko źle przechowywana! Oj, stary, kryminałem zalatuje sprawa... Kop głębiej! A ty szczeniaku, po sołtysa na jednej nodze! — rozkazał Andrzejkowi.

W godzinę potem nad poszerzonym rowem stali spoceni Cok i sołtys. W górze rzeki pohukiwały holowniki i beczały syreny motorówek. U stóp policjanta leżały wydobyte z ziemi przedmioty: bagnet zżarty przez rdzę, łuska karabinowa, ułomek łyżki, pół glinianego garnczka i pęknięta na pół fajerka. A na dnie rowu spoczywał szkielet ludzki z resztkami kajdan na próchniejących kościach.

Ogrom odkrycia oszołomił Bizunia. Patrzył w dół i gorączkowo myślał, jak należy postąpić, by władze zadowolić i prosiaka wyłudzić. Rzekł z rozwagą:

— Cóż, będą przykrości. Mały wasz grunt, panie Cok, ale tajemnicę

odkryliśmy wielką. Broń, zwłoki... Muszę Warszawę zawiadomić. Co gorsze, nie meldowaliście o wykopalisku.

— Broń? — zdziwił się Cok.

— Mówiłem raz, że broń, to broń. Sołtysie, odpowiadacie przed prawem, żeby łobuzeria dowodów rzeczowych nie rozkradła. Nie dotykać, nie przewracać. Przyjedzie komisja i rzecz całą zbada.

Przodownik zawrócił do czekającej na drodze resorówki. Przechodząc przez podwórze rozejrzał się wkoło. Pusto. Ani kur, ani prosiaka. Nawet gołębie przeniosły się na dach sąsiadów. Pies wcisnął się do budy i zgodnie z przepisami pobrzękiwał łańcuchem.

— Widziałem ładnego prosiaka, panie Cok... — podsunął Bizuń deskę ratunku, ale Ksawery odparł niedomyślnie:

— Gdzie mu tam do urody! Chudzizna.

Wóz z komendantem potoczył się dalej, do murowanki Ciągardlaków. — Dziwni ludzie — myślał Bizuń o Cokach — mruki jak rzadko. Zajedzie człowiek do Ciągardlaków, to zaraz posadzą, okno przysłonią, żeby słońce oczu nie paliło, ugoszczą. Syn w gimnazjum, gęsi tłuste, ledwie kuprem trzęsą, tyle na nich sadła. Poznać gospodarza, choć ziemi nie więcej niż trzydzieści hektarów.

Ledwie kurz opadł za podwodą, Andrzej przybiegł do Cokowej.

— Babciu! Babcia szykuje kieliszek, bo pani Ciachowa idzie!

— Wiktusiu, moja złociutka, policja odjechała?

— Pojechała, pani Ciachowa... — westchnęła Cokowa i postawiła przed sąsiadką kieliszek orzechówki. Kto znał Ciachową, wiedział, że innej nie piła.

— To i dobrze. Zatrzymywać nie trzeba. — Ciachowa wypiła. — Źle wam nie życzę, ale od biedy nie wywiniesz się, złociutka. Czekajcie, pobiegnę popatrzeć na górkę...

Wróciła zatroskana. Przycupnęła na stołku i długo kręciła głową, zanim osądziła całe zdarzenie.

— Widziałam. Rzeczy znaleźne nic wielkiego nie mówią, ale skuty aresztant nie odczepi się łatwo. Pilnuj się, złociutka, nieszczęście w okna zagląda.

Cokowa obejrzała się trwożliwie. Cok przed domem rąbał drzewo, Andrzejek czerpał wodę z kadzi. Ciachowa mówiła dalej:

— Żeby choć leżał inaczej, ale nie! Patrzyłam pięć razy. Zawsze to samo. Głowa do Wisły, a nogi ku szosie.

— Oj, pani Ciachowa, tylko ludzi straszycie... — próbowała bronić się babka.

— Wspomnisz moje słowa, wspomnisz... — Ciachowa podziękowała

za poczęstunek i poszła. Babka zamyśliła się. Rzecz znana, że im baba starsza, tym więcej gustuje w strachach i gdzie tylko może sen odbiera ludziom. Ale z Ciachową inna sprawa. Znała wszystkich wokoło i sięgała pamięcią do najdawniejszych lat Warszawy, bo dopiero po zamążpójściu wyniosła się na wieś. Przy niej ustawiano pierwsze latarnie gazowe, budowano wodotryski w Ogrodzie Saskim i mosty na Wiśle, i kolej Warszawsko-Wiedeńską... Pamiętała wiatraki na Dzikiej ulicy, żelazne bruki, asfaltowe chodniki, dwuklasowe tramwaje i rumfordzką zupę rozdawaną biednym. Widziała nie jedną wojnę i paru przeżyła carów. Dwa razy pisały o Ciachowej gazety, a raz — rząd zaprosił na defiladę. Zachorował wtedy powstaniec 1863 roku i nie było kim staruszka zastąpić. Miała prawo gadać. Sto dwa lata żyła. Ubierała się czarno i lubiła orzechówkę. Gdy komuś zginęły pieniądze w tajemniczy sposób, mawiała: gdzie są, *Boh znajet i gienierał Den.* Ów Den, gdy car pogniewał się z Warszawą, wzniósł na Żoliborzu Aleksandrowską Cytadelę. Szybko budował fortecę, lecz nieporównanie prędzej płynęły pieniądze, które ściągał z miasta. Utrwalił się w pamięci jako zręczny złodziej. Budynki cytadeli poświęcono w dzień urodzin Ciachowej. Stąd komitywa staruszki z wiekową warownią.

Babka wyjrzała spoza firanki. Ciachowa stanęła przy furtce i raz jeszcze wskazała dobitnie na Wisłę, a potem na zachód. Cokowa aż przysiadła. Wydało się jej, że słyszy szept: — strzeż się, złociutka...

A słońce właśnie przechyliło się za szosę i świeciło przez drzewa jakby zawisło w gałęziach. Z łoskotem i gwizdem nadjechała kolejka. Andrzej pobiegł na spotkanie matki, która szła z Tusią od strony przystanku. Wkrótce potem zaczęli schodzić się mężczyźni. Najpierw Czesław z budowy, potem Stefan, który jeździł na rowerze do fabryki śmigieł leżącej za lasem. Ostatni wracał Kieszek.

Andrzej pochwalił się z miejsca:

— Tato, policja była w południe.

Kieszek spojrzał na teścia.

— Rewizja?

— E, przymawiał się przodownik o prosiaka. Nie dałem.

Cok dostrzegł zaniepokojenie zięcia, więc spytał:

— A ty jak myślisz, może lepiej ustąpić? Spokój wart więcej od wieprzowiny. Poligant ściągnie komisję na kark, będą grzebać w piachu. Bizuń przylepny jak krowiak, trudno go od podeszwy odskrobać.

— Niech zostanie jak jest. Dziś weźmie prosiaka, jutro gęsi i tak po sztuce wybierze wszystko.

Następnego dnia zabrano tajemniczy szkielet. Po tygodniu zje-

chała do Coków komisja samochodem. Pasażerowie wysiedli i od razu udali się na górkę. Przodem szedł starszy pan z siwą bródką, za nim panna w okularach, dalej dwóch młodych w studenckich czapkach; na końcu sekretarz z łopatą na ramieniu. Poznano w nim Mietka Operacza, który różnych imał się zawodów, a najczęściej handlował owocami. Kupował je w Krasnych Gajach, sprzedawał zaś z wózka na Żoliborzu. W kilka minut zbiegła się dzieciarnia ze wszystkich stron. Dzieci obległy komisję i zaglądały do dołu jak pitasy do weselnej izby. Operacz ustawił pasiasty parasol i robota ruszyła. Naraz zjawiła się Ciachowa. Zbliżyła się śmiało do pana z bródką.

— Nie trzeba kopać. Chodźcie w cień, to wam wszyściutko powiem — powiedziała. Naczelnik komisji machnął ręką, a panna w okularach krzyknęła ostro:

— Cofnijcie się, gospodyni, bo nam cały wykop zawalicie!

— A to smyk niegrzeczny! — Ciachowa pogroziła palcem naczelnikowi i odeszła z godnością. Mietek kopał. Panna w okularach odpędzała dzieci. Studenci skrobali ściany wykopu jak baby marchew. Pan z bródką trochę pisał w notesie, ale więcej kręcił nosem.

— Przygotuj, Wikciu, zakąskę... — powiedział Cok do żony — a ty, Andrzejku, biegnij po bułki. Zaraz przyjdą odpocząć, bo pot się na nich gotuje. Trzeba utoczyć porzeczkowego wina. Od studentów pieniędzy się nie spodziewaj, ale ten z bródką chyba zapłaci.

Andrzej zacisnął pieniądze w dłoni i wypadł za furtkę. Przywołała go palcem Ciachowa.

— Mów szybciutko, co nowego!

— Proszę pani! Rozciągnęli sznurki, mierzą rów calówką i zapisują każdy gwóźdź. Całą politechnikę założyli na górce! Znaleźli pieniądze i moczą je w kwasie.

— Ciekawe, co się pokaże... — zachichotała złośliwie Ciachowa.

Zanim Andrzejek powrócił ze sklepu, pokazał się car Mikołaj. Naczelnik schował notes i krzyknął na szofera, żeby szykował się do drogi. Zanosiło się, że odjadą bez posiłku, ale przypadek nadał sprawie inny obrót. Wychodząc z rowu Operacz podparł się łopatą. Zgrzytnęło przeraźliwie. Żelazo trafiło na kamień. Pan z bródką dał znak i zaczęto szukać dalej. W małe półgodziny odsłonięto spory kawał muru, a wkrótce potem wejście do podziemnego korytarza, który prowadził w głąb, pod kartoflisko Coków.

Wydobytą ziemię przesiewali studenci przez sito. W ten sposób znaleźli kilkanaście przedmiotów, które po oczyszczeniu ułożyli na stolnicy pożyczonej od Cokowej. Były tam końskie zęby, pokrzywione gwoździe,

damski obcas, zielona butelka z literami „Ch. Branicki", wyciśniętymi na dnie, sprzączka od damskiej podwiązki oraz zamek od karabinu systemu Manlicher. Najlepiej zachowała się sprzączka od podwiązek, lecz panna w okularach krzyknęła — „To moje!" i zabrała ją ze stolnicy.

Kobiety sprzyjały komisji urzeczone niespodziewanym zarobkiem. Naczelnik zamówił kurczęta z mizerią, Operacz wypił litr wina za jednym zamachem, Tusia nie mogła nadążyć ze zbieraniem truskawek dla panny i studentów. Andrzej krążył wciąż między sklepem i górką. To piwo, to papierosy albo zapałki. Miał z tej bieganiny parę ładnych groszy. Synowie i Kieszek ruszali ramionami i stukali się w czoło. Cok milczał zasępiony. Podziemny ganek wiódł prosto pod sień starej karczmy, więc bał się Ksawery, czy nie dojdzie do burzenia domu.

Praca postępowała żwawo. Pewnego dnia zadrżały Krasne Gaje od warkotu samochodów. Maszyny pędziły jak do pożaru. Profesor z bródką sprowadzał innych, by pochwalić się odkryciem. Przodownik Bizuń powitał gości w imieniu mieszkańców osady. Gdy sfotografowano policjanta, naczelnika pod parasolem i pannę na tle sadu, dziennikarze stłoczyli się przed tunelem. Nastała chwila ciszy, po której przemówił kierownik prac odkrywczych.

— Dzięki mojej wytrwałości i niezawodnemu systemowi badań — piszcie panowie, będę mówił wolno — udało się przezwyciężyć trudności i ominąć mylne ślady. Stoimy na progu fragmentu warownego grodu. Panie Operacz, światło.

Wszyscy patrzyli w głąb loszku.

— Zatem drugi Czersk? — zawołał jeden z dziennikarzy i chwycił pannę za łokieć.

— Nadąża pan za tokiem myśli, lecz muszę sprostować nieporozumienie: nie drugi Czersk, ale pierwszy! Powiadają — tu zmrużeniem oka podkreślił ironię — że Czersk był gniazdem książąt Mazowieckich. W czternastym wieku, gdy Wisła oddaliła się od zamku, książę i dwór przenieśli się do Warszawy. Bowiem od Wyszogrodu po ujście Pilicy tylko w dwóch miejscach teren stwarzał warunki obronne. Skoro zawiódł Czersk, pozostała Warszawa. Zatem gród, który odkryłem, jest wcześniejszy od siedziby w Czersku. Przytoczę drugi dowód. Z akt roku 1339 wiemy, że Warszawa posiadała w tym czasie dwa kościoły, obronne mury, rynek, łaźnię i wójta. Słuchajcie panowie uważnie, wójtowi Warszawy podlegały wsie Wawrzyszew, Powązki, Jazdów i Krasne Gaje. Czy jest w tym choć jedno słowo, które przeczyłoby istnieniu zamku w Krasnych Gajach? Oczywiście nie ma. Proszę spojrzeć, sklepienie typowe. Podobne widzieli panowie w Czersku.

Dziennikarze potakiwali w milczeniu, gdyż jak przystało na rdzennych warszawiaków, nigdy Czerska na własne oczy nie widzieli.

— Dziś natrafiłem na ślad dębowej palisady. — Wszystkie głowy zwróciły się w stronę parasola. Na stolnicy leżał kawałek sczerniałego drewna. — W dalszym ciągu prac odnajdę resztę systemu obronnego. Podziemny korytarz jest bez wątpienia sekretnym przejściem łączącym brzeg Wisły z sercem grodu. Tworzywo muru wskazuje na okres późniejszy od czasu, w którym zbudowano Czersk. Niczym nie obala to mojego dowodu. Raczej popiera. Gdy stary korytarz uległ uszkodzeniu, odnowiono go według pierwotnego wzoru. O, tak było z pewnością. Będziemy kopać wytrwale, aż dojdziemy do środka grodu i tam ustawię kolebkę książęcą. Na przekór tym wszystkim, którzy twierdzą, że w trzynastym wieku była tu puszcza i wątłe osady zamieszkałe przez bartników i myśliwych.

— A jeżeli pan nie odnajdzie dębowej palisady? Co wtedy? — spytał jeden ze słuchaczy.

— Na podstawie znaleziska odtworzę całość w mojej pracowni — odrzekł pan z bródką.

— Może mieszkańcy domu coś wiedzą o loszku? Czy pytał pan o to? — naprzykrzał się natręt.

— Nie. Po co? — zdziwił się badacz. — Proszę do środka!

Goście krótko bawili w podziemiu. Postukali w wilgotne mury i odjechali obdarowani końskimi zębami, które dla komisji nie przedstawiały naukowej wartości. W pożegnalnym zamieszaniu zniknął zamek Manlichera i omszała butla. Zawieruszyła się też panna w okularach i urzędowy fotograf. Dopiero o zmierzchu zastukali do Coków pytając o mleko.

Woda opadła i Wisła powróciła w dawne łożysko odsłaniając zwykłe wyspy i nowe mielizny. Gazety pisały o wykopaliskach w Krasnych Gajach podkreślając sukces przemądrego rządu. Dopiero zwycięstwa generała Franco zaćmiły odkrywcze prace. Operacz kopał coraz bliżej podmurówki domu. Razem z postępem robót rosły plotki. Opowiadano, że późną nocą, gdy wszyscy spali, a stójka z kołatką oddalił się na drugi koniec osady, Cokowie wykopali garnek pełen złota. Jednocześnie rozniosła się inna wiadomość, która zazdrość sąsiedzką ostudziła niepokojem. Wiadomo, że nim władza pomyśli, to ludzie przeczują zamiary. Tak i tym razem. Powtarzano w dobrej wierze, że wszystkich wysiedlą i przekopią grunty od Wisły po szosę. W środku stanie gród książęcy z dębowym ostrokołem i sekretnym loszkiem łączącym sypialnię z przystanią na rzece. Będą dwie łazienki i centralne ogrzewanie, bowiem,

rzecz postanowiona, zamieszka we dworze kochanka ministra. Poza palisadą zbudują chaty według starych planów. Jeśli komuś pozwolą zostać, to będzie chodził przebrany za bartnika albo sokolnika. Policja dostanie halabardy.

Zupełnie niespodzianie porzucono wykop. Zamiast samochodu z komisją przyjechał kolejką Operacz. Ledwo wszedł na podwórze zbiegły się kobiety. Mietek uciszył szmery i ogłosił:

— Nie bójcie się, kochani ludzie! Spokojnie pani Cokowa, nie będzie się pani za hucułkę przebierać! Zostaje wszystko po dawnemu. Kupiec Branicki dał znać przez adwokata, że co znajdą w ziemi, to przypada jemu. Braniccy bowiem dzierżawili karczmę i oni pobudowali piwnice na kiszoną kapustę lub może ogórki.

— Cygani kupiec! — krzyknęła Ciachowa. — Gorzelnię mieli tajną i dlatego jak krety chowali się w ziemię.

— Nieważne. Kopania nie będzie. Minister sklął profesora i już buduje się w górach. Panie Cok, w imieniu komisji zezwalam: możecie rów zasypać.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku Warszawy, choć go nikt nie gonił.

Zdawałoby się, że po zasypaniu wykopu piwnice Branickich pójdą w zapomnienie i życie znów będzie upływać na zwalczaniu codziennych kłopotów. Lecz w gadaniu sąsiadów trochę było prawdy, bo Cokowie istotnie zarobili podczas pobytu komisji. Kobiety sprzedawały drób, warzywa, jajka i owoce po sklepowych cenach. Wieczorami radzili wspólnie jak wydać pieniądze. Ksawery nie odstępował myśli o kupnie konia. — Mógłby nim jeździć Czesiek — tłumaczył rodzinie. — Koń z wozem zarobi na siebie i człowiekowi da utrzymanie. Z nadejściem chłodów budowa stanie, bo nikt murów nie ciągnie przy mrozie. Lepiej niech już teraz Czesław rzuci majstra i weźmie się do konia. Wóz jest w domu, a konia chce sprzedać ogrodnik pod lasem. Trzeba iść którego dnia i pomówić, ile żąda. Może zgodzi się na spłaty, bo to człowiek znajomy.

Wiadomość migiem obleciała chałupy: Cokowie kupują konia! Podobno nawet dwa! Przypomniano sobie o garnku ze złotem.

Targi toczyły się tydzień czy dwa. Wreszcie zgodzono się na cenę i na terminy spłat. W sobotę Stefan pojechał na rowerze po konia. Wrócić miał z ogrodnikiem, gdyż postanowiono, że litkup odbędzie się w domu. Cokowa nakryła stół i przetarła szkło. Ksawery szykował stajnię, która od wiosny świeciła smętną pustką.

Naraz przybiegł Andrzej posłany do sklepu.

— Mamo! Babciu! Widziałem młodego Ciągardlaka na rowerze wujka Stefka.

— Pleciesz! Przewidziało ci się i tyle. Rower do roweru podobny. Kładź resztę na stół, bo pogubisz pieniądze.

— Naszego roweru nie poznam? Phi!

Po godzinie Cok wziął laskę i skinął na zięcia. Poszli w stronę lasu. Kobiety czekały w milczeniu i choć mrok już padał, nie paliły światła. Czesław wypytywał Andrzeja.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pogotowie już odjechało, lecz na miejscu wypadku zgromadzili się ludzie i zeznawali do protokółu, co komu było wiadomo.

— Do przytomności nie powrócił, ale może wyżyje, choć krwi stracił dużo — powiedział ogrodnik do Coka. — Pieniądze zrabowane do grosza i roweru nie widać.

Nadjechało dwóch policjantów i zaczęli przeszukiwać krzaki. Niedaleko od ścieżki znaleźli metrowy kawał rury. Orzekli, że jest to narzędzie zbrodni, które bandyta spłoszony przez kogoś odrzucił i zbiegł na rowerze ofiary. Ślad opon, przydeptany już mocno przez gapiów, doprowadził do szosy. Tam giną na asfalcie.

Tegoż wieczora Kieszek zawiózł syna do komisariatu na Żoliborzu. Chłopiec upierał się przy swoim. Ciągardlaków zna wszystkich, zaś rower Stefana nawet obcy odróżni od innych. Rama bowiem była spawana w środku i zgrubienie widać z daleka. Zeznania pozostałych świadków sprowadzały się do wrażeń, jakich doznali na widok człowieka z rozbitą głową. Nie ulegało wątpliwości, że cios spadł znienacka, więc przesłuchanie ofiary, jeśli to będzie w ogóle możliwe, nie rokowało nadziei na rozwikłanie zagadki. Przodownik, który prowadził wstępne dochodzenie, wyboru nie miał. Spoglądał na Andrzeja i medytował co zrobić.

— Ciągardlakowie to bogaci ludzie? — spytał nagle.

Kieszek skinął głową.

— Właśnie! Szliby na morderstwo dla paruset złotych! Ej, mały, pewnie pan Ciągardlak dał ci kiedyś po uchu. Przyznaj się, o co masz złość.

— O wujka — odparł Andrzej.

— No, zobaczymy...

Przed nocą zjawiła się u Ciągardlaków policja i zabrała starszego syna

do Warszawy. Rewizja nie wykazała nic, co by poparło zeznania Andrzeja. Przepadł rower, a pieniędzmi Bóg wie kto się wzbogacił.

Do szpitala jeździła Cokowa i Klara na zmianę z Ksawerym. Stefan wciąż leżał bez przytomności. Lekarze kiwali głową i mówili: może...

Trzeciego dnia po wypadku przyjechał do Coków przodownik Bizuń. Zabrał Andrzeja i powiózł w stronę posterunku. Klara pobiegła za wozem, lecz podwoda wyprzedziła ją znacznie.

Zastała chłopca siedzącego w rowie. Dziwnie był blady i siny, ale nie płakał, tylko trząsł się cały, jakby chwyciły go konwulsje. Słowa nie mogła z niego wydobyć. Dopiero w domu, gdy spytała:

— Zaparłeś się?

Kiwnął głową i rozbeczał się w niebogłosy.

— Andrzejku! Dlaczego?

— Strasznie bił, mamuniu, oj jak bił...

Sprawa oparła się o prokuratora. Był to młody człowiek najwyraźniej zawstydzony sytuacją, w jakiej się znalazł. Wysłuchał opowiadania matki, w którym więcej było łez niż słów, i ojca, który pozornym spokojem pokrywał nienawiść. Na ostatku zwrócił się do chłopca:

— A mnie co powiesz, Andrzeju? Widziałeś Ciągardlaka na rowerze wuja Stefana czy nie?

— Widziałem, proszę pana...

— Mówisz za każdym razem inaczej. Na posterunku zeznałeś wyraźnie, że przez złość oskarżyłeś Ciągardlaka. Więc jak będzie w końcu?

— Widziałem. Pan mnie chyba bić nie będzie?

Zrobiła się długa cisza. Prokurator patrzył na stojące przed stołem dziecko i zwlekał z zakończeniem przesłuchania. Nagle opamiętał się.

— Idźcie już państwo. Do widzenia, chłopcze.

Lecz cóż się stało dalej! Ciągardlaka zwolniono. Śledztwo zaś zawieszono do czasu wyzdrowienia Stefana. Nikt nie mógł zrozumieć, jak to stać się mogło. Okazało się potem, że alibi dostarczył przodownik Bizuń. Zeznał, a dwaj podkomendni potwierdzili słowa przełożonego, że owego popołudnia Ciągardlak bawił u jego córki. Sprawa Andrzeja rozlazła się po kościach. Brakło świadków i dowodów, bowiem policja umie badać zręcznie. Bizuń nie pokazywał się w Gajach. Zdarzały się wypadki, że zbyt krewki policjant ginął niby kamień w rzece. Wkrótce pojechał na urlop zdrowotny, a z urlopu na służbę do innego województwa.

Po trzech tygodniach Stefan odzyskał przytomność. Szpital zjadał gospodarstwo. Lekarze uratowali Cokowi życie, ale do zdrowia wciąż

było daleko, do śmierci zaś blisko. Późnią jesienią przywiozła go matka do domu. Ksawery wypytywał ostrożnie: — Przypomnij sobie Stefek, powiedz, synku, kto cię sponiewierał? Lecz Stefan tylko kręcił głową. Jechał szybko ścieżką i nagle poczuł ból tak okropny, że wypowiedzieć nie da się słowami. A potem — szpital i wielomiesięczny ból. Została więc krzywda nie pomszczona i przez to piekła jeszcze mocniej. Śledztwo umorzono całkowicie.

Ciachowa, która najgorsze owrzodzenia i rany goiła podbiałem, na głowę Stefana nie miała sposobu. Szeptała Cokom:

— Kość nie odrasta. To już tak być musi. Pilnujcie tylko, żeby nosił się ciepło, bo jak mróz wejdzie do środka, zetnie mózg, a wtedy — koniec. Ciepło trzymać głowę!

Lekarze widzieli radę. Mówili, że po pewnym czasie można będzie zastąpić strzaskaną kość platynową blaszką. Na razie zalecali spokój, ciszę i dobre jedzenie. Niech Stefan nabiera sił i tak cud, że żyje. Więc żył, ale nawet wiadra udźwignąć nie był w stanie. Byle dziecko mogło go zabić patykiem. Na platynową kość rodzina nie zdobyła się nigdy. Z początku marzyli, że kiedyś powiozą Stefana na operację, ale potem przestali gadać. — Platynowa blaszka... — mruczał Cok i szarpał wąsa. — Ho, ho! Kto z nas do mordowania zdatny? Ciągardlak umie sobie radzić, ma kogo posłać po pieniądze z żelazem...

Głośno nie wskazywano sprawcy. Bali się ludzie. Mógł przecież Ciągardlak podać ich do sądu. Miał za sobą prawo. Trzeba jednak przyznać, że stary Ciągardlak pierwszy ofiarował się z pomocą. Zaczepił raz Andrzejka na drodze i poczęstował cukierkiem.

— Co ty masz w szkole smrodzić! Przyjdź z Tuśką, dam wam utrzymanie i po dziesięć złotych na miesiąc.

Chłopiec schował cukierek, ale milczał.

— No, do gęsi i do krów... Powiedz o tym w domu.

Klara oglądała się na matkę, Cokowa na Ksawerego. Cok kręcił głową.

— Znaczy, że będzie nam wypłacał po dwadzieścia złotych z naszych pieniędzy. A za rower jedzeniem... A ty, Andrzejku, jak? Pójdziesz do Ciągardlaka na służbę?

— Pójdę, dziadziu... — westchnął Andrzej.

Dopiero Kieszek uciął sprawę. Powiedział do Klary:

— Nie waż się dzieci odbierać ze szkoły! Niech sobie Ciągardlaki pasą same!

Chodził więc Andrzej z siostrą do szkoły, a po lekcjach szli razem do Wólki, gdzie były duże sady. Gospodarze płacili dzieciakom po pięć-

dziesięć groszy dziennie za zbieranie owocu. Ciągardlak rozpowiadał na lewo i prawo:

— No i lituj się nad takimi! Skomlą, że bieda, a zarobek odtrącają! Jak garnek ze złotem stoi pod łóżkiem, to kark zaraz twardnieje! Widzicie ludzie, że Cokowie skryci kłusownicy! A na ich zięcia, policja od lat ma podejrzenie...

Skończyła się złota jesień i nadeszła szaruga poprzedzająca zimę. Gnały liście drogą i wirowały w sadach wokół brązowej już jarzębiny. Wreszcie chwycił mróz. Przyjechali petersburscy brukarze i uklepali ziemię na kamień. Jednocześnie urwał się zarobek Czesława. Wcześniej niż zwykle wrócił z budowy.

— Jutro nie idę do roboty. Nie murują. Fajerant do wiosny.

Andrzej rozumiał co to znaczy. Zresztą od dawna ciemniały święte obrazy w izbach. Dawały znak, że zima będzie ostra i bieda przyciśnie mocno.

Z każdym rokiem gniotła silniej. Dom wisiał na wypłacie Wincentego i złotówkach Klary, która dostała się na posługi do jednych państwa na Żoliborzu. Stefan łaził z kąta w kąt, pomocy nie dawał żadnej, wciąż był za słaby. Dawniej ludzie szukali Coka i wtykali pieniądze, teraz on gonił za popsutym wozem. — Jak biedny do tańca, to muzyka idzie srać... — klął Ksawery. Zanim parę złotych wyciosał, zdarł butów za drugie tyle.

Czesław dostał powołanie i poszedł na dwa lata do artylerii. W fabryce Szulawki wybuchnął strajk, po którym Wincenty i Błażek stracili pracę. Na domiar złego trafił Kieszek pod pałki policji. Stało się to przy Dworcu Głównym, podczas pierwszej wizyty Himmlera w Warszawie. Kordon policji osłaniał gościa od urągania, jakim huczała warszawska ulica. Nie tylko Kieszek krzyczał i gwizdał, lecz przy nim stał szpicel. Dwaj policjanci wykręcili ręce i wepchnęli Kieszka do bramy. Nie posłali go do Berezy lub więzienia. Najzwyczajniej w świecie stłukli kolbami nie pytając, za kim stał w dwudziestym szóstym roku. Gdy Kieszek podniósł się wreszcie na nogi, wykopali go na ulicę. Tak płaciło mu państwo procenty od majowego kapitału.

O wojnie było coraz głośniej. Zbierano pieniądze na samoloty i broń. Gdzieś rosły podobno fabryki, ale Kieszek na próżno kołatał o pracę. Był w „Avii", jeździł do „Ursusa". Ledwie dotarł do „personalnego", już biegł z powrotem. Grozili policją.

Wojna skradała się opłotkami i uderzyła nagle jak ów bandyta, który odebrał Stefanowi zdrowie. Wczesnym rankiem zastukała w okna podmuchem bomb zrzucanych na Warszawę.

— Dziadziu, dziadziu! Samoloty! — krzyczał Andrzej. Wkrótce wszyscy patrzyli w niebo. Hitlerowskie maszyny trzymały się jeszcze wysoko i kryły się za obłoki przed dymkami przeciwlotniczej artylerii.

— Odejdzie Hitler z przetrąconym kulasem — powiedział Cok żegnając zięcia. — Po rządzie nie spodziewam się wiele, ale Czesiek chyba podatków nie zmarnuje i będzie strzelał celnie.

Kieszek pojechał do Warszawy, by zameldować się w batalionie pancernym, którego był kapralem. Ksawery odsłonił wejście do loszku i przy pomocy Stefana umocnił sklepienie ziemią. Powstał schron podobny do kopca z kartoflami. Wincenty wrócił w południe niosąc mąkę i cukier. Do wojska jeszcze nie brali, kazali czekać mobilizacji. Wiadomości nie były złe. Wprawdzie bombowców nie zdołano odpędzić, lecz obrona strąciła czternaście samolotów! Warszawiacy z maskami przeciwgazowymi krążyli po mieście oglądając ślady bomb przy mostach i na Pradze. Od wybuchów zajęły się magazyny na dworcu towarowym i zasnuły ulice gęstym dymem, który wywołał panikę. Spodziewano się po Hitlerze wszystkiego, nawet gazów. Transporty jechały na front. Szosą też szło wojsko: ułani, piechota i armaty.

Kieszek pochwalił schron, lecz radził podstemplować sklepienie. Zanosiło się, że wojna będzie uderzać od góry.

W niedzielę, trzeciego września, Andrzej pożegnał ojca:

— Tato, tata wygra wojnę.

Ni to pytanie, ni to prośba utonęła w płaczu Tuśki. Wyruszyli gromadą do Warszawy. Nie uszli kilometra, gdy posłyszeli wycie syren. Wincenty kazał zawrócić Cokom i dzieciom. Do miasta towarzyszyła mu tylko Klara. Wbrew przewidywaniom, Kieszka nie wcielono do baonu pancernego. Odesłano go najpierw do Wojskowego Instytutu Geograficznego, a stamtąd do szkoły przy Tarczyńskiej ulicy. Tam rozstał się żoną, by nie zobaczyć jej więcej.

Po kilku dniach przyniósł ktoś wiadomość, że Wincenty został ranny podczas walk z czołgami, które dopadły Warszawy od strony Okęcia. Poszła Klara szukać męża po szpitalach. Spotkała Błażka.

— Kto ci głupstw nagadał! Wicek wyjechał z kolumną ciężarówek i pewnie jest już w Lublinie. Wracaj do Gajów póki czas! My formujemy Warszawską Ochotniczą Brygadę Robotniczą. Po dwunastu dniach zdecydowali się wydać robotnikom broń...

Klara wyruszyła do domu, lecz żołnierze zawrócili ją z powrotem. Szosa i droga nad Wisłą były już pod obstrzałem nieprzyjaciela.

U Coków ranek minął spokojnie. Dopiero w południe bzyknęły pierwsze kule lecące zza Wisły. Zaczynała się wojna dla Krasnych Ga-

jów, choć dla Polski nieomal dobiegała końca. Schron wypełnił się ludźmi.

Gdy strzelanina cichła, Cokowa biegła do kuchni i grzała jedzenie. Tusia karmiła drób, a mężczyźni i Andrzej kopali kartofle. Walki toczyły się poza osadą, lecz przybliżały się z każdą godziną. Nadejście kawalerii rozpętało burzę. Ułani zjawili się rankiem i zalegli sady, stodoły i chaty. Zwiedzeni spokojem i umiarkowanym ogniem zapadali od razu w sen obok koni chwiejących się ze znużenia. Sześciu oficerów weszło do Coków.

— Panienko, jeść! — zawołał jeden do Tusi, która stała przy kuchni.

Zanim usiedli, nadleciał samolot. Zatoczył koło i znikł za Wisłą.

— Panowie, na miły Bóg, jedźcie do lasu, przecież tu was zbombardują! — Cok aż trząsł się z oburzenia. Gdzie tylko spojrzeć, konie, taczanki i ludzie. Rozumiał, że mały samolot poleciał po wielkie bombowce.

— Mają zbombardować, to i tak zbombardują. Czy nie wszystko jedno gdzie? — porucznik nie odrywał oczu od garnka z kapustą i kartoflami.

— A my? — zapytał Cok. — Jakże tak można, panowie!

Urwał. Popatrzył na wychudłe twarze i machnął ręką. Nic tych ludzi nie poruszy z miejsca. Za późno było już na słowa. Przeraźliwy wizg rozdarł powietrze.

— Do sadu! Pod drzewa!

— Do schronu! — wrzasnął Cok i pociągnął Tusię. Samoloty jak jastrzębie spadały z jasnego nieba. Ułani budzili się ze snu.

W izbie pozostał Andrzej. Sparaliżował go spokój porucznika. Oficer siedział za stołem, jakby nie słyszał wybuchów. Sklepikarka Gołębiowa, nie zdążywszy do schronu, wleciała z krzykiem i cisnęła się pod łóżko.

— Pani Gołębiowa, szafa panią przygniecie. Pani wyjdzie... — szepnął Andrzej. Porucznik zwiesił głowę. Zdawało się, że drzemie lub umiera siedząc. Co chwila czarny cień muskał szyby i przesłaniał słońce. Przez pół godziny kołysały się ściany i dygotała szafa nad łóżkiem, pod którym Gołębiowa jękliwie odmawiała litanię.

Cisza nie trwała długo. Ze wszystkich stron podniosły się wołania o pomoc. Lecz straszniej od ludzi kwiczały ranne konie.

— Jak się nazywasz? — spytał oficer Andrzeja.

— Kieszek.

— A ja Tański... Chodźmy, już po nalocie i po ułanach...

Oficerowie w sadzie zginęli od jednej bomby. Ocalał młody chłopak, którego wybuch zaskoczył we śnie. Ułan czołgał się przez podwórze do

progu chaty. Ciągnął za sobą dwie strugi krwi upływającej z urwanych nóg. Unosił twarz i cicho prosił:

— Ratujcie... Ty mnie uratujesz...

Właśnie nadbiegli ze schronu Cokowie i Tusia. Andrzej trzymał ułana za ramiona. Podchwycili, zanieśli na łóżko i od razu umarł, jak był, w stalowym hełmie. Zaczęto opatrywać rannych. Cokowa darła bieliznę i pościel, lecz wciąż było mało. Leków nikt nie miał. Resztki szwadronu odeszły wkrótce w kierunku Warszawy. Strzelanina wzmogła się znacznie i znów spędziła mieszkańców do schronu.

Andrzej siedział naprzeciw dziadka, zasłuchany w bitwę. Odgłosy dawały obraz losów walki. Na Wiśle śmigały cienie samolotów, a strzały karabinowe odzywały się ze skraju osady. Przez trzask nieprzyjacielskiej broni przebijało się „hurra!" obrońców. Domyślano się w loszku, że swoim brakuje amunicji i walczą już tylko bagnetem. Noc, jasna od łun, zaglądała w twarze Ksawerego i chłopca. Nad schronem tupotali piechurzy, nawoływali się w mroku i biegli dalej, na Warszawę. Brzęczała broń, ciężka i nieprzydatna, pewnie bez nabojów. Strzały łomotały od rana. W południe nastała cisza. Ksawery, tknięty złym przeczuciem, spojrzał na zegarek. Było wpół do jedenastej. Andrzej pierwszy wychylił się ze schronu i cofnął się jakby szarpnięty za kołnierz.

— Niemcy są u nas!

Dzieci rozpłakały się. Starsi zdrętwieli.

Obcy żołnierze dostrzegli kryjówkę. Podbiegli do wejścia i wrzeszczeli czarcim głosem. Zasmolone twarze, łaciate płachty i gałęzie przy hełmach. Chłopiec stał przed nimi, zaskoczony niezrozumiałą mową. I naraz, niespodziewanie dla samego siebie, wybuchnął śmiechem. Zwycięzcy nawet dziecku nie darują drwiny. Dostał Andrzej takie baty, że ledwie mógł się pozbierać. Drugie w trzynastoletnim życiu. Pierwsze od przodownika Bizunia, a teraz od oficera SS, Niemca Beckmanna.

Na lamenty brakło czasu. Dzielono już ludzi. Mężczyźni na Ożarów, starzy przez Wólkę do Lasków, kobiety i dzieci w Kotlinkę za Gaje. Znaleźli się tłumacze.

— Szybko! Szybko! Nie oglądać się!

Do starej karczmy doskoczył żołnierz z dziwaczną maszyną na plecach. Kręcił korbą, płomień bił z rury, zaśmierdziało benzyną czy naftą. Ogień uczepił się belek, zawirował w sieni i liznął wysuszoną strzechę. Strzelił dym w niebo wysoko jak nadwiślańskie topole... Hitlerowcy nie dawali wytchnienia. Babka, trzymając dzieci za ręce, biegła prawie bez tchu. Dziwna rzecz, ledwo ludzi spędzą w stado, już każdemu chce się

pić. Mijali ostatnie zabudowania Krasnych Gajów, gdy Andrzej zobaczył wiadro z wodą przed drzwiami Ciągardlaków. Wyrwał się Cokowej i dalej chłeptać. Babka w krzyk.

— Jezu! Andrzej...!

Żołdak złożył się z karabinu, lecz nim pociągnął za spust, drugi hitlerowiec nasunął się pod lufę. Zwalił się razem z wystrzałem. Pokopał buciorami ziemię i zesztywniał.

— Uświerkł... — odetchnęła Cokowa. Heretyk bowiem nie umiera jak poczciwy człowiek, lecz świerknie. Hitlerowcy oprzytomnieli. Pozwolili iść wolniej i, o dziwo, nie zabili nikogo. Cokowie dotarli do Kotlinki i wreszcie spojrzeli za siebie.

Dzień był pogodny, lecz słońce zasnute kopciem świeciło rdzawo, podobne do latarni okręconej kirem. Od Warszawy, nad wioski, kolonie i osady, rozpościerał się dym lepki i ciężki. Niby czarny śnieg ścielił się na ziemię płatami spopielonych papierów i szmat. Miasto ginęło w chmurze, w którą tysiąc armat biło z obu brzegów Wisły. Samoloty Löhra i Kesselringa zanurzały się w dymy i rwały je na strzępy ogniami wybuchów. Odlatywały bezkarnie i na pobliskich lotniskach zaopatrzywszy się w bomby, znowu wracały nad dachy Warszawy.

Na tym tle wątła smuga chwiejąca się nad pogorzeliskiem starej karczmy ledwie wpadała w oko.

— Wiktusiu, a którego dziś mamy? Zupełnie mi głowę zmącili. Przecież poniedziałek? — Ciachowa schwyciła babkę za rękę. — Czyżby tak mało znaczył? A prawie święty! Popatrz, Andrzejku, dobrze! To wszystko ichnie samoloty? Znikąd nie leci pomoc?

— Nie, pani Ciachowa. Wszystkie ciskają bomby. Nie spada ani jeden. Nasza artyleria już nie strzela.

Cokowa nie odpowiadała. Nie bardzo rozumiała, do czego sąsiadka zmierza i od kogo wygląda pomocy.

— Mało znaczny... — Ciachowa nie mogła opędzić gorszących myśli. — Kaplicę ma ładną u świętej Anny, ale często słyszałam za młodu, że bernardyni nie cieszą się w niebie zaufaniem boskim. Jak Hitlera przepędzą, muszę się wybrać do Gielniowa, by przewiedzieć się na miejscu, co ludzie wiedzą i pamiętają.

— A o kim, tak pani Ciachowa? — ocknęła się babka.

— O błogosławionym Ładysławie, Wiktusiu złociutka. Przecież to patron Warszawy! Widać chyba z nieba, co się w mieście wyprawia. Patrzy z góry, nie jak my z Kotlinki.

— Pani Ciachowa... — odezwał się Andrzejek nieśmiało — żeby ten

patron zesłał amunicję dla armat i ze dwadzieścia myśliwców. Sam jakoś ratunku dać nie może. Tam już chyba spaliło się wszystko...

— Andrzej, nie grzesz głupim słowem! — ofuknęła babka. Ciachowa zaś spojrzała na chłopca życzliwie:

— Myślisz, że dwadzieścia starczy?

Po czym pogrążyła się w zamyśleniu i nie rzekła więcej słowa.

Jeden z 180 tysięcy pocisków, które generał Blaskowitz kazał w tym dniu wystrzelić na miasto, zranił Błażka w okopach na Czystem. Klara zginęła od bomby rzuconej tak celnie, że trafiła w sam środek czerwonych pasów krzyża, chroniącego dach szpitala.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wracali tą samą drogą, lecz bez eskorty. Szli wolno, pozwalając się wyprzedzać sąsiadom, którzy śpieszyli do ocalałych domów. Znów było cicho. Wiatr czyścił niebo z warszawskich dymów. Wróble furkotały w ogrodach, wyłaziły psy z ukrycia i kury zbiegały się na podwórka. Znikły trupy niemieckie. Hitlerowcy pozbierali swych rannych i zabitych. Nad ciałami Polaków unosiły się roje much. Konie leżały, gdzie który padł.

— Babciu, wyskoczę naprzód... Ludzie rozkradną, co zostało.

Nim dowlokła się Cokowa z Tuśką, Andrzej wydobył spod belek kuchenną płytę. Ustawił na cegłach i rozniecił ogień.

— Tuśka, biegaj po wodę! Ja muszę konia obrządzić.

— Co się tak rządzisz, szczeniaku... — odburknęła siostra, lecz poszła.

— Idź, Tusia, idź — dodała Cokowa. — Przecież widzisz, ani dziadka, ani Stefka. O innych strach myśleć. Domu nie ma, ludzi nie widać; wojna konia nam dała jak na urągowisko.

Z domu została kupa osmolonych belek, ale budynek po drugiej stronie podwórka uchronił się od ognia, choć więcej w nim było drewna niż cegły. Przy otwartych drzwiach stajni stał ułański koń. Zwiesił łeb i niespokojnie poruszał chrapami, jakby węszył co mu ludzie zgotują. Andrzej położył wilgotną glinę na odparzony grzbiet i obmył zaropiałe rany. Po czym wprowadził konia do komórki służącej za stajnię. Za ścianą babka szykowała miejsce na nocleg.

W chwilę później, gdy Tuśka odparowała kartofle, przyszła Ciachowa. Postawiła kubek z solą, dzieciom dała po sucharze, a babce wcisnęła do garści szczyptę herbaty. Nie odezwała się słowem. Może nawet nie

słyszała podziękowań? Błogosławiony Ładysław nie wychodził jej z głowy. Jak mógł dopuścić? I to akurat w swój dzień! Ciachowa nie znajdywała odpowiedzi i tym się trapiła najwięcej.

Przed nocą wrócił Ksawery.

— Stefana nie ma? Bo już ludzi puszczają. Trzeba konie uprzątnąć i żołnierzy grzebać, żeby nas zaraza nie pokarała za lenistwo.

Stefan przyszedł następnego dnia i trafił w sam środek awantury. Cok zajęty był właśnie przy ściąganiu padłych koni do wielkiego leja, gdy nadbiegł Andrzej.

— Dziadziu! Gołąb zdejmuje buty żołnierzom! Już pięciu ułanów rozzuł!

Ksawery ruszył za wnuczkiem. Zastali Gołębia na wydmie za ogrodami. Pochylony nad trupem pruł kozikiem szew cholewy. Widać noga napuchła i but trzymał mocno. Naprzeciw sklepikarza przykucnął stary Ciągardlak.

— No... — ozwał się Cok przeciągle — pomagacie, sąsiedzi, jak umiecie...

— Ehe. Nóg sobie nie odmrożą! — roześmiał się Ciągardlak. Gołąb uważnie ciął nici, żeby nie uszkodzić skóry. Cok stał nad nimi i czuł, że złość rośnie. „Z jednej strony, po co nieborakom buty? Już w nich chodzić nie będą. Żeby kto inny, to by jeszcze uszło. Ot, Brylak albo Olejak. Ich przecież też spalili ze wszystkim. Ale nie! Biedota konie spycha w doły, a najbogatsze chamy za buty się wzięli! Po kieszeniach też pewnie węszą...“

— Zostawcie te buty... — mruknął Ksawery.

— Mają zgnić? Odczep się — odburknął Ciągardlak. Nie dokończył, bo Cok przyłożył mu w gębę, a rękę miał twardą. Gołąb doskoczył z nożykiem, ale dostrzegł Stefana i umknął do siebie. Ciągardlak podniósł się i nacisnął kaszkiet.

— To weźcie sobie już buty... Cholery. — Dopiero z daleka pogroził pięścią. — Czekajcie! Niech tylko policja wróci! Pójdziecie za ułanami!

— Nie wiadomo kto z brzega. Czekaj, bandyto, wieczora.

— Dziadziu, znowu będą ciągali na posterunek? — zaniepokoił się Andrzej — chyba komendant Bizuń nie wróci? On by nam dał teraz!

— Nie wiedzieć, Andrzejku. Drań z gadziną jedna para. Skończyło się jedno, zaczyna się drugie. Chodźmy, bo jeszcze roboty nie trzeba szukać. — To mówiąc przymrużył oko. — W metryce sześćdziesiątka, ale w ręce nie czuję starości.

Gdy pogrzebano ułanów i konie, zabrał się Cok z synem do zasypywania schronu. Taki nakaz ogłosił sołtys gromadzie. Również broń, ma-

ski i hełmy, jeśli kto gdzie znajdzie, odnosić bez zwłoki do gminy. Potrzaskanych karabinów uzbierał się kopiasty wóz. Bez żalu odwiózł Cok połamańce, ale to nie było wszystko...

— Dziadziu, tuż przy brzegu leży nowiuteńki pistolet.

— Dziadziu, za wydmą znalazłem skrzynkę z amunicją. Trochę przysypałem piachem, żeby kto nie ubiegł...

— Dziadziu, w wiklinach stoi erkaem. Stąd go prawie widać. Trzeba brać migiem.

— Jak ojciec myśli, chyba nie oddamy? Przecież to polski Vis!

Więc czyścili, chronili smarem od wilgoci, owijali szmatami i powrósłem ze słomy, i — pchali w ziemię. Wreszcie dziadek powiedział: dość! Już mi się plącze, co gdzie leży, a kto wie, może do wiosny przyjdzie czekać. — To był ostateczny termin wyznaczony przez Coków. Nie mieściło się nikomu w głowie, żeby kanalia przetrwała dłużej. Na razie szła zima. Ostrzegała z daleka, że mróz przyniesie wściekły, jakby za mało było innej biedy. Powtórnie zakwitły czereśnie. Przed czasem odleciały drozdy i paszkoty kierujące się na południe, ku Bramie Morawskiej. Dziadek śpieszył z kleceniem mieszkania, na które budulec zwoził Stefan z Andrzejem.

— Trzeba szerzej budować, bo jak tamci wrócą...

Nie wracali. Ani Czesław, ani Klara, ani Wincenty. Pojawił się pewnego dnia Mietek Operacz. O szarówce przewiózł go rybak przez Wisłę.

— Cóżeś robił huncwocie? — burknął Cok. — Z komisją jeździłeś? Wojowałeś? Siadaj. Portki masz obtargane...

— Chodziłem przez most — westchnął Mietek. — Nic porządku nie było w tej wojnie. Hitler przerwał mi urlop, proszę państwa. Musiałem wrócić od stryjenki z Michalina do Warszawy. To już raz przez most. Potem na Pragę do wojska. Stamtąd zaś do cytadeli znowu przez most. Na koniec kazali iść wszystkim na wschód. Odbiłem się już za Garwolin i tam dogonił mnie koleżka. „Wracaj Mietek! Pułkownik przez radio przemawiał zalany! Omyłkowo mężczyznom wydał rozkaz!". Prawie biegiem wróciliśmy do miasta. Wypadło nam bronić Targówka. Na razie szkopy górą.

Mietek wsunął rękę pod koszulę i wydobył sto złotych. Z ukłonem położył banknot przed babką.

— Proszę pani Cokowa, to za tamto wino.

Cok podniósł brwi. Sto złotych, to był grosz, choć słonina skoczyła już na cztery za kilo.

— Skąd pieniądze? Ej, Mietek...!

— Z drogi. Leżały na szosie, tylko strach było zbierać, bo jeden lotnik też dojrzał kasę i walił po ludziach bombami. Myślę pojechać do Płońska, więc resztę na rower odkładam. Dawno mi wróżka przepowiadała zagraniczną podróż!

— Ano, prawda. Suwa ścierwo granicami jakby jego ziemia była. Podobnież za Palmirami już kraj niemiecki. Tędy za szmuglem nie jedź! — ostrzegł Cok. — Koloniści z Niemieckiego Dziekanowa napadali na wojsko, więc ustrzelić szmuglera nie sztuka dla nich.

— Widziałem pana Kieszka za Garwolinem! — przypomniał sobie Operacz. — Ot, wyleciało z głowy! Jechał z jakimś urzędem do Lublina. Kazał się kłaniać i zaklinał, żeby dzieci pilnować. Pani Kieszkowej jeszcze nie ma?

Mietek zrozumiał westchnienie i dodał na pocieszenie.

— Poszukam w Warszawie. Może ludzie będą coś wiedzieć.

Gdy czeka się bliskich, to obcych nie trzeba spraszać. Sami znajdują drogę. W parę dni po Mietku przyjechał na rowerze wysoki mężczyzna. Wszedł na podwórze i zatrzymał się zaskoczony: był dom, została okopcona podmurówka.

— Pan mnie nie poznaje?

— Żeby prawdę powiedzieć, to nie... — Cok wpatrywał się w przybysza i przepraszająco rozkładał ręce.

— Dziadziu, przecież to pan porucznik Tański! — zawołał Andrzej.

Okazało się, że już nie Tański i nie Jacek, lecz Władysław Helkowski. Otworzył w Warszawie skład opałowy i chciałby pomówić o drzewie. Rozmowa trwała do wieczora. Wreszcie godzina policyjna zbliżyła się niebezpiecznie. Postanowiono, że Tański zanocuje, a z pierwszym wozem pojedzie Cok. Na próbę weźmie jeden karabinek. Powinno się udać, bo posterunek na szosie nie przetrząsa ładunku, więc i drzewa zapewne nie każe zwalać. Taki był początek. Broń wciągnęła Andrzeja do organizacji i złączyła z Jackiem Tańskim.

Cokowie przetrwali lata, w których każdy dzień był niepewny jak kwiat czereśni przy nawrocie zimy. Spoglądając wstecz, Ksawery zwykł mówić, że w ówczesnym życiu krew mieszała się z bimbrem.

Rano zjawiali się w Gajach szmuglerzy spod granicy Reichu. W murowance Ciągardlaków składali towar z Truskawki, Krogulca czy Janówka, potem brali bimber od Gołębia i rozchodzili się po chałupach. A nocą warczały samochody na szosie. Kryte budy wiozły ludzi na Palmiry.

Kto bał się szmuglu i stronił od kradzieży, szedł do budowy baraków wznoszonych dla lotników między Gajami i miastem. Bauleitung płacił

dziesięć złotych dziennie i do pieniędzy dodawał deputat: kilo suszonych kartofli, piętnaście deka mięsa i trochę fasoli. Jedzenie na miesiąc mieściło się łatwo w jednej kieszeni. Hitler dawał pracę, ale zarobić pozwalał tyle, że na pieprz do gówna wystarczyć nie mogło. Stefan złakomił się z początku na parę złotych, lecz równie szybko rzucił robotę. Miał za słabą głowę do częstego bicia. Gdy na lotnisku zaczęto sadzić drzewka, pokazali się pierwsi Żydzi z getta. Mieszkańcy Krasnych Gajów przystawali na szosie i patrzyli z daleka na czarne postacie schylone przy taczkach. Potem dyskutowano w osadzie, dlaczego opaski są białe, a gwiazdy niebieskie. Ile to będzie, po ludzku mówiąc, te dwieście trzydzieści kalorii? Bowiem tyle jedzenia miał dostawać Żyd wewnątrz murów.

Gołąb, który prowadził swój sklepik po staremu, opowiadał klijentom zabawne zdarzenie. Szli raz Żydzi do pracy i spotkali na drodze żabę. Któryś odskoczył przestraszony, więc żandarm kazał mu żabę złapać i od razu zjeść. Zanim hitlerowiec doliczył do trzech, było już po żabie. Żandarm schował pistolet i kolumna ruszyła dalej.

— Powariowali! Całą mądrość kierują ku temu, żeby człowieka zmienić w stworzenie gorsze od psa — odezwała się Cokowa poruszona opowiadaniem.

— A bo to człowiek? Krzyknę „człowieku!", to nasz się odwróci i podejdzie z pięścią. A Żyd idzie dalej, ani drgnie. Widać, że nie człowiek. Zawołam „Żyd!", to nawet chrzczony obejrzy się trzy razy. Ot, pani Cokowa.

— Tylko nie zacznij Żydów z kościoła wynosić, bo w pustym będziesz się modlił!

— To pani za Żydami? — Gołąb pochylił się ciekawie. — Nie trzeba mówić tego głośno. Pani wie, ile kosztuje takie gadanie?

Babka zatrzymała się w drzwiach. Sklepikarz zacierał ręce i uśmiechał się dziwnie.

— Głupi gnilcu! Hitler odjedzie, a ty zostaniesz! Kto ciebie zasłoni?

Gołąb spoważniał. W Burakowie zabito sołtysa za donosicielstwo, a na Marymoncie zastrzelono ogrodnika, który wydał żandarmom Żyda zbiegłego z getta.

— Pani Cokowa, ja się nie gniewam, choć z pani mężem przemówiłem się ostro. Handluję. Kupię i odsprzedam. Tyle mojego, że jakoś żyję. Co mnie polityka obchodzi? Żydzi, pani Cokowa, to k w e s t i a. Co nam do tego?

Cokowa ruszyła ramionami zamiast odpowiedzi. Spieszyło się jej do

domu, bo od czasu, gdy Tusia dostała pracę u Wedla, gospodarstwo prowadziła sama.

— Co nam do tego? — powtórzyła mimowoli przesuwając garnki na kuchni.

— Do kogo, Wikciu? — Ksawery wysypał wióry do kubełka i czekał, co odpowie babka.

— O Żydach myślę.

— Ano, niby nic na razie. Skończą z nimi, zaczną z nami. — Cok powrócił do pracy nie przypuszczając, że jeszcze tej nocy będzie musiał dać odpowiedź na pytanie rzucone przez Gołębia.

Ksawery obudził się tknięty przeczuciem, że ktoś zagląda do okna. W izbie wszyscy spali. Ogień pod kuchnią dogasał, lecz resztkami blasku oświetlał twarz przylepioną do szyby. Jednocześnie rozległo się ciche stukanie. Potem znikła i twarz, i ręka. Cok wstał i potrząsnął Stefanem:

— Wychodzę na dwór. Człowiek czeka za domem. Coś mi się zdaje, że to będzie młody Branicki...

— Panie Cok, to ja. Pan już wie kto. — Cień pod ścianą poruszył się niezdecydowanie.

— Chodźmy — mruknął Ksawery — ale cicho.

Usiedli w sadzie osłonięci cieniem krzewów i drzew. Noc nie była zbyt ciemna. Cok milczał chwilę. Właściwie wszystko sprowadzało się do jednego: ukryć czy odpędzić?

— A, ojciec? — spytał Ksawery.

— Skończył na serce. Panie Cok, to stało się w dniu, w którym ten Hitler wjeżdżał do Warszawy. Zdążył umrzeć legalną śmiercią. Panie Cok, ja jestem sam, i tu, i w ogóle. Od razu pomyślałem o panu.

— O, to był sławny kupiec na rybę. Znali go wszyscy rybacy po obu stronach Wisły. Gorzej, że i was tu znają dobrze.

— Wiem, panie Cok. Z moją twarzą nie przeżyję dnia.

— Trudno będzie.

Znów zapadło milczenie. — Branicki ani swat, ani brat — myślał Ksawery, ale nie czuł ulgi. Czasem odwiedzał z ojcem osadę i dla ciekawości oglądał rybę, bo uczył się na adwokata. Może nawet już nim był? Braniccy mieli pieniądze. Była wtedy ryba w Wiśle. Nieraz pokazywał się jesiotr, choć to rzadki okaz... Wtedy Ciągardlak kłaniał się Branickiemu i posyłał resorówkę po kupca. A dziś? Wyuczył owczarka tak chytrze, że można psu kiełbasę położyć na nosie. Nie ruszy, choćby dzień cały przesiedział na głodno. Wystarczy ostrzec: to od Żyda! Żandarmi, którzy odwiedzają murowankę po ciche sprawunki, nie mogą wyjść z po-

dziwu. Klepią Ciągardlaka i krzyczą: *Kolossal! Wunder-bar!* Ciągardlak, to ani zdrajca, ani folksdojcz. Po prostu chce żyć i żyje po swojemu. Gdyby tak pójść i powiedzieć: Panie Ciągardlak, poratuj pan młodego Branickiego. Wyście dobrze byli z jego ojcem... Ukryć? Mało! Trzeba żywić. Nadstawić głowę łatwo, ale uciec spod lufy trudniej. — Dam jedzenie i niech idzie. Do świtu czas. Byleby nie na moich oczach...

Niespodziewany szelest poderwał obu na nogi. Cokowa rozglądała się po sadzie.

— Odezwij się, Ksawery, nie widzę, gdzie jesteście.

— Dobry wieczór, pani Cokowa.

— Bierz łopatę i odkrywaj loszek. A to się dziadyga zrobiła rozmowna! Całą noc przegada, jakby zapomniał, gdzie żyje. Panie Branicki, niech pan je. Łyżkę dałam drewnianą, żeby nie dzwoniła.

Cok zwiesił głowę i bez słowa poszedł odgarniać ziemię. Po chwili dołączył się Stefan. Kopali we dwójkę i do świtu zakończyli pracę. Wejście od strony Wisły osłonili starannie, lecz niezbyt mocno, by w razie potrzeby Branicki mógł wydostać się o własnych siłach. Jedzenie podawali przez piwnice spalonej karczmy, zmienione ostatnio na skład rupieci, narzędzi i desek.

— Panie Cok, co to za strzały słyszałem dziś rano? — spytał pewnego dnia Branicki.

— Przywożą z Pawiaka, a rozstrzeliwują tutaj. Za szosą, pod laskiem. Uklepują ziemię i przykrywają darnią. Nawet brzózki wtykają. Nie odróżni się, gdzie grunt, a gdzie groby.

— A, o Andrzeju nic?

— Nic — Cok ucinał krótko pytania o wnuczka. — Tyle nowego, że brukarza Pugańca zabrali do Warszawy.

— Może wróci?

— E, nie. Mówił Gołąb, że gazetkę znaleźli przy nim niedobrą. Komunistyczną.

Branicki nie opuszczał lochu. Tkwił w nim nękany czasem. Życie na powierzchni upodobniło się już do huraganu, lecz w piwnicy nie działo się nic. Dopiero drżenie ziemi strząsanej wybuchami wypędziło Branickiego prawie na podwórze.

— To Rosjanie! — szepnął wyciągając ręce do Coka.

Ksawery zaprzeczył posępnie.

— To kończą getto...

— Walczą?

— Jeszcze tak.

Dymy unosiły się znów nad miastem. Strzelały armaty i samoloty, burzyły domy. Łuny zaglądały do okien, ale nie sięgały jeszcze wysoko. Na razie płonęła tylko jedna dzielnica.

— Tramwaje już chodzą normalnie, przez Bonifraterską — odrzekł Cok, gdy Branicki zapytał, co oznacza cisza. — Za murami, gdzie było getto, nie ma nikogo.

Ksawery postawił jedzenie i szybciej niż zwykle odszedł.

Branicki dziwaczał z każdym dniem. Zadawał sobie coraz mniej zrozumiałe pytania i wydawało się Cokowi, że człowiek w piwnicy zapomniał o wojnie. Wierzyć się nie chciało, żeby dożył do życia podzielonego na dnie i noce. A jednak, z bardzo licznej rodziny Branickich tylko syn „kupca na rybę" doczekał się huku rosyjskich armat. Dudnienie napływało nocną ciszą. Ludzie wychodzili przed chaty i w milczeniu słuchali dalekich odgłosów frontu. Zwyciężająca armia była odległa nie o lata, jak któraś z gwiazd rozjaśniających letnie niebo, lecz już o kilometry. Zdobyte miejscowości znano nawet w Gajach.

Powstanie zaskoczyło Coków. Tusia została w Warszawie, a wieczorem wiedzieli wszyscy, że niesposób wydostać się z miasta.

— Pustoszeje dom... — rozmyślał Cok wpatrzony w chmury nad Warszawą. — Odchodzą jedno po drugim, ale nie wracają. Dla młodych teraz walka, a nam starym tylko żyć i czekać. — I zwracał twarz ku drzewom na wschodnim brzegu Wisły. Ale tam wciąż było cicho.

W połowie sierpnia spadły na Las pociski radzieckiej artylerii. Karny batalion rozpoczął kopanie okopów, a Stefana z wozem i koniem zabrano do wożenia drzewa pod budowę bunkrów. Liczono dnie i tak minęły dwa miesiące niespełnionych nadziei.

W przeddzień ewakuacji Ksawery po raz ostatni rozmawiał z Branickim.

— Musisz iść! Wszystko lepsze od czekania tutaj. Nas wygonią i przyjdą hitlerowcy. Będą głębiej ryli, aż dojdą do ciebie. Wyprowadzę nocą poza Gaje. Skryjesz się w lesie i pewno przeżyjesz.

— Jutro. Dziś nie... A może zostać? Trzeba pomyśleć. Może...

Stanęło na niczym, więc Ksawery zaopatrzył loch w żywność i wodę, zniósł łopatę, kilof, siekierę. Wejście do piwnicy założył cegłami i przywalił ziemią. Branicki zwlekał z decyzją, aż nadszedł świt i niemiecka piechota obsadziła okopy.

Saperzy zerwali most poniżej Gajów i ostatnie patrole przeprawiały się w łódkach. Ledwo czółna dobiły do brzegu, huknęły „katiusze". Po-

ciski przeleciały nad domem Coków i rwały się blisko szosy. Niemiecka bateria dała ognia na Tarchomin.

Ksawery zarzucił worek na plecy, Wiktoria ujęła tłumoczek, popędzani strzałami i krzykiem wyszli poza obejście. Podoficer wskazywał kierunek: na zachód! Naraz odezwały się karabiny maszynowe i moździerze ukryte w licznych zagłębieniach i dołkach. Cok obejrzał się: za Wisłą byli Rosjanie. Piechurzy przebiegali przez wał i zapadali w wikliny nad wodą. Wnet zaczęła się obustronna strzelanina.

Z Krasnych Gajów musieli odejść wszyscy. Nie uchroniła się ani Szwedowa w ósmym miesiącu, ani wiekowa Ciachowa, ani Ciągardlak z uczonym owczarkiem. Razem z innymi wędrowali Cokowie do obozu w Pruszkowie, potem przez Błonie do Sochaczewa. Trzymiesięczna tułaczka doprowadziła ich pod Borzęcin. Tam doczekali się stycznia i odwrotu hitlerowskich taborów.

Ksawery wyszedł po żywność do pobliskiej wioski i spotkał pierwszych żołnierzy radzieckich. Była to kolumienka piechoty zbliżająca się od strony Wisły ku zabudowaniom opuszczonym przez hitlerowców.

— Gdzie Germańcy? — krzyknął żołnierz w futrzanej czapie.

Cok pokazał na Leszno, potem na Błonie.

— *My tam siejczas budiem!*

W ślad za piechotą wychyliły się czołgi spoza lasu i parły przez śnieg do szosy i dalej, na Błonie, gdzie hitlerowcy chcieli stawiać opór. W Borzęcinie powiewały polskie flagi. Cokowa stała na progu obcego domu gotowa do drogi. Wrócili do Gajów później od sąsiadów, bo Wiktoria nie miała dość sił na przebycie dwudziestu kilometrów w ciągu jednego dnia. Gorączka przyczepiła się do kobiety i potrząsała babką gorzej niż febra. Pierwsze dni przeleżała Cokowa w izbie Ciachów, których dom ocalał, a miejsce było, bo stara Ciachowa umarła w pruszkowskim „dulagu".

Mróz trzymał ostry i rzeka wciąż stała. Nad p ł o n i a m i, otwartą wodą wśród lodu, kłębiły się białe, cieplejsze opary. Wokół szara pustka. Słońce skryte w chmurach, niebo posępne, przetykane pasemkami dymów po tamtej stronie Wisły. Ksawery zatrzymał się w środku podwórza. Ocierał oczy i spoglądał, to na rzekę, to na budynek splądrowany jak nigdy. Ani szyby, ani drzwi. Podłoga zryta, w izbie i stajni głębokie doły. Może bunkry, może składy. Kuchnia rozwłóczona. Z sufitu rozłupanego odłamkiem zsypywał się śnieg. Dach ogołocony z papy.

— Bez garnka i bez łyżki... — jęknął Cok — jakże wytrzymamy w tej pustce? O, wy, mać wasza najgorsza! Poszli... Nauczą ich wojować. —

Zaklął jeszcze parę razy i poczuł się lepiej. Wzdłuż zygzakowatego rowu doszedł nad brzeg, gdzie było dawniej wejście do podziemi. Bomby zawaliły korytarz. Od górki aż po rozbite fundamenty karczmy ciągnęło się płytkie wgłębienie. Najpewniej runęło sklepienie wzruszone wybuchami, po których pozostały głębokie leje.

Ksawery odgarnął śnieg. Natrafił na rękojeść siekiery. Oglądał ją chwilę w zamyśleniu; wreszcie zawrócił z powrotem na podwórko. Połupał szczapy i rozniecił ogień. Grzał ręce nad płomieniem i obmyślał początek odbudowy. Śnieg topniał odsłaniając grudy zmarzniętej ziemi.

Następnego dnia, ledwie świt przetarł się nad Pragą, już zaszeleścił śnieg pod wozami. Konie szły truchtem ku miastu, żałośnie podzwaniając uprzężą. Choć ślisko, że dziugać się było można, ludzie dreptali wytrwale gnani niezwykłej mocy tęsknotą. Dziwaczne przyodziewki nie wzbudzały śmiechu, a pośpiech nie wywoływał pytań.

Przy Krasnych Gajach, gdzie trakt łączył się z szosą, ludzie przystawali na krótki odpoczynek. Osłaniali oczy dłonią i patrzyli. Przez drzewa okryte sadzią, bielutkie „kiejby mąką obsypane", prześwitywało miasto. Wyłaniało się spoza pagórka czarne, czerwone, okryte śnieżnym bandażem. Było straszne jak człowiek spalony miotaczem ognia.

Nie było dnia, żeby ktoś z szosy nie skręcił do Gajów. Zaludniały się zwolna opuszczone domostwa.

Zjechali Ciągardlakowie parą siwków przy niemieckim wozie. Podobno kryli mąkę i cukier pod słomą. Mogła to być i prawda, bo Ciągardlak rozglądał się za spólnikiem do pędzenia bimbru. Ledwie zadymił komin murowanki, już zagadnął Coka:

— Dajmy spokój dawnym urazom, panie Ksawery. Syn mi nie wrócił z powstania, do kogo złość będziecie chować? Na miejsce gniewu, załóżmy spółkę. Bimber teraz pierwsza rzecz, dopóki monopol nieczynny. Postarajcie się o kociołek i kilsztok. Zgoda buduje, panie Ksawery!

— Wolałbym spółkę do waszej słoniny, skoro już tak mamy mówić. Odpłacę w lecie.

— Słonina? Kochany sąsiedzie! Bóg życie zachował i tyle. Wóz trafił mi się ładny, to prawda, ale deski nie ugryzę. Słyszycie, jak mi kruczy w brzuchu? — Ciągardlak rozpiął kożuch. — O, przyłóżcie ucho!

Cok splunął i rozeszli się jeszcze w większym gniewie. Tegoż dnia przywlokła się Rykowa i umarła na progu spalonej chaty. Przyszli Bączkowie z lichym tobołem i cudzą kozą. Odnalazł się Olejak i wróciła Szwedowa z nieślubnym dzieckiem. Opowiadała, że matka Ciągardlaka

umarła w Żbikowie, bo syn ją zostawił bez grosza i chleba. Szwedową znali wszyscy. Prędka była w miłości i w języku nie dała się ubiec nikomu. Wstyd się zrobiło Ciągardlakowi, więc zaczął oczy mydlić, że matka umarła na serce.

— A pewnie! Mogło biedulce pęknąć serce! Poznała na jakiego drania odchowała syna! — krzyczała Szwedowa na całą osadę. Nie uspokoiła się, aż dostała dwa kilo cukru dla małego dziecka.

Gołębiowie znów zagnieździli się w sklepie, ale na stare pieniądze nie sprzedawali. Po nowe trzeba było iść na Pragę. Cokowie jedli niekraszone kartofle, a na osadę szedł z murowanki swąd prażonej słoniny.

— Okraszam wam kartofle przez komin! — podśmiewał się Ciągardlak spoza firanki. — Spalona hołoto!

Głośno nie gadał na biedotę. Mówiono, że zmieniły się czasy. Choć nikt jeszcze nie był na Pradze, wiedzieli już wszyscy, że na Śnieżnej mieszka nowy rząd. Warszawa jak była, tak ma być stolicą. Za Wisłą sprzedają mięso i świeży chleb, i gazety. Wystarczy pójść dołem do Cytadeli, a potem przez lód na tamtą stronę.

Na razie każdy miał dość roboty wokół splądrowanych budynków. Cokowa, jak tylko opadła gorączka, dnie całe spędzała przy szosie.

...Jadą wozy, idą ludzie... Pochyleni, przygarbieni... Niosą tobołki z pościelą, ściskają w garści paczki owinięte papierem, dźwigają walizki okręcone sznurem i jakby nie czuli zmęczenia śpieszą do spalonych ulic. Suną dziecinne wózki z ładunkiem przymarzłych kartofli, wiozą sanki nadpalone żyto. Przeszła dziewczyna z bandażem na ręku, przejechała ryksza czerwona od poduszek wetkniętych pomiędzy krzesła. Skrzypi śnieg, brzęczy uprząż, idą, jadą, nie widać końca. Beczą kozy, szczekają psy, krzyczą dorośli i płaczą dzieci otulone chustami. Wypatrzyła Cokowa kota w drabiniastym wozie, ale ze swoich nikogo nie odnalazła. Miała już odejść, gdy zatrzymał się opodal człowiek siwy, ubrany w wojskowy płaszcz. Dobył chleba z płóciennej torby i odpoczywał jedząc. Pod drzewem postawił zegar z wagami i kukułką.

Cokowa, czuła na zegary ścienne, zagadnęła życzliwie:

— Nie szkoda wam sił? A dobry ten zegar przynajmniej?

— Lepszego nie mam. Starczy na początek. Muszę mu oddać sprawiedliwość — mężczyzna dotknął ciemnego pudła — czas pokazuje dobrze. Nawet godziny wydzwania! — roześmiał się nagle. Wstał i rozrzucił okruszyny wróblom.

— Już w drogę? Słońce ku zachodowi się chyli. Sąsiedzi was przenocują. My jeszcze domu nie mamy. Zostańcie.

Wziął zegar pod pachę i skłoniwszy się lekko Cokowej, poszedł za innymi warszawską szosą. Wiktoria patrzyła chwilę, a że nie rozumiała, o czym mówił, ruszyła ramionami. Dzień był zimowy. Ziemia leżała pod śniegiem, skuta mrozem do głębi. Lasy nie tak znów blisko.

Nad skarpą pokazał się wątły dymek. Kobieta ruszyła szybko do osady. Na progu odbudowanej kuchni stał Ksawery i rozcierał w dłoni ciemny liść tytoniu.

— Przeprowadzaj się, Wikciu. Znowu jest dom.

Cokowa weszła, powiesiła chustkę na gwoździu i drewienkiem podsyciła ogień. Usiadła na koślawym stołku i wybuchnęła płaczem. Ksawery odwrócił głowę. Byli starzy i sami. Nikt nie szedł ku nim od szosy.

Kto ma dach nad głową, musi mieć i garnki. Zaczęły powracać rondle i miski. Starsi wstydzili się prędkiej ręki, więc posyłali dzieci.

— Pani Cokowa, pani kupi talerz...

Ubranie przerobią, odmienią. Meble przemalują, ale garnek tkwi w pamięci mocniej od cegły w nie rozbitym murze.

— Czymże ci zapłacę, Jadwisiu?

— Mama kazała powiedzieć, że poczeka z pieniędzmi — odpowiadała Jadwinia lub Maciuś.

Odkupywała więc Wiktoria poobijane statki i wzdychając napominała łagodnie:

— A przynieś, dziecko, kubek w lila kwiatki, jak ci się trafi, bo to także nasze. Tusia z niego piła, gdy Andrzej wyjechał.

Niespodziewanie pojawił się w Gajach młody Puganiec, syn nieboszczyka brukarza. Dziwili się wszyscy, że oficerem został, choć nie ukrywał, że szkoły nie miał za sobą. Puganiec krótko zabawił u matki, lecz nim odjechał, przekazał wiadomość dla Coków.

— Syn widział waszego Andrzeja niedawno — mówiła rozpromieniona Pugańcowa. — Bądźcie przeto spokojni. Jak Hitlera skończą, wróci z pewnością.

Wnuczka kochali Cokowie najmocniej, więc ucieszyli się szczerze i ufniej spoglądali na zrujnowane gospodarstwo.

— Wróci Andrzejek, pomoże... Na innych też byłby już czas. Chyba dadzą znak życia, jak ty myślisz, Wikciu? Przyglądaj się snom, bo sen, to radio dla biedoty. Może będzie wiadomość.

Cok odgrzebał nieco narzędzi spod śniegu i zabrał się do łatania poniszczonych wozów. Czasem przerywał robotę i zerkał na zawalone podziemie. Miał zamiar, gdy mróz zelżeje, odkopać i zobaczyć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kolebali się w siodłach, jechali przez las. Brzask był ledwie niebieski, sosny jeszcze szare. Mgła czepiała się kopyt, a słońce dopiero jednym okiem zerkało na dukt. Ptaki budziły się ze snu i hałaśliwie odzywały się z drzew. Ej, jakiż to las? Ile minęło lat? Trzy.

Andrzej opuścił Krasne Gaje pod jesień 1941 roku. Pożegnanie odbyło się krótko.

— Odchodzę, dziadziu.

Cok nie okazał zdziwienia. Zdmuchnął popiół i poprawił papierosa w cygarniczce.

— A ojcu co powiedzieć? Może pokaże się wreszcie. Na coś przysięgał? Bo, to ważna rzecz.

— Idę, dziadziu, walczyć o niepodległość Polski i wolność ludu — odrzekł Andrzej i urwał zawstydzony. Powtarzał cudze słowa. Własne nie nadążały jeszcze za czynami. — Wygramy wojnę, to będzie Polska lepsza, sprawiedliwsza.

Ksawery pokiwał głową.

— Uważaj, żeby cię nie zwiedli. Ojciec też tak mówił, gdy Piłsudskiego wprowadził do Belwederu. Każdy Polskę w swoją ciągnie stronę, każdy krzyczy: „Ja najlepszy!" Każdy szarpie... Nie dziw się, ale my ludzie nieufni. Chcesz bić hitlerowców? To ja rozumiem! Jeno patrz, Andrzejku, kto z twojej wojaczki będzie zbierał zyski. Idź, inaczej być nie może. Pistolet odłożyłem dla ciebie najlepszy ze wszystkich. Wiedziałem, nie usiedzisz w domu. Uważaj...

Dziś Krasne Gaje daleko. Odchodził od nich lasami, aż wreszcie dotarł do rodzinnych stron matki.

Konie zwietrzywszy obozowisko przeszły w kłus. Andrzej ocknął się. Skręcili na ścieżkę, pomiędzy chłejory, grube, stare sosny. Za placówką — polana. Na polanie biwak.

Szymonik rzucił wodze, mruknął: „A przetrzyjcie dobrze, bo porządnie zgrzane" i poszedł oddać meldunek. Utrata i Andrzej poprowadzili konie ku wozom. Ludzie dopiero podnosili się z legowisk, a że noc była chłodna, twarze mieli złe.

Dwa dni tu stali, rozłożeni biwakiem wokół chylącej się ku ziemi chatynki. Wewnątrz, pod dziurawym dachem, radzili dowódcy.

— Chcesz więcej ludzi? Dam... — „Ali", niedawno awansowany na kapitana dowódca oddziału, wytrząsnął fajeczkę i na nowo napełnił

tytoniem. — Upominają, sam widzisz... — dotknął kartki przywiezionej przez Szymonika. — No, jakże, Jacuś?

Tański nie podnosił głowy znad mapy. W podziałce 1:300 tysięcy kraj wyglądał zachęcająco i zadanie nie wydawało się trudne. Na zielonym tle lasów szosa przypominała samotne drzewo o czerwonym pniu i trzech konarach rozwidlających się w miasteczku Bradczyce. Niebieskie nitki strumieni i rzeczek uczepiły się szosy jak pasmo babiego lata, które niesione wiatrem zawisło na polnej gruszy. Od Bradczyc na północ leżał dwór Pysowy połączony czarną kreską traktu ze wsią Kalinki. Trzy kilometry dalej znajdowało się niemieckie lotnisko. Właśnie ono było przedmiotem narady i celem najbliższej wyprawy.

— Daleko nie jest... — Jacek odsunął mapę i wyciągnął papierosy. — Ludzi wystarczy, ale...

— Samolot przyleci ostatniej nocy — odezwał się Żarow. — Moje słowo.

— W porządku — kiwnął głową Tański. — Pójdziemy sobie powolutku.

„Ali" zapalił wreszcie fajkę. Przycisnął palcem pęczniejący tytoń.

— Leszczyna tam, jak mówią, wyjątkowo ładna. Lubisz orzechy?

— Orzechy? — ożywił się Żarow. — Piękniejszych od tambowskich nie znajdziecie nigdzie. Pociśniesz palcem, olej kapie słodki i gęsty jak miód. Kazańskie też ładne, choć trochę drobniejsze.

Kapitan schylił się i postawił na desce trzy szklaneczki. Napełnił wódką i zaprosił ruchem dłoni. Zanim wypili, chrząknął życzliwie:

— Uważaj, Jacuś, żeby po brodzie nie pociekło.

— Pamiętaj: radiostacja! Oczko w głowie! Lotnik niczego nie zrzuci na znaki. Wiesz, kto tam siedzi w lesie. — Żarow wetknął dłonie za pas i powtórzył raz jeszcze — Pilnuj radia. Wszystko będzie dobrze.

Zaraz potem wyruszył czołowy pluton kompanii. Reszta zbierała się do odmarszu, szykowano wozy, do których wprzęgnięto konie służące od czasu do czasu zwiadowcom. Ludzie Jacka zebrali się przed chatą. „Ali" przyglądał się oddziałkowi i gryzł fajkę. Odjechały wozy i zaszeleścił piach pod kołami na drodze. Kapitan wyjął fajkę i zaczął śpiesznie nabijać tytoniem.

— No, to zobaczymy się niedługo — powiedział naraz — idzcie chłopcy, bo dzień będzie skwarny. Jacek — dodał ciszej — zaczekam, jak długo się da...

„Ali" stał jeszcze chwilę i dopiero, gdy idący na końcu Utrata zniknął za drzewami, zawrócił do kompanii.

Oddziałek Jacka zanurzył się w bór. Szli najpierw na południe, potem skręcili ku zachodowi. Prócz Sędka, radiotelegrafisty przysłanego ostatnio do kompanii „Alego", wszyscy pamiętali „dzikie", najdawniejsze czasy partyzanckie. Z kilkunastu ludzi, którzy wyruszyli z Jackiem Tańskim owej jesieni, pozostało zaledwie pięciu. Tuż za Andrzejem szedł długi Jaś Chwiostek, sam rybak i syn rybaka znad Wisły. Ojciec Jasia słynął ze złowienia jesiotra, którego kupił Branicki, a zjedli goście Hotelu Europejskiego. Natomiast Jaś dał się poznać jako milczący i odważny chłopiec, przedziwnie uzdolniony, gdy szło o dziewczyny. Bywało nieraz: wieś spokojna, kwatery życzliwe, dziewczęta przychylne żołnierzom z orłami. Więc każdy sypie żartami i olśniewa językiem bogatym w ucinki. Niektórzy rękami dopomagają słowom, tylko Jaś milczy i ciężko wzdycha. Ale co westchnie, to na dziewczynach poty biją. Nagle ni z tego, ni z owego odzywa się: „Jeśli was zaciekawi, to opowiem, jak ojciec złapał jesiotra na wiosnę". Myślałby kto, że wyśmieją i odwrócą się od nudziarza. Gdzie tam! Nie mija chwilka i Jaś już znika, a za nim wymyka się cichcem dziewczyna. Pyzaty Bączkowski, pomocnik murarski z Kaskady, zachodził w głowę, jak to się dzieje.

— Jasiu, tę gadkę o rybach, to my na pamięć znamy. Powiedz przyjacielowi, jak ty baby łowisz?

— Na żywca, Heniu — odpowiedział z kamiennym spokojem rybak i głęboko westchnął.

— Uch... — jęknął „Bączek" urzeczony spokojem towarzysza.

Wkrótce potem żandarmi przestrzelili Jasiowi nogę. Była to jedna z pierwszych potyczek i ludzie źle znosili ogień maszynowej broni. Bączek poczołgał się z powrotem i pod osłoną granatów rzuconych przez Szymonika, wyciągnął rybaka. Złożyli go w małym chutorze nad Pilicą, u wdowy Osikowej, kobiety niemłodej i kąśliwej jak szerszeń. Osikowa nie uprawiała polityki, lecz miała rodzinne powody do porachunków z Hitlerem. Męża straciła jeszcze we wrześniu podczas bombardowania Sulejowa, a starszego syna w obławie urządzonej przez hitlerowców na szosie pod Paradyzem. Młodszy walczył w którymś z oddziałków Gwardii i unikał rodzinnych stron. Na rozwój poglądów wdowy wpłynęła tablica umieszczona na grobie zastrzelonego żandarma. Pod orłem z koroną, pod polskimi flagami, widniał niemiecki napis otoczony wianuszkiem pszenicznych kłosów. Zapytała, co to wszystko znaczy. Wytłumaczono jej, że Niemca zabiła banda, a „narodowcy" ufundowali deskę z malowidłem i datą „25 października 1942".

— Bohaterowi poległemu w walce ze wspólnym wrogiem — powtarzała Osikowa wróciwszy do domu. Zobaczyła naraz, że syn walczący w leśnym oddziale ma nie jednego wroga, lecz co najmniej dwóch.

Gdy odchodzili, Bączek zatarł ręce i szepnął do Jasia:

— Tu nie wżenisz się, bracie! Córka za młoda, a matka takiego da ci jesiotra, że potracisz łuski!

Rzeczywiście, Osikowa nie czerwieniała i nie pociła się, choć ranny wzdychał raz za razem. Obiecała wyleczyć, ale nie rozchmurzała twarzy. W kilka tygodni później powrócili po Jasia. Ucieszyli się, bo wyglądał zdrowo i chodził nie utykając. Porucznik spytał na stronie:

— Jak się żyło? Zarzucałeś wędkę?

Koledzy wybuchnęli śmiechem, a wdowa odęła się groźnie. Chwiostek milczał i dopiero gdy zagłębili się w las, powiedział z uśmiechem:

— Czasem i próchno zaświeci miluchno.

Nikt nie rzekł słowa. Spojrzeli po sobie i pokiwali głowami w szczerym podziwie. Zapomnieli wnet o wdowie i wabiu, którym młody rybak zjednywał młódki i starszawe matki. Z cichego chutoru szli za Jackiem do opoczyńskich lasów. Wstyd powiedzieć, ale ustępowali przed oddziałem Narodowych Sił Zbrojnych, który pojawił się nagle. Wprawdzie nie doszło jeszcze do starcia, lecz czuli, że nic dobrego nie może wyniknąć z sąsiedztwa. Wkrótce złączyli się z grupą „Alego" i razem uderzyli na Hołdów. Zwycięstwo przyniosło broń i amunicję, której brak doskwierał obydwóm oddziałom. W zdobytym miasteczku zastali parę furmanek spod Sulejowa. Chłopi wiedzieli już o spaleniu zagrody Osikowej. Córka zdążyła podobno uciec, ale co stało się z matką, nie umieli powiedzieć.

— Samochody zjechały zaraz po waszym odejściu — mówił chłop skręcając papierosa. — Z chałupą poradzili sobie szybko, ale potem strzelali do nocy. „Narodowcy" pokazali się z lasu i zaczęła się bitwa jak diabli. Niemcy uciekli.

Jacek zdziwił się.

Chłop roześmiał się.

— Trafiacie teraz jako i oni! Ani jeden! Strzelali ostro, ale widać górą, bo kule świszczały omijając ludzi. Hitlerowcy zostawili dwa wozy z karabinami i nabojami, wskoczyli na ciężarówki i zniknęli w kurzu. „Narodowcy" teraz bogaci...

Tejże nocy ruszyli dalej na wschód i na czas dłuższy oderwali się od pięknie umundurowanych oddziałów. Dopiero marsz na lotnisko za

Kalinkami wprowadzał Jacka i jego towarzyszy znów na tereny opanowane przez NSZ. „Ali“ ostrzegał:

— Ściągają wszystkie siły. Idziesz w sam środek koncentracji otoczonej życzliwą opieką hitlerowców. Nie żartuję. Do Radomia niedaleko, a tam szefem Gestapo jest Fuchs, patron NSZ-etu. Nie dostaniesz glejtu od firmy Tiefbau z Częstochowy, więc dobrze kręć głową, by nie wyskoczyła z kołnierza.

Wyszli z górzystych, zalesionych rozpadlin i wąwozów w kraj prawie płaski, pełen rozlewisk, sennych strumieni i gęstych krzewów. Nie bez słuszności mówi się o tych ziemiach, że pełno w nich Polski. W którąkolwiek ruszyć stronę, przeszłość wychodzi na spotkanie spoza topoli i olsz. Pod Szczekocinami bił się Kościuszko, a z Małogoszcza pisał o porażce. Pod Małogoszczem walczył też Langiewicz, dyktator o krótkim wojennym szczęściu. Rej gospodarzył w Nagłowicach i miasto Okszę założył na swych gruntach. Ku wschodowi Jędrzejów chlubiący się dwunastowiecznym klasztorem i kośćmi Kadłubka. Równie wiekowy jest na zachodzie Secemin. Wiadomo wszystkim, że to bardzo starożytna osada, leżąca nad błotami przezwanymi Sece. Słynny Grzegorz z Żarnowca, kaznodzieja skłócony z kościołem, wsławiony sporem z Wujkiem i Skargą, był pastorem w powiatowej Włoszczowie. A między Włoszczową i Seceminem szosa mija Czarncę, gdzie grób Czarnieckiego w kościele przez hetmana wzniesionym. Tablica, umieszczona nad drzwiami kaplicy, opiewa, że Czarniecki po oswobodzeniu ojczyzny, dłonie krwią nieprzyjaciół zbroczone w wapnie obmywszy, na podziękowanie Bogu kościół ten stawi.

Ot, tak. Każda z dróg prowadzi w jakiś kąt historii. A jeśli baczniej przysłuchać się drzewom szumiącym na wietrze, to spośród szelestów i szmerów odezwą się echa leśne. Nadleci tupot rot idących od Zagnańska w pościgu za „Walterem“, zahuczy las strzałami i zgiełkiem potyczki sprzed kilkudziesięciu lat. Lecz Zagnańsk, to już dalsze strony. Przeszłość umiera w starych ludziach, kruszeje w starych murach. Jedynie po Reju zachowała się pamięć wśród miejscowych ogrodników. Rzecz jasna, nie czytali „Żywota człowieka poczciwego“, lecz przyjęli po przodkach zwyczaj nieusuwania liści spod drzewek w swych sadach. Z trzaskowiska i liści tworzy się ściółka, która chroni korzenie od mrozu, a w lecie zabezpiecza od suszy i chwastom nie daje dostępu. Jakiś uczony profesor niemiecki ogłosił o tym wielką pracę drukiem, podając zalecenia Reja jako swoje własne. Tyle po Reju, o innych ani śladu. Dawność nauczyciele wzniecają ukradkiem, słuchając, czy nie war-

czą samochody Gestapo, czy nie jadą żandarmi. Inne echa nawołują się w borach. Gęściej padają strzały, choć wróg osacza czołgami i śledzi z powietrza. Zdrajcy trafiają się także, lecz nie będą nosili miedziaków za *uśmirenie polskiego matieża*. Czasami buczą samoloty lecące stadem w stronę wschodu. Bowiem front już na Wiśle. Za Wisłą — Polska.

Odpoczywali nad strumieniem czekając na powrót Andrzeja i Chwiostka. Zwiadowcy przynieśli chleb i słoninę ze dworu, a ze wsi wiadomości. Kolumna ciężarówek pojechała szosą na Ludynię. Podobno tor zerwany i pali się benzyna z porozbijanych cystern. — „Ali" przyciąga uwagę — pomyślał Jacek. Spytał:

— Słonina na kwit?

— Nie... — odrzekł przeciągle Andrzej. — Przecież nie możemy zostawiać śladów.

— W powrotnej drodze sam wstąpię i kwit wypiszę — dodał z powagą Chwiostek. — Rybackie słowo!

Tański roześmiał się, więc Jaś postawił przed nim butelkę.

— Kobieta dała na drogę. Prostego człowieka łatwo obrazić, a na przeprosiny czasu brak. Wziąłem.

Wypili po łyku i poszli dalej, zachowując taki sam porządek marszu. Andrzej i Chwiostek w przodzie, potem Jacek, za nim Bączek, Sędek z radiostacją i Szymonik. Na końcu Zygmunt Utrata. O zmierzchu dotarli na skraj lasu, za którym rozciągały się pola chłopów z Kalinek. Pomiędzy lasem i wsią, rozrzuconą kolonijkami, widniała kępa tarniny czy dzikiej róży, nad którą panował kopiasty cień samotnego dębu. Mrok gęstniał. Zalśniły gwiazdy i przeleciały pierwsze nietoperze.

Jacek dotknął ramienia Szymonika. Obok kaprala stał Andrzej.

— Za dębem płytki jar. Dojdziecie nim pod sam dom Jaskółki. Powiecie, że od „Alego". Kapitan był tu zeszłego roku. Gdyby... — porucznik zawahał się — Jaskółki nie było, nie zapuszczajcie się zbyt daleko. Zaraz za drogą — bagno.

— A kępa?

— Cmentarz.

— Też potrzebny... — odmruknął Szymonik. — Chodź, Andrzej, psy jeszcze szczekają leniwie.

Zniknęli bezszelestnie, lecz sowa wyczuła zbliżających się ludzi. Krzyknęła urywanie i umknęła z dębu. Za cmentarzem Andrzej wysunął się naprzód. Jak Chwiostek do dziewczyn, tak on miał szczęście do pyskatych kundli. Ledwie pies zwietrzył obcego, już Andrzej za-

czynał przemawiać po przyjacielsku. Trochę mruczał, pogwizdywał bezgłośnie i coś tłumaczył na migi. Najbardziej zajadłe brytany wygładzały sierść i łasiły się bez szczekania. Szymonik, który był kapralem w szwadronie Tańskiego i z tego tytułu miał własny pogląd na świat, tłumaczył te sprawy prosto. „Bez obrazy, aleś był psem w poprzednim życiu. Są ludzie, co byli kamieniem albo koniem. Tych poznać łatwo, bo ledwie wyruszą w drogę, zaraz odpinają spodnie. Tak jest. Głośno było o tym w naszych Ajszyszkach". — „No, dobra, a kim był Chwiostek?" — pytał Utrata nieco urażony, bo w marszu przykucał nierzadko. Kapral kręcił głową. — „Trzeba pomyśleć... Wedle ryby wychodzi Jasiowi wydra, a od strony kobiet, jak myślicie? Ogier?" Towarzysze ubawieni serdecznie nie dawali zbyć się byle czym. „To jak w końcu? Raz koń, a raz wydra?! Kręcisz!" — „Ot, ludzie nieuczeni... — litował się kapral. — Żył u nas pop i z popadią dzieci nie miał, a Marynce Harasiewicz zrobił pięcioro. Dobrze mówię, córek cztery — Awuńka, Aleonorka, Alżbietka i Amilka. Syn także na „a"... Mam! Adwardka! Mógł mieć Chwiostek podwójne życie jak pop? Każdy widzi, że mógł!"

Cień Andrzeja nagle zmalał. Szymonik odgadł, że natrafili na jar. Na dnie płytkiego wgłębienia biegła ścieżka. Poszli nią otoczeni hałaśliwym skrzypieniem świerszczy. Zobaczywszy zarysy dachu, zatrzymali się nasłuchując dalekich pokrzykiwań. Ni to śpiew, ni to wołanie. Gdzieś z drugiego krańca wsi, a może i dalej, bo wieczorem głos po ściernikach przebiega swobodnie. Zapach schnącego siana mieszał się już z wyziewami gnojówki. Przez źle osłonięte okno prześwitywało wąskie pasmo światła. Jar zwęził się i zmalał do rowu sięgającego zaledwie do ramion. Urywał się przed płotem. Andrzej rozchylił żerdki i wsunęli się do sadu. Jednocześnie brzęknął naciągnięty łańcuch. Zanim w psie zrodziła się czujność, Andrzej dobiegł pod budę. Szymonik odczekał z bronią w pogotowiu, lecz pies alarmu nie wszczynał, poprzestając na krótkim jak przez sen warknięciu. Obeszli zabudowania wokoło. Cisza, spokój, świnie chrumkają w chlewiku, wszystko, jak być powinno. Tylko stajnia wzbudziła niepokój kaprala. Szymonik przyłożył ucho do ściany i uważnie słuchał. Potem syknął urywanie. Konie poruszyły się, a kapral wyprostował się z triumfem. Podsunął cztery palce Andrzejowi pod nos i lekko stuknął w czoło. Znaczyło to: myśl, bracie, skąd u Jaskółki a ż c z t e r y konie!

Potem Andrzej stanął za węgłem, by psa mieć na oku, Szymonik zajrzał do okna. Przez szparę w zasłonie widać było izbę oświetloną przez lampę stojącą na stole. Na ławie pod ścianą siedział starszawy

chłop i zeszywał rzemień. — „Dobra, to nasz Jaskółka... — pomyślał kapral — ale tamci dwaj? Co oni tam robią za stołem?“

Jeden z mężczyzn odchylił się na stołku i Szymonik dojrzał biało-czarną deskę. Omal nie krzyknął — „Grają w warcaby! O, sukinsyny!“ Kapral przechylał głowę, łypał to jednym, to drugim okiem, mało szyby nie wycisnął, lecz twarzy nie mógł zobaczyć. Obydwaj byli bez bluz, w popielatych bryczesach. — „To ich konie“ — myślał Szymonik i nie odchodził od okna, choć Andrzej przynaglał popiskując jak nietoperz. Naraz, mężczyzna siedzący z lewej strony stołu wstał, przeciągnął się i ziewając wydobył papierosy. Kapral nie powstrzymał głosu. Stęknął ze zdziwienia.

— Czysty omam! Choć przeżegnaj się lewą ręką, to nasz porucznik!

Goście Jaskółki zapalili papierosy i na nowo ustawili klocki na szachownicy. Chłop pochwycił szmer za oknem, bo podniósł głowę i spod przymrużonych oczu spoglądał na szybę. Potem odłożył rzemień i niedbale przesunął się w kąt. „Wyczuł, chytry, boi się strzału. Nie wyjdzie za próg, żeby nie wiem co... Ot, bieda... A samolot przyleci jutro. Źle“.

W chwilę później szli jarem z powrotem. Z daleka zawodziła harmonia to tęsknie, to żwawo, wtórując rozbawionym głosom. Łoskot silnika zagłuszył wszystko. Samolot przemknął chyżym cieniem po niebie i odleciał na wschód.

— Co tam w izbie? — szeptał Andrzej.

— Ech, obraza boska... — mruknął Szymonik.

— Żenią się? Wódkę piją? Coś taki dziwny?

— Wymyślił! Co tobie, szczenię, do wódki? W warcaby grają! Słyszysz? W warcaby! — Kapral splunął z obrzydzeniem. — Odzywaj się. Dąb tuż. Utrata niedowidzi i gotów postrzelić rodzonego brata.

Sowa odpowiedziała trzykrotnie, więc ruszyli śmiało. W kilka chwil później siedzieli pod drzewami.

— ...a jak się podniósł zza stołu, to poznałem od razu. Przeto mówię: porucznik Lipowicz z naszego pułku. Najpierw był w cekaemach, a potem w taczankach — dokończył Szymonik dotknięty milczeniem dowódcy.

— Ejże? Lipowicz tutaj? Skąd?

— Tego nie zdążył mi powiedzieć, ale mogę iść i zapytać. — Szymonik podniósł się i ostentacyjnie zabierał się do ponownej wyprawy.

— Siedź! — Jacek uciął dąsy. — Na obrazy nie ma czasu. Lipowicz to porządny oficer... Co, Szymonik? Skoro zaś siedzi u Jaskółki...

— No, tak — odrzekł powściągliwie kapral. — Porządny był. Wleźli do chałupy, to i siedzą. Przecież stary nie wygoni ich paskiem.

Zapadło milczenie. Jacek rozważał sytuację. Jaskółka był potrzebny. Przy jego pomocy chciał wybrać miejsce na jutrzejszy zrzut. Potem należało rozpoznać lotnisko. Leżało bliżej, niż określił „Ali". Zanim samolot wystartował, słychać było zapuszczanie silnika.

— A tam się bawią, że hej... — odezwał się Utrata.

— Słusznie — mruknął Jacek. — Popatrzcie, co za jedni.

Poszedł Utrata i Bączek. Ominęli kolonijkę polami i wyszli na skraj wsi od wschodu. Wrócili po godzinie. Wiadomości nie były dobre. Wieś zapchana wozami i końmi. Karczma aż dudni od muzyki i tańców. Wojsko kwaterujące w Kalinkach nosi mundury zielone z polskimi odznakami. Broni dużo, nie brak i ciężkiej. Patrole wprawdzie chodzą, ale raczej dla zabawy niż z ostrożności. Palą, hałasują, zaglądają w okna i wywołują dziewczyny do karczmy. Niemców nie widać.

— Wzdłuż rzeki jest piękne sitowie. Woda płytka, łatwo skoczyć na drugą stronę. Można by tam noc przeczekać. Kto wie, czy „narodowcy" nie odejdą rano?

Gdy Utrata umilkł, zrozumieli wszyscy, że sprawa źle się zaczyna. Jak tu przyjąć zrzut? A bez uzupełnienia amunicji ani myśleć o akcji.

Decyzja porucznika zaskoczyła oddział, lecz bez szemrania przenieśli się pod dąb pomiędzy mogiłki. Szymonik został z ludźmi, Tański, prowadzony przez Andrzeja, poszedł do Jaskółki. „Lipowicz porządny oficer" — utkwił mu ten ćwiek w głowie i zagwoździł myśli. Zwykle czuły i po brzmieniu głosu poznający nastroje towarzyszy, teraz jakby ogłuchł. A Szymonik burczał prawie głośno...

W izbie ciemno. Rozmowy nie słychać. „Pewnie śpią". Tański zastukał do drzwi. Cisza. Spróbował pchnąć — podparte mocno.

— Panie Jaskółka, otwieraj szybko! Czas ucieka. My od „Alego".

— Coście kupowali? — ozwał się wreszcie niechętny szept.

— Kraskę!

— Wy brat?

— Nie, kuzyn.

Jaskółka odemknął, lecz do środka nie prosił, tylko wiódł poza budynki.

— Niby się zgadza... Czego tu szukacie? Zaglądaliście w okno, więc już chyba wiecie, kto się u nas rządzi. Ich siła! Na razie nic po was. Siedzą i nie myślą ruszać. Niemiec nie zaczepia, a jak spotka na drodze, to zaciska oczy, żeby nie zobaczyć. Ci dwaj? Oficerowie! Poszli. A wiem

ja, gdzie ich czort po nocy nosi? Zabawa dziś w karzmie. No, to teraz mówcie.

Na wzmiankę o zrzucie, Jaskółka roześmiał się drwiąco.

— Żeby najciszej przyleciał — posłyszą. Wytropią i odbiorą. Dajcie znać samolotowi, niech czeka. Was zaprowadzę w spokojne miejsce. Lotnisko? Hm. — Jaskółka zamyślił się. — No, cóż wam powiedzieć? Małe, lecz odrutowane ciasno jak stary garnek. Za płotami zaś bunkry z okrąglaków i szopy z betonu. Maszyn nie mają tu wiele. Czasem leci któraś na noc i wraca przed brzaskiem. Może na przeszpiegi, może w innej sprawie. Samochody przyjeżdżają od Włoszczowy szosą, a za Bradczycami skręcają na trakt. Wyjdę do was, zanim świtać zacznie i pokażę, gdzie schronić się można. Biedy nie zaznacie. Ludzie dadzą, ja przyniesę.

— Kto jest dowódcą oddziału stojącego we wsi? — spytał Jacek.

— A kto pyta? — rozległ się głos tuż obok.

— Ej, Boguś, gdzie twoje oczy? — odpowiedział Jacek i powstrzymał Andrzeja. — Niewczesne żarty, panie ułanie. Schowaj pistolet.

— Jeżeli ci nie zrobi różnicy, nazywaj mnie Justynem — mruknął Lipowicz. — Chodźmy gdzieś dalej, tu zaraz zwalą się nasi, a ja z nimi na bakier.

— Tego byłem pewien — Jacek chwycił Justyna i uściskał mocno. — Chłopie drogi, a to spotkanie. Wcześnie wyniosło cię z Warszawy.

— Kto dał ci adres? Chyba wróżka? — śmiał się Lipowicz. — Kiedyż to raz ostatni? Po kapitulacji?

Jaskółka cichcem wycofał się do sadu. Przywołał psa i gorzkie mu robił wyrzuty.

— Ty, ścierwo, o czym myślisz? Na urlopie jesteś? Mordy nie możesz otworzyć? Żebym spokojny był o swoją głowę, to bym ci zaraz wodę zagotował w tyłku. Jak długo nas podsłuchiwał? Co złowił uchem? Nie wisz, psia paro, a ja ci nie powiem... — chłop pogładził psa i skierował się do chlewika. Odsunął deski i chwilę grzebał zanurzywszy rękę. Natrafił na zawiniątko i odetchnął spokojniej. — Człowiek głupieje, to czego spodziewać się po stworzeniu? Psa o rozum pytać? A, bo on polityk?

Jaskółka wetknął pistolet pod kurtę i poszedł za wojskowymi.

Gdy weszli do jaru, Lipowicz usiadł pierwszy.

— Rosa, znów będzie pogoda. Słyszysz, jak żaby się drą? Noc pachnie... Co to, chyba łubin? Zresztą, obojętne. No, gadajmy.

— Ja tu z brzeżka położę się na skarpie — odezwał się Andrzej. —

Oczy zupełnie utytłane w piasku. Obudźcie, bo sen gotów zmorzyć. „Co to będzie, przecież porucznik całkiem stracił głowę!“ — Dla pewności dał znak sowim głosem — „Niech Szymonik czuwa. Domyśli się prawdy“.

— Wiesz — ciągnął Justyn — ja nie politykuję. Wychowałem się z dala od wszelkich machinacji i trwam przy zasadzie: wojsko musi być apolityczne. Bić się potrafię, to pamiętasz chyba? Teraz przecieram oczy i nie poznaję stron, w które zawędrowałem. Powiem ci szczerze — zniżył głos — przyszły już nowe rozkazy. Idziemy na współpracę...

— Z kim? — Jacek drgnął. Czuł szczere wzruszenie. Przyjemnie godzić się ze starym przyjacielem.

— Z bolszewikami, PKWN-em, Krajową Radą Narodową, Armią Ludową, słowem ze wszystkim, co już jest za Wisłą. Oczywiście, trzeba tę nowość przetrawić. Wierzę, że rozsądek zwycięży. Nie jestem odosobniony w poglądach. Jeżeli jednak stanie się inaczej, to rzucam służbę w diabły, czyli idę do was.

— Słuchaj, Bogusław, co to za lotnisko? Słyszałem startujące samoloty?

— Ech, jakaś zbiornica meldunkowa, czy coś w tym rodzaju. My nie zaglądamy do nich i oni nie mieszają nam kaszy. Rozumiesz, *gentlemen's agreement*, jak powiada nasz wódz.

— Wygodna umowa. Doświadczyłem jej skutków na własnej skórze. — Głos Jacka brzmiał posępnie i Andrzej nadstawił ucha. „Teraz go chyba łupnie, a ja dołożę z góry!“ Lecz nie stało się nic podobnego. Oficerowie rozmawiali dalej.

— Co ty powiesz? — dziwi się Lipowicz. — Nie mówmy lepiej o przeszłości. Przykre dzieje.

— Kto wami dowodzi?

— Major.

— Hm. Zabawa, aż huczy. Mało karczmy nie rozwalą, co? A potem na kwatery z dziewczynkami, hę?

— Ech, nie. Tu chamki oporne. Zresztą, mój drogi, trudno się dziwić. Odpędzamy od chłopców niewesołe myśli. Rozumiesz: Warszawa.

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Gwiazdy przygasały, a od błotnistej wody pełzł wilgotny chłód. Lipowicz odezwał się znużonym głosem:

— Przyjdź jutro. Pogadamy, może pójdę pod twoją komendę. Jakoś mnie wytłumaczysz przed waszym dowództwem. Wracam do chaty.

Justyn pożegnał się i wolno poszedł z powrotem. Ledwie oddalił się o parę kroków, dwa cienie dopadły do Jacka.

— Mówcie szybko: zabić? — szeptał Jaskółka. — Kto leniwy, straci głowę. Kto uderzy pierwszy, ocaleje.

— Pozwólcie, poruczniku, ja go sam... — powtarzał Andrzej. — Przecież on wysypie!

— Nie — powiedział Jacek i raz jeszcze powtórzył ze złością. — Zabraniam.

— Jak se, panie, chcecie, ja wami nie rządzę. — Jaskółka wykręcił się na pięcie i zniknął. Jacek nie zdążył nawet spytać o drogę do kryjówki, o której przedtem była mowa. A świt już wisiał nad wschodem i mruczał powracający zza Wisły samolot.

Pod dębem oczekiwano dowódcy od dawna. Szymonik odetchnął i powiedział z ulgą:

— A my byli niespokojni...

— Nie było powodu — odburknął Tański i kazał Utracie prowadzić w sitowie.

Minął dzień upalny i na przekór przeczuciom, spokojny. Wiatr bawił się obłokami, które jak dorodne gęsi krążyły po niebie. Szymonik rozdzielił ostatek słoniny i wydobył butelkę z niedopitą wódką. Porucznik milczał i wzbraniał się od posiłku. Siedział chmurny, zasłuchany w odgłosy ze wsi. Szymonik widząc, co się dzieje, dalejże wspominać, w jakich bywali już tarapatach...

— ...ile było granatów, jak szliśmy na Hołdów? Coś trzy?

— Gadanie! — odezwał się Utrata. — Granaty wzięliśmy policjantom.

— A widzicie! Teraz mamy pięć.

— Zamiast w leszczynie, siedzimy w błocie.

— Za błoto płacili pieniądze przed wojną. Ty, Bączek, nie podśmiewaj się głupio! Pułkownikowa z Ajszyszek co roku jeździła na kucanie w błocie, aż tak się wzmocniła, że syna przywiozła w podarku dowódcy. Ot, nie wierzy... Spytaj Sędka, on prawie inżynier. Poświadczysz, Sędek? Płacili ludzie czy nie?

Zanim radiotelegrafista rozsądził spór, wieś ozwała się głośno. Nawoływania mieszały się z parskaniem koni i brzęczeniem wozów.

— „Narodowcy" siadają na wozy i ruszają w drogę. Jadą na Bradczyce — zameldował Chwiostek. — Żegnają się z dziewczynami, jakby nie mieli powrócić.

Jacek uśmiechnął się. Tego się spodziewał: Lipowicz nie zawiódł. Z pierwszym mrokiem Tański wyprowadził oddziałek z podmokłej kry-

jówki. Ominęli dąb nad cmentarzem, przekroczyli jar wiodący do Jaskółki i wyszli na pola. Andrzej posłany po chłopa wrócił sam.

— Chata zaparta na głucho. Nie widać psa i w stajni pusto. Wokoło cisza, nawet sowy przeniosły się dalej.

— Odjechali, a więc Lipowicz nie przyjdzie. Przyjmiemy zrzut — postanowił Jacek. — Jutro odszukamy Jaskółkę i pomyślimy o lotnisku.

Czekali na samolot w szerokiej rozpadlinie, która jak koryto prosta biegła ze wschodu na zachód oddzielając pola od wzgórz porosłych krzewami. Po nawiązaniu łączności z lotnikiem mieli zapalić latarki układając ze świateł literę „A". Tański siedział obok Sędka nie odrywając oczu od wolno przesuwających się wskazówek. Okolica drzemała ogarnięta nocą. Księżyc tkwił za chmurami i ukrytym blaskiem nadawał niebu wygląd wody pomarszczonej falą.

Wreszcie! Od Bradczyc ozwało się brzęczenie zmieniające się w szum nadlatującej maszyny. Lotnik nie błądził. Kierował się wprost na jezioro położone w górnym biegu rzeki.

— Jest — powiedział Sędek i zaczął gadać z lotnikiem ustalonym szyfrem.

Jednocześnie w spokojny terkot samolotu wkradł się dźwięk nowy, dolatujący od szosy. Samochód? Świateł nie było widać.

— Widzi? Niech rzuca bez spadochronu. Przy pierwszym nadlocie! — Tański ścisnął ramię radioletegrafisty.

— Uwaga, już! — szepnął Sędek.

Czarny kształt samolotu przeleciał nad głowami. Zaszumiało w powietrzu. Stęknęła ziemia. Radiotelegrafista potwierdził zrzut i przeszedł na odbiór. Rosjanin życzył szczęścia. Silnik zahuczał głośniej, maszyna wzbijała się wyżej. Nad ziemię powracała cisza. Tański i Sędek biegli szukając zasobnika.

Znaleźli. Sterczał zaryty do połowy w piachu. Ani ruszyć, ani otworzyć. Pokrywa wcisnęła się wbita uderzeniem w ziemię.

— Podważyć! Nie puszcza. Mocniej!

Było jeszcze cicho. Pierwszy odezwał się Andrzej naśladując pisk ptaka napadniętego we śnie. Zawtórował mu zaraz Szymonik, a w następnej chwili powtórzył sygnał Utrata. Jedynie czujki od strony Kalinek nie podnosiły alarmu. Porucznik i Sędek mocowali się z pogiętym zasobnikiem.

Andrzej leżał na skraju zagonu kartofli, ubezpieczając od północy teren zrzutowiska. Dalej rósł łubin, za nim już były ścierniska, piaszczy-

ste i biedne. Chłopskie poletka sięgały do szosy odległej o jakieś dwa kilometry. Tłusta, pszeniczna rędzina zaczynała się dopiero za drogą i należała do pysowskich włości. Uwłaszczenie w 1864 roku okroiło dwór z wydm i ugorów. Więc od tamtych czasów słynęły Pysowy z pszenicy, a chłopi ze złej gospodarki. Pan uzbiera worek, zaś chłop ledwie czapkę, choć hektary równe. Kogo ziemia lubi, temu szumią łany, jak mawiał dziadek Ksawery przymrużając oko. Nie widać dworu, nie pomrukuje samochód na szosie, lecz szmery skradają się przez ścierniska i płoszą niewczesne wspomnienia.

Już są w łubinie. Brzęknęła trącona manierka.

— Przypadli do ziemi i zaraz wystrzelą rakiety — myśli Andrzej.

Tuż za sobą słyszy przyśpieszony oddech Szymonika. Grubawy kapral nie lubi czołgania się. Po chwili dołącza Chwiostek. Czekają w trójkę na resztę oddziału.

Rakiety świecą przeraźliwie długo. Wydaje się, że nigdy nie dosięgną ziemi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Stanisław Zieliński

W. P. ZUBOW

Spuścizna naukowa Leonarda da Vinci

W dniu 15 kwietnia narody obchodziły pięćsetlecie urodzin Leonarda da Vinci, wielkiego włoskiego artysty i uczonego epoki Odrodzenia. Engels charakteryzując okres historyczny, którego jednym z najwybitniejszych przedstawicieli był Leonardo, pisał: „Był to największy postępowy przewrót, jaki ludzkość kiedykolwiek do owych czasów przeżyła, epoka, która wymagała olbrzymów i olbrzymów zrodziła — olbrzymów myśli, uczucia i charakteru, wszechstronności i wiedzy“ [1]).

„Bo też bohaterowie owego czasu — kontynuuje Engels — nie byli jeszcze skrępowani podziałem pracy, którego wpływ prowadzący do ciasnoty i jednostronności tak często wyczuwamy u ich następców. Najbardziej zaś charakterystyczną rzeczą jest to, że prawie wszyscy oni pochłonięci są życiem swej epoki, praktyczną walką; że stają po stronie tego czy innego stronnictwa i walczą — ten słowem i piórem, ów mieczem, a wielu — jednym i drugim. Stąd owa pełnia i siła charakteru, która czyni z nich mężów w każdym calu“ [2]).

Jako pierwszego spośród takich ludzi Engels wymienia Leonarda da Vinci: „Leonardo da Vinci był nie tylko wielkim malarzem, ale i wielkim matematykiem, mechanikiem i inżynierem, któremu najrozmaitsze gałęzie fizyki zawdzięczają doniosłe odkrycia“ [3]).

Leonardo urodził się we wsi Anchiano koło miasteczka Vinci. Rodzina jego ojca, zamożnego notariusza, przeniosła się w końcu siódmego dziesięciolecia XV wieku do Florencji. Tutaj zaczęły się kształtować zainteresowania przyszłego artysty i uczonego, tutaj też czerpał swe pierwsze nauki. Florencja była wielkim miastem przemysłowym, w którym rozmaite gałęzie techniki osiągnęły wysoki stopień rozwoju. Pracownie jubilerów, malarzy i rzeźbiarzy stanowiły swego rodzaju laboratoria, w których dokonywano najrozmaitszych eksperymentów technicznych. Konieczność zbliżenia nauki i techniki, teorii i praktyki stawała się coraz bardziej nagląca. Nie ulega wątpliwości, że właśnie Florencja będąca ośrodkiem przemysłu jedwabniczego i wełnianego, pobudziła Leonarda do twórczości technicznej. Świadectwem tego są wynalezione przezeń maszyny do przędzenia, do zwijania jedwabiu, do strzyżenia wełny.

„Rysował projekty młynów, maszyn i urządzeń do folowania sukna uruchamianych siłą wody... — pisze o Leonardzie jego biograf Vasari — codziennie robił modele i plany, na podstawie których można było z łatwością obalać góry i drążyć w nich tunele od jednej doliny do drugiej, podnosić i przenosić wielkie ciężary za pomocą dźwigni, kranów i śrub, oraz osuszać porty i odprowadzać wodę z nizin — mózg jego był wiecznie pełen pomysłów“ [4]).

Później w Mediolanie Leonardo bliżej zetknął się z nauką uniwersytecką, z naukowymi tradycjami Arystotelesa, nie w czysto scholastycznej formie średniowiecznej, lecz z tradycjami odmłodzonymi przez nowe powiewy Odrodzenia. Rękopisy Leonarda, które zachowały się do naszych czasów — to nie tylko owoc samodzielnych dociekań artysty i uczonego. Wskazują one na

[1]) F. Engels, Dialektyka przyrody, Dietz Verlag, Berlin, 1952, str. 8.
[2]) Tamże, str. 9.
[3]) Tamże, str. 8.
[4]) Vasari, Życiorysy najznakomitszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów, Moskwa — Leningrad 1933, t. II, str. 91 — 92.

szerokie i niezwykle różnorodne zainteresowania Leonarda. W notatnikach Leonarda pełno jest zapisek w rodzaju: „Archimedesa w całości ma brat monsignora di S. Justa w Rzymie“ (C. A. 341 odwr.) [5]), „Messer Vicenzo Aliplando zamieszkujący w pobliżu hotelu Corso ma Vitruvia Giacomo Andrea“ (K. 109 odwr.), „Postaraj się obejrzeć Vitolona w bibliotece w Pavii rozprawiającego o matematyce“ (C. A. 225) [6]), „Poproś o przetłumaczenie Avicenny...“ (W. An., I, 13) itd.

Nie mniej liczne są zapiski zawierające dane z najrozmaitszych gałęzi nauki i techniki, uzyskane przez zasięganie informacji u ludzi kompetentnych: Niccolo da Forzore opowiada Leonardowi o tamach flandryjskich (Leic., 13), uczony Pietro Monti — o „sposobach wypuszczania strzał“ (I., 120 odwr.). Leonardo notuje dla pamięci: „Znajdź majstra od urządzeń wodnych i każ opowiedzieć o środkach obrony przed wodą oraz co są warte“ (C. A., 225).

Nauka kształtowała się wówczas w warunkach ostrej i wytężonej walki ideologicznej — walki nowego z przeżywającym się. Engels nazywa nieśmiertelne dzieło Kopernika „deklaracją niezawisłości“ przyrodoznawstwa [7]). Według jego wyrażenia Kopernik w pracy tej „daje dymisję teologii“ [8]). W twórczości naukowej Leonarda znajdują dobitny wyraz te same antyśredniowieczne „świeckie“ rysy.

W biografii Leonarda napisanej przez Vasariego znajdujemy następujące słowa: „Zajmując się filozofią zjawisk przyrody usiłował poznać szczególne właściwości roślin i wytrwale obserwował obroty nieba, bieg księżyca i ruch słońca“ [9]). Po tych słowach pierwsze wydanie zawierało następujące zdanie: „W wyniku tego wszystkiego w umyśle jego zrodził się heretycki pogląd na rzeczy, niezgodny z żadną religią; wolał widocznie być filozofem niż chrześcijaninem“. W następnym wydaniu (1568) Vasari opuścił to zdanie powołując się na to, że był źle poinformowany. Jednakże nie udało mu się związać końca z końcem. W biografii pozostało ckliwe, historycznie fałszywe opowiadanie o tym, że na łożu śmierci Leonardo „zaczął gorliwie zgłębiać kanony katolicyzmu i naszej błogosławionej, świętej wiary chrześcijańskiej“ oraz kajał się, bowiem „wiele zgrzeszył wobec Boga i ludzi pracując w sztuce nie tak jak należało“ [10]). Ten zmyślony przez Vasariego obraz przedśmiertnej skruchy potwierdza tylko, że Leonardo w ciągu całego życia wolał „być filozofem niż chrześcijaninem“.

I rzeczywiście, trudno ukryć antyklerykalną postawę Leonarda. „Faryzeusze — innymi słowy ojcowie święci“ — czytamy w notatkach Leonarda (Tr., 34). „Pozostałą część definicji duszy — pisze Leonardo — pozostawiam rozu-

---

[5]) Cytując urywki z rękopisów Leonarda da Vinci posługuję się ogólnie przyjętą sygnaturą, mianowicie: rękopisy Instytutu Francuskiego w Paryżu oznaczane są literami od A do M, obszerny zbiór przechowywany w Mediolanie — literami C. A. (Codex Atlanticus); rękopisy anatomiczne biblioteki windsorskiej — literami W. An. oraz dodatkowo literami A lub B i cyframi rzymskimi od I do do VI. Następnie: Leic. (Biblioteka Lestera (Leicester); Forst. — biblioteka Forstera, B. M. — rękopis Muzeum Brytyjskiego (Arundel 263); Tr. — kodeks Trivulcio (Mediolan); V. U. — tak zwana Rozprawa o locie ptaków; T. P. — Rozprawa o malarstwie. Zewnętrzna strona karty oznaczona jest liczbą bez dalszej sygnatury, strona odwrotna — skrótem „odwr“. W niektórych rękopisach na jednej karcie naklejonych jest kilka stronic — oznaczane są one dodatkowo kolejnymi literami alfabetu: a, b, c, d. Cytaty z rękopisów Leonarda da Vinci daję we własnym przekładzie. (częściowo opublikowane w wydaniu Leonardo da Vinci, Dzieła Wybrane w dwóch tomach, Moskwa — Leningrad, Academia, 1935).

[6]) Vitolon (prawidłowo: Vitelo) — optyk XIII stulecia, rodem z Polski, autor dzieła Perspectiva, które wzbudziło żywe zainteresowanie artystów i uczonych epoki Odrodzenia.

[7]) Patrz F. Engels, Dialektyka przyrody.

[8]) Tamże.

[9]) G. Vasari, op. cit., t. II, str. 93.

[10]) G. Vasari, op. cit., t. II, str. 111 — 112.

mowi braciszków, ojców ludu, którzy natchnieni duchem świętym znają wszystkie tajemnice" (W. An., B., 8).

O ludziach modlących się przed obrazami Leonardo mówi: „Będą prosić zmiłowania u tych, którzy mają uszy lecz nie słyszą, będą świecić tym, którzy są ślepi". Chłoszczącymi słowy potępia Leonardo odpusty — „kupczenie rajem" (C. A., 370).

W swej Rozprawie o malarstwie Leonardo mówi o „głupcach" i „obłudnikach", którzy wymawiają malarzom, że w dni świąteczne studiują dzieła przyrody. „Niechaj więc zamilkną tacy oszczercy — odpowiada im Leonardo — ponieważ jest to droga poznania twórcy tak wielu zadziwiających rzeczy, droga pokochania tak wielkiego wynalazcy" (§ 77). Co miał na myśli Leonardo używając słowa „twórca", widać z tejże Rozprawy. Miał na myśli przyrodę, ponieważ „wszystko, co widzimy, zrodziła przyroda" (§ 12), a „dzieła malarza są wizerunkiem dzieł przyrody" (§ 9) [11]).

Porównując utwory Mikołaja Kuzańskiego z pracami Leonarda nawet katolik P. Duhem zmuszony jest przyznać, że Leonardo „transformuje myśli Mikołaja Kuzańskiego: pozostawia to, co jest w nich geometrycznego, i odrzuca wszystko, co wiąże je z teologią; starannie wykreśla z nich imię Boga" [12]).

W pismach Leonarda usunięta jest średniowieczna granica między tym, co ziemskie, a tym, co niebieskie, wyraźnie i ściśle sformułowana jest zasada jednorodności wszechświata i jego praw, zasada, o której w następstwie z entuzjazmem będzie mówił wielki męczennik nauki Giordano Bruno. „Wszystkie twoje rozumowania powinny doprowadzić do wniosku, że ziemia — to gwiazda prawie taka sama jak księżyc" — notuje Leonardo (F., 56). Leonardo usiłuje wytłumaczyć światło księżyca prawami fizycznymi działającymi na ziemi: jego zdaniem światło księżyca jest odbiciem światła słonecznego od księżycowych oceanów, które są podobne do istniejących u nas; aby uzasadnić swój pogląd, Leonardo powołuje się na obserwacje odbicia słońca w falach morskich, na powierzchni pozłacanych kul itd. Nie chodzi tu o słuszność czy niesłuszność tych objaśnień, chodzi o zasadę — o odwagę i stanowczość, z którą Leonardo rozciągał prawa fizyczne Ziemi na królestwo „eteru niebieskiego".

„Ziemia nie znajduje się w centrum kręgu słonecznego, nie znajduje się też w centrum świata, lecz w centrum swych własnych żywiołów, które są jej bliskie i z nią złączone. Temu, kto by stał na księżycu wtedy, kiedy księżyc i słońce są ponad nami, wydawałoby się, że ziemia nasza ze swym żywiołem wód odgrywa tę samą rolę, jaką księżyc odgrywa dla nas" (F., 41 odwr.). I jakby odgadując myśli młodszego od siebie, współczesnego mu, genialnego Kopernika, Leonardo pisze wielomówiące słowa: „Słońce nie porusza się" (W. An., V, 25) i staje tym samym na stanowisku, że ziemia się porusza.

Aczkolwiek Leonardo w jednej ze swych zapisek oświadczał, że pozostawia nienaruszonym „pismo święte" — *le lettere incoronate*, dosłownie „ukoronowane pisma" (W. An., IV, 10) — w rzeczywistości jednak nie pozostawił go „nienaruszonym". Szczególnie charakterystyczne są pod tym względem notatki Leonarda dotyczące geologii. Omawiając zagadnienie tego, w jaki sposób szczątki zwierząt morskich mogły znaleźć się na szczytach wysokich gór, daleko od morza, Leonardo kwestionuje biblijną legendę o powszechnym potopie twierdząc, że ślimak nie przejdzie tej odległości „w ciągu czter-

---

[11]) G. Vasari, op. cit., t. II, str. 111 — 112.
[12]) P. Duhem, Etudes sur Leonard de Vinci, Paris, 1905 — 1914, t. II, str. 153.

dziestu dni, jak twierdzi ten, kto obliczył ten czas" (C. A., 155). Nie należy rozpatrywać tych uwag Leonarda jako zwykłego badania argumentów „za" czy „przeciw", jako zwykłych rozważań uczonego [13]). Ze słów tych przebija jawna ironia Leonarda pod adresem autora „ukoronowanych pism", który potrafił odmierzyć poziom wody nad najwyższymi górami podczas potopu. Podobnie również Leonardo kpi z tego, że „wody potopu wzniosły się na siedem łokci ponad najwyższą górę, jak napisał ten, kto je wymierzył" (Leic., 8 odwr.).

O wiele większym autorytetem cieszyła się u Leonarda inna księga — niepisana księga przyrody. „Wystarcza już, że świadectwa tego, co zrodziło się w słonej wodzie, można odnaleźć na wysokich górach, zdala od dzisiejszych mórz" (Leic., 31). Widzi przed oczyma obrazy z tego czasu, kiedy morze pokrywało Italię, a „szczyty Apeninów wznosiły się na tym morzu w postaci wysp otoczonych słoną wodą". „A nad równinami Italii, gdzie obecnie latają chmary ptactwa, pływały wielkie stada ryb" (Leic., 10, odwr.). Myślom Leonarda było zbyt ciasno w wąskich, chronologicznych granicach legendy biblijnej. Myśli te wybiegają daleko poza granice tradycyjnej biblijnej rachuby czasu, kiedy Leonardo bada paleontologiczne pozostałości dawnych okresów geologicznych. „O czasie, szybki niszczycielu stworzonych rzeczy — mówi Leonardo— ilu unicestwiłeś królów, ile unicestwiłeś narodów, ile przemieniło się państw i ile rozmaitych wydarzeń nastąpiło od owego czasu, kiedy piękna forma tej ryby umarła tutaj w krętych korytarzach pieczary. Unicestwiona wszechpotężnym czasem spoczywasz dzisiaj cierpliwie w tym zewsząd zamkniętym miejscu; twój wyschnięty i obnażony szkielet stworzył kościec i oporę wznoszącej się nad tobą góry" (B. M., 156).

O tym, jak daleko naprzód wybiegały myśli Leonarda w porównaniu z jego epoką, świadczy fakt, że jeszcze w XVII stuleciu skamieniałości uważano za „grę twórczej przyrody" lub rezultat astrologicznego wpływu gwiazd.

Walcząc ze średniowieczną scholastyką Leonardo pozostawał jednak równie obcy tym „humanistom" Odrodzenia, którzy korząc się przed antycznymi autorami odgrodzili się od żywej rzeczywistości i zamknęli w „ogrodzonym ogrodzie" sztucznej literatury. W zapiskach Leonarda spotykamy słowa pełne gniewu pod adresem „trąbiących i powtarzających cudze utwory", chełpliwych i wyniosłych, dumnych ze swego książkowego wykształcenia". „Choćbym nie umiał tak dobrze jak oni cytować autorów — pisał Leonardo — będę cytował rzeczy o wiele bardziej godne — doświadczenie, nauczyciela ich nauczycieli. Chodzą sobie dumni i wyniośli, ustrojeni i udekorowani nie swoimi, lecz cudzymi pracami. Moich prac nie uznają; a skoro mną, wynalazcą, pogardzają — o ileż bardziej powinni być sami pogardzani owi nie wynalazcy, lecz trąbiący i powtarzający cudze utwory" (C. A., 117). Należy tu również podkreślić, że Leonardo pisał w swym rodowitym włoskim języku, a nie po łacinie, sztucznym języku uczonych.

Leonardo nienawidził szarlatanerii naukowej we wszystkich jej formach. „Ogień tępi kłamstwo to jest sofistę i ukazuje prawdę rozpraszając ciemności" (Tr. 38). „O, poszukiwacze ciągłego ruchu — woła Leonardo — ileż bezpłodnych projektów stworzyliście w tego rodzaju poszukiwaniach! Idźcie precz z poszukiwaczami złota" (Forst, II_2, 67). Polemizując z „nekromantami i zaklinaczami, którzy osiągnęli szczyt głupoty" (W. An., 1, 13), Leonardo szczegółowo

[13]) Na takim właśnie stanowisku stoi na przykład E. Mac Curdy (ob. The Mind of Leonardo da Vinci, New York 1948, str. 217).

dowodzi, że wiara w niematerialne duchy działające w przyrodzie jest fizyczną niedorzecznością (W. An., B., 30 — 31). O współczesnej mu medycynie Leonardo pisał: „Naucz się chronić zdrowie; uda ci się to tym łacniej, im bardziej będziesz wystrzegał się lekarzy, gdyż mikstury ich są rodzajem alchemii" (W. An., A, 2).

Leonardo stworzył sobie ściśle przemyślany ideał „prawdziwej nauki" — takiej nauki, „którą doświadczenie zmusiło do przejścia ponad uczuciami nakładając pieczęć milczenia na języki dyskutantów, nauki, która nie prześladuje sennymi widziadłami swych badaczy" (T. P., 33). Kult dla malarstwa, kult dla „oka" najdobitniej wyraża to przekonanie Leonarda: „Oko, jako gospodarz uczuć, spełnia swój obowiązek, kiedy sprzeciwia się mętnym i fałszywym — nie naukom, ale rozważaniom, kiedy to dyskusji zawsze towarzyszy wielki szum i wymachiwanie rąk" (T. P., 16). Zdaniem Leonarda malarstwo to nie „mechaniczne rzemiosło", lecz „nauka". Malarstwo jako jeden z najwyższych środków poznania tworzy z nauką jedną organiczną całość, ponieważ nauka również opiera się w ostatecznym wyniku na zmysłowym, wzrokowym poznaniu otaczającego świata. Malarstwo dało początek najważniejszym naukom, jest „matką perspektywy", czyli nauki „o liniach wzrokowych" tzn. optyki. Optyka z kolei „zrodziła naukę astronomii" (T. P., 6). „Oko" będące odbiciem wszechświata, stworzyło kosmografię; oko „służy radą we wszystkich dziedzinach sztuki, koryguje sztukę, pobudza człowieka do zdobywania różnych części świata", jest „władcą nauk matematycznych" (T. P., 28).

Bardzo wiele mówiące jest porównanie malarza do zwierciadła, które odbija otaczającą rzeczywistość. „Umysł malarza powinien być podobny do zwierciadła, które zawsze przybiera barwę tego przedmiotu, który jest jego obiektem, i zawiera tyle obrazów, ile jest przedmiotów stojących naprzeciwko niego" (T. P., 56). Analogiczne żądania stawiał Leonardo również uczonym.

Jednakże samo tylko bierne odzwierciedlanie poszczególnego przedmiotu, w oderwaniu od pozostałych, nie daje jeszcze prawdziwej wiedzy. Dlatego też malarz — to nie tylko zwierciadło. Do zwierciadła podobny jest malarz, „który bezmyślnie zrysowuje": malarz taki „naśladuje wszystkie znajdujące się przed nim przedmioty, lecz nie zna ich" (C. A., 76). W zapiskach swych Leonardo krytykuje naiwnie sensualistyczne stanowisko tych, którzy twierdzili, że „słońce jest takiej wielkości, jaką się ono nam wydaje" (F., 6, F., 8 odwr., F., 10).

Uczony powinien umieć orientować się w danych doświadczalnych, wysuwać zagadnienia wymagające sprawdzenia doświadczalnego tzn. umieć eksperymentować. Jeżeli bowiem „doświadczenie nigdy nie myli się", to „mylne są nasze sądy". „Ludzie niesłusznie żalą się na Bogu ducha winne doświadczenie, obciążając je częstokroć winą za zwodnicze i fałszywe dane" (C. A., 154). „Doświadczenia oszukują tych, którzy nie opanowali ich istoty", a często doświadczenia, które wydają się analogiczne, okazywały się „zupełnie różne" (J., 102 odwr.).

Metoda Leonarda została doskonale zdefiniowana przez niego samego następującymi słowami: „Początkowo przeprowadzam jakieś doświadczenie, zamiarem moim jest bowiem przede wszystkim przeprowadzić doświadczenie, a następnie za pomocą rozumowania dowieść, dlaczego dane doświadczenie powinno mieć właśnie taki, a nie inny przebieg. To jest zasadniczą regułą, w myśl której powinni postępować badacze zjawisk przyrody. Chociaż

więc przyroda rozpoczyna od przyczyny, a kończy na doświadczeniu, powinniśmy iść drogą wprost przeciwną, rozpoczynając (jak powiedziałem wyżej) od doświadczenia i na jego podstawie odnajdywać przyczynę" (E., 55).

Engels charakteryzując stan nauki i produkcji w czasach Leonarda, pisał: „Kiedy po ciemnej nocy średniowiecza nagle znowu z niezwykłą siłą odradzają się nauki, które rozwijają się z cudowną szybkością, to cud ten... zawdzięczamy produkcji. Po pierwsze od czasu wypraw krzyżowych rozwinął się kolosalnie przemysł i powołał do życia mnóstwo nowych faktów z dziedziny mechaniki (tkactwo, zegarmistrzostwo, młyny), chemii (farbiarstwo, metalurgia, alkohol) oraz fizyki (okulary), które dostarczyły nie tylko ogromnego materiału dla obserwacji, ale i zupełnie innych niż dawniej środków do eksperymentowania i pozwoliły skonstruować nowe instrumenty. Można powiedzieć, że właściwie systematyczna nauka eksperymentalna stała się możliwa dopiero od tego czasu"[14]).

Renesans otrzymał od średniowiecza właśnie fakty, nie zaś system naukowy. Najistotniejszym zadaniem stało się uogólnienie tych faktów. Jeśli więc Leonardo czynił zarzuty malarzom, którzy w sposób mechaniczny i bierny, bez wyboru kopiowali przyrodę, to ten sam zarzut jego można było uczynić i ślepej praktyce techników, którzy nie odczuwali konieczności oparcia się na szerokich uogólnieniach nauki. „Kto pochłonięty jest praktyką w oderwaniu od nauki — pisał Leonardo — jest jak sternik, który obejmuje okręt bez steru i kompasu: nigdy nie jest pewien, dokąd płynie" (G., 8). Dla Leonarda „nauka — to kapitan, praktyka zaś — to żołnierze". (J., 130).

Mówiliśmy już, że Leonardo uważnie czytał antyczne i średniowieczne rozprawy naukowe, czerpiąc z nich wszystko, co przedstawiało największą wartość. Żaden jednak średniowieczny autor z zakresu mechaniki nie stawiał tak szerokich wymagań eksperymentalnych jak Leonardo. Spadanie ciał, lot pocisku artyleryjskiego, lot ptaków — prawa rządzące wszystkimi tymi zjawiskami — Leonardo próbował sprawdzić doświadczalnie, w drodze dokładnych badań czy też uprzednio przemyślanych eksperymentów. Leonardo bada eksperymentalnie zjawisko siły uderzenia i (na długo przed Amontonem i Coulonem) zjawisko tarcia. Przed Galileuszem bada zagadnienie oporu materii. Przeprowadza doświadczenia nawet w takiej nowej dziedzinie jak fizjologia. „Żaba natychmiast umiera — czytamy w jednej z jego zwięzłych notatek — jeżeli przekłuć jej mlecz pacierzowy, chociaż przed tym żyła bez głowy, serca, rozmaitych organów wewnętrznych i skóry. Toteż wydaje się, że w mleczu pacierzowym właśnie znajduje się podstawa ruchu i życia" (W. An., V, 2).

Niezawodne oko malarza zauważa wciąż nowe różnice w konkretnych zjawiskach przyrody. „Przyroda dostarcza tyle przyjemności i jest tak niewyczerpana w swej różnorodności — pisze Leonardo — że wśród drzew tego samego gatunku nie znajdzie się ani jednej rośliny, ani jednej gałęzi, ani jednego liścia i owocu, który by całkowicie był podobny do innego" (C. A., 112 odwr.). Słowa te, tak charakterystyczne dla uczonego epoki Odrodzenia, przypominają słowa wielkiego rodaka Leonarda — Giordana Bruno. „Różnorodne są twory świata. Różnorodne są gatunki wśród tworów świata. Różnorodne są wśród gatunków postaci jednostek. Jedno bowiem drzewo oliwne nie jest zupełnie podobne do innego pod względem swej konfiguracji, i jeden człowiek nie jest zupełnie podobny do drugiego.

[14]) F. Engels, Dialektyka przyrody.

Wszystko zatem różni się odrębnymi właściwościami i odcina się znakami szczególnymi niby granicami. Poznaj więc zgodnie z przyrodą różnice we wszystkim — w sposobie istnienia, w wielkości, w kształcie, w postaci, w usposobieniu, w przyzwyczajeniach, w możliwościach, w sytuacji i rozróżniaj w miarę twoich możliwości cechy szczególne, zmiany w działaniu, cierpieniu, wzroście, posiadaniu, powiększaniu, zmniejszaniu się i innych modyfikacjach, tak jak mówiliśmy" [15]).

Jako analityk Leonardo tworzy wielkie uogólnienia, porównując odbicie ruchów i rozchodzenie się fal w wodzie z rozchodzeniem się światła i dźwięku w powietrzu. Opisując właściwości roślin, Leonardo nie poprzestaje na tym, co jest niezbędne malarzowi do przedstawiania ich zgodnie z rzeczywistością. Ustala on typy rozmieszczenia liści o wiele wcześniej, niż Brown zajął się prawami *phyllotaxis* (1658). Podobnie w anatomii Leonardo nie ogranicza się do problemów, które zwykle interesują malarza. Z wnikliwą dociekliwością bada budowę tych części organizmu, które nie są przydatne malarzowi, więcej — przeprowadza uogólnienia jak uczony: jego rysunki anatomiczne są zawsze syntetyczne, stanowią sumę mnóstwa różnych obserwacji. Leonardo zamierzał rozpocząć swoją wielką pracę z anatomii od poczęcia człowieka i chciał przestudiować kolejny wzrost organizmu, wszystkie stadia jego rozwoju. Miał on zwyczaj zestawiać przez rozróżnianie i rozróżniać przez zestawianie. „Przedstaw w tym traktacie nogi żab, które są bardzo podobne do nóg człowieka zarówno ze względu na kości jak i ścięgna, następnie zbadaj tylne łapy zająca, które są bardzo umięśnione i mają bardzo wyraźne ścięgna, gdyż nie ma na nich tłuszczu" (W. An., V. 23). „Opisz właściwości wnętrzności rodzaju ludzkiego, małp i temu podobnych. Następnie właściwości lwów, bydła rogatego i wreszcie ptaków, wykorzystaj ten opis w traktacie" (W. An., A., 14).

Engels nazwał Leonarda tytanem. Ze względu na swój tragizm los Leonarda przypomina najbardziej los Prometeusza. Warunki historyczne krępowały jego siły: ani Florencja, ani Mediolan, ani Rzym, ani tym bardziej Francja nie sprzyjały urzeczywistnieniu jego wielkich zamierzeń naukowych i technicznych. Przemysł włoski przeżywał wówczas okres manufaktury i rzemiosła; maszyna odgrywała jeszcze rolę drugorzędną w porównaniu z wkładem pracy. Dlatego też wynalazki techniczne Leonarda, jego maszyny tkackie, nie mogły mieć szerokiego zastosowania, zbyt wyprzedziły one swoją epokę. Nie znalazły one zastosowania także później, ponieważ „gdy ku końcowi wieku IV przewrót na rynku światowym unicestwił przewagę handlową Włoch Północnych, nastąpił ruch odwrotny. Robotnicy miejscy wyparci masowo na wieś..." [16]).

Z czasem zapomniano o wynalazkach Leonarda i inni dokonali ich później powtórnie w bardziej sprzyjających warunkach. Drapieżni, chciwi i żądni zaszczytów zarządcy poszczególnych dzielnic Włoch byli pozbawieni wszelkich zasad i nie przebierali w środkach. Źli to byli opiekunowie. Leonarda potrzebowali jedynie jako wojskowego inżyniera, nie interesowały ich wcale jego wielkie plany osuszenia błot, pogłębienia łożyska rzeki Arno, budowy kanałów. „Regulacja rzeki Arno u źródeł i przy ujściu. Każdy, kto zapragnie, wydobędzie skarby z ziemi" — pisze

[15]) Giordano Bruno, Ars memoriae — Opera latine conscripta, vol. I, pars 1, Neapoli, 1896, str. 75.

[16]) Karol Marks, Kapitał, t. 1, Książka i Wiedza. Warszawa 1950, str. 774, przyp. 189.

Leonardo (S. A., 289). Tak więc Leonardo brał udział tylko w pracach o znaczeniu wojennym. W 1503 roku zaproszono go w charakterze konsultanta do pracy przy odprowadzeniu Arno od buntowniczej Pizzy, oblężonej przez Florentyńczyków.

W rękopisach Leonarda znajdujemy wstrząsające opisy niszczycielskiego działania żywiołów — pustoszących wszystko wylewów rzecznych i powodzi, burz, nawałnic. W patosie tych opisów kryje się głębokie poczucie samotności: Leonardo zdaje sobie sprawę, że w ówczesnych warunkach historycznych zamierzenia jego są skazane na niepowodzenie. W rękopisach jego zdarzają się zdania pełne rozpaczy.

Pod bezpośrednim wpływem Okrutnego wieku napisane są surowe, pełne goryczy słowa noszące tytuł O okrucieństwie ludzkim. Mają one zwykłą dla Leonarda formę „przepowiedni". Mówiąc o teraźniejszości i przyszłości Leonardo opowiada o „zwierzętach", które będą toczyć ciągłe walki „nie znając granic dla swojej wściekłości". „Przedmiotem ich pragnień stanie się śmierć, smutek, tortury, strach każdej istoty żyjącej". Urywek ten kończy się rozpaczliwym wezwaniem skierowanym do ziemi: „O ziemio, dlaczego nie rozstąpisz się i nie pochłoniesz ich w głębinie swych przepaści ukrywając przed niebem potwora tak okrutnego i straszliwego" (S. A., 370).

Leonardo ma głęboką świadomość wielkiej wartości życia ludzkiego. Na temat swych rysunków anatomicznych pisze on: „Jeśli ty, który oglądasz w tej pracy mojej zdumiewające dzieło przyrody, zdecydujesz, że zbrodnią byłoby zniszczyć tę moją pracę, pomyśl, że o wiele większą zbrodnią jest odebrać człowiekowi życie. Jeśli budowa jego wydaje ci się zdumiewającym dziełem, pomyśl, że to nic w porównaniu z duszą, która zamieszkuje tę budowlę. I jakakolwiek jest zaprawdę ta dusza, pozwól, by żyła w swym dziele tak jak się jej podoba, nie pragnij gniewem swym i złością zniszczyć tego życia, albowiem ten, kto go nie ceni, nie zasługuje na nie". (W. An., A., 2).

Samotność Leonarda występuje ze szczególną ostrością, kiedy myślimy o jego pracach z dziedziny lotnictwa. Był tu całkowicie pozostawiony samemu sobie. W dziedzinie tej nie miał poprzedników, nie znalazł także pomocy opiekunów. Doświadczenia swoje uparcie przeprowadzał w Mediolanie i we Florencji. „Żeby zobaczyć latanie za pomocą czterech skrzydeł, zejdź do rowów twierdzy mediolańskiej, a zobaczysz czarne ważki" — czytamy w jednej z jego notatek (S. A., 377 odwr.). Leonardo umieszcza dokładną datę 14 marca 1505 roku na obserwacjach lotu drapieżnego ptaka, które przeprowadził w Barbighi, na drodze do Fiesole (V. U., 18, odwr.). Na południo-wschód od Fiesole w okolicach Florencji wznosi się Góra Łabędzia — Monte Cecero. Stamtąd Leonardo zamierzał wzlecieć na aparacie, który sam skonstruował. Świadczą o tym natchnione i uroczyste słowa. „Wielki ptak rozpocznie swój pierwszy lot z grzbietu olbrzymiego orła napełniając świat zdumieniem, wszyscy będą o nim pisali, wieczna chwała jego rodzinnemu gniazdu" (notatka na wewnętrznej okładce Traktatu o locie ptaków).

Jedność różnorodnych zajęć Leonarda wyraziła się ze szczególną siłą w nowej dziedzinie lotnictwa. Występuje on tu jako matematyk, fizyk, inżynier i wreszcie jako anatom i fizjolog. Jako przenikliwy fizjolog bada on budowę ptaków, nietoperzy, motyli, ważek oraz właściwości ich lotu. Uważnie zestawia właściwości anatomicznej budowy ptaka i człowieka, porównuje ich siłę, funkcje mięśni i ścięgien i z obserwacji

swych wyciąga wnioski jako technik-konstruktor. Jednocześnie Leonardo określa ptaka jako „narzędzie działające według praw matematyki", tj. o wiele wcześniej od swego ziomka Jana Alfonsa Borellego, autora pracy De motu animalium, usiłuje przeprowadzić systematyzację praw mechaniki, które rządzą ruchem istot żyjących. „Zanim przystąpisz do pisania o tym, co lata — mówi Leonardo — napisz księgę o przedmiotach spadających w powietrzu bez wiatru i drugą o tych, co spadają przy wietrze" (F., 53 odwr.) W ten sposób prace Leonarda w dziedzinie lotnictwa mają ścisły związek z jego badaniami nad ciałami spadającymi. Leonardo wyciąga dalej wniosek: „prawdziwa nauka o ruchu ptaków w powietrzu" zakłada istnienie „nauki o wiatrach", której opracowanie wiąże on z jednoczesnym poznaniem ruchu wody (E., 54). Tu Leonardo konstruktor aparatów do latania spotyka się z Leonardem hydrotechnikiem.

Spuścizna naukowa Leonarda zamknięta jest w licznych zeszytach notatek i książkach, które zawierają najróżnorodniejsze uwagi w rozmaitych kwestiach, wykresy, szkice, rysunki. Najprawdopodobniej znaczna liczba rękopisów Leonarda do nas nie dotarła. Te, które się zachowały, znajdują się obecnie w Mediolanie, w Turynie, Paryżu, Londynie. Wiele wielkich odkryć Leonarda było przez całe stulecia pogrzebanych w tych rękopisach, dokonali ich ponownie inni badacze. Włoch J. B. Benturi zwrócił pierwszy uwagę na Leonarda jako na uczonego (w 1797 roku). Lecz dopiero w drugiej połowie XIX wieku rozpoczęto systematyczne badanie i publikowanie technicznej spuścizny Leonarda. W pracy tej wzięło udział wiele narodów, Włosi, Francuzi, Rosjanie, Norwegowie i Anglicy.

Odczytywanie rękopisów Leonarda nastręcza wiele trudności, gdyż są one napisane pismem „lustrzanym". Ortografia jest oryginalna i oddaje niekiedy wszystkie właściwości wymowy, wiele słów pisanych jest łącznie. Rękopisy Leonarda trzeba po prostu odcyfrowywać. Dotychczas nie ma pewności, czy wszystkie słowa Leonarda zostały dobrze odczytane.

Im bardziej wgłębiamy się w poznawanie naukowej spuścizny Leonarda, tym bardziej zdumiewa nas potęga jego myśli i niewyczerpalna wynalazczość geniuszu. Tymczasem poczynając od pierwszych lat XX wieku w literaturze burżuazyjnej coraz silniej występuje tendencja pomniejszania Leonarda i jego zasług w dziedzinie nauki. Zatrzymam się na pracach tylko trzech autorów: Piotra Duhema (1906 — 1914), Leonarda Olschi (1918) i Lynna Thorndike'a (1941).

Apologeta katolicyzmu, fizyk Duhem, nie dyskredytował jeszcze otwarcie Leonarda, lecz zaczął dyskredytować naukę Odrodzenia gwoli większej chwały Średniowiecza. Duhem chciał dowieść za wszelką cenę, że nowoczesna nauka powstała w Europie nie podczas otwartej walki z kościołem, lecz wyrosła spokojnie „pod skrzydłami kościoła" obok średniowiecznej scholastyki, a nawet dzięki niej. Duhem ogłosił, że Odrodzenie włoskie było „spadkobiercą paryskiej scholastyki" i jak wynika z jego pism, wyłącznie spadkobiercą scholastyki. Według Duhema w osobie Leonarda da Vinci „zawiera się cały konflikt intelektualny, dzięki któremu Odrodzenie włoskie stało się spadkobiercą scholastyki paryskiej" [17]).

Duhem nadał swojej tezie pozory prawdopodobieństwa posługując się fałszywą metodą naukową. Historia jest według niego olbrzymią salą biblioteczną, w której jeden uczony czyta

[17]) P. Duhem, Etudes sur Leonard de Vinci, t. II, str. III — IV.

utwory drugiego. Przekształca on Leonarda z homo sapiens w homo legens — z człowieka myślącego w człowieka czytającego. W badaniach swych Duhem poprzestał na „tych, których Leonardo czytał, i na tych, którzy czytali Leonarda“ [18]). Zrobił z Leonarda jedynie czytelnika książek. Spoza tych książek nie widać ani nowej epoki, ani samego Leonarda. Duhem wyciągnął stąd wniosek, że Leonardo, który czytał utwory scholastyków XIV wieku, był „spadkobiercą“ scholastyki paryskiej i zwykłym ogniwem łączącym naukę Średniowiecza z nauką XVI — XVII wieków.

Duhem nie wziął wcale pod uwagę, że dzieła uczonych XIV wieku, którzy szczególnie interesowali Leonarda (Albert Saski, Mikołaj Oresme) powstały w okresie kryzysu scholastyki średniowiecznej i nie stanowiły jej organicznej kontynuacji, lecz zapowiadały jej schyłek [19]).

Zdyskredytować Leonarda jako uczonego spróbował otwarcie w 1918 roku Leonard Olschi, który na podstawie fragmentarycznych i niedokończonych notatek Leonarda wywnioskował, że myśl jego była chaotyczna. Według Olschiego „chaotyczność rękopisów Leonarda nie wynika wcale z jakiegoś prowizorycznego stadium“, lecz odzwierciedla samą istotę Leonarda jako myśliciela i uczonego. Olschi twierdzi, że Leonardo nie miał pojęcia o metodzie, że brak mu było „surowej logiki“ itd.“. Niedostateczne przygotowanie naukowe Leonarda, jego niesystematyczne wykształcenie nie pozwalało mu rozumieć różnorodności zjawisk, które obserwował. Według Olschiego Leonardo nie dostrzegał związku między zjawiskami, poprzestawał na konstatowaniu faktów, świadomie ograniczał się do faktów. Ostatecznie według Olschiego Leonardo okazuje się „pozytywistą“ i „agnostykiem“.

Z tego, co powiedziałem wyżej, wynika, sądzę, dość jasno, że podobne twierdzenia są całkowicie nieuzasadnione. Notatki Leonarda nie są wcale swego rodzaju migawkami poszczególnych, rozdrobnionych obserwacji. Odzwierciedlają one ogromną pracę myśli, świadczą o sile naukowych uogólnień.

Odmawiając Leonardowi pracy myśli zmierzającej do uogólnienia i robiąc zeń jedynie sensualistę, który gromadzi chaotyczne, nieprzemyślane fakty, Olschi nie potrafił również ocenić naukowego znaczenia anatomicznych rysunków Leonarda. Mówi on o „skrupulatnie dokładnym przedstawianiu zaobserwowanych zjawisk przy pomocy rysunku“ i podkreśla, że Leonardo daje bardzo rzadko opisy słowne. Najlepszą odpowiedzią na to są słowa samego Leonarda: „Miałbyś rację mówiąc, że lepiej zajmować się anatomią niż oglądać podobne rysunki, gdyby to wszystko, co się uwidacznia na podobnych rysunkach, można było obserwować na jednym ciele. Z całą twoją mądrością nie zobaczysz w nim nic i o niczym nie będziesz miał pojęcia z wyjątkiem może kilku żył, dla których całkowitego poznania dokonałem sekcji przeszło dziesięciu trupów, niszcząc wszystkie pozostałe członki aż do najdrobniejszych, niszcząc mięśnie otaczające te żyły i dbając o to, by nie zalać ich krwią, nie biorąc pod uwagę nieznacznego wylewu na skutek rozerwania naczyń

---

[18]) Jest to podtytuł jego Studiów o Leonardo da Vinci (P. Duhem, Etudes sur Leonard de Vinci. Ceux qu'il a lus ceux qui l'ont lu, P., 1906 — 1914).

[19]) Nowe materiały ogłoszone w ciągu trzydziestu lat po śmierci Duhema (1916) zdecydowanie obalają jego koncepcję nie mówiąc już o tym, że ze względów zasadniczych fałszywa i wynikająca z jego reakcyjnych poglądów. metoda jego nie jest do przyjęcia. Zob. W. Zubow, Koncepcje Duhema w świetle najnowszych badań historii przyrodoznawstwa („Prace konferencji poświęconej historii przyrodoznawstwa 24 — 26 grudnia 1946 roku“, M. — Ł. 1948, str. 94 — 110).

włoskowatych. Nie wystarczało jednego trupa, musiałem pracować kolejno nad szeregiem trupów, ażeby osiągnąć całkowite poznanie, zrobiłem to dwukrotnie, ażeby obserwować różnice" (W. An. I, 13).

Rysunki Leonarda są syntetyczne, podsumowują one obserwacje uczynione podczas sekcji dziesiątków trupów, tj. stanowią rezultat uogólniającej pracy myśli. Dlatego też podejście Olschiego do wielkiej i złożonej spuścizny Leonarda jest podejściem powierzchownym, podejściem obserwatora, który nie dostrzega wewnętrznych związków tego, co przed sobą widzi. Mimo woli nasuwa się porównanie z opowiadaniem pewnego prostodusznego człowieka, który obserwował, w jaki sposób wielki mistrz pracował nad „Ostatnią Wieczerzą". Opowiada on, że Leonardo wchodził z rana na rusztowanie i do wieczora nie wypuszczał pędzla z ręki „zapominając o jedzeniu i piciu", kiedy indziej znów nie pracował wcale, niekiedy godzinami wystawał przed obrazem nie pociągając ani razu pędzlem, czasami zaś „zgodnie z własnym kaprysem i zależnie od fantazji odchodził w południe, kiedy słońce znajduje się w konstelacji Lwa, ze starego podwórza, gdzie lepił z gliny swego zdumiewającego konia i udawał się wprost do klasztoru Delle Grazie, właził tam na podwyższenie, brał pędzel do ręki, dotknął nim raz lub dwa którejś postaci i natychmiast szedł gdzie indziej" [20]).

Taki opis nie pozwala nam zgłębić duszy wielkiego artysty. Czyż charakterystyka, którą podaje Olschi, nie jest również takim samym opisem czysto zewnętrznych cech spuścizny, jaką pozostawił Leonardo w swych rękopisach. Różnica polega jedynie na tym, że autor piętnastowieczny był skromniejszy i z opisu swego nie wyciągał wniosku, że Leonardo nie był wcale wielkim artystą.

Trzecią i najbardziej powiedziałbym bezwstydną próbę zdyskredytowania Leonarda zrobił mediewista amerykański Lynn Thorndike w 1941 roku. W swej sześciotomowej Historii magii i nauki doświadczalnej poświęcił on Leonardowi ustęp krótszy od rozdziału, w którym omawia tak ważny dla historii nauki problem jak poglądy trzeciorzędnego uczonego włoskiego z XV wieku, Agostina Nifo, na naturę i właściwości demonów [21]).

Thorndike zapożycza i rozwija poglądy zarówno Duhema jak Olschiego. Także według niego najważniejsze odkrycia Leonarda wywodzą się ze Średniowiecza, a cała jego nauka jest chaotyczna. Lecz Thorndike posuwa się dalej: wspomina on, że wynalazki techniczne Leonarda należy oceniać w świetle „bardzo bogatej literatury wcześniejszej". Widzimy więc, że zasadę Duhema o tych, których „Leonardo czytał", przenosi się w dziedzinę techniki. Autor nie daje i nie może dać żadnych uzasadnionych argumentów dla poparcia swojej tezy. Nie można przecie uważać za poważny argument twierdzenia, że recepty farb, jakich używał Leonardo, „są podobne" do recept, jakie figurują w średniowiecznych księgach o farbach, skoro znane jest powszechnie nowatorstwo Leonarda i ciągłe eksperymenty, jakie przeprowadzał nad farbami, lakierami itd. Szczytem naiwności jest powoływanie się Thorndike'a na notatki Leonarda o żmijach, olbrzymach itp. robione na podstawie średniowiecz-

[20]) Zob. L. Beltrami, Documenti e memoriae riguardenti la vita e el opere di Leonardo da Vinci, Milano 1919, str. 43 — 44.

[21]) Lynn Thorndike. A history of magic and experimental science, vol. V, N. Y., 1941; rozdział 2-gi (Leonardo da Vinci, The magician of the Renaissance zajmuje str. 16 — 36, rozdział zaś 3-ci (Nifo and demons) str. 69 — 93.

nych zbiorów bajek, jako na dowód zależności jego od średniowiecza oraz na dowód tego, że wnioski swoje opierał on nie tylko na własnym doświadczeniu. Jak gdyby Leonardo jako uczony mógł traktować poważnie te fantastyczne baśnie, które notował jako ewentualne tematy dla swych przyszłych dzieł malarskich i literackich, albo jako materiał do maskarady! Thorndike uważa widocznie, że do historii świata zwierzęcego odnosi się także uwaga Leonardo: „Sławę należy malować całą pokrytą językami zamiast piór, ale pod postacią ptaka" (N., 22 odwr.) [22]).

Prace tych trzech autorów dowodzą gwałtownego upadku, który charakteryzuje ideologię burżuazyjną epoki imperializmu. Burżuazja imperialistyczna wyrzeka się cynicznie największych osiągnięć przeszłości. W interesie jej leży udowodnienie, że nauka rozwijała się bez wstrząsów i walk pod skrzydłami średniowiecznego kościoła. Nienawidzi ona prawdziwych rewolucjonistów w nauce, bojowników o wolność myśli, burzycieli odwiecznych autorytetów. Współcześni burżuazyjni historycy nauki i sztuki zajadle zwalczają koncepcję Odrodzenia jako nowego, postępowego etapu w historii Europy [23]).

W Związku Radzieckim, kraju przodującej nauki, opartej na mocnych podstawach nauki Lenina — Stalina, wszystkie zdobycze kultury należą do całego narodu. Naród nasz żywi głęboką cześć dla wielkich działaczy przeszłości, którzy walczyli o postęp i wolność nauki, którzy odważnie burzyli skamieniałe dogmaty. Mimo woli nasuwają się słowa, które wielki uczony I. P. Pawłow napisał na krótko przed śmiercią: „Wyzwoloną namiętnością tchnie okres słusznie nazwany epoką Odrodzenia, okres, w którym rozpoczęła się wolna sztuka i wolna myśl badawcza w najnowszej historii ludzkości. Poznanie tej namiętności staje się potężnym bodźcem dla obecnych prac artystycznych i badawczych. Dlatego też nowe pokolenia powinny zawsze pamiętać o artystycznych i badawczych dziełach tego okresu [24]).

Leonardo należy do tych geniuszów, których spuściznę naukową poznano dopiero po upływie długiego czasu po ich śmierci. Tylko w poszczególnych wypadkach można prześledzić nić bezpośrednich wpływów Leonarda na późniejszy rozwój nauki. Lecz właśnie w świetle późniejszego rozwoju występuje cała wielkość jego geniuszu: w wiekach późniejszych nauka dokonywała odkryć, do których zbliżała się myśl Leonarda, uczonego i wynalazcy. Współcześni nie mogli ocenić go należycie. Można powiedzieć bez przesady, że stało się to możliwe dopiero w naszych czasach.

Po upływie pięciu wieków bliska jest całej postępowej ludzkości postać Leonarda, przodującego bojownika o naukę, jednego z twórców nowego, eksperymentalnego przyrodoznawstwa, uczonego, inżyniera, który dążył nie tylko do zrozumienia, lecz także do przekształcenia rzeczywistości i pragnął oprzeć swoją działalność praktyczną na poznaniu ogólnych praw natury.

W odezwie do ludów świata z 19 lutego 1952 roku przewodniczący Światowej Rady Pokoju, fizyk francuski Joliot Curie, mówi o powszechnej skarb-

---

[22]) Należy również podkreślić, że Thorndike zupełnie arbitralnie przesunął omówienie twórczości Leonarda do tomu 5-go poświęconego XVI wiekowi. Twórczość Leonarda została sztucznie wyłączona z XV wieku, co zubożyło to stulecie i tym samym ułatwiło autorowi wysławianie poprzedniego, XIV stulecia". Ostatecznie postać Leonarda zupełnie się zaciera: kiedy czytamy o nim po raz pierwszy u Thorndike'a w tomie 5-ym, wydaje się, że chodzi to o jakiegoś epigona XV wieku, który nie dorósł jeszcze do XVI w.

[23]) Zob. artykuł na ten temat W. N. Łazarewa: Przeciw fałszowaniu historii kultury Odrodzenia, W walce z burżuazyjną sztuką i burżuazyjną historią sztuki. M., 1951, str. 106—128.

[24]) I. P. Pawłow, Przedmowa do rosyjskiego przekładu książki Veseliusa (1936). Dzieła wszystkie t. V. M.—L., 1949, str. 316.

nicy ludów, którą stanowią „wielkie dzieła nauki, literatury i sztuki zachowujące po wszystkie czasy piętno geniuszu". „Ta spuścizna kulturalna — powiedziane jest w odezwie — jest niewyczerpalnym źródłem dla całej ludzkości. Pozwala ona na poznanie ludzi z różnych epok i uchwycenie związków, które ich łączą. Otwiera ona przed ludźmi perspektywy powszechnej zgody i porozumienia. Potwierdza ona w ludziach wiarę w ludzkość w chwili, gdy bardziej niż kiedykolwiek potrzebne jest powszechne wzajemne zrozumienie".

Spuścizna naukowa Leonarda należy nie tylko do Włoch. Jest ona wspólną własnością ludów. Wzrusza ona nas wszystkich swoją głębią i bogactwem, tak jak wzruszają nas dzieła jego geniuszu malarskiego.

W. P. Zubow

PERCY BYSSHE SHELLEY (1792—1822) *Przełożył* WITOLD CHWALEWIK

ODA DO WIATRU ZACHODNIEGO

I

Wietrze zachodni! O ty nieskończenie
Jesienny! Niby upiory spłoszone
Opadłe liście pędzisz swoim tchnieniem,

Żółte, pstre, czarne, febrycznie czerwone —
Tłum zadżumionych zbiegów... O wiejący,
Ty i nasiona wmieciesz uskrzydlone

Do grobu ziemi we śnie kostniejącej,
Tam jakby martwe w ciemnościach przeleżą,
Aż wiosny, twojej siostry, dech gorący

Porwie je w błękit nad senną rubieżą,
I w powietrzu dokarmi, by nie uschły,
I wzgórzom da ich woń i jasność świeżą.

Ty dziki, dotrzesz wszędzie swymi gusły —
Szafarzu tchu i śmierci! Usłysz! Usłysz!

II

Ty co po niebie chodząc pośród grzmotu
Jak ziemi liście błahe, wzbijasz chmury,
Anioły błyskań, wywiane ze splotu

Gałęzi nieba i morza! O który
W aurze oddechem błękitu nadobnej
Dębisz się nagle włosem jasno-burym,

Do głowy gniewnej Menady podobny —
Tak aż po zenit sam się rozpościera
Grzywa idącej burzy... Ty żałobny

Psalmie dla roku tego, co umiera:
Grób mu dziś w nocy zamknie zawierucha,
Sklepienie tęgie stworzy atmosfera

Waporów pełna — a ty z nich wybuchaj
Czarnym dżdżem, gradem, błyskiem! Wołam, słuchaj!

III

Ty co zbudziłeś drzemiące w upale
Śródziemnomorskie błękitne rozstaje —
„Lulaj“, szumiały kręgi na krysztale

U pumeksowych wysp w zatoce Baje,
I morzu w śnie pałace się wyśniły,
Tańczące w blaskach, które toń oddaje,

Kwiecie i mech lazurem je barwiły,
Cudne... z zachwytu omdleć... O przed którym
Atlantyk ciężki nadmiarem swej siły

Pęka w wąwozy na szlaku wichury,
A ciemne gąszcze, które z dna wyrosły
Bezkrwistym lasem, bledną na głos z góry:

Poznały ciebie! — i lęku nie zniosły,
Drżą, osypują się do naga... Posłysz!

IV

Gdybym był liściem, kręconym w powiewie,
Gdybym jak pasmo chmury płynął z tobą,
Jak fala czuł twą potęgę w przelewie

Twej siły wewnątrz mnie, a już nad sobą
Prócz ciebie nie miał pana, o swobodny!
Lub gdybym znowu był, jak dawną dobą,

Gonitwy w niebie kompan niezawodny, —
Bo to nie było przesadą w zabawie
Roić, żem ciebie ja prześcignąć godny, —

Nie byłbym prosił tak, łamiąc się prawie:
Jak falę mnie, jak liść, jak chmurę unieś,
Bo na okrutnych cierniach wiszę, krwawię!

Ciężar szarpiących godzin uciął szumy
Piewcy, jak ty, nieokiełzanej dumy.

V

Zrób ze mnie drugi las — twą lirą uczyń!
To nic, że ze mnie też opadną liście.
Zgiełk twych harmonii w obu nas zahuczy,

Głęboka jesień zabrzmi uroczyście,
Dobra choć smutna. O bądź, tchu zawzięty,
I moim tchnieniem! Mną, o porywisty!

Wiej zwiędłe myśli me na nieobjęty
Świat, niby zeschłe liście pod wschód nowy,
I poematu potęgą zaklęty,

Słowa me, iskry z niezgaszonej głowy,
Rozrzuć na ludzkość! Twardy sen jej zburzysz,
W ustach mych bądź dla ziemi niegotowej

Trąbą proroctwa! O wietrze, co chmurzysz
Niebo na zimę — już i Wiosnę wróżysz!

przełożył **Witold Chwalewik**

BARBARA RAFAŁOWSKA

Oczami Gorkiego

Rewolucja 1905 i rewolucja 1917 roku — to trzon twórczości Gorkiego. Rewolucja burżuazyjno-demokratyczna, która obudziła Wschód, rewolucja socjalistyczna, która zapoczątkowała nowy okres historii — stały się w jego twórczości osią konstrukcyjną losu bohaterów. Człowiek wobec rewolucji, człowiek wobec opadania czy wznoszenia się fali rewolucyjnej — to stało się dla Gorkiego podstawą oceny i selekcji. „Człowiek to brzmi dumnie", „dobrze jest być człowiekiem" — tak miał prawo mówić rewolucjonista walczący z ustrojem kapitalistycznym i tak miał prawo mówić człowiek stojący na straży socjalizmu, gospodarz i budowniczy socjalistycznej ojczyzny. Kiedy chce się ustalić etapy ewolucji twórczej Gorkiego — jego rozwój — wystarczy wysunąć jedno zagadnienie: rewolucja. Ona stała się sprawdzianem wartości człowieka, ona odsłaniała jego oblicze, ona była źródłem i wytyczną konfliktów, postaw ideologicznych jego bohaterów. Twórczość dramatyczna: Mieszczanie, Na dnie, Letnicy, Wrogowie, Jegor Bułyczow — obnażyła przeciwieństwa, wielka epika, start powieści realistycznej — Matka, a później Artamonow i Synowie, Klim Samgin — dała ich rozwiązanie. Obraz rewolucji widziany oczyma nowego bohatera historii, proletariatu, narastał w jego twórczości zgodnie z biegiem historii i zgodnie z nauką marksizmu-leninizmu otwierał pespektywy na przyszłość. W ogniu rewolucji, w ogniu walki o jej zwycięstwo pokazał Gorki poprzez typowe postacie bohaterów obraz walki klas, burżuazji i proletariatu, w konkretnych momentach historycznych. Pokazał wahania warstw pośrednich i obnażył źródła tych wahań: niszczącą, deprawującą siłę prawa własności, martwotę i skostnienie aspołecznego życia drobnomieszczańskiej prowincji, ograniczenie, ciasnotę horyzontów chłopskiej zagrody w zapadłej wsi carskiej Rosji. W ogniu rewolucji i srożącej się reakcji pokazał zygzakowatą linię inteligencji od sojuszników proletariatu do „wymyślających samych siebie", zadufanych jego wrogów.

Pokazał jak bardzo konkretne, realne są wielkie idee filozofii marksistowskiej, jak bezpośrednio stają się wyznacznikiem praktyki codziennego życia. Poprzez żywych ludzi pokazał walkę cynizmu — nienawiść człowieka do człowieka w schodzącym z widowni, ginącym świecie kapitału — z humanizmem kolektywnego, wychowanego przez kolektyw i dla kolektywu socjalistycznego — człowieka socjalizmu. Paweł Własow, Klim Samgin, Niłowna, Bezsemienow, Wassa Żeleznowa — to obrazy wyrastania i staczania się, tworzenia zasad nowej moralności i całkowitego wypaczania starej, zaniku uczuć rodzinnych w rodzinie burżuazyjnej i tworzenie się podstaw nowej moralności w powstającej rodzinie socjalistycznej. Zagadnienie pracy wyzwolonej z jarzma wyzysku, pracy twórczej zespalającej ludzi i zagadnienie własności oddzielającej ich od siebie, poczucie nierozerwalnej spójni i nieuniknionego samotnictwa — dwa bieguny różnych postaw etycznych jako funkcji dwóch biegunowo przeciwstawnych sobie ustrojów — to stało się

tworzywem artystycznym wielkiego pisarza proletariatu.

Droga od obrazu eks-ludzi, ludzi dna, marginesu społecznego, widomych znaków przestępczości kapitalistycznego świata, pokazanych w zetknięciu z „gospodarzami“ życia, wiodła od „dramatu dwojga ludzi“ do wielkich syntez, od statyki poszczególnych obrazów zamykających się w granicach realizmu krytycznego, do szerokich przekrojów walk klasowych, pokazanych w dynamice przemian, w perspektywie rozwoju, w konkretnym momencie historycznym. Ewolucja twórcza od eks-ludzi w ustroju kapitalistycznym do eks-ludzi, których zmiatała i zmiotła z oblicza ziemi burza Rewolucji Październikowej, jest żywym i wciąż pogłębiającym się świadectwem, że nikt tak jak Gorki nie pokazał ponurej podłości życia w carskiej Rosji, nikt tak jak on nie dojrzał źródeł deprawacji moralnej płynącej z „wysuszającego duszę“ poczucia własności, nikt tak jak on nie pokazał linii nieuniknionego staczania się w dół kapitalizmu od rycerzy pierwotnej akumulacji aż do ostatnich mohikanów monopolistycznego kapitału. Rodziny Gordiejewów i Artamonowów, Smolinów i Majakinów, Samginów, Żeleznowów, to nie tylko obraz przemian kapitalizmu — to galeria żywych ludzi o niezapomnianych rysach twarzy, a Wassa Żeleznowa jest tylko jedna, tak jak tylko jeden jest Klim Samgin i Ilia Artamonow. Ustrój przełamywujący się w duszach ludzi daje tyle odmian ich postaw indywidualnych, ile jest ludzkich narodzin, a przynależność klasowa jest punktem wyjścia rozwoju, który skomplikowanymi drogami — wypadkową konkretnego momentu historycznego, okoliczności i postawy człowieka — albo wraca do punktu wyjścia, albo jest jego zaprzeczeniem. W tych granicach zawarł Gorki całą skalę przemian charakterów ludzkich. Narastanie ruchu rewolucyjnego i ostrość walki dojrzewającej do rewolucji 1905 roku, postawa proletariusza, który miał za sobą wędrówkę wzdłuż Wołgi, Donu, po Kaukazie i Krymie, był rybakiem nad Morzem Kaspijskim, tragarzem na przystaniach, wagowym i stróżem kolejowym, piekarzem i sprzedawcą w sklepie, który z twardej szkoły proletariackiego dzieciństwa wyniósł świadomość konieczności walki tylko takiej, jaką toczył proletariat rosyjski, tylko na takich podstawach, jakie wyniósł z uniwersytetów myśli postępowej — marksizmu-leninizmu — te przesłanki obiektywne i subiektywne dały mu zasięg i perspektywy widzenia, jakich nie miał wtedy żaden pisarz świata, stały się gruntem, na którym wyrosła sztuka realizmu socjalistycznego. Stąd wielość i różnolitość ludzkich postaw, których trzonem jest ideologia.

Burżuazja z jej wyznawcami silnej ręki i frazesem rewolucyjnym, inteligencja burżuazyjna z jej mięczakowatością, drobnomieszczaństwo z jego nieruchawym, wegetatywnym trybem życia oderwanym od społeczeństwa, bierność albo chuligaństwo jako postawa jego wobec rzeczywistości, zahukany chłopek, w którym rodzi się po wtargnięciu kapitalizmu na wieś nowy gospodarz, pająk, lichwiarz i posiadacz, nieuświadomiony proletariusz — to jedna strona barykady jego twórczości. Szczyty i doły, góry i dno, gospodarze życia i ich ofiary — to wszystko, co nazywał „ponurą podłością życia niemądrego plemienia“.

Nad fabryką wznosi się pięść Bardina, dyrygenta orkiestry, pięść, która zacisnęła obręcz z żelaza nad widzącą a drżącą przed konsekwencjami inteligencją, która miażdży drobny warsztat rzemieślniczy, która pcha nędznego chłopka na wątpliwy zarobek do miasta, a nieuświadomionego proletariusza

spycha na dno. Zaciśnięta pięść — kapitał rosnący w siłę, snujące nad miastami i miasteczkami swą pajęczynę monopole fabryk i przełamywanie się systemu w „mrocznych zakamarkach nieświadomości, w których zawsze czai się strach". Ludzie szczujący i zaszczuci o jednakowej etyce wilczej, o postawie cynicznej, o niewyczerpanych złożach pogardy i nienawiści dla tego wszystkiego co ludzkie, lubujący się jednocześnie w ciszy klasztornych murów, opuszczonych cmentarzy — to galeria postaci „ustroju przemocy, gwałtu i grabieży". Symbioza antyhumanizmu, nienawiści do człowieka, z modlitwą za klasztornymi murami przewija się przez całą twórczość Gorkiego. Ostatnie jej wcielenie to obraz przeoryszy klasztoru, snującej się jak nieodłączny cień za umierającym Jegorem Bułyczowem. Taka jest zasadnicza moralność drobnomieszczucha, który zarówno przez swą postawę czynną jak i bierną daje swe placet ponurej podłości otaczającego świata i staje się jego podporą. Ci, którzy „całe życie pożerali innych jak rdza żelazo", mur ciemnoty i okrucieństwa, przez który przebija się Alosza Pieszkow, ciasny, duszny krąg wrażeń stanowiący atmosferę bytu prostego człowieka rosyjskiego, deprawująca siła własności, rozkład jednostki w ustroju kapitalistycznym, to obraz świata powracający w twórczości Gorkiego od pierwszego do ostatniego ogniwa. Jednocześnie pytanie, „po co o tym piszę, panowie, po co opowiadam o tej całej nikczemności" i odpowiedź pierwszego pisarza socjalizmu: „kocham ludzi, nie chciałbym nikogo dręczyć, ale nie wolno być sentymentalnym i nie wolno ukrywać groźnej prawdy w pięknobrzmiących słówkach ładniutkiego kłamstwa". Humanizm jest wyznacznikiem linii kierunkowej jego twórczości, humanizm, który wyrasta z przeświadczenia, że „prawdę trzeba poznać do samych korzeni, aby z korzeniami wydrzeć ją z pamięci, z duszy człowieka, z całego naszego życia ciężkiego i hańbiącego".

Pokazanie najokrutniejszej prawdy nie jest identyczne z jej wydzieraniem. Realizm krytyczny i realizm socjalistyczny to dwie różne postawy wobec rzeczywistości, dwie różne postawy wobec zagadnienia stosunku sztuki do rzeczywistości. Literatura pełniąca funkcję sumienia narodowego, jej pierwsze ogniwo — twórczość pierwszego pisarza proletariatu, odrzuca postawę biernego, obojętnego rejestrowania przejawów zła, postawę „obojętnego świadka przed sędzią, człowieka, któremu jednakowo obcy są sądzeni, oskarżyciele i sędziowie". Obojętne rejestrowanie faktów — to wyjście z walczących szeregów, tak samo jak pokora i poddanie się czy swoista nauka „cierpliwości". „Nie chciałem przystosować się do cierpliwości i jeżeli kiedykolwiek dawałem wyraz tej cnocie, która jest cnotą bydła, drzewa, kamienia — dawałem jej wyraz gwoli wystawienia samego siebie na próbę, albowiem nic tak bardzo nie deprawuje człowieka, jak deprawuje go cierpliwość i pokora". Wielki pocieszyciel Łuka, wyznawca filozofii niesprzeciwiania się złu, otrzymał w przededniu rewolucji 1917 r. nową ocenę. Jego cnota cierpliwości jest cnotą bydła, drzewa, kamienia, jego humanizm jest pseudohumanizmem, jest jednym ze źródeł istnienia i trwania „dna".

Płaszczyzna, na której toczy Gorki walkę z taką postawą wobec rzeczywistości, jest płaszczyzną walczącego o socjalizm proletariatu. Nie jest przypadkiem, że w roku 1895, roku założenia Związku Walki Robotników Rosyjskich, ukazała się w gazecie samar-

skiej pieśń poświęcona „szaleństwu mężnych". Od początku narastania fali rewolucji każde ogniwo twórczości Gorkiego jest nie tylko obrazem, jest walką. Anarchiczny bunt, żywiołowy protest Czełkasza, pierwszych wychodźców z ludu, przekształca się w zorganizowaną, świadomą, kierowaną przez partię, walkę proletariatu. Paweł Własow. Lincow, Luba Motuszkina, Morozow, Kutuzow — to pierwsi pośród równych, awangarda proletariatu.

Lata 1905—1917, lata między dwiema rewolucjami, wzbogacały ilość argumentów i pogłębiały ich treść. Trwające niezmiennie miasteczko Okurkow, trwające z dnia na dzień bagno istnienia, kierowane brudnymi rękami Burmistrowa — znalazło swego kronikarza. Mikołaj Kożemiakin rejestrujący fakty, nie zamykający oczu na żadną zbrodnię, na żadną podłość, która wyrasta z otaczającej go rzeczywistości, widzi już tę rzeczywistość w konflikcie, idzie dalej niż demaskator swej klasy, Foma Gordiejew. Walka narastających w ciągu dziesiątków lat sił rewolucyjnych z tą żyjącą i żywą jeszcze ponurą prawdą, „która trzeba wyrwać z korzeniami" — staje się wytyczną twórczości.

Konflikt zasadniczy: walka żywej siły świadomego proletariatu ze starym zaskorupiałym światem przemocy i cynizmu jest trzonem konstrukcyjnym obrazu — odbicia rzeczywistości w jej stawaniu się, przemianach, wiecznym ruchu. Rzeczywistość istniejąca jest rzeczywistością stającą się, śmierć Kożemiakina o brzasku dnia jest zwiastunem nowej rewolucji, bohaterowie walczącego dziś stają się bohaterami walczącego jutra. Charakterystyczne, że twórczość Gorkiego z okresu stołypinowskiej reakcji — to właśnie obrazy walki rewolucyjnej, burzy, która przewaliła się po ziemi rosyjskiej, po wielkich miastach i zatęchłych miasteczkach, która nie ominęła wsi, a która „stworzyła po raz pierwszy z tłumu chłopów — przytłoczonych przeklętej pamięci niewolą pańszczyźnianą — naród, który zaczynał rozumieć swe prawa, który zaczynał rozumieć swą siłę". (Lenin, 17. wyd. 4 str. 66).

W tym właśnie okresie ofensywy kontrrewolucji, obrzucania rewolucji błotem, Gorki stojąc na gruncie marksizmu-leninizmu głosi pochwałę rewolucji, twórczość jego mówi o nowych drogach życia, o tym, że ogni rewolucji nie ugasi ani skostniałość i bezład drobnomieszczańskiej prowincji, ani walka nowego ze starym na wsi rosyjskiej. Niemniej charakterystyczne, że klęska rewolucji 1905 roku i narastanie nowej fali rewolucyjnej pozwoliło i kazało mu dojrzeć w prowadzonych w śnieżną zamieć do więzienia rewolucjonistach wielki naród rosyjski. Że jego droga walki napawała Gorkiego radością i wiarą w bliski dzień zmartwychwstania, że w narodzie walczącym widział grabarza „ponurej podłości życia drewnianej Rusi" i w nim dojrzał przyszłego gospodarza rzeczywistości socjalistycznej. Narodowi rosyjskiemu oddał swą twórczość, stał się kowalem sumienia narodowego, szedł z nim razem w chwilach klęsk i zwycięstw. W oparciu o marksizm, już w latach 1905—1913, przed Wielką Rewolucją Październikową, pokazał wyrastającą z rewolucji ideę braterstwa ludów, proletariacki internacjonalizm, braterstwo narodów pchanych przez rządy imperialistyczne do wojny. Już w latach pierwszej rewolucji przeprowadzał linię graniczną między narodami a jego rządami burżuazyjnymi, w szeregach walczącego proletariatu, poprzez proletariat, widział możliwość porozumienia się każdego narodu z każdym innym i wszystkich narodów mię-

dzy sobą. Konkretne sytuacje historyczne stały się podłożem, na którym zjawiały się w jego twórczości Niemcy, Japonia, Chiny, Włochy, Francja. Wychodząc z rewolucji 1905 r., w oparciu o marksizm-leninizm, dojrzał już w Ameryce 1906 najdrapieżniejsze ogniwo kapitalizmu, ujarzmienie człowieka i ludów, gwałt, grabież i cynizm w stosunkach między ludźmi i postawie wobec świata. Po zwycięskiej Rewolucji Październikowej ostrzegał przed narastającym w krajach kapitalistycznych faszyzmem, ostrzem swym skierowanym przeciwko pierwszemu krajowi socjalizmu.

*
* *

W rozmowie z pisarzami w roku 1932 Stalin mówiąc o podstawowych zasadach realizmu socjalistycznego stwierdził, że jeżeli pisarz odzwierciedla uczciwie prawdę życia — dojdzie w sposób nieunikniony do marksizmu. Twórczość Gorkiego, która wyrastała na fali rewolucji 1905 roku, była odbiciem prawdy życia, pokazała typowe postacie rewolucjonistów i typową tendencję historii. Punktem wyjścia stała się konkretna rzeczywistość historyczna pokazana w walce tego, co się rodzi i rośnie, z tym, co umiera. Dlatego już wtedy Lenin uważał, że M a t k a jest książką bardzo na czasie, którą wielu robotników biorących udział w ruchu rewolucyjnym nieświadomie — teraz przeczyta z wielką dla siebie korzyścią. Nie jest przypadkiem, że owocem przymusowej podróży Gorkiego po Europie w roku 1906, owocem jego pobytu we Francji i Ameryce są obok M a t k i pamflety wymierzone przeciwko kapitalistycznemu Zachodowi. Świadomość, że „jeżeli robotnik rosyjski zwycięży, robotnicy całej Europy, całego świata czerpać będą z tego zwycięstwa natchnienie, siłę i naukę dla siebie... Kiedy zaś i dla nich nadejdzie dzień walki i oni również będą potrzebowali pomocy, wtedy znajdą przyjaciół, którzy odpowiedzą na ich wezwanie: „Towarzysze pomóżcie“ — ta świadomość rewolucjonisty, uczestnika walk, więźnia Pietropawłowskiej Twierdzy, stała się podłożem oceny tego wszystkiego, z czym zetknął się na Zachodzie. Walkę, której był świadkiem i uczestnikiem w Rosji, przeniósł w pewnym sensie na tamten grunt. Pobyt jego w Ameryce — to była agitacja i propaganda, występował w imieniu robotników rosyjskich i rosyjskiej rewolucji. W Ameryce napisał i ogłosił drukiem M a t k ę, która dała Zachodowi nie tylko pierwszy obraz rewolucjonistów, pierwsze obrazy członków partii, rosnącą świadomość proletariatu, jego sojusznika — chłopstwa oraz współdziałającej z rewolucją inteligencji, ale pokazała obraz nowej moralności człowieka walczącego o socjalizm, pokazała cel tej walki. Pobyt Gorkiego w Ameryce, M a t k a i jego pamflety — to była walka wypowiedziana i staczana z „żółtym diabłem“, to był ciąg dalszy walki, którą pierwszy pisarz proletariatu toczył w latach pierwszej rewolucji rosyjskiej, dalszy ciąg walki, której wyrazem była jego twórczość.

Szkice antyamerykańskie obejmują dwa cykle: W A m e r y c e i M o j e w y w i a d y. Cykl pierwszy, obraz miasta kapitalistycznego, to coś w rodzaju „zewnętrznego oblicza“ kapitalizmu. Cykl drugi ukazuje mechanizm wewnętrzny, aparaturę, za pomocą której kapitalizm utrzymuje w posłuszeństwie milionowe masy ludzi pracy (Bursow: Wstęp do artykułów i pamfletów Gorkiego).

Miasto New-York — to przytłaczająca wszystko moc „żółtego diabła“, to skrajna nędza mas, to zanik twórczego pierwiastka w człowieku, to uczynie-

nie z niego bezmyślnego dodatku do maszyny. Miasto „żółtego diabła“ — to miasto deprawującej, niszczącej siły złota, miasto brudnego businessu. „Bryła złota to serce miasta. W jego biciu mieści się całe życie, we wzroście objętości cały jego sens“. Złoto wirujące we dnie i w nocy — to zysk płynący z ujarzmienia człowieka, który ma twarz głodną, podnieconą, pełną rozpaczy. Ludzie „roją się w brudnych ściekach, ocierają się o siebie niby w potoku mętnej wody“.

Gorkiego nie zmyliły zdobycze i osiągnięcia techniczne. Przejrzał mechanizm wspaniałych kolejek napowietrznych i ogień reklam, dojrzał już w Ameryce 1906 roku zaprzeczenie ideałów minionych pokoleń narodu amerykańskiego. „Ichtiozaury kapitału wyparły z pamięci żyjących — twórców wolności“, a ich pomniki, „oczy płonące niegdyś miłością ojczyzny przyspał kurz miasta“. Pokryty śniedzią posąg wolności, zimna twarz wpatrzona ślepymi źrenicami w pustynię oceanu — oto wszystko, co pozostało z bohaterskich walk o wolność i niepodległość. Posąg wolności, pomniki bohaterów „zapomnianych, zbędnych w chaosie ulic, dziwnie nie na miejscu wśród dzikich ryków chciwości, zaklętych w tę ponurą fantazję z kamienia, szkła i żelaza“ — to przeszłość i teraźniejszość Ameryki, to bohaterska walka narodu amerykańskiego i jarzmo, jakie mu narzucił kapitalizm. Charakterystyczne, że w pamfletach, podobnie jak w pierwszych utworach, ucieka się Gorki do alegorii, symbolu, hiperboli. Jak w pierwszych utworach są one wyrazem patosu i napięcia emocjonalnego, zgodnie z poglądem Gorkiego, że „zręcznie wyrażają one ostrze satyry, odważne słowa i wielką treść ideową“. Obraz zasadniczy „żółtego diabła“ ma charakter ludowy, jest uosobieniem niszczącej, wrogiej człowiekowi siły. Ten jeden obraz jest trzonem całego pamfletu. „Miasto wygląda z daleka jak olbrzymia szczęka o nierównych czarnych zębach, miasto — to pożerający wszystko polip: ludzi wsysają głębokie wyrwy, ludzie są żerem miasta potwora, które... z dzikim, bydlęcym rykiem pożera mózgi i nerwy“. Twarze ludzkie są jak „potłuczone na proszek, starte na miazgę odpryski wielkiego ciała“. Ten obraz powraca potęgując napięcie emocjonalne, gniew i patos nienawiści do tego świata. „Miasto zasypia w zaduchu, warczy jak olbrzymia bestia. Zbyt nażarło się we dnie, jest mu gorąco, niewygodnie, ma złe, ciężkie sny“.

Miasto „żółtego diabła“, to przekrój amerykańskiego życia, to obraz najcięższego jarzma i przemocy, tępienia człowieka, klasy robotniczej, obraz tym bardziej przerażający, że nie widział tu Gorki siły oporu, z którego wyrosła rewolucja 1905 roku. Mimo to wierzył, że „człowiek ma prawo do zemsty“. Przeszedłszy szkołę pierwszej rewolucji rosyjskiej, zdemaskował politykę milionerów, którzy „życie oceniają jedynie z wysokości góry złota“. Zdemaskował machinacje kapitału finansowego, którego wytyczną działania jest to, by „wszyscy członkowie rządu byli akcjonariuszami przedsiębiorstw przemysłowych — wtedy łatwiej i prędzej zrozumieją interesy kraju“. Odsłonił istotę państwa kapitalistycznego, które broni interesów kapitalistów, broni ich „kupując filozofów, uczących lud co najmniej przez osiem godzin na dzień szacunku dla prawa“. Pokazał, że jeśli ta nauka nie wystarczy, „wprawia się w ruch żołnierzy“.

Rok 1906, rok tępienia przez Amerykę wolnych plemion na Filipinach, odsłonił przed Gorkim jej właściwe oblicze.

Mimo to już wtedy stoi na stanowisku tezy leninowskiej o dwóch kulturach istniejących w każdej kulturze narodowej: ludowej i antyludowej. Stąd jego słowa:

„Przypuszczam, że nawet w tych krajach, których krew wasi kapitaliści przetwarzają w dolary — na Filipinach, w republikach Ameryki Południowej, w Chinach, a nawet wśród dziesięciu milionów kolorowych na terytorium USA — nie znajdzie się ani jeden człowiek rozumny, który uzurpowałby sobie prawo oświadczenia wam w imieniu swego narodu: „Tak, mój kraj, mój naród nienawidzi Ameryki, całego jej narodu, zarówno robotników jak miliarderów, zarówno kolorowych jak białych; nienawidzi kobiet i dzieci, pól, rzek, lasów, zwierząt i ptaków, przeszłości i teraźniejszości waszego kraju, jego nauki i uczonych, jego wspaniałej techniki, Edisona i Lutra Burbanka, Edgara Poe, Walta Whitmana, Washingtona i Lincolna, Dreisera i O' Nella, Sherwooda Andersona, wszystkich utalentowanych artystów i wspaniałego romantyka Bret-Harte'a, duchowego ojca — Jacka Londona, nienawidzi Thoreau, Emersona i wszystkiego, czym są USA, oraz wszystkich, którzy mieszkają w USA".

Rok 1906 odsłonił przed Gorkim również właściwe oblicze Francji udzielającej caratowi pożyczek na tłumienie rewolucji rosyjskiej. I tutaj dojrzał żywe zaprzeczenie ideału wolności, równości i braterstwa, o które walczył lud Paryża i tutaj dojrzał żywe zaprzeczenie praw człowieka i obywatela, praw gwałconych przez sprzedajne rządy.

Francja 1906 „miała na sobie ciężką ciemną suknię przybraną koronkami, które przypominały śniedź na statui Wolności w Nowym Jorku i strzępki sympatii, poszarpanych w chwili sprzeniewierzania się duchowi prawdy". Ulubionym jej sportem jest „krwawa zabawa żołnierzy z ludem".

Francja 1906 — to Paryż, trzymany przy pomocy najemnych żołnierzy w niewoli bagnetów i armat, ale to również Francuzi „na podobieństwo wiernych stróżów prawdy i wolności liczący w milczeniu siły wrogów, gotowi własną krwią zmyć brud hańby z twarzy republiki".

I tutaj teoria dwóch kultur i apostrofa do Francji, „dzwonnicy świata", do Francji, której synami byli Wolter i Wiktor Hugo. „Wiktor Hugo jeden z najpiękniejszych diamentów w koronie jej chwały, trybun i poeta — grzmiał nad światem na kształt huraganu, budząc do życia wszystko, co piękne w duszy człowieka. Gdzie sięgnął — tworzył bohaterów i tworzył ich przy pomocy książek, podobnie jak tworzyłaś ich ty, Francjo, wówczas, kiedy kroczyłaś na czele ludów ze sztandarem wolności w ręku, z radosnym uśmiechem na pięknej twarzy, z nadzieją zwycięstwa prawdy i dobra w szlachetnych oczach. Uczył wszystkich ludzi kochać życie, piękno, prawdę i Francję. To dobrze dla ciebie, że już nie żyje. Gdyby żył, nikczemności nie wybaczyłby nawet Francji, którą kochał uczuciem młodzieńczym i wówczas, kiedy włosy jego były już białe".

Francja 1906, to Francja, którą „żądza złota okryła hańbą, która wiążąc się z bankierami zdeprawowała swą szlachetną duszę, która błotem i nikczemnością zalała jej płomień".

* * *

Pierwszego września 1912 roku Lenin pisał do Gorkiego: „A w Rosji jest podniesienie się fali r e w o l u c y j n e j, nie jakiejkolwiek innej, a właśnie rewolucyjnej". Gorki, który z Capri współpracował z pismami bolszewickimi Zwiezda i Prawda, który

pozostawał w ścisłym kontakcie z młodymi pisarzami proletariackimi, przeglądał i oceniał ich utwory, powrócił w roku 1913 za radą Lenina do kraju. W czasopiśmie Zwiezda ukazały się po raz pierwszy Baśnie włoskie. Tytuł baśni miał swoją wymowę, zwłaszcza w nawiązaniu do motta: „Nie ma bajek piękniejszych od tych, które tworzy samo życie". Piękno życia widział Gorki w walce rewolucyjnej o prawa człowieka i zmianę oblicza świata. Baśnie włoskie — to najbardziej rzeczywista rzeczywistość, to obraz kraju w walce. Strajk, Tunel to właśnie walka, to świadomość konieczności zespolenia się ludzi pracy i świadomość celu, do którego się zmierza. Tytuły Strajk, Propagandzista, Jak Giowanni został socjalistą, Młoda Italia — to opowiadania o ludziach walczących o socjalizm, o ludziach — jak mówi Gorki — „noszących w swym sercu słowo jednoczące świat", opowiadania o proletariacie i rozruchach chłopskich, o narastaniu świadomości klasowej włoskich mas pracujących. I jednocześnie to opowiadania o poczuciu i świadomości narodowej tych mas, o ich patriotyzmie. Matka obywatelka, człowiek z ludu — to przeciwieństwo Wenecjanki, której językiem ojczystym jest język francuski, a proletariusz włoski odczuwa ścisłą łączność z tym wszystkim, co w przeszłości jego narodu było postępowe i twórcze. Nawiązanie do przeszłości, do elementów postępowych i twórczych kultury narodowej — to „ruda, z której należy hartować stal." Baśnie włoskie były opowiadaniami o nowym bohaterze historii, pokazywały proletariatowi rosyjskiemu, który „pozbawiony praw, narażając życie i wolność, dokonał niebywałego dzieła — obudził do życia cały Wschód" — pokazał temu proletariatowi rosyjskiemu i jego wrogom „nowe ogniwo narastającej rewolucji". Jeżeli zestawić dwa obrazy Zachodu w twórczości Gorkiego — Stany Zjednoczone Ameryki i Włochy — to zobaczy się, jak pierwszy pisarz proletariatu potrafił już w latach 1906—12 uchwycić teraźniejszość i dojrzeć perspektywy rozwoju, jak już wtedy dojrzał rosnącego w Ameryce rekina kapitału monopolistycznego i jego niszczącą moc, jak już wtedy potrafił odsłonić budzące się siły rewolucyjne na innych lądach. W obu wypadkach obraz emocjonalnie nasycony daje przekrój i syntezę. Beznadziejność i szarzyzna życia ludzi poddających się bez sprzeciwu pożerającej wszystko sile „żółtego diabła" znajduje swój wyraz w obrazach ludzi, w sytuacjach ich życia, w „chełpiących się swą brzydotą drapaczach chmur, w głębokich kanałach nędzarskich ulic, w grubej warstwie kurzu pokrywającej liście drzew, zaduchu, w którym trudno odetchnąć, w zgrzycie żelaza, w nieustannym turkocie maszyn, w niemilknącym wyciu syren". Nastawienie na walkę o socjalizm budzi radość, optymizm: „W oknach hoteli i na dachach domów trzepocą chustki jak białe ptaki, sypie się na głowy ludzkie deszcz kwiatów i padają wesołe, głośne okrzyki". Ciekawe, jak Gorki zachowując świadomie rytmikę zdania w opisach, zachowując podobieństwo pewnych sytuacji (posąg wolności, posąg Kolumba) wydobywa całą odmienność postawy, tempa i rytmu życia ludzi, których drogowskazem stała się walka o socjalizm, jak potrafi, wychodząc z zasadniczego konfliktu, oddać w jednym obrazie patos i człowieczeństwo walczących i przeciwstawić im siły ucisku. „Od strony wybrzeża Santa Lucia lekkim tanecznym krokiem posuwa się oddział walczących naszych żołnierzyków... Są jakby zro-

bieni z blachy i sztywni jak nakręcone zabawki". Tutaj „taneczny krok", „żołnierzyki", „blaszaność i sztywność nakręconych zabawek", z drugiej strony rozedrgany, żywy i prężny tłum strajkujących. Tutaj odizolowanie sztywnego oddziału, tam nieodparta siła pociągająca walczących, siła, która opanowuje ulice, ogarnia biernie przygiądających się i przeraża wrogów. I kiedy strajkujący tramwajarz ciałem swym zasłania szyny, kiedy garstka strajkujących przemienia się w manifestujący tłum — żołnierzyk z blachy staje się człowiekiem: śmieje się i raduje wraz z tłumem. Okrzyki *Viva Italia* z jego padają szeregu, z jego szeregów *Viva il socialismo!* Walka o socjalizm staje się walką o wolną, niezależną ojczyznę, a spośród przewalającego ulicami miasta tłumu „płyną okrzyki, radosna pieśń ludzi, którzy idą na spotkanie nowemu życiu".

Włochy walki o socjalizm, to „śpiewające morze, huczące miasta, jaskrawo skrzące się słońce i wszystko jest jak w bajce".

*
* *

Dwie prawdy pokazał Gorki w swej twórczości: „Jedna z nich wasza stara, spróchniała, zezowata na lewo oko, bezzębna, żywiąca się zgnilizną, którą sama wytworzyła. Druga — młoda, czupurna, o niewyczerpanej energii — dąży naprzód ku swemu wielkiemu celowi, nie ogląda się poza siebie i niekiedy wpada w doły, które złośliwie i mściwie wykopali na jej trudnej drodze niewolnicy starej prawdy". Twórczość Gorkiego — to walka ze starą prawdą, „z pasożytem świata", z burżuazją, której „dzieje są dziejami jej upadku", z kapitalizmem „prowokującym wojny rasowe", „rosnącym na współzawodnictwie z grabieży", „wychowującym w duchu wzajemnej nienawiści wszystkich do wszystkiego", z własnością prywatną, „która gasi duszę".

Jego twórczość — to walka o socjalizm, o nowego człowieka socjalizmu, wroga przesądów i zabobonów, „człowieka, który idzie do ogólnoświatowego bratniego społeczeństwa, w którym każdy będzie pracował według zdolności, a otrzymywał według potrzeb". I kiedy zadaje pytanie twórcom kultury, po czyjej są stronie, to rzuca im przed oczy znowu dwa obrazy: obraz robotniczych sił kulturalnych tworzących nowe formy życia i obraz „kasty niepoczytalnych drapieżców, kasty, która gnije od głowy i która działa tylko dzięki sile bezwładności". Twórczość jego, sumienie narodu, to wyraz miłości do socjalistycznej ojczyzny.

Twórczość jego, sumienie narodu — to oręż w walce narodu rosyjskiego i wszystkich ludów walczących o socjalizm i komunizm. „Masy robotnicze Związku Rad nie chcą wojny, chcąc tworzyć państwo ludzi równych. Ale w wypadku napaści będą się bronić wszyscy jak jeden mąż i zwyciężą, bo dla nich pracuje historia".

Barbara Rafałowska

Z KLASYKÓW BUŁGARSKICH

CHRISTO BOTEW

DO MATKI

Czyś to ty, matko, tak rzewnie śpiewała,
Czyś przez trzy lata syna przeklinała,
Że jak nieszczęśni błąkam się tułacze,
To widząc tylko, nad czym dusza płacze?

Czyli majątek przepiłem ojcowski,
Czy tobie, matko, przysporzyłem troski,
Że młodość moja usycha zielona
I zwolna więdnie śmiertelnie raniona?

Wśród towarzyszy z wesołości słynę,
Bo z nimi jestem uśmiechnięty, miły,
A ja umieram, każdej chwili ginę,
Bo szrony młodość już moją zwarzyły!

Skąd mają wiedzieć? Nie mam powiernika,
Aby mu zwierzyć wszystkie duszy drgnienia —
W co wierzę, kogo kocham, co przenika
Myśli — to moje powiększa cierpienia.

Nie mam nikogo, oprócz ciebie, matko,
Tyś moja miłość, moja wiara żywa;
Lecz już nadzieja zgasła do ostatka —
Jakże tu kochać: serce dogorywa.

Niemało, matko, marzyłem, niemało,
Szczęście i sława ciągle mi się śniły;
I siłę czułem. — Cóż mi pozostało?
Wszystkie marzenia w przepaść się zwaliły!

Teraz mi tylko pozostało jedno:
Rzucić się w twoje najczulsze ramiona
I młode serce i mą duszę biedną
Tobie wypłakać, mateczko strapiona...

Chcę ojca, siostrę i braci rodzonych
Mocno uścisnąć w ramionach stęsknionych,
A potem niechaj wystygną mi żyły,
Potem niech zgniję w ciemnościach mogiły!

przełożył **Leopold Lewin**

DO UKOCHANEJ

Nie chcę twej pieśni miłosnej: te zwrotki
w serce się moje sączą jak trucizna.
Młodość? Dziś obcy mi jej urok słodki;
jeśli ją nawet pamiętam — nie wyznam;
i nie chcę wskrzeszać tego, com odrzucił,
tego, com zdeptał; to już nie powróci.

Minęła pora, gdym w twoje oblicze
patrzał pokornie, wyczekując łaski,
kiedym kajdany dźwigał niewolnicze,
błagalnie łowiąc twych uśmiechów blaski,
gdy — gardząc światem — z szaleńczą ślepotą
uczucia swoje rozrzucałem w błoto.

Dziś dla mnie miłość — to bezsilne słowo;
zapomnij o niej i o jej urokach:
ty już nie możesz wzbudzić jej na nowo
tam, gdzie żałoba panuje głęboka,
gdzie wszędzie rana jątrzy się i krwawi,
gdzie serce oschłe zna tylko nienawiść.

Tak, jesteś młoda, głos masz piękny... Ale
powiedz: czy słyszysz jak śpiewa las ciemny,
jak nędza ludzka zawodzi swe żale?
Ten głos w mej duszy budzi dreszcz tajemny,
do niego tęsknię, on wzywa mnie, wzywa
tam, na tę drogę, co wszystka krwią spływa.

Zamilknij, odstaw to trujące wino...
Słuchaj jak burze huczą w krąg wiekowe,
jak z gór i lasów gorzkie skargi płyną!
Słuchaj, jak niżą się słowo po słowie
stare powieści o krzywdach i bolach
i nowe pieśni o nowych niedolach.

I ty zaśpiewaj mi o tamtych biedach,
śpiewaj, dziewczyno, na żałosną nutę:
o tym jak brata brat zdradziecko sprzedał,
o młodych siłach, co giną zatrute,
o biednej wdowie, co samotnie płacze,
o małych sierot bezdomnej tułaczce.

Śpiewaj — lub odejdź, niech cię już nie słyszę...
Serce się moje pręży do odlotu:
czas mi spokojne opuścić zacisze,

iść tam, gdzie ziemia wstrząsa się od grzmotu
groźnych okrzyków i gdzie rozbrzmiewają
żałobne pieśni tych, co umrzeć mają.

Tam gdzie spadają ścięte przez wichurę
gałęzie, z których szabla wieńce wije,
gdzie się przepaście rozwarły ponure,
a wśród nich świszczą pociski jak żmije...
ach! tam śmierć sama uśmiech nam posyła,
tam słodkim schronem jest zimna mogiła.

Ta pieśń, ten uśmiech — zapadły w mą duszę.
Czyjże głos wezwie mnie, czyj głos zachęci,
bym wzniósł tragiczny toast, którym zgłuszę
młodzieńczą miłość? Nie chcę już nic więcej...
Teraz zaśpiewam sam, zaśpiewam o tem,
co budzi we mnie miłość i tęsknotę!

przełożył **Gabriel Karski**

IWAN WAZOW

MOJE PIEŚNI

Przeminę, przyjdzie i moja godzina,
trawą porośnie grób później lub wcześniej,
ten mnie żałować będzie, ów przeklinać...
lecz wciąż czytane będą moje pieśni.

I wiele imion łatwą sławą głośnych
ścichnie pod warstwą zapomnienia pleśni,
lub precz wymiecie je czas bezlitosny...
lecz wciąż czytane będą moje pieśni.

W nich zew ku prawdzie słychać, ku swobodzie,
w kwiaty miłości i dobra je stroję,
wiernym obrazem składam hołd przyrodzie...
Więc wciąż czytane będą wiersze moje.

Wiew z gór bałkańskich ożywia je zdrowy
i tajemniczą osnuwa legendą
i grzmot w nich huczy sławy narodowej...
Więc moje wiersze wciąż czytane będą.

Tam moja dusza wyraża się cała
wszystkiem, com cenił i wielbił namiętnie,
wszystką światłością, która w niej jaśniała,
tam moje serce śpiewa, żyje, tętni.

Gardzę zawistnych gromadą ochrypłą,
bez lęku patrzę, jak mi gryzą stopy,
niezamąconym wzrokiem sięgam w przyszłość:
tam wciąż czytane będą moje strofy.

W nich nieśmiertelny duch narodu żyje,
jam go wyśpiewał — ja w nim pozostanę.
Póki w ojczystym kraju serca biją —
te moje pieśni będą wciąż czytane.

przełożył **Gabriel Karski**

DO BOJOWNIKA

Gdy patrzysz wkoło na kłamstwa zwycięstwo,
Na panoszenie się dzikiej przemocy,
Gdy widzisz zła, podłości bezeceństwo,
Tryumfujące w mroku głuchej nocy;

Gdy na świat patrzysz, gdzie zdrada się pleni,
Gdzie każdy płomień w zarodku się spali,
Gdzie wszelka radość w rozpacz się zamieni
W królestwie sów, puhaczy i szakali —

Na duchu nie upadaj, ale z mocą
Bij się! Nie składaj nigdy miecza z ręki!
Mrok przecież nigdy nie kończy się nocą,
Lecz jest zwiastunem promiennej jutrzenki.

przełożył **Leopold Lewin**

DO POETY

Skarżysz się na to, że ludzie surowi
Słuchają pieśni twoich obojętnie,
Że gdy uczucia szczere pieśń wysłowi,
Słuchają z drwiącą miną lub niechętnie.

Więc gdy je lud przyjmuje tak nieczule,
Bo są dla niego obcymi pieśniami,
Tak śpiewaj, żeby jego łzy i bóle
W pieśni łączyły się z twoimi łzami.

Niech twoja lira koi serca ranne,
Co pogrążone są w bólu i gniewie;
Czy śmiech z niej tryska czy łzy bezustanne,
Niech każdy siebie usłyszy w jej śpiewie.

Skowronek głosi swą chwałę w eterze
I nikt samotnej nie wtóruje pieśni.
A dzwon rozkołysany w atmosferze
Ciepło, serdecznie przyjmują współcześni.

przełożył **Leopold Lewin**

W ŚRÓD KSIĄŻEK

JAN KOPROWSKI: *Pejzaże polskie* „Czytelnik", Warszawa, 1951; str. 71.

Recenzenci pierwszego zbioru Koprowskiego Nowa ziemia (Książka i Wiedza, 1951) bardzo słusznie scharakteryzowali autora jako poetę o niezwykłej łatwości tworzenia wierszy, które w wielu miejscach wzruszają czytelnika, ale których łatwość wiąże się, niestety, często z niestarannością stylistyczną, osłabiającą ich artystyczny walor. Istotnie, zbiór tamten pisany był, powiedziałoby się „na jednym oddechu", na ogół jednolity w klimacie uczuciowym — entuzjastyczny, afirmujący, a w wyborze tematyki mało selektywny.

Wiele tych cech dziedziczy nowy zbiór poety. Pieśń o Łodzi, Wieczór autorski w Lipcach Reymontowskich, Białostocczyzna, Pocztówka z Rozewia, Pochwała Torunia, List z Ziemi Lubuskiej, Wiersze lubelskie — oto wybrane tytuły utworów, dające pojęcie o właściwości zbioru. Pejzaże polskie — to głównie wrażenia autora z licznych podróży po całym kraju.

W wierszach Koprowskiego jest wiele wzruszających fragmentów, mówiących o umiłowaniu wszystkiego, co wiąże się z nową epoką, z przemianami dziejącymi się w Polsce.

Ale często poeta powodując się dążeniem do ogarnięcia jak najszerszego zakresu zjawisk zapomina o konieczności artystycznego przekształcania i komponowania poszczególnych spostrzeżeń. Stąd też raz po raz napotykamy na ogólniki i abstrakcje, które należałoby dopiero zamienić na obrazy poetyckie.

Piękny wieczór chłopski, reymontowski
Czytanie wierszy, poematów.
Lipce — kawał Ludowej Polski
radość — światu.

Teraz wszystko ma tutaj urok
Ziemia nie boli.
Wczoraj wróg klasowy górą,
dziś — na dole.

Poeta wylicza jedynie sprawy, które mają nas wzruszyć, ale własnego obrazu artystycznego, własnej lirycznej interpretacji tych spraw nie daje. Nagromadzenie pojęć i przeładowanie nimi krótkich zwrotek spowodowało zanik orzeczenia, zdania zamieniły się w ich równoważniki.

Innym śladem tego niekontrolowanego pośpiechu w zbiorze Koprowskiego jest powierzchowność w ujęciu tematu w niektórych utworach, np. Spotkanie Tołstoja z Lelewelem w r. 1861. Pomysł tego utworu jest niewątpliwie ciekawy i pozwalający wykorzystać szersze perspektywy historyczne, ale Koprowski ogranicza się niestety do truizmów i to w dodatku wyrażonych bardzo konwencjonalnie:

Uścisnęli sobie dłonie. Na moście
padły pierwsze spodziewane słowa:
Co w Rosji? Co w Polsce?
Lud w okowach.

To stanowczo za skąpa relacja poetycka.

Są jednak wiersze, w których poeta wyzwala się z chaosu faktografii, wiąże spostrzeżenia w jedną całość artystyczną, podporządkowaną głównemu problemowi. Takim utworem jest Pejzaż — pokazujący szereg szczegółów życia współczesnej wsi dobranych we-

dług pewnej zasady, składających się na szeroką syntezę ideowo-artystyczną.

Koprowski wpada często w pewne schematy. Każde miasto jest dla niego niemal takie same, każdy napotkany człowiek — tym samym pracującym robotnikiem. O każdym zakątku Polski można dziś powiedzieć: „Ziemio kominów, lasów i wiosek, Bluz robotniczych i chłopskich cholew", o wszystkich miastach banały:

Jak nie kochać tego miasta Lublina,
w którym wiosna,
młodość
i wiatr.

Zdecydowanie lepsze, bogatsze artystycznie są wiersze o tematyce tzw. osobistej i społecznej, których w zbiorze znajdziemy niemało. Koprowski jest w nich bardziej szczery i bezpośredni, sugestywniej buduje obrazy, lepiej udaje mu się przekazać wzruszenie czytelnikowi. Szuka także nowych form wersyfikacyjnych.

Nad Kamienną krzywe sosny, piaski liche.
Nad Kamienną łąki wonne, brzegi ciche.
Nad tą rzeką niepozorną, nad tym brodem
zostawiłem lata moje, lata młode:

— w jakimś mieście, w jakiejś wiosce, w jakimś siole,
na przydrożu, na pastwisku, w ciasnej szkole,
gdzie kurzawa liści latem i gdzie śniegi
otulały zimą rzeki naszej brzegi.

Równie udany, wzruszający jest utwór D o c h o r e g o s y n k a. Koprowski chętnie używa prostego, potocznego języka, unika wybujałości metaforycznych, dlatego też osiąga dużą bezpośredniość wyrazu. Do tego rodzaju wierszy zaliczymy jeszcze M a j d a n e k 1951.

W niektórych wierszach Koprowski posługuje się specyficznym stylem konwencjonalnego obrazowania. Np. wiersz K o n w a l i e, w którym wzruszenie próbuje poeta wyrazić za pomocą zdrobniania: „dzionek złocisty", „taka mała wiązeczka", „bukiecik", „raniutko", „gałązeczka". Oczywiście jest to zła droga, której poeta powinien się wystrzegać.

Do najlepszych w tomie należą trzy wiersze polemiczne, które stanowią ciekawe uzupełnienie pogodnego, afirmującego liryzmu większości utworów. Na czoło należałoby wysunąć wiersz S ł o w o n i e n a w i ś c i — atak na rodzimych faszystów. Uczuciowość Koprowskiego okazuje tutaj nowe twarde akcenty nieprzejednania ideowego.

Wam tylko ciemność. Wam tylko bagno.
Kamień u szyi wiązać tonącym.
I zapychać usta mułem —
niechaj usta nie służą słowom.
Ale słowo mądre i czułe
poprzez płytę przejdzie grobową.

Koprowski należy do tych pisarzy, dla których nie ma spraw niegodnych wiersza. Wyliczona spora ilość niedostatków artystycznych nie może przesłaniać wrażliwości poety w odczuwaniu problematyki, którą żyje epoka. Postawę tę wyrażoną w utworach uznamy za zasadniczy walor ideowy zbioru.

Włodzimierz Maciąg

TADEUSZA BREZA: *Mury Jerycha*, Czytelnik, 1946; str. 335. *Niebo i ziemia*, tom I. Czytelnik, 1949; str. 320, tom II, 1950, str. 329. *Uczta Baltazara*, Czytelnik, 1952; str. 399.

Pierwsze wydanie M u r ó w J e r y c h a przypada na rok 1946. Książkowa edycja N i e b a i z i e m i to lata 1949 i 1950. Pauza dzieląca ukazanie się w witrynach księgarń obu części dylogii Tadeusza Brezy jest więc

dosyć pokaźna, choć dopiero daty powstania rozpatrywanych tu utworów dadzą nam pełne wyobrażenie o chronologicznym dystansie, separującym poszczególne tomy cyklu i motywującym zarazem zmiany, które zachodzą w dziele poświęconym sanacji i wymierzaniu sprawiedliwości czasom dwudziestolecia. Na ostatniej stronicy Murów Jerycha czytamy: 1942, na ostatniej stronicy Nieba i ziemi — 1943 — 1947. Tedy pomiędzy zebraniem ONR, na którym Papara ustala plan pogromu w Otwocku, a słowami komunisty Dykierta odrzucającego propozycję prokuratora Skirlińskiego, mieści się aż całe pięć lat. One to wytłumaczą nam metamorfozy kapitana Kozica, wprowadzenie Dorosza na karty utworu, portret Ankiewicza i usunięcie na plan dalszy fałszywego konfliktu pokoleń, który zwyciężał na kartach uwieńczonych nagrodą Odrodzenia. Tym samym więc mamy do czynienia ze wzmacniającym się wciąż ładunkiem realizmu, którego progresja osiąga szczególne nasilenie w drugim tomie Nieba i ziemi, aczkolwiek i tam krytyk powinien zgłosić wiele pretensji do autora.

Ewolucja pisarza powoduje przede wszystkim wyrzeczenie się konfliktu, który w pierwszej części jego dzieła był zagadnieniem podstawowym, co świadczyło aż nadto wyraźnie o uporczywym podejmowaniu niewłaściwych tradycji, o wyborze antagonizmów iluzorycznych, choć łudzących pozorami prawdopodobieństwa, wypracowanych starannie w laboratorium Adama Grywałda. Walka pokoleń tak ważna dla Murów Jerycha zaniknie później, a przynajmniej usunie się w cień, tracąc swe dotychczasowe miejsce w hierarchii beletrystycznych problemów.

Wybór naczelnego konfliktu oznacza zarazem zastosowanie określonych kryteriów klasyfikacji, za pomocą których pisarz wyodrębnia antagonistyczne obozy. W Murach Jerycha wytyczać je będzie metryka bohaterów. Po jednej stronie stanie Kostopolski, Zwada-Czerski, Jaszcza, Kozic, po drugiej — Jelski, radca Dykiert, częściowo Skirliński. Spór trwa bowiem pomiędzy wysłużonymi pułkownikami a zaadoptowanymi przez nich ludźmi nowego pokolenia. Przedmiotu kontrowersji ustalić nie trudno. Jest nim władza, ministerialne fotele, urzędy.

Antagonizm ten, warunkując znaczną część beletrystycznej intrygi, determinuje przeżycia i doświadczenia postaci, wpływa na ich upodobania i awersje. Jelski nie potrafi pozyskać względów Kozica, Dykierta nie pociągnie Zwada-Czerski tak, jak ani Czatkowskiego, ani Goworka nie zachwycą zebrani u Sztemplera dostojnicy, którzy w 1926 r. szturmem zdobywali Warszawę. Antypatie są obustronne. W powieści spotykamy ich wiele. Prozaik koncentruje bowiem na nich swą uwagę, co w zgodzie pozostaje przecież z funkcją, jaką przyznał na gruncie utworu walce pokoleń. Dlatego tak wiele dowiemy się o niechęci zasłużonego dwójkarza do „kochanków urzędów", dlatego tyle miejsca poświęci się odrazie Jelskiego do krzykliwych i źle ułożonych wojskowych, którzy zdjęli mundury i jęli zajmować się administracją. Nie trzeba chyba powtarzać, jak bardzo problem ów oddalony był od antagonizmów typowych dla okresu drugiej niepodległości. Pole toczących się wówczas bitew mieściło się gdzie indziej. Inaczej wyglądali ścierający się ze sobą przeciwnicy.

Pisarz porzucił w następnych częściach swej obszernej powieści spór generacji, a na ich miejsce wszedł zarys niezauważonego dotąd starcia o charakterze niedwuznacznie klasowym.

Niebo i ziemia jednak nie jest obrazem walki proletariatu z bur-

żuazją. Walka klasowa determinuje rozwój tylko pewnych wątków powieści, podczas gdy gdzie indziej pisarz czyni swe postacie podległymi prawom psychologicznego romansu. Toteż naprzeciw realistycznemu ukształtowaniu dziejów Jana Dykierta, naprzeciw sylwetkom Ankiewicza, Dorosza i Szernika, dla których nie było miejsca w Murach Jerycha, staje miłość Tobitki i Turzyckiego, uczuciowe perturbacje Goworka i amory Medekszanki. Prozaik nie wszędzie wyzbył się spadku po Adamie Grywałdzie, nie zawsze rezygnuje z uroków psychologizmu, gdzie to przedstawiając wydarzenia nietypowe, jedynym ich usprawiedliwieniem mianujemy osobliwe motywy poczynań bohaterów, dziwaczne ich przeżycia i niezwykłe doświadczenia.

Pisarz opuszcza na koniec gabinety ministrów. Wychodzi z salonu Sztemlerów. Rozpoczyna poszukiwania rzeczywistych przeciwników Jaszczy i Dietricha. Lokalizuje ich trafnie wśród ludzi związanych z KPP. Wprowadza do dzieła nowych jego bohaterów, ukazuje znanego nam dotąd tylko z rozmów Jana Dykierta. I tu mścić się zaczyna kompozycyjny plan powieści — artystyczny odpowiednik poznawczych założeń i wyznaczone przezeń proporcje poszczególnych spraw. One to pozwalają zademonstrować Ankiewicza, Szernika i Dorosza jedynie epizodycznie, jedynie w sposób niepełny. Toteż droga tych ludzi do komunizmu — Ankiewicza wyłączywszy — jest okryta mrokiem, tak samo zresztą jak ich działalność. W tym miejscu dotykać zaczynamy owej tajemniczej *terra incognita* politycznej powieści Tadeusza Brezy. Prozaik „rzutując" akcję bądź na ludzi ONR-u, bądź też na ludzi sanacji nie znalazł miejsca dla dostatecznego wyeksponowania postaci, związanych z „Nowym Siewem", ściganych przez policję, osadzanych w więzieniu. Toteż nie wiemy, na czym polega ich działalność, czy wiąże je coś ze strajkami chłopskimi, w jaki sposób przeciwstawiają się wpływom Papary. Oto zasadniczy mankament realizmu w Niebie i ziemi, którego nie zrównoważy ani świetnie nakreślony przełom Jana Dykierta, ani też doskonały portret stopniowego dojrzewania klasowej świadomości Ankiewicza.

Breza unika prostych kompozycyjnych retrospekcji. Dlatego życiorys Jana Dykierta, fragmentaryczny i cząstkowy, pojawi się nie w prostej relacji autorskiej, lecz odtworzony zostanie z autobiograficznych notat bohatera, które studiować będzie Kozic. Wyznaczą one motywy i kierunek przebywanej przez syna zamożnych mieszczuchów ewolucji. Protest przeciw własnemu środowisku uformowany zostaje przez wydarzenia, którym bohater się przyglądał i w których brał udział. Obserwacja charakterystycznych cech burżuazyjnego społeczeństwa zmieniła się w genezę późniejszych przemian. Toteż deklaracja złożona przez Jana w tym osobliwym pamiętniku, a potwierdzona późniejszym postępowaniem, nie rodzi się *ex abrupto*. Nie może więc nas zaskoczyć. Breza przygotował ją starannie. Z tych więc względów nie oglądamy tu marionetki, którą autor jak najszybciej przesuwa na właściwe miejsce, nie zważając na jej grymasy i opory. Pozytywny bohater Nieba i ziemi nie przekształcił się w tubę pisarza. Nie recytuje uogólnień, których nie można wyczytać w dziele, nie uzupełnia go dodatkowymi informacjami, pokrytymi dotąd milczeniem. Żyje jednak nazbyt krótko. Widzimy go zaledwie przez chwilę, poznajemy głównie poprzez pamiętnik. A ten niedoskonały sposób zawierania znajomości obciążony został dodatkowym defektem. Otóż Jan prezentowany jest do-

syć dokładnie aż do tego momentu, w którym staje się komunistą. Dalej losy jego otacza już mgła. Informacje są coraz bardziej zdawkowe. Udzielają ich przecież ludzie, którzy nie mogli zapoznać się z tym okresem dziejów Dykierta. A Kozic owej najciekawszej może partii wspomnień, poświęconej nielegalnym poczynaniom wyrodnego syna burżuazyjnej rodziny, nie chce już czytać. Tym samym znów docieramy do tajemniczej *terra incognita*. Jest nią działalność rewolucyjnego proletariatu. Spośród wielu wybiegów pisarza, który pragnie przekazać czytelnikowi wiedzę o sytuacji panującej w okresie dwudziestolecia, najbardziej interesujący jest chyba ten, jaki Breza stosuje w ostatnim tomie Nieba i ziemi. Rozmowa, którą toczy Frysz z Ankiewiczem, Szernikiem, Doroszem i Haliczewskim przywodzi nam na myśl małą encyklopedię wydarzeń umiejscowionych w drugiej połowie lat trzydziestych. Dowiadujemy się z niej i o strajkach chłopskich, i o społecznym programie ONR, i o czarnej chorągwi, powiewającej nad głucho milczącym szybem. Zostajemy więc powiadomieni o wydarzeniach, których prozaik w utworze swym nie ukazał. Rozmową pragnie zastąpić narrację i opis. Układ powieściowej intrygi nie pozwolił Brezie na przedstawienie przebiegu walk klasowych. Toteż prozaik odwołał się do konwersacji bohaterów, starając się przenieść na karty dzieła objawy symptomatyczne dla czasów Jaszczy i Sztemlera. Pisarz nie dostrzegł w klasie robotniczej bohatera dziejów. I dlatego to ograniczył zasięg swojego widzenia, dlatego większość wiadomości o walce klasowej trzydziestych lat naszego wieku zdobywamy, słuchając przemówień bohatera.

Sprawa ONR-u, której tak w Murach Jerycha jak i w Niebie i ziemi poświęcono wiele miejsca, nie da się „załatwić" kilku pośpiesznie ukutymi formułami. Diagnoza pisarza w wielu miejscach trafna zdaje się często deformować zjawisko, wydobywając jedną tylko jego cechę, pomijając zaś inne, nie mniej ważkie i nie mniej charakterystyczne. Breza bardzo dokładnie ustalił społeczny rodowód „dziarskich" narodowców. Wielkie, choć podupadłe już ziemiaństwo, bogate chłopstwo, burżuazyjna inteligencja — oto skąd wywodzą się zwolennicy Papary. Obserwacja jest słuszna. Dowodzi bystrości realisty, która zresztą w tym miejscu się nie kończy. Sięga dalej, ukazując przychylny stosunek wielkich *bourgeois* żydowskiego nawet pochodzenia do tej przyjaznej ich klasowym interesom organizacji. Więcej, stwierdza związki łączące sanację z miłośnikami nacjonalizmu. Związki nie tylko towarzyskie. Jaszcza powołać ma przecież Paparę na wiceministra, a rząd zezwala na antysemityzm. Nikt nie ściga Czatkowskiego, nikt nie prześladuje Goworka i Dyląga. W tym jednak miejscu zaczynają się pretensje krytyka. Prozaik, który uchwycił flirt sanacji z Obozem Narodowo-Radykalnym, który bezbłędnie zapisał Obozu tego genealogię, który sympatie i antypatie swych bohaterów kształtował w myśl innych kryteriów niżeli narodowa przynależność, który dojrzał zażyłe stosunki łączące semickiego bankiera z twórcami pogromów, sprowadził program owego *quasi* faszystowskiego stronnictwa, niosącego nowy testament Narodowej Demokracji, do jednego tylko punktu, resztę pozostawiając niepamięci.

ONR w Murach Jerycha oraz w Niebie i ziemi to tylko ugrupowania antysemickie. Osobliwej ludomanii wyznawców kastetu, pseudo-krytyki kapitalizmu, apologii rękodzielnictwa i rzemiosł Breza nie pokazał, aczkolwiek hasła owe były dla

partii tej w najwyższym stopniu charakterystyczne.

Zarówno Mury Jerycha jak i Niebo i ziemia obfitują w świetne partie powieści satyrycznej poświęconej moralności *bourgeois*. Amory Tobitki, miłosne zapały Dykierta, mariażowe plany Buby Czerskiej i znaczna część przeżyć Motycza — oto części składowe tego obrachunku, nasyconego pasją i gniewem. Przedmiotem kompromitacji staje się etyczny dekalog bohaterów utworu, naprawdę dziwny i niepokojący. Wielkie monologi wewnętrzne zapisane w trybie mowy pozornie zależnej zużytkowane zostają właśnie dla celów satyrycznych, służąc dyskredytacji tak Jelskiego, jak i radcy Dykierta, jak i Medekszanki. Ironia pisarza nie zawsze mierzy w objawy typowe, nierzadko przemieniając się w drwinę z cech szczególnych, przymiotów wyjątkowych i mało charakterystycznych. Nie wolno nam jednak, pamiętając o szyderstwie zwróconym przeciw dostojnym idiotyzmom Bołdarzewskiego i tchórzliwej erotomanii Drefczyńskiego, zapominać o nie mniej zdecydowanym pamflecie na postawę burżuazyjnego estety, na koncepcję małżeństw, które przysporzyć mają dochodów i wesprzeć karierę, na zanik uczuć rodzinnych, ginących wówczas, gdy grozić poczną niedogodną sytuacją, bardzo utrudniającą awans. Breza przeprowadza bowiem wbrew kanonom psychologicznej powieści gwałtowną krytykę pojęć moralnych, wytworzonych przez kapitalizm. Jej to zawdzięczamy uroczą rozmowę Henryka z Bubą, gdzie to sprawa mariażu przypominać będzie w sposób aż nadto łudzący handlową transakcję, małżeńskie plany Turzyckiego również komercjalnej natury i obrzucenie klątwami brata, który powstrzymał mimo woli przypływ dostojeństw, który rozwiał nieświadomie ambasadorskie nadzieje. Główny atak Brezy koncentruje się jednak na programie etycznym burżuazyjnego artysty, wyznawanym tak przez eleganckiego Motycza jak i zaniedbanego Frysza. W tej dziedzinie satyra pisarza zyskuje szczególną celność. Otrzymujemy portrety ludzi pozbawionych ideologicznych przekonań i zakochanych w równym stopniu w brzmieniu starego wiersza jak i we władzy kapitału.

Dla każdego czytelnika obydwu powieści, o których właśnie traktujemy, niespodzianką nie będzie trafny na ogół adres ironii w Niebie i ziemi i wadliwy jej kierunek na przestrzeni Murów Jerycha. Fenomen ów wiąże się przecież z problemem znacznie obszerniejszym. Mamy tu na myśli przezwyciężanie kanonów burżuazyjnego romansu psychologicznego, wyraźnie występujące na jaw podczas lektury dalszych tomów cyklu. Satyra zmienia tam swój przedmiot, godząc tym razem nie w indywidualne osobliwości, lecz w aparaturę moralnych pojęć, typowych dla danego układu społecznego.

Breza dostrzegł rolę klasy robotniczej, rolę Partii w historii minionego dwudziestolecia. Chcąc ją ukazać pogwałcił przyjęte wcześniej rygory, w których dopatrzeć możemy się jedynie konsekwencji określonego stanowiska poznawczego. Inaczej nie potrafiłby wmontować w dzieło zapisek Dykierta, inaczej nie znalazłby miejsca dla życiorysu Ankiewicza, dla konterfektu Szernika. Zasady strukturalne Murów Jerycha, uwarunkowane ideologicznym bagażem artysty, były tak surowe, iż nie zezwalały na wędrówkę w regiony inne, niżeli te, które określić staraliśmy się badając geografię książek Tadeusza Brezy. Zasad owych prozaik nie wyparł się do reszty, co świadczy aż nadto dobitnie o tym, iż przełom autora Adama Grywałda nie dobiegł koń-

ca. Relikty arealistycznego widzenia wydarzeń kryją się poza nikłą w dziele rolą grupy „Nowego Siewu", poza zdumiewająco marginesowym obrazem proletariatu, poza niepokojącym milczeniem o jego walce, nie odnotowanej przecież przez fabułę Ocalenie — w znacznym stopniu — planu kompozycyjnego Murów Jerycha — oto odpowiednik niedokończonej ewolucji. Nie jedyny jednak to jej ślad. Fakt, iż marsz Brezy ku realizmowi, dający się zaobserwować na terenie Nieba i ziemi, nie zakończył się pełnym sukcesem prozaika, zadecydował również o koncentracji pisarskiej uwagi właśnie na postaci Jana, wybranego spomiędzy Ankiewicza, Dorosza, Szernika i Haliczewskiego i pełniącego w powieści funkcję najdokładniej ukazanego reprezentanta rewolucyjnych dążeń klasy robotniczej. W ten sposób najprecyzyjniej zademonstrowana w utworze sylweta komunisty jest sylwetą człowieka wywodzącego się z burżuazji, człowieka, którego dzieciństwo upłynęło wśród mieszczańskiego patrycjatu. Prozaik nie wprowadził do swej powieści procesu narastania klasowej świadomości proletariusza, nie ukazał, jak przebiegała jego droga do Partii. Jak gdyby zapomniał o znaczeniu tej sprawy. A to przecież nic innego, jak tylko jeden z efektów wadliwej, lecz przyjętej przez pisarza hierachii zagadnień, hierarchii, przeciwnej realizmowi i wyznaczonej przez granice poznawcze horyzontów prozaika.

Rola mowy pozornie zależnej na przestrzeni Murów Jerycha oraz Nieba i ziemi stała się mimowolnym sprawcą wielu nieporozumień. Jej profuzja, widoczna w obu częściach, choć w późniejszych tomach cyklu znacznie mniej natarczywa, prowokować może do hipotez, utrzymujących, że czytelnik dzieła przez cały czas obraca się wśród wyobrażeń postaci, niekonfrontowanych z rzeczywistością, że wiedzę naszą o prezentowanych perypetiach zawdzięczać powinniśmy nie pisarzowi, lecz jego bohaterom. Podobna opinia wydaje się być nazbyt pośpieszna i jedynie przybliżona. Jak każde tedy przybliżenie kryje pewien błąd, którego gwoli sprawiedliwości wymierzanej książce pragnęlibyśmy uniknąć. Mowa pozornie zależna bowiem tylko wtedy prowadzi do odwrotu prozaika od bezpośredniej opowieści, tylko wtedy każe ukrywać się mu poza sylwetami powieściowych figur, gdy cała narracja podporządkowana jest temu trybowi, gdy autor nigdzie nie wypowiada się wprost od siebie. Rzeczywiście, wówczas obcujemy jedynie z wyobrażeniami bohaterów o świecie, wyobrażeniami, których pisarz nie poddał sprawdzeniu. Taka sytuacja nie zachodzi jednak ani w Murach Jerycha ani w Niebie i ziemi. Wszędzie tam monologi wewnętrzne, podane w mowie pozornie zależnej, ograniczone są bezpośrednią wypowiedzią pisarską, a relacja o wydarzeniach nie stanowi wyłącznego przywileju beletrystycznych figur. Korzysta z niego również prozaik, częstokroć przerywający zapis doznań i przeżyć swych herosów, by odebrać im słowo, by mówić już samemu, by nie czynić kolejno poszczególnych postaci narratorami, których opowieści złożyły się na dylogię. Groźby więc, jakie nieraz pociąga za sobą użycie mowy pozornie zależnej, w danym wypadku wydają się być bardzo niewielkie.

Prozaicy wyzbywający się psychologistycznych obciążeń, pierwszych swych pozytywnych bohaterów rzeźbią zazwyczaj w żelbetonie. Inny materiał nie budzi w nich zaufania. Figury, które kreują, są więc bardzo niezdarnie ociosane, po prostu pokraczne. Z trudem przypominają człowieka. Mając w pamięci tę, niestety, nazbyt często spoty-

kaną prawidłowość, z trwogą przyglądamy się Dykiertowi, Ankiewiczowi i Haliczewskiemu spodziewając się rendez-vous z galerią smutnych choć niesłychanie szlachetnych robotów. I oto stajemy wobec przyjemnej niespodzianki. Natrafiamy na ludzi, których nie uformowano w jakimś chemicznym laboratorium. Przed czytelnikiem Nieba i ziemi nie przeciąga nieznośna parada manekinów, które za pociągnięciem sznurka wygłaszać poczynają — z wielką swadą i werwą — bardzo powszechne truizmy. To już wielkie zwycięstwo autora Murów Jerycha, pozwalające nam ze spokojem oczekiwać następnych jego dzieł, gdzie zapewne zaginie już dwoistość Nieba i ziemi, gdzie dopełniona zostanie obietnica realizmu.

Kiedy w roku 1952 ukazała się Uczta Baltazara, dyskusja na temat kierunku ewolucji pisarstwa Tadeusza Brezy straciła na aktualności. Doczekała się rozwiązania. Nowa powieść w pełni potwierdziła horoskopy tych krytyków, którzy uważnie śledząc rozwój prozaika przebiegający poprzez tomy jego dylogii, zapowiadali zwrot beletrysty ku socjalistycznemu realizmowi. Hipoteza ta zyskała obecnie całkowite potwierdzenie. Tadeusz Breza zrozumiał historyczną rolę klasy robotniczej. Poszerzył zakres swych pisarskich obserwacji. Wprawdzie nadal w centrum jego dzieła znaleźli się ludzie o biografiach mocno podobnych do tych, jakimi dysponują Jelski, Dykiert i Medekszanka, niemniej jednak obok nich pojawili się Klimontówna, Winczewski i Birkut. Prawo aktywnego udziału w intrydze zagubiło cechy przywileju nadanego jedynie osobom przynależnym do pewnych grup społecznych.

Uczta Baltazara jest książką o wielkich ambicjach tematycznych. Mówi o balecie i odbudowie opery, rozwoju małych portów i szkole rolniczej, o fabryce penicyliny i podziemiu. Świadczy to o próbach nakreślenia jakiegoś syntetycznego obrazu Polski z roku 1947. Notuje on walkę klasową, narodziny nowej moralności, wielkie konflikty etyczne, przedstawiając na koniec właściwych herosów naszego czasu. Diagnoza pisarza wydaje się w ogólnych rysach trafna. Mieści się w niej i prezentacja społecznej genealogii podziemia, i obfite przykłady genezy odmiennego niżeli dotychczasowy systemu reguł postępowania, który ustanowiony został przez socjalizm, i prawidłowy zapis przebiegu przemian inteligenta. Więcej, odkryjemy tutaj wierny portret ideologiczno-moralnego oblicza reprezentantów interesów burżuazji, bezsprzecznie słuszną ocenę rodowodu wadliwych poglądów na sztukę, niesfałszowane wizerunki „rycerzy z lasów".

Przemiany, które stały się udziałem Tadeusza Brezy, od chwili ukazania się Nieba i ziemi są bardzo zasadniczej natury. Mieszczą się one nie tylko w sferze tematycznej. Prozaik nie poprzestał na przeglądzie wielu środowisk. Ukazał je w sposób trafny, zgodny z wymogami realizmu. Po raz pierwszy na karty jego dzieł wstąpiły sylwety twórców naszej epoki. Uczta Baltazara rejestruje i to rejestruje w sposób wierny nowy zespół reguł postępowania, nową postawę ukształtowaną przez socjalistyczne społeczeństwo. Każdy kto zapamiętał postać kapitana Birkuta i Klimontówny, bez wahania przytaknie naszym słowom. Socjalistyczna moralność stała się przedmiotem uwagi artysty. Zarys jej naszkicowany w dziele nazwać musimy prawdziwym, konstatując równocześnie doskonale przeprowadzony dobór norm rządzących postępowaniem ludzi takich jak choćby pułkownik Wienczewski. To, czego na próżno szukaliśmy w Murach Jerycha, pojawiło się na kartach książki opowiadającej nam o niezwy-

kłych przygodach Andrzeja Uriaszewicza.

Nowa powieść Tadeusza Brezy wchodzi w skład tak zwanych „porachunków inteligenckich". Traktuje o przemianie ideologicznej Andrzeja, który wraca do kraju i pozostaje w nim już na stałe. Naczelny wątek książki wypełnia więc narracja o wielkich metamorfozach Uriaszewicza. Konterfekt ich wydaje się być najzupełniej słuszny. Perypetiom głównej postaci Uczty Baltazara nie można odmówić miana „typowe". Przedstawiono je w sposób prawdziwy. Opis zachowań i słów przyszłego inżyniera nie potrafi wzbudzić zastrzeżeń najbardziej gorliwego nawet Zoila. Przekonają go argumenty przemian bohatera. Zawiera je obraz rzeczywistości nakreślony przez Brezę. W nim mieszczą się powody ewolucji, której doświadcza heros omawianego tu przez nas utworu. Selekcja, jakiej pisarz dokonał, w imię postulatu typowości, wobec wydarzeń wchodzących w skład dzieła, usprawiedliwia najzupełniej metamorfozy jego bohatera. Toteż twierdzenie o braku motywacji przełomu, stającego się udziałem Andrzeja, nie posiada dostatecznego uzasadnienia. Gdyby zgłaszać tu pretensje do autora Murów Jerycha, dotyczyć musiałyby one nie braku usprawiedliwienia przejść Uriaszewicza, lecz zaniechania wnikliwej analizy psychologicznej, rejestrującej stany świadomości postaci w momencie przełomu, przy równoczesnym bardzo dokładnym i niewątpliwie realistycznym opisie jej losu. Niemniej jednak mankament ów nie jest aż tak znaczny, by przesądzać o niepowodzeniu naczelnego wątku powieści. Występuje on w formie daleko bardziej wyrazistej w przypadku Stępniewskiej, której metamorfozy pozbawione zostają komentarza i wytłumaczenia, stając się tym samym nieprawdopodobnymi i budząc nieufność czytelnika. Casus ten jednak, ze względu na epizodyczną rolę owej sylwety, nie jest w stanie pomniejszyć zasług książki.

Synteza roku 1947, którą znajdujemy w Uczcie Baltazara, wymagała zarysowania obozu podziemia. Tadeusz Breza podjął to zadanie. Wypełnił je w sposób niewątpliwie doskonały. Na skutek tego właśnie otrzymaliśmy świetną postać Hazy i doskonałe studium moralności burżuazyjnej ucieleśnionej w osobie Dubińskiego. Obraz podziemia stał się portretem nie tylko określonej ideologii, lecz również i określonego systemu prakseologicznego. Starcie Birkut — Haza to nie tylko fragment z dziejów walki klasowej, to również studium konfliktu moralnego. Po obu stronach barykady stają dwa najzupełniej sobie przeciwstawne systemy etyczne. Widzenie tak jednego jak i drugiego przemienia się w dokument realizmu dzieła. Breza trafnie notuje typowe cechy moralności burżuazyjnej, bezbłędnie również stwierdzając naczelne normy postępowania, uformowane przez społeczeństwo socjalistyczne. Dzięki temu prezentacja zachowania Hazy, podobnie jak i prezentacja postępowania Klimontówny, staje się doskonałym przykładem wielkiego kunsztu pisarza, wypowiadającego bezsprzecznie prawdziwą diagnozę wydarzeń.

Kompozycja powieści bezsprzecznie stanowić będzie przedmiot dyskusji krytyków. Wpływa na to niewątpliwie luźny związek poszczególnych jej epizodów z głównym nurtem intrygi. Uczta Baltazara obciążona jest bowiem licznymi wtrętami, oczywiście wtrętami fabularnymi, które uważać by można za materiały do przyszłej powieści. Słabe powiązanie intrygi z ubocznymi epizodami pozwala nam wyodrębnić cały szereg narracyjnych całości, którym artysta przyznał niejako autonomię. Fabryka penicyliny, odbudowa

Oliksny, historia racjonalizatora, opowieść o gimnazjum rolniczym — oto nazwy poszczególnych epizodów wchodzących w skład nowego dzieła Tadeusza Brezy. Tego rodzaju dygresyjność to następstwo niedostatecznej jeszcze ideologicznej dojrzałości artysty, który nie potrafiąc wypowiedzieć poprzez intrygę swego dzieła całości realistycznej diagnozy wydarzeń, sugerować ją musiał za pomocą dołączonych do powieści scen, nie najlepiej spojonych z zasadniczym jej tokiem. Stąd bierze swój początek wprowadzenie do Uczty Baltazara wydarzeń słabo wkomponowanych w przypadki Uriaszewicza, konstytuujące naczelny wątek fabularny książki. Nie to jednak wydaje się sprawą dla dzieła najważniejszą. Niedowład konstrukcyjny traktować należy jako zjawisko efemeryczne i uboczne. Istotnym zjawiskiem staje się dla każdego czytelnika omawianej tu przez nas książki ewolucja pisarza, ewolucja bardzo wyraźna i zaskakująca wręcz odbiorców Murów Jerycha i Nieba i ziemi. Wprowadzenie pozytywnych bohaterów, realistyczny obraz świata, trafna ocena konfliktów klasowych i zdeterminowanych przez nie konfliktów moralnych, zreformowanie rygorów konstrukcyjnych, podporządkowanie stylu trosce o komunikatywność, wyrzeczenie się prób pogwałcenia składni — oto naczelne cechy przemian prozaika. Poszły one bardzo daleko. Dzięki nim otrzymujemy dzisiaj dzieło w pełni usprawiedliwiające nasze nadzieje pokładane ongiś w dalszym rozwoju literackiej działalności Tadeusza Brezy. Mankamenty jego aktualnej powieści w porównaniu z jej osiągnięciami stają się przecież symptomem nieważnym, prawdopodobnie nietrwałym, przynależąc do owych trudności przełomu, trudności, które pisarz w olbrzymim stopniu już pokonał.

Lech Budrecki

KAZIMIERZ BRANDYS: *Człowiek nie umiera*. „Czytelnik", Warszawa, 1951; str. 440.

Kazimierz Brandys, zamykając wiedzę o współczesnej sobie epoce w dawkach skondensowanych, jest jak najdalszy od żywiołowej twórczości, obejmującej spostrzeżenia nieuporządkowane, które cisną się niektórym pisarzom pod pióro, by uczynić zadość literackiej konwencji czy dać wyraz agnostycznemu stosunkowi do świata. W opanowanym i doświadczonym warsztacie literackim Brandysa nie ma miejsca na przypadkowość tego typu, zdania budowane są konsekwentnie i łatwo można by wskazać szkodę, jaka wyniknęłaby przy wyrzuceniu z cyklu Mi ędzy wojnami jakiegokolwiek opisu. Strzelba, zawieszona w pierwszym akcie, musi w akcie ostatnim wystrzelić.

Brandys posługuje się natomiast chętnie przypadkowością innego rodzaju, przypadkowością wnikającą w układy i zderzenia ludzkich losów. Koleje życiowe Juliana i Tola Szarlejów po wielokroć zahaczają o postać Wacława Pankrata na zasadzie przypadku; przypadkiem jest spotkanie przez Tola starego Kwietnia w czasie przeprawy przez Wisłę, przypadkiem jest nieuświadomione znalezienie się Tola przy grobie ojca... Ale węzły te nie zmniejszają iluzji rzeczywistości, wprost przeciwnie — potęgują ją. Paradoks? Nie, zrozumienie przez pisarza prawideł, którymi może rządzić się sztuka. Kondensacja stanowi konieczny warunek realizmu, bez niej można by się zdobyć jedynie na chaos i co najwyżej na bezmyślną odbitkę rzeczywistości, losy ludzkie bowiem rzadko układają się w rzeczywistości tak, by wcielały pełną filozofię życia. Dlatego prawidło przegrupowania faktów, wyolbrzymiania pewnych cech i zdarzeń a pomijania milczeniem in-

nych, znajduje swoje zastosowanie zarówno przy tworzeniu charakterów jak i przy układaniu losów fikcyjnych postaci. Postacie wyjątkowe (w sensie częstotliwości ich społecznego występowania) mogą nieść ze sobą typowe konflikty i typowe ładunki emocjonalne, mogą znajdować wspólny język z realnymi ludźmi i wychodzić naprzeciw nurtującym ich problemom. Ze wszystkich naszych pisarzy współczesnych Kazimierz Brandys najbliższy jest temu rozumieniu typowości, najbardziej konsekwentnie je w swojej twórczości realizuje. Myślę, że aczkolwiek nie jest to jedyna droga pisarza realistycznego, jej właśnie zawdzięcza Brandys swoje powodzenie.

Jakiego typu realizm reprezentuje cykl Między wojnami? Odpowiedź na to pytanie nie da się zawrzeć w określeniu „krytyczny" czy „socjalistyczny". Te opracowane już bardzo dokładnie pojęcia pomocnicze są nieodzowne dla przeprowadzenia analizy literackiej i posługiwanie się nimi jest w pełni usprawiedliwione. Sądzę jednak, że realizm cyklu Między wojnami odsłoni swój specyficzny charakter jedynie wówczas, gdy poszukiwać będziemy punktów przecięcia się cech, przynależnych tym dwom zasadniczym rodzajom realizmu nowożytnego. Wynikną stąd często nowe i odrębne jakości.

Krytyka często określała cykl Kazimierza Brandysa mianem rozrachunku z odchodzącymi postawami społecznymi i z tymi siłami historycznymi, które tkwiły u ich korzeni. Wykazanie związków między losem człowieka a historią stało się kamieniem węgielnym, położonym u fundamentów całej rozległej budowy powieściowej. Dopiero tom ostatni daje jednak pozytywne wyjście z labiryntu determinantów, wyznaczających ludzkie losy. Jakuba Golda zaprowadził do komórki partyjnej przypadek, a jego świadomość i postępowanie nigdy nie wykroczyły poza reakcję psychologiczną człowieka, który w sposób emocjonalny pojmuje swoje upokorzenie; Ksawery Szarlej nie przestał uważać się za człowieka pokrzywdzonego przez los bez własnej winy; Julian Szarlej nie mógł przekroczyć zaczarowanego kręgu własnego wyizolowanego świata, mimo że wykazał w końcu wolę zmiany swoich losów... Za ludzi decydowała tu historia, ona była rakietą, odbijającą piłeczki ludzkich dróg życiowych. Ludzie, nie znający przyczyny własnych losów, nie byli wolni, popełniane przez nich zło obarczało odpowiedzialnością stosunki społeczne. „Nie ma ludzi bezwzględnie złych, są tylko bezwzględnie złe układy rzeczywistości". Losy ludzkie wtłaczały się jak potok w przygotowane przez naturę łożysko, a rwący potok trudno było uznać winnym wyrządzonych szkód. Z perspektywy paru lat pisarz powie o swoim dziele: „Błąd nie tkwił w akcentach litości w stosunku do Szarleja, lecz raczej litość, jaką mu okazałem, była wynikiem błędu ideologicznego, który zaciążył na tej książce („Antygonie" — A. L.) — wynikiem fatalistycznej, antymarksistowskiej interpretacji życia człowieka w społeczeństwie kapitalistycznym". Żeby rozwiać ewentualne nieporozumienia, zaznaczyć trzeba, że koleje życiowe Ksawerego Szarleja zawarły w sobie słuszną wiedzę społeczną, ale gest litości obowiązuje tylko w stosunku do ludzi, którym wbrew własnym chęciom historia nie pozwoliła uratować pełnych wartości człowieczeństwa. Ksawery nie był takim człowiekiem i dlatego losy jego okazały się zbyt kuse na skrojenie szaty tragicznej. Obłuda i ciasnota umysłu kwalifikowały go do rangi jeszcze niższej niż ta, którą otrzymał Vautrin.

Dlaczego jednak wyznanie Kazimie-

rza Brandysa nie da się przyporządkować postaci Juliana Szarleja? Decydują tu cechy charakteru, określone między innymi miejscem człowieka w społeczeństwie. Kariera Ksawerego Szarleja, kariera spekulanta i aferzysty, musiała się oprzeć o przestępstwa moralne, z których bohater łatwo się rozgrzeszał w przekonaniu, że nie ma innej drogi do bogactwa i rang i że przestępstwo tak czy owak zostanie popełnione, a więc jednostka nie ponosi odpowiedzialności za zło. Julian Szarlej nie był zdolny do świadomego przestępstwa, chociaż nie rozumiał, że postawienie się na marginesie historii zmusi go do zabrudzenia rąk bez własnej woli. W tym losie kryły się więc przesłanki tragizmu, a współczucie okazane Julianowi było równocześnie oskarżeniem sił, które pobrudziły mu ręce i polemiką z postawą pozornej, iluzorycznej izolacji światopoglądowej. Ale los Juliana Szarleja został złamany dlatego, że bohater nie zdołał wyciągnąć ostatecznych konsekwencji z nagromadzonego materiału, którego dostarczył mu chociażby wypadek z Pankratem. Choroba, która trapiła Juliana, zaczyna po wypadku z Pankratem, a zwłaszcza po nocnej rozmowie z nim na ulicach Paryża, oskarżać chorego... Jeśli Julian początkowo nie mógł, to później nie chciał już rozumieć, a w każdym razie nie czuł się powołany do doprowadzenia wniosków do końca. Fakt ten świadczył o niecałkowitym jeszcze przełamaniu przez Brandysa konwencji fatalistycznej. Reflektor ostatecznych decyzji Juliana rzuca niejako *ex post* światło na jego pamiętnik od pierwszej do ostatniej strony i stawia bohatera w położeniu, które nie potwierdza słuszności tego ładunku współczucia, jakim obdarzają Juliana autor i czytelnicy. Wytrzymanie tego ładunku musiałoby oznaczać rozgrzeszenie Juliana Szarleja, a końcowe jego losy nie przyzwalają na ten akt.

Bezwzględnie potępiając ohydę kapitalistycznych stosunków społecznych i polemizując z fałszywymi postawami moralności burżuazyjnej Brandys był na przestrzeni tomów S a m s o n — T r o j a m i a s t o o t w a r t e przede wszystkim grabarzem klasy odchodzącej. Musiał czerpać przy tym z proletariackich źródeł. W dobie imperializmu realizm mieszczański jest w ogóle niemożliwy jako zwarta, filozoficzna wizja. Ale niedostatecznie jeszcze rozwinięte korzenie marksistowskiej filozofii nie potrafiły nasycić części nadziemnych wszystkimi żywotnymi sokami. Typowa problematyka nadawała tym powieściom rangę realizmu; nie dość bezkompromisowa polemika ograniczała ich horyzonty poznawcze. Siły rewolucyjne, uosobione przez Pankrata, stanowiły gotową antytezę.

Łuk, jaki zatoczył Kazimierz Brandys od M i a s t a n i e p o k o n a n e g o do C z ł o w i e k n i e u m i e r a nie dokonał się prawem krótkiego spięcia; między pierwszą i ostatnią książką znajdują się trzy tomy nasycone bogatym doświadczeniem. Tolo Szarlej opuszczając z Teresą Warszawę wiedział, podobnie jak narrator z M i a s t a n i e p o k o n a n e g o, że wróci do niej, ale powrót ten niósł ze sobą konflikt człowieka, którego poza uczciwością i prawością charakteru nic nie łączyło z klasą robotniczą, a którego dzieliła z nią cała przeszłość. Rozwiązanie tego konfliktu zamknęło w sobie pozytywną wskazówkę dla ustalenia związku między człowiekiem a historią naszych czasów i pozwoliło autorowi cyklu M i ę d z y w o j n a m i wkroczyć w rewolucyjną współczesność polską z uporządkowanymi zagadnieniami moralnymi. Czy znaczy to, że Brandys nie miał ich uporządkowanych, gdy

przystępował do pisania Samsona? Zapewne miał, chociaż w czasie pisania cyklu dojrzał jako ideolog i pisarz; zdarza się bowiem, że twórczość jest dla pisarza rozwiązywaniem zagadnień, umożliwiającym dalszy postęp myśli, a wiadomo, że sprawy niezałatwione opóźniają rozwój lub spłycają go. Ponieważ pisarza realistycznego obchodzą przede wszystkim zagadnienia ważne dla rozwoju społecznego, nie ma kolizji między indywidualną potrzebą i dyspozycjami tworzenia a pełnieniem progresywnej roli w społeczeństwie. Marksizm był busolą dla Brandysa, ale nie był objawieniem, zwalniającym od obowiązku przemyślenia zebranych w ciągu życia prawd. Można powiedzieć, że Brandys znając i aprobując marksizm dochodził do niego przez swą twórczość. W samookreśleniu się pisarza jako ojca schematyzmu we współczesnej literaturze polskiej znalazła się nuta doskonałego żartu, bo wiadomo, że postawa samodzielnego obserwatora życia, jaka właściwa jest Brandysowi, nie rodzi schematyzmu w powszechnym dziś znaczeniu tego słowa.

Jeśli czytelnicy łatwo wyczuwają odrębność tomu Człowiek nie umiera w stosunku do trzech poprzednich, jest to właśnie wynikiem konstrukcji losu bohatera, który staje się człowiekiem silnym, wybierającym świadomie swój los dzięki zrozumieniu historii. Obiektem zainteresowania Brandysa były dotychczas dzieje jednostek słabych, miotanych falami historii i nie zmieniających się pod zasadniczymi względami. Przemiana Tola Szarleja, dokumentująca prawo, że tylko w związku z klasą robotniczą nie umiera człowiek epoki wojen imperialistycznych i rewolucji proletariackich, stanowiła więc dla pisarza pewne *novum* i zarazem zadanie, którego realizacja miała nadać właściwy sens całemu cyklowi. Motywem przewodnim stała się dla książki wielka konfrontacja inteligenta o skomplikowanej przeszłości z ludźmi proletariatu. Momentem umożliwiającym dalsze pozytywne decyzje i losy Tola było powstrzymanie się przed dokonaniem zbrodni politycznej na działaczu robotniczym, Wacławie Pankracie; fakt ten, naszkicowany z zewnątrz w Samsonie powraca na karty tomu Człowiek nie umiera w relacji Tola z przebiegu własnego życia. Powracanie do pewnych faktów kilkakrotnie, naświetlanie ich z wielu różnych stron, znamienne jest dla metody pisarskiej Brandysa i ono między innymi zbliża te fakty do czytelnika, stwarza konsekwentną iluzję rzeczywistości, popartą jeszcze autorskimi komentarzami. Komentarze te, przedzielające każdą powieść tetralogii, nie służą bowiem tylko, jak sądzą niektórzy, celom „łopatologicznym", nie znajdują się w cyklu jedynie po to, by wyjść naprzeciw ewentualnym zarzutom i zapobiec nieporozumieniom. Rysują one tło historyczne, ale odzwierciedlają również spojrzenie autora na sprawy, które miały niejako rzeczywiście miejsce i które autor lojalnie prezentuje, nie mącąc toku opowiadania własną oceną.

Brandys rzadko występuje z komentowaniem poczynań swoich bohaterów, jest w tej dziedzinie szczególnie powściągliwy i poprzestaje na opisie zjawiska, a najlepiej czuje się w żywiole pamiętnikarskim, kiedy może się w ogóle nie wtrącać. Próżno by szukać w powieściach Między wojnami obiektywizujących spostrzeżeń, dotyczących reakcji bohaterów, spostrzeżeń, którymi tak olśniewa nas Balzac, bawiący się często swoimi postaciami jak kot z myszą. Oszczędność komentarza przywodzi czasem na myśl pewien typ techniki nowelistycznej, w której, jak

sądzę, Brandys okazałby się mistrzem. Mógłby się okazać mistrzem także dlatego, że jak mało kto potrafi posługiwać się przelotnym nastrojem, liryzmem, dowcipem, ironią, potrafi na jedną sekundę wykrzesać błysk uczucia, by znów powrócić do prozy pozornie beznamiętnej, rzeczowej, przygotowanej i odpornej na wszelkie możliwe niespodzianki. Technika ta stwarza popyt na wypowiedzenie swojego zdania poza powieściami (chyba, że można posłużyć się autorytatywnym rezonatorem, jak na przykład Pankratem w stosunku do Juliana Szarleja). Tak czy owak są owe pozapowieściowe dodatki częściowym przyznaniem się do niewystarczalności stosowanych środków pisarskich.

Wielka konfrontacja, zawarta w tomie Człowiek nie umiera, była dla pisarza jądrem całego zagadnienia, była niejako sprawą życia i śmierci całego cyklu. Dlatego droga Tola Szarleja do kolumny partyjnej nie mogła stać się drogą łatwą. Okres wahań i oporów Tola wyrósł rzeczywiście na konflikt klasyczny, wyolbrzymiony, ale przy tym niemal laboratoryjny. Wyznanie, jakie złożył Szarlej przed przedstawicielami władzy ludowej i partii robotniczej, stanowiło drugi, tym razem decydujący i ostateczny, moment przełomu w jego życiu. Potem... potem następuje już tylko likwidacja dawnych spraw i udział w samochodowej kolumnie partyjnej.

Zagęszczenie prawideł, rządzących procesami społecznymi i psychologicznymi, osiągnęło w tomie Człowiek nie umiera swój punkt szczytowy. Przygotowywane z takim wysiłkiem rozwiązanie konfliktów Tola postawiło również i autora Między wojnami w sytuacji, w której gra się na jedną kartę z gorliwością neofity. Dlatego osiemnastoletni Ciężarek skupił w sobie całą mądrość proletariacką, a robotnicy-szoferzy skroplili w swych słowach i poczynaniach klasyczne cechy świadomości proletariatu. Dlatego Szarlej poczuł konieczność radykalnego zerwania ze wszystkim, co łączyło go z przeszłością i stał się w efekcie nowonarodzonym człowiekiem bez przeszłości. Prawnik z uniwersyteckim wykształceniem przyjął funkcję szofera. I znów — nietypowe koleje losów, ale jakże typowy problem! Problem dróg inteligenta do rewolucji, rozegrany na płaszczyźnie filozoficznej, światopoglądowej, sięgający umysłu i serca.

Spośród wszystkich członków rodziny Szarlejów Tolo jest najbardziej zagadkowy. Poza krótkim okresem pobytu w P. nie obcowaliśmy z tym człowiekiem w przeszłości, a wiedzę o nim czerpać należy z porozrzucanych, choć składających się na całość informacji. Od czasu powstania Tolo znajduje się jakby w letargu, sprawiając w pierwszej części Człowiek nie umiera wrażenie widzenia sennego, w którym wybrane fakty układają się w konsekwentną linię rozwojową i dopiero po przebudzeniu się ukazują swoją niewystarczalność. Tolo zachowuje się po prostu tak, jakby go Brandys zahipnotyzował, zabraniając mu dopuścić do świadomości wszystkiego, co odwracałoby jego myśl od uporządkowania własnych spraw światopoglądowych, co mogłoby powołać do życia jakąś namiętność. Z hipnotycznego snu nie budzi się Szarlej do końca tomu, ale w drugiej części liczy się on już tylko jako uczestnik kolumny i ten fakt przywraca powieści pełnokrwisty rumieniec życia.

Pomocniczym środkiem konfrontacji mieszczańskiego inteligenta z klasą robotniczą jest w powieści kontrast między wściekle miotającymi się siłami przeszłości a siłami mądrymi i opanowanymi, do których należy przyszłość.

Losy Jacka Wawrzyckiego, zaplątanego w szajkę Lorensa i Kostki, odezwały się jak sygnał alarmu. Były one wyrazem ostatecznej konsekwencji kompromisu z obozem wroga. A z drugiej strony — wspaniały obraz partyjnej kolumny samochodowej wyruszającej w teren, by utwierdzić władzę ludową i snującej śmiałe marzenia o przyszłości. Poraniona i zwycięska kolumna partyjna jest najlepszym w naszej literaturze odbiciem zmagań, jakie u zarania republiki ludowej toczyły najlepsze kadry partyjne, odbiciem, które kwalifikuje się do rangi znakomitego symbolu.

Walka proletariatu rozlała się w powieści szeroką falą: od Białych Rud z doskonale wyreżyserowanym pisarsko zebraniem aż do zapleśniałego w swym zastoju Kalenia. I chociaż bohaterem stał się tu cały kolektyw, poszczególni jego członkowie nie zatracili swych drobnych, ale utrwalających się w pamięci cech indywidualnych. Zajdel, Krajewski, Lelkowski, Ciężarek, Gaj, Kurzawiec, Pałasz.. nazwiska te tworzą w sumie całą syntezę proletariatu wraz z jego rewolucyjną przeszłością, mimo że rozmowy ich właścicieli zbyt wyłącznie obrazują postawy i pragnienia polityczne. Traktowane są one z surowością kronikarza-dokumentarzysty, który ma mało czasu i miejsca, a musi przyszłym pokoleniom przekazać sprawy najważniejsze. Pewnym usprawiedliwieniem jest wyjątkowy charakter sytuacji, prowokującej do roztrząsania spraw politycznych i filozoficznych, uprzednia jednak charakterystyka środowiska szoferów odbiera nadzieję na zwolnienie tej struny, napiętej do kresu wytrzymałości.

W tomie Człowiek nie umiera zawarte jest również porównanie. Na jednej jego osi znajduje się Tolo Szarlej, na drugiej — Paweł Bałturyn. Ta świetna postać nauczyciela, posiadającego szatańsko mądrą wiedzę o życiu i o sobie, jest najwyraźniejszym i najbardziej sugestywnym łącznikiem pomiędzy tomem ostatnim a poprzednimi. Jest w niej jeszcze wiele z niezawinionej inercji, która uczyniła ten los tragicznym. Postać Bałturyna oskarża zarówno warunki ustroju kapitalistycznego jak i postawę filozofa-obserwatora, trzymającego się nieco na boku, rozgoryczonego, ale mądrego na tyle, by odpowiedzialność za to rozgoryczenie złożyć na samego siebie. Przyczyną rezygnacji Bałturyna jest już tylko podeszły wiek. Przed Tolem Szarlejem otwarte są wszystkie drogi i wybiera on tę, u kresu której nie umiera się samotnie.

Radykalne zerwanie Tola z własną przeszłością, a przede wszystkim ucieczka przed miłością do Teresy, posiada umotywowanie psychologiczne i tworzy przekonujący wyraz pewnego etapu losów bohatera. Udział Tola w kolumnie partyjnej stanowi jakby radykalną antytezę jego dotychczasowego życia, ale musi po niej nastąpić synteza, która uczyniłaby z Tola normalnego działacza partyjnego. Syntezy tej nie ma w powieści; dowiadujemy się jedynie z Troi, że Tolo stał się rzeczywiście działaczem partyjnym we Wrocławiu. Brak tej syntezy, którą Brandys pozostawia prawdopodobnie domyślności czytelników, niepokoi i on to właśnie wywołał szkic krytyczny Andrzeja Kijowskiego Towarzysz Pankratmagłos. Dlatego wezwanie przed spodziewaną śmiercią przez Tola imienia Teresy brzmi niemal jak sygnał chwilowej recydywy choroby. A może właśnie zapowiada kształt przyszłej dojrzałej świadomości Tola? Odpowiedź na to pytanie pozostaje w sferze domyśleń, bo Człowiek nie umiera jest tomem ostatnim cyklu. Być może, zagadnienie rozwiąże

jakiś inny bohater planowanej przez Brandysa powieści współczesnej i zniknie wątpliwość:

Rozstrzygnij trwożnie te zwątpienia:
Może to wszystko jeden błąd...

Na zakończenie wypada zwrócić uwagę na odsobniony fakt. Napisałem, że z wyrzucenia z tetralogii jakiegokolwiek opisu wyniknęłaby bezsporna szkoda. Tymczasem istnieje wyjątek od tej reguły: jest to pobyt Tola Szarleja w szpitalu kowalskim, przypadający na dni wyzwolenia. Doprawdy, mimo najlepszej woli trudno znaleźć przekonującą rację bytu dla tej partii powieści. Znając dyscyplinę pisarską Brandysa, można wytłumaczyć ów rozwlekły fragment pragnieniem ukazania obrazu wyzwolenia przez pryzmat cierpień narodu, usymbolizowanych w ranach i chorobach pacjentów. Ale nagromadzenie osób łącznie z naturalistyczną (sic!) sylwetką pacjenta z drenami czyni wrażenie nieudanej syntezy, nie tkwiącej dość mocno w organizmie całości.

Cykl dobiegł swego kresu, wnioski zamknęły się, otrzymaliśmy obraz konfliktów, które poprzedziły proces formowania się narodu socjalistycznego. Brandys okazał się doskonałym epikiem spraw niedawno minionych, których uporządkowanie legalizuje paszport wjazdu do współczesności, w chwilę bieżącą. Ale „nikt w żadnym momencie życia nie może stwierdzić z całkowitym spokojem, że wszystko uczynił, nikt nie może z czystym sumieniem uznać swego losu za rozstrzygnięty i poczuć się bezpiecznym".

Andrzej Łam

LEON PASTERNAK: *Komuna miasta Łomży*. Ilustracje Danuty Staszewskiej. Wydawnictwo MON, Warszawa, 1952; str. 244.

Tematem osiowym Komuny miasta Łomży Leona Pasternaka jest zdecydowana i zwycięska walka więźniów politycznych z władzą więzienną, która nagabywana przez departament więziennictwa postanawia za wszelką cenę, w możliwie najkrótszym czasie, wprowadzić w życie okólnik nr 3, mający za zadanie obostrzenie i tak już barbarzyńskiego reżimu względem więźniów politycznych. Okólnik nr 3 był właściwie, w dziedzinie więziennictwa, przejęciem metody traktowania więźniów politycznych, praktykowanej w faszystowskich Włoszech Mussoliniego, z dodaniem hitlerowskiego okrucieństwa.

Akcja powieści toczy się więc w okresie, gdy „kryzys rządów burżuazyjnych pogłębiał się i burżuazja chwyciła się jeszcze bardziej obnażonych i cynicznych form swej dyktatury", ...„formułując jej zasady prawne w Konstytucji faszystowskiej z roku 1935" (Referat Bolesława Bieruta w dniu 18 lipca 1952 r.).

Pasternak bierze tylko jeden krótki odcinek czasu (marzec — maj 1935), lokalizuje akcję w prowincjonalnym mieście Łomży i na tle walki więźniów politycznych w więzieniu karnym Łomży, na tle zmagań proletariatu na wolności z siłami faszyzmu ukazuje głównego bohatera swej powieści — Partię.

Trzeba na tym miejscu zaznaczyć, że autorowi stawiającemu sobie za zadanie zobrazowanie dziejów pełnych tragicznego i bohaterskiego „wczoraj" grożą nielada niebezpieczeństwa, nawet jeśli doskonale zna przedmiot, był współuczestnikiem tej bohaterskiej epopei. Są tu dwie możliwości i obie nie mniej śliskie: droga patetycznych panegiryków i droga ckliwego opisu, kontemplacyjnych rozmyślań, sentymentalnych wycieczek w czasie. Leon Pasternak szczęśliwie ominął i jedno, i drugie.

W powieści nie ma ani cienia zewnętrznego patosu, ani jednej odautor-

skiej charakterystyki działalności bohaterów, ani jednej zwrotki, która by zdradziła tendencję wzruszenia czytelnika okrutnym losem maltretowanych. I patos, i charakterystyka postaci, i wzruszenie wypływa u Pasternaka organicznie z samego toku akcji, z zobrazowanych sytuacji i toczących się walk.

Obrana przez L. Pasternaka metoda zwięzłej, „reportażowej" relacji nie pozwala na rozlewne wynurzenia. Już z pierwszej stronicy wprowadza nas autor w atmosferę walki i poprzez walkę w więzieniu i na wolności wyrasta wielkość, hart ducha, ofiarność świadomych swych celów i zadań komunistów.

W Komunie miasta Łomży komuniści nie mówią o swojej przeszłości, nie znajdziemy tam ani jednego ustępu, gdzie by ci ludzie „szczególnego pokroju", „ludzie ze szczególnego materiału" (Stalin) rozprawiali o doniosłości, wielkości swojej ofiary. Są wcieleniem czynu rewolucyjnego. Poprzez ich czyny, poprzez ich skrótowe biografie, dotyczące przeważnie wyroków i więzień, jak i przez charakterystykę wystawianą przez władze więzienne — poznajemy ich.

U Pasternaka bohaterów charakteryzują wyłącznie przedstawiciele wrogiego obozu, obozu ich prześladowców, a prześladowcy charakteryzują siebie przez swoje czyny i wypowiedzi.

Oto siedzi naczelnik więzienia karnego w Łomży, Szumski, i czyta akta nowoprzesłanej do jego więzienia dwunastki. Czyta akta Górniaka:

„...i natychmiast, po odbyciu kary dwuletniego więzienia, podjął działalność wywrotową z ramienia KPP na terenie Zamościa i okolicy. Aresztowany w czasie akcji strajkowej robotników rolnych i przekazany do sądu. W śledztwie odmawiał wszelkich zeznań, zachowując się prowokacyjnie wobec funkcjonariuszy PP i władz sądowych. Skazany na 4 lata z paragrafu (takiego i takiego). Wygłasza na sali sądowej demagogiczne przemówienie, gloryfikujące ustrój sowiecki, pełne pogróżek pod adresem rządu. Odbywanie kary rozpoczął w Sieradzu. Nieposłuszny i niezdyscyplinowany... Uprawiał na terenie więzienia podburzającą agitację, łącząc się z podobnymi elementami dla wystąpień przeciw odpowiednim władzom. Był tzw. „delegatem celi". Wielokrotnie karany odbieraniem ulg... (a to sześć razy) i odosobnieniem (raz, dwa, trzy... razy). Podobno gruźlik. Element nieopanowany i niebezpieczny. Pożądana izolacja. Za zgodą Departamentu Więziennictwa MS (nr pisma) przekazany, w celu dalszego odbywania kary, do dyspozycji Naczelnika Więzienia w Łomży. Podpis. Pieczątka".

Następna charakterystyka mało się różniła od poprzedniej. — Banda... — syknął Szumski. Tak samo trzecia i dalsze. Zniecierpliwił się tylko i zirytował. Znał takich opisów tysiące. Skąd się ich tylu bierze?... — I zaczynaj tu z nimi... — bębnił palcami po biurku..." (str. 66).

Jak widać aparat więzienny, strażnicy, wykonują funkcję balaamowej oślicy.

Poprzez wypowiedzi wroga otrzymuje autor podwójny, bardzo wymowny, charakterystyczny efekt.

W więzieniu łomżyńskim toczy się zażarta, nierówna walka, a jednak mimo tortur, mimo rozpaczliwych i brutalnych prób narzucenia więźniom politycznym nowego regulaminu — natrafiają one na zdecydowany i zwycięski opór więźniów.

Udało się zmasakrować w karcerze Górniaka, zamordować go, ale to wywołuje w więzieniu raban, a poza murami więzienia akcję protestacyjną. W mieście ukazują się klepsydry, oznajmiające o mordzie dokonanym na więźniu politycznym i napisy na ścianach

domów zamieszkanych przez naczelnika więzienia i jego pomocników.

„Niezdyscyplinowani", „chwalą ustrój sowiecki", „im kto dłużej siedzi, większą siłę ma", „cegły — szkło dla nich", „więzienie — uczelnią...". Tak, nie można wystawić lepszego świadectwa komunistom... A że w tym nie ma żadnej przesady, widać z faktów walki i życia w więzieniu karnym w Łomży.

Pasternak pokazuje w sposób przekonywający pracę Zetki, sposoby kontaktowania się więźniów politycznych, ich ścisłą łączność z towarzyszami na wolności, ofiarną pracę MOPR-u. Pokazuje też, jak każde wydarzenie na terenie więzienia odbija się głośnym echem wśród klasy robotniczej, jak więzienie i komuniści na wolności (świetnie skreślona postać Józka Kandyby i telegrafisty kolejowego Ludwika) koordynują akcję. Widać też jak autorytet Komuny więziennej sięga daleko poza obręb miasta Łomży. Każde postanowienie Zetki staje się wiadome więźniom w 250 celach, a gdy zachodzi potrzeba sięga dalej. Gdy student Żychwa załamał się i za cenę urlopu zdrowotnego (był gruźlikiem) wydał skład Zetki — o jego haniebnym czynie, o jego zdradzie, dowiedziano się od razu w dalekiej Oszmianie, skąd Żychwa pochodził, a wszyscy towarzysze odwrócili się od niego. I gdy Żychwa popełnia samobójstwo w Oszmianie, wieść o tym dociera do Komuny więziennej w Łomży...

Pasternak świetnie pokazał uszlachetniającą, kształcącą, wychowawczą rolę Komuny, mądrą strategię walki z administracją więzienną, żywy kontakt walki, więzi serdecznego braterstwa łączące ludzi jedynie na podstawie przynależności do Partii. Pokazał, jak działalność Partii zyskuje sympatię u szerokich warstw ludności, jak ojcowie i matki więźniów faktycznie dalecy od ideowości, od postawy walczącej, nabierają przekonania dzięki zdecydowanej postawie swoich synów (stary woźny miejscowego gimnazjum, ojciec starosty Komuny, Henryka Bratkowskiego i Ajga Goldstein, matka Zygmunta), jak przy zachowaniu cech narodowych idea marksistowsko - leninowska stapia ich w jeden kruszec. W Komunie miasta Łomży widzimy Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Żydów, wszyscy oni żyją walką z ustrojem gwałtu i krzywdy, wszystkich łączy idea wyzwoleńcza leninizmu. Tak patrzy na ludzi autor - internacjonalista. Niesposób pominąć pięknie skreślonej postaci nieszczęśliwego chłopa ukraińskiego Hryćka, który postradał zmysły w więzieniu. Jego tragedia — to policzek wymierzony w ustrój krzywdy i gwałtu, który niszczy życie ludzi uczciwych, pracowitych, doprowadzając ich do aktów desperackich, by potem wpakować na 12 lat do więzienia.

Pamięta się portrety komunistów i obyczajowe obrazki z więzienia, dynamiczne opisy akcji (rabanów), zobrazowanie prac Zetki.

Jest rzeczą znamienną, że autor w ponurym otoczeniu więziennym potrafił odszukać tak wiele słońca, tak wiele piękna, tyle optymizmu i afirmacji życia. Tragiczna śmierć Górniaka w karcerze, zmasakrowanie Bratkowskiego nie dają powodu do biadolenia, lecz jeszcze bardziej ubojawiają Komunę. Areszt Józka Kandyby nie przerywa więzi łączącej z wolnością, gdyż pozostaje oddany sprawie Ludwik... I to światło zdrowego optymizmu ludzi walki, ludzi świadomych swej roli historycznej, promieniuje na czytelnika z tej pięknej książki, uczy go ofiarności, pokazuje, że zwycięstwo nie przyszło samo, lecz zostało zdobyte krwią serdeczną najlepszych synów klasy robotniczej, budowniczych nowych stosunków między ludźmi, budowniczych nowej rzeczywistości socjalistycznej.

Wbrew zasadzie, że wolno w ocenie mówić tylko o tym, co jest w książce, pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę na to, czego mi w Komunie miasta Łomży brak. Czynię to dlatego, że zasięg powieści Pasternaka wykracza daleko poza miasto Łomżę i poza ściany więzienia karnego. Książka ta daje typowy obraz bohaterskich zmagań klasy robotniczej z faszystowskim ustrojem sanacyjnym. A więc byłoby rzeczą konieczną podkreślić wyraźniej, że to, co się dzieje w Łomży, nie jest zjawiskiem odosobnionym, że tak walczyli również komuniści w Łukiszkach i w Brygidkach, w więzieniu mokotowskim, w Fordonie itd. Warto byłoby pokazać chociażby jedną postać komunistki. Książka zyskałaby jeszcze więcej, gdyby autor nakreślił szersze tło dziejowe, w którym odbywa się akcja powieści. Te napomknienia, które w książce są — nie wystarczają, są już zbyt marginesowe.

*

Leon Pasternak znany był dotychczas w naszej literaturze jako poeta, satyryk, a ostatnio zaprezentował się jako dramaturg. Zastanawiając się co z tych wszystkich gatunków uprawianych do tej pory przez Pasternaka weszło do nowego debiutu w dziedzinie prozy, trzeba z satysfakcją stwierdzić, że satyra została skrzętnie ukryta, nawet wtedy gdy malował kacyka sanacyjnego, pułkownika Klina-Zaklickiego, przedstawiciela „narodowego handlu" Stachurka, czy też inne kreatury reżimu sanacyjnego. Odnosi tu zwycięstwo poetycka zwięzłość, obrazowość i dramatyzm akcji, trzymającej czytelnika w nieustannym napięciu. Autor „zapożyczył" więc wszystko to, co prozie może tylko wyjść na dobre. I wyszło. Mamy nie tylko uporządkowane przeżycia autora, autentyczne wspomnienia więźnia sanacyjnego i bereziaka, lecz powieść tchnącą prawdą, powieść o tych, którzy wywalczyli nam Polską Rzeczpospolitą Ludową. Powieść wzruszającą, budzącą i aktywizującą do walki z siłami faszyzmu wszędzie tam, gdzie tylko są.

Ilustracje Danuty Staszewskiej oddają w sposób realistyczny niektóre sceny z książki — i są jakby dowodem plastyczności relacji autora.

Salomon Łastik

JAN KOPROWSKI: *Opowieść o moim ojcu.* Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1950; str. 239. *Sprawa Marcina Piechoty.* Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1951; str. 191.

W recenzji poniższej będziemy się zajmowali wyłącznie Koprowskim - prozaikiem, autorem Opowieści o moim ojcu i Sprawy Marcina Piechoty, jego proza bowiem nie jest tylko dodatkiem do działalności poetyckiej, ale posiada swoją własną, autonomiczną wymowę i wagę. Zacznijmy naszą recenzję od Opowieści o moim ojcu, książki pisanej w latach 1949—50, a wydanej w końcu 1950 roku. Zwracam uwagę czytelników na te daty, co w toku recenzji okaże się nieprzypadkowe. Dodajmy, że książka ta nie wywołała oddźwięku u naszych krytyków. A przecież debiut Koprowskiego na pewno zasługiwał na uwagę: bohater pozytywny będący główną postacią książki jest postacią nieschematyczną i kapitalnie uchwyconą. Ale nie śpieszmy się z wnioskami, przeczytajmy na wstępie rozważania autorskie określające zamierzenia pisarskie, których Opowieść o moim ojcu miała być rozwiązaniem: „Mój ojciec niczym się w życiu nie wyróżnił. Nie był bohaterem, nie posiadał odznaczeń i orderów, nie brał udziału w żadnej z wojen, nie pracował w podziemiu. W ogóle nie dokonał nic takiego, o czym opowiada się w książkach. Nie umiał nawet pisać i czytać. Mimo to, a może ra-

czej właśnie dlatego postanowiłem opisać jego życie. Opowieść o moim ojcu będzie zatem opowieścią o człowieku zwyczajnym, takim, jakich spotyka się wszędzie, na każdym kroku". Naturalnie trzeba w powyższych zdaniach należycie zrozumieć ich ironię, bijącą w kanony estetyki burżuazyjnej: literatura socjalistyczna nie neguje w ogóle bohaterów, ale tworzy nowych. To, że tworzy bohaterów wręcz przeciwstawnych „bohaterom" literatury burżuazyjnej — to właściwie stanowi o jej nowatorstwie. „Głównym bohaterem naszych książek powinna być praca" — uczył Gorki; a jak pokazać pracę, jeśli nie poprzez ludzi, którzy ją realizują, jak inaczej, jeśli nie poprzez powołanie do życia typowych przedstawicieli mas pracujących?

Opowieść o moim ojcu można by nazwać faktografią: bohater jej— rodzony ojciec Jana Koprowskiego — Jan Feliks, dziś człowiek po sześćdziesiątce, pracuje teraz w jednej z hut na Dolnym Śląsku... Ale wymowa książki Koprowskiego wykracza poza faktograficzność, nie jest też istotne, czy Jan Feliks jest dokładną kopią ojca pisarza, czy losy bohatera powieściowego są tożsame z losami żywego człowieka — istotne i ważne jest to, że książka Koprowskiego daje obraz typowy i realistyczny. Ukazanie typowej drogi starszego pokolenia „zwykłych ludzi" — od robotników czy fornali przygniecionych ciężarem ustroju kapitalistycznego do aktywnych i co ważniejsze świadomych budowniczych społeczeństwa socjalistycznego — to temat, który domagał się podjęcia w naszej literaturze. Jan Koprowski w Opowieści o moim ojcu podjął ten właśnie temat, ukazując go w sposób ideologicznie trafny, artystycznie zaś w dużym stopniu dojrzały. To jego bezsprzeczna zasługa.

Głównego bohatera poznajemy w momencie, kiedy zamiast chodzić do szkoły („Na co jemu szkoła?" — pyta dziedzic) ugania się po dworskich pastwiskach za stadem świń. Kolejno przebywa szczeble ówczesnego „awansu": po dwuletniej edukacji przy świniach przechodzi do pasania bydła, a następnie do młocki. Idą lata, zmienia się właściciel majątku, umiera ojciec Jana Feliksa, na którego z kolei spada główny ciężar utrzymywania rodziny. Jan Feliks staje się „pełnoprawnym" fornalem. Haruje od świtu do nocy: młóci, powozi końmi, orze. Przychodzi wojna, przemarsze wojsk, bitwy, tułaczka po ewakuacji wsi. Ale wszystkie te zdarzenia nie miały wielkiego wpływu na losy dworskich fornali. Okazało się również, że i utworzenie państwa polskiego nic w życiu Jana Feliksa nie zmieniło. Dziedzic uroczyście oznajmił, że „skończyła się wojna i Polska odzyskała wolność. Jesteśmy wszyscy wolni. Idźcie do domu pełni wiary w przyszłość, niewola należy do przeszłości" — ale dola fornalów nie zmieniła się ani na jotę, ich „wolność" oznaczała tylko swobodną sprzedaż swej siły roboczej. O fałszywej i prawdziwej wolności mówił w swoim czasie Stalin w rozmowie z Roy-Howardem: „Trudno wyobrazić sobie, jaka być może wolność osobista u bezrobotnego, który chodzi głodny i nie znajduje pracy. Prawdziwa wolność istnieje tylko tam, gdzie zlikwidowany został wyzysk i gdzie nie ma ucisku jednych ludzi przez innych, nie ma bezrobocia i nędzy, gdzie człowiek nie drży o to, że jutro może stracić pracę, mieszkanie i chleb. Tylko w takim społeczeństwie możliwa jest rzeczywista a nie papierowa wolność osobista i wszelka inna".

Jan Feliks, który na własnej skórze poznał, ile warte są frazesy o „wolności" w państwie burżuazyjnym, ale nie umiał jeszcze sobie z wieloma rzeczami poradzić, jedno wie na pewno: ten dzisiejszy świat trzeba obalić. I wtedy to,

gdy Jan Feliks dochodzi do takich wniosków, przechodzi za namową Żelaśkiewicza, działacza KPP, do pracy w fabryce. Tak rozpoczyna się nowy okres w życiu naszego bohatera: okres zdobywania świadomości rewolucyjnej.

Koprowski ma nerw pisarski, plastykę opisu, zdolność powoływania do istnienia żywych, kapitalnych postaci. Kłębi się aż w jego książce od sylwetek takich jak dziedzic Nowosielski, teść Jana Feliksa — Grad, księża: Brzoza i Koczkodaj, doktor Lamparski, jego żona, kierownik produkcji, Nalepiński, współtowarzysze pracy naszego bohatera w fabryce — Surma czy Sowa, działacz robotniczy, zamordowany następnie przez policję — Wiktor Krzos. I do tego wszystkiego — Jan Feliks, postać pełna i żywa, zarówno w troskach jak i w radościach, w życiu osobistym czy dojrzewaniu politycznym. Naturalnie można by mówić o usterkach debiutu prozatorskiego Koprowskiego. Dużo tu, szczególnie na początkowych kartach, nieporadności czy brąków. Tuła się z początku trochę naturalizmu i sentymentalizmu, ale rychło autor daje sobie radę z tym niebezpiecznym konglomeratem. Również postać np. Żelaśkiewicza jest i artystycznie „puszczona" i ideowo blada, niepełna. Zjawia się on trzy razy w życiu Jana Feliksa i zawsze działa trochę jak *deus ex machina*. Jest w nim również coś z pogrobowców żeromszczyzny, zresztą — mówiąc szczerze — nie wiemy o nim wiele. Pracuje niby z ramienia KPP, ale w działalności go nie widzimy. Za to sylwetka Wiktora Krzosa, robotnika - bojownika, jest jedną z najbardziej udanych w powieści.

*

Opowieść o moim ojcu była swego rodzaju powieścią historyczną — żywot Jana Feliksa zakończył bowiem autor na latach trzydziestych naszego stulecia, kiedy to w najcięższym okresie kryzysu pada optymistyczne wyznanie bohatera: „Jakoś przetrwamy do jutra, do tego naszego jutra. A wtedy będzie już łatwiej. No, bądźcie zdrowi!" Następny jego tom prozy — powieść Sprawa Marcina Piechoty — jest książką przesyconą problematyką współczesną, aktualną dla naszego dnia dzisiejszego. Sprawa Marcina Piechoty — to sprawa średniaka, proces jego długotrwałego i uciążliwego przełomu, próba uchwycenia procesu przekonywania się średniaka do nowego sposobu gospodarowania na wsi. Książka Koprowskiego będąca próbą ukazania tego procesu, jest pozycją ambitną, ale daleka od niej wiedzie jeszcze droga do powieści, która dałaby obraz przełomu dokonującego się na wsi polskiej. Problematyka współczesnej wsi nie znalazła dotąd w naszej literaturze należytego odbicia. Pisze o tym słusznie Anna Kamieńska w artykule Pierwszy alarm, drukowanym w nr. 116 Nowej Kultury: „W ciągu ostatnich trzech lat nasilenia walki klasowej na wsi powstało u nas niemało książek o tematyce wiejskiej, powstały dramaty, scenariusze filmowe, do zagadnień współczesnej wsi sięgała poezja. Ale nie znaczy to bynajmniej, aby sprawa artystycznego ujęcia problematyki wsi posunęła się wyraźnie naprzód, abyśmy w tej dziedzinie mieli poważniejsze osiągnięcia. Nie mamy jeszcze książek, które by dzięki dojrzałemu ideowo i artystycznie kształtowi mogły głębiej oddziaływać i w walce o nową wieś przyjąć swój aktywny udział. Nie mamy nawet skromnego odpowiednika Zoranego ugoru Szołochowa." To słuszne! Ale nie mogę się zgodzić z Kamieńską, kiedy przechodząc następnie do analizy poszczególnych pozycji potępia je wszystkie w czambuł, poświęcając każdej jedno czy kilka zdań. Wydaje mi się, że słusznie żądając, aby ukazała się książka, dająca obraz naszej wsi, na miarę Zoranego ugoru, nie

można zapominać, że nigdy i nigdzie nie ukazują się tylko książki o tej klasie. Trzeba sprawiedliwie ocenić wysiłek każdego pisarza i pomóc mu w dalszej jego drodze. Mówił o tym właśnie Jerzy Putrament w swym referacie wygłoszonym na ostatnim Plenum Związku Literatów. Dlatego nie mogę w pełni podpisać się pod jednozdaniowym negatywnym osądem Sprawy Marcina Piechoty, dokonywanym przez Kamieńską (chociaż rozumiem, że w syntetycznym artykule trudno o pełną ocenę blasków i cieni każdej pozycji). Powieść Koprowskiego jest powieścią nierówną, miejscami słabą, miejscami interesującą — dlatego należy jej się pełniejsza analiza i krytyka.

Koprowski zarysował w swej powieści powojenne losy Marcina Piechoty, średniorolnego gospodarza z Czajęcic w okolicach Opatowa, i trojga jego starszych dzieci.

Autor nie każe Piechocie od razu zapisać się do spółdzielni, pokazuje tylko pierwszy krok na drodze przełomu, bowiem proces wydostawania się zbłąkanych Piechotów na właściwą i jedynie słuszną drogę jest procesem długim, skomplikowanym i wymagającym dużego wysiłku tak uświadamiającego, jak i przykładowego ze strony przodujących chłopów. Książka Koprowskiego jest jednak — jak to już podkreśliłem — książką nierówną, w dużym stopniu z powodu jakiegoś dziwnego lekceważenia, i to zarówno konstrukcji i konsekwencji przy rysowaniu pewnych problemów i postaci, jak też z powodu zwykłych niezdarności stylistycznych, „puszczenia" całych fragmentów. Na przykład postać i dzieje Wiktora oraz akcja kontaktów wojska z chłopami zostały przedstawione tak papierowo i deklaratywnie, że czytelnik nie czuje się przekonany artystycznie o postępowaniu Wiktora. Także zakończenie wątku Bawolski — Bronka jest niekonsekwentne. Takich braków dałoby się wyliczyć dużo więcej...

Tak więc druga książka Koprowskiego powinna być dla autora sygnałem ostrzegawczym: walka o podniesienie jakości, o zamknięcie słusznej treści w dojrzałym kształcie artystycznym powinna stać się wytyczną w jego dalszej pracy prozatorskiej. Wydaje mi się również, że autor mający dużą łatwość pisania, nie panuje jeszcze nad konstrukcją większych całości, stąd warto może, aby popracował nad mniejszymi opowiadaniami, co pomogłoby mu w dalszej pracy powieściowej.

Ludwik Grzeniewski

WILHELM SZEWCZYK: *Kleszcze*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa; str. 236.

Powieść Wilhelma Szewczyka Kleszcze rozgrywa się w ściśle określonych i szczupłych granicach czasu: od świtu 31 sierpnia 1939 roku, do następnego świtu, pamiętnego pierwszego września. Ten jeden dzień, 24 godziny akcji, jest szczelnie zapełniony natłokiem spraw i wydarzeń. Bo też ów dzień był ważki i niezwykły, był ostatnim dniem poprzedzającego go etapu dziejowego, a równocześnie wstępem do wielkiego dramatu drugiej wojny światowej. Atmosferę wojny czuje się już wyraźnie, ziemia drży, słychać czołgi, nadciągające po drugiej stronie granicy. Ale zewnętrzne pozory są jeszcze pokojowe, maszyny pracują prawie normalnie, ludzie przeżywają zwyczajne swe troski, układają plany. Wilhelm Szewczyk doskonale uchwycił nastrój tego czasowego „pogranicza" między wojną a pokojem, ów moment przejściowy. Zarazem jednak dzień 31 sierpnia 1939 roku służy pisarzowi jako wielki skrót artystyczny. W wydarzeniach tego dnia skupiają się jak w soczewce długie szeregi dni poprzednich, które tę chwilę przygoto-

wały, które ją uwarunkowały i umożliwiły. Można z opisu dnia historycznego odczytać dzieje wielu lat poprzednich. A zarazem otwierają się tu już perspektywy na okresy przyszłości.

Nie tylko czasowe ramy tej powieści są ściśle i szczelnie odgraniczone. Można by to samo powiedzieć o ramach przestrzennych. Akcja Kleszczy rozgrywa się w określonej części Polski, na Górnym Śląsku; specyficzne warunki bytu żywego i gospodarczo zwartego organizmu — to ważny element powieściowego nastroju. Lecz trzeba powiedzieć dokładniej: choć akcja Kleszczy przerzuca się chwilami w inne strony, właściwy jej teren jest jeszcze węższy. Chodzi tu o jedną konkretną miejscowość górniczą w powiecie rybnickim i o sprawy jednej konkretnej, dokładnie przez wyobraźnię autora określonej kopalni. Te dobrowolne ograniczenia znanego poety śląskiego, debiutującego obecnie w prozie, mieściły w sobie śmiałe i ryzykowne decyzje. Trzeba było na ciasnej przestrzeni i w szczupłym czasie literackim zamknąć wielką ilość niezmiernie ważnych zagadnień. Sprawa Górnego Śląska wiąże się bowiem najściślej ze wszystkim, co wtedy wstrząsało Polską, co wiązało się z losem naszego kraju i całej naszej cywilizacji. Powiązanie, zazębienie spraw najrozmaitszych ukazał autor w szerokich perspektywach; może właśnie owo lokalne zacieśnienie pozwoliło mu na mocniejszy, jaśniejszy i bardziej przekonywający ton. Prawa kondensacji artystycznej stają się w rękach pisarza-realisty narzędziem uogólnienia.

Szczególną, jedyną w swoim rodzaju atmosferę Śląska z r. 1939, ukazał Szewczyk jako atmosferę walki. Są wprawdzie w powieści żywioły na wpół bierne, niezdecydowane, oscylujące między obozami. Główny jednak nurt wydarzeń to starcie dwóch wielkich sił, z których jedną reprezentuje rewizjonistyczny i reakcyjny hitleryzm niemiecki — a drugą wyraźna, zgodna i jasna, choć nie całkiem jeszcze zorganizowana — wola śląskiej klasy robotniczej. Akcja, metody i środki taktyczne hitlerowców pokazane są w Kleszczach z plastyką wręcz imponującą. Autor ukazuje całą galerię renegatów, fanatyków, spryciarzy, kombinatorów. Jedni działają na rzecz bliskiej już inwazji hitlerowskiej w sposób jawny, bezczelny, demonstracyjny, prowokatorski: taka jest ich funkcja, takie zadanie ustalone dokładnie przez mocodawców z zewnątrz, którzy z góry rozdali i wyznaczyli role. Inni wyznawcy Trzeciej Rzeszy pracują w sposób subtelniejszy, bardziej wyrafinowany i przebiegły — udają na razie Polaków, czasem nawet polskich patriotów, nie odkrywają kart, zadowalniają się akcją obserwacyjną, zakłócaniem produkcji, usuwaniem możliwości antyfaszystowskiego i narodowego oporu. Jedni hitlerowcy działają z przekonania, ze swoiście pojętego patriotyzmu niemieckiego, inni wyobrażają sobie, iż na przewrocie zrobią doskonały interes. Sylwetek tych działaczy jest w powieści kilkanaście; każda niemal zarysowana wyraziście, każda inna.

Obóz antyfaszystowski także jest zróżnicowany. Mamy tu zdecydowanych i uświadomionych komunistów polskich, którzy współdziałają z pracującymi w najgłębszej konspiracji towarzyszami niemieckimi. Mamy uczciwych patriotów, uświadamiających sobie coraz jaśniej, iż sprawa Śląska i Polski łączy się najściślej ze sprawą klasy robotniczej. Wśród ludzi obozu antyfaszystowskiego najjaśniej rysują się sylwety robotnicze: sztygarów, monterów, nadsztygarów, prostych górników. Autor potrafi myśleć ich myślami, mówić ich języ-

kiem zabarwionym wyrazistą gwarą, wierzyć ich nadziejom.

Wspomniałem o niezdecydowanych. Ich reprezentantem jest młody dziennikarz Emil, który na pierwszych kartach wydaje się głównym bohaterem powieści, aby później zejść nieco w dalsze szeregi. Syn górnika śląskiego, byłego powstańca i uświadomionego działacza, sam jednak dezerter z terenu, powraca na Śląsk, by wziąć udział w pogrzebie ojca; autor pozwala nam się domyślić, że Emil już na Śląsku zostanie, że weźmie udział w walce podziemnej okresu okupacyjnego, którą opiszą zapewne tomy następne. Jak bowiem głosi przypisek: „K l e s z c z e stanowią pierwsze ogniwo cyklu powieściowego o życiu i walce klasy robotniczej Śląska". Na razie jest ów Emil postacią niecałkiem dla nas skrystalizowaną i jasną; jak często bywa, ów bohater wprowadzający nas niejako w krąg spraw i zagadnień, w gąszcz górnośląski, blednie sam i szarzeje wobec barwności postaci innych. Nie bardzo jasna jest również sprawa owego odstępstwa Emila i jego nawrócenia; sprawa wyjazdu ze Śląska i powrotu na tę ziemię nie przekonywająco wiąże się ze sprawą ewolucji ideowej.

Czekamy na dalsze ogniwa tego cyklu powieściowego, jaki nam obiecuje Wilhelm Szewczyk. K l e s z c z e są jednak utworem całkowicie wyodrębnionym i tłumaczącym się samodzielnie. Szkoła tworzenia poetyckiego dała Szewczykowi w ręce niejeden środek, ożywiający jego kunszt prozaika. Przykładem może być już sam tytuł powieści: tytuł wieloznaczny w sensie bogactwa, plastyki i głębi. To przecież funkcja tytułu, by pozwalał czytelnikowi na ogarnięcie wielu spraw, zawartych w dziele artystycznym. Wydaje mi się, że tytuł K l e s z c z e nasuwa z jednej strony barwny obraz hitlerowskiej inwazji psychologicznej na Śląsk w r. 1939, zaciskający się jak kleszcze na żywym ciele kraju. Lecz równocześnie mają kleszcze jeszcze i inne znaczenie: jako narzędzie monterskie, służące do usuwania uszkodzeń w kopalni, stają się pod koniec powieści — pojęciowym i artystycznym odpowiednikiem pierwszych narzędzi walki uświadomionych robotników przeciw faszystowskiej przemocy. Mimo straszliwości rozgrywających się wypadków 1939 roku, powieść Wilhelma Szewczyka kończy się akcentem nadziei; akcentem wiary w siłę i końcowe zwycięstwo robotników.

Wojciech Natanson

EDMUND NIZIURSKI. *Gorące dni.* Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951; str. 252.

Zebraniem podsumowującym osiągnięcia i zdobyte doświadczenia zarządu i członków spółdzielni produkcyjnej im. Marchlewskiego na Ochocie kończy Edmund Niziurski debiutancką powieść o życiu w spółdzielni produkcyjnej. Skrupulatnie i lojalnie rejestruje Niziurski wszystkie możliwe do wydedukowania z zaprezentowanych wydarzeń powieściowych nauki moralne, jak się wydaje autorowi, niedostatecznie zrozumiałe dla czytelnika, który zdaniem Niziurskiego przeświecającej fakty powieściowe myśli autorskiej mógłby nie przejrzeć.

Wyliczmy w porządku zanotowanym przez Niziurskiego owe wnioski wychowawcze z zebrania. Przewodniczący spółdzielni ochockiej dbał o technikę i gospodarczy postęp spółdzielni, ale ponieważ zaprzepaścił sprawę podniesienia poziomu technicznego członków, przyczynił się do przedstawianych w powieści trudności, umożliwił kułacką dywersję, narażając spółdzielnię na bardzo poważne niebezpieczeństwo; sto-

sowany przez władze nacisk administracyjny opóźniał oddziaływanie na wahające się chłopstwo, skazując je na pastwę wpływów kułackich; władze partyjne nie potrafiły utrzymać kontaktu z masami, a wiadomo, że „dowódca, który się wyrywa naprzód i odłącza od swojej armii zamiast ją na pozycję podciągnąć, to niedobry dowódca, bo sam zginie i swoją armię zgubi"; w Podstawowej Organizacji działał jedynie sekretarz, a „kierować — to nie znaczy za wszystkich robić, ale właśnie umieć rozdzielić robotę między ludzi"; nie zmobilizowano sojuszników i pomocników, organizacji zetempowskiej i Koła ZSL i wreszcie na końcowym zebraniu przewodniczący Pałys naiwnie stwierdził, że walka już wygrana i zakończona, co autorowi dało wspaniałą okazję do wypowiedzenia ustami sekretarza Komitetu Powiatowego nauki moralnej, że walka nie jest zakończona, że socjalizm jeszcze nie zrealizowany.

Takie zakończenie powieści przypieczętowało artystyczną klęskę pisarza, który zwątpił — i to chyba jest wyrazem samokrytycyzmu — w sugestywność artystycznej wizji, bo z pewnością nie w jej jednoznaczność, skoro na dwustu pięćdziesięciu stronach druku nie znalazł miejsca na pokazanie chociażby jednego zachowania się któregoś z bohaterów, które by wymagało innej motywacji niż socjologicznej. Abstrahując od natrętnego dydaktyzmu, posuniętego do tego stopnia, że czytelnik przy lekturze ostatniego rozdziału czuje się upokorzony posądzeniem o zupełną tępotę umysłową, wypadnie stwierdzić ubóstwo i oczywistość nauk moralnych, którymi autor chciał się z czytelnikami podzielić, jeżeli w podsumowaniu zawarł wszystko, co miał do powiedzenia. By dowiedzieć się wyżej wymienionych prawd, nie potrzeba byłoby czytać powieści Niziurskiego, co oczywiście nie znaczy, że w powieści traktującej o socjalistycznej przebudowie wsi prawdy tego typu nie powinny się znajdować implicite.

W wypadku Niziurskiego sumienności autora przy analizie własnego dzieła nie da się niestety zakwestionować. Niziurski wydobył wszystko, co było do wydobycia. Bo co się działo w ochockiej spółdzielni produkcyjnej? Spółdzielnia — jak można się domyślać — nie powstała z oddolnej inicjatywy nadzieleńców, którzy własny zagon otrzymali przy likwidacji ochockiego dworu, ani z inicjatywy biedniaków i średniaków z Janowych Dołów. Spółdzielnia była zasługą w głównym stopniu sekretarza O. P., Ślimaka, i przewodniczącego Pałysa, którzy kierowali jej losami niepodzielnie. W lipcu 1950 roku przed spółdzielnią stały ogromne zadania: budowa szosy, która miała zlikwidować upośledzenie biedniaków z Janowych Dołów w stosunku do kułaków z Janowych Gór, którzy szosę na koszt gminy pobudowali za sanacji, elektryfikacja wsi, budowa spółdzielczych domków, które zobowiązano się wykończyć przed świętem lipcowym i żniwa, zadanie chyba najważniejsze. Tymczasem w spółdzielni źle się poczynało dziać. Członkowie zdani na wpływy kułackiej propagandy zaniedbywali się w obowiązkach i nie przychodzili do pracy, wprawdzie elektryfikacja została zakończona dzięki brygadzie robotniczej, ale z domkami było krucho, zawiodły maszyny TOR-u i przy żniwach trzeba było liczyć tylko na własne siły, a zboże już było bardzo dojrzałe. W dyskusji nad terminem rozpoczęcia żniw członkowie spółdzielni poszli za radą kułackiej wtyczki w spółdzielni, Churysia, który powołując się na konieczność wypełnienia zobowiązania lipcowego radził wstrzymać się ze żniwami.

Podstawowy w powieści konflikt: żniwa czy zobowiązanie jest, jak traf-

nie zauważył Lucjan Rudnicki w dyskusji w ZLP, najzupełniej nierealny, bo dla chłopa w czasie żniw nie istnieje nic ważniejszego i sposób rozumowania Churysia musiałby być od razu poczytany za sabotaż. Wyjaśnienie, że średniakom, którzy posiadali działki indywidualne, zależało na czasie, aby przeprowadzić żniwa u siebie, jest również bezpodstawne, bo opóźnianie żniw nie zwalniało ich od obowiązku pracy przy budowie domów. W dodatku członków spółdzielni, którzy posiadali działki indywidualne, nie było przecież zbyt wielu. Niziurski w innych wypadkach również nie zdradza wnikliwego znawstwa wsi. Każe np. kułakowi Momotowi urządzać wesele wychowanicy na dzień przed rozpoczęciem żniw, co w rzeczywistości także nie mogłoby mieć miejsca, bo chłopskie wesela w czasie żniw się nie odbywają, chyba z konieczności, a ta w wypadku omawianym nie istniała.

Wystarczyły dwa zebrania, spółdzielców i organizacji partyjnej, by wszystwie te dosyć sztucznie skoncentrowane konflikty (kułacy w dodatku popełniają sabotaż, niszcząc spółdzielczy traktor) rozwiązały się w sposób prosty: członkowie wzięli się do pracy, pomogły im brygady robotnicze, i żniwa poszły jak z płatka. Ponieważ robotnicy pomogli indywidualnym biedniakom i średniakom, naprawiając w ten sposób błędy zarządu spółdzielni, sukces był zupełny, bo spółdzielnia zyskała nowych jedenastu członków. Analiza działalności spółdzielni na zebraniu po ostatecznym zdemaskowaniu kułackiego spisku jest więc w pełni adekwatna, Niziurski wyciągnął akurat tyle morałów, ile zamknął w fabule powieściowej.

Tej nie wyłożonej w podsumowaniu reszty można by więc szukać w realizmie psychologicznym, bo przecież pisarz, jeśli ma w ogóle coś do powiedzenia o życiu, realizuje to w postaciach bohaterów, w ich życiu wewnętrznym, ukazując skomplikowanie człowieka i jego losów. Tych głębi jednak wiedza Niziurskiego o życiu, przynajmniej na wsi, nie sięga. W kreśleniu postaci bohaterów zastosował Niziurski w klasycznym wydaniu schemat wulgarno-socjologiczny. Dziesiątki bohaterów, których wyliczaniem trudził się Andrzej Lam w referacie o Gorących dniach na zebraniu Związku Literatów, dadzą się pomieścić w trzech kategoriach postaw moralnych, uwarunkowanych rozwarstwieniem klasowym na wsi, przy czym postawy te dałoby się scharakteryzować za pomocą prostych formuł: pozytywny, ewentualnie nieuświadomiony przedstawiciel biedoty wiejskiej, chwiejny i niezdecydowany średniak, łypający okiem raz na bogaczy, raz na biedotę i cynicznie podły bogacz. Pomijając zbrodniczego Wosia wartość moralna bohaterów Niziurskiego pozostaje w stosunku odwrotnej proporcjonalności do ilości hektarów posiadanej przez nich ziemi. Takie postawienie sprawy nie byłoby ostatecznie przestępstwem, gdyby autor nie czuł się zwolniony od obowiązku indywidualnej motywacji postawy każdego bohatera. Niziurskiemu wystarcza jednak wyciąg z ankiety personalnej i jest to prawie jedyna metoda prezentowania postaci w powieści. I dlatego ilości wprowadzanych postaci Niziurski nie jest skłonny ograniczać, bo wprowadzenie nie przedstawia większych trudności. Bohaterowie Gorących dni nie mają zresztą własnego życia, nie podlegają indywidualnym losom, pozostają tylko w takim czy innym stosunku do spółdzielni produkcyjnej, a to jest już bardzo niedobrze.

Stacha Klimka obdarzył Niziurski indywidualnym losem, choć zademonstrował konflikt miłosny bez miłości. Stach Klimek chce się żenić ze Stefką Momotówną, wychowanicą kułaka Momota. Stefka jest właściwie wyzyskiwa-

ną przez opiekunów biedniaczką, pomiędzy narzeczeństwem nie ma więc powodów do konfliktu (jak misternie usytuował autor heroinę, by nie sprzeniewierzyć się wulgarnemu socjologizmowi. Chcąc nie chcąc Stach wchodzi w środowisko kułackie, dając się złapać na kułacką dobroć (prezenty ślubne od Momota i dwanaście zapisanych morgów) i narażając się w ten sposób organizacji zetempowskiej. Dlaczego Momot upatrzył sobie czerwonego Stacha na zięcia, nawet sam Niziurski musi w bardzo skomplikowany sposób motywować. W każdym bądź razie Stach w czasie żniw zamiast w spółdzielni pracuje u Momota i jest przekonany o jego dobroci. Surowa krytyka kolegów zetempowskich zdaje się Stacha utwierdzać na złej drodze. Wydaje się, że Stach z sideł kułackich wydrzeć się nie zdoła. Przy dość konsekwentnym wystrzeganiu się przez Niziurskiego przedstawiania procesów, zachodzących w świadomości ludzkiej, czytelnik niepokoi się, w jaki sposób autor doprowadzi Stacha do właściwych pozycji ideologicznych. Niziurski zastosował wstrząs elektryczny. Stacho przypadkowo wykrywa kułacki spisek, zasłona spada mu z oczu, a ZMP nie może mieć już żadnych zastrzeżeń. Perypetie jednostki i zbiorowości znalazły wspólne rozwiązanie.

Do rezygnacji z realizmu psychologicznego, z psychologicznej motywacji postępowania bohaterów, do ograniczenia się do demonstracji wulgarno-socjologicznych schematów dochodzą znamienne w powieści niekonsekwencje: zbyt wczesna demaskacja szwarccharakterów (Churyś, Woś, Sobczyk), naiwność sytuacji, gdy podejrzenie o sabotaż rzuca się na weselników Momota, choć sabotaż ten mógł być i zresztą był dokonany przez człowieka nie uczestniczącego w uroczystości weselnej, rezygnacja wreszcie z odkrycia kulis kułackiego spisku, co zresztą wyklarowałoby polityczny plan powieści, bo tego typu spisek kułacki mógł istnieć jako agenda imperialistycznego środka dywersyjnego, o czym w powieści głucho.

U Niziurskiego troskę o kunszt pisarski, o artystyczne ukształtowanie obrazu literackiego, dałoby się dostrzec zaledwie w niewielu fragmentach książki. Do nich należy parodia kazania reakcyjnego klechy. Wygłasza je ksiądz Magnus po ślubie Stacha ze Stefką, w ewangelicznych metaforach przemycając przejrzyste dla chłopów aluzje polityczne (str. 108—109). Do nich należy rozdział XIII, w którym Niziurski prezentując zapisy rejentalne Momotów u rejenta Kołkiewicza w Klimontowie ukazuje w artystycznym skrócie genealogię polskiego kułactwa, obnażając mit jakoby pobożnością i pracą bogacze osiągnęli dobrobyt. Niestety, takich partii książki jest niewiele. Brak w niej w ogóle opisów, brak celowej kompozycji (wytknięta przez Lama ekspozycja, zajmująca nieomal połowę książki), brak wyraźnej troski o szatę językową, bo o trosce takiej nie świadczy prymitywizm na szczęście nie nadużywanej stylizacji gwarowej („Robimy mleko, kumoter! — krzyknął Momot" str. 5) i sztuczność dialogów (słynne, bo powtarzane w mówionych dowcipach na temat książki zapytanie księdza-patrioty Szczotki: „A Apel Sztokholmski, bracie, podpisałeś?" skierowane do Stacha przy zapowiedziach, albo „Złapiemy, kolego, jeszcze dziennik wieczorny? — pytał Pałys. — My tu na wsi ciekawi, Korea, wiecie..."). Można by wytknąć Niziurskiemu wiele innych śmiesznostek, naiwności, jak chociażby rozpaczliwie nieudolne próby wykrzesania humoru „kawałami z brodą", gdy na przykład nauczyciel Więckowski, postać negatywna, miał jakoby z upodobaniem opowiadać, jak to w czasie zimy krył się przed wrogiem w życie (str. 127), lub gdy

Strójwąs opowiada, jak to Klimek u Buraka pracował przy żniwach „ino gwizdało“ (str. 137), ale nie o to chodzi. Błędy wulgarnego socjologizmu wystąpiły u Niziurskiego z większą niż gdziekolwiek indziej jaskrawością. I one zaważyły nad całą koncepcją Gorących dni. Nad Niziurskim beletrystą zaciążył Niziurski publicysta. Wiedza, zaczerpnięta z Rocznika Statystycznego do napisania powieści o życiu współczesnej wsi wystarczyć nie może. Jeżeli proces kształtowania się socjalistycznej świadomości proletariatu, wychowywanego na wsi w czasach kapitalizmu w warunkach społecznego charakteru produkcji, jest problemem skomplikowanym, jakże bardziej skomplikowany jest taki sam proces zachodzący u chłopstwa, które do socjalizmu startuje wprost od prymitywu indywidualnej gospodarki drobno-towarowej, w ciągu miesięcy przechodząc stadia rozwojowe, trwające dziesiątki lat. Kękusie, Plichty, Gilzy i Klimki żyją w czasach wielkich przemian, ich rewolucja światopoglądowa burzy wrosły w krew chłopstwa świat pojęć, niweczy świat tych tak zwanych pierwotnych instynktów, wyzwala nowoczesnego człowieka. Przed pisarzem staje tutaj ogrom niepowtarzalnych problemów, których żaden statystyk wykazać nie potrafi, których żaden artykuł publicystyczny nie rozwiąże, a nawet nie zasygnalizuje, a których wydobycie mogłoby spełnić ogromną rolę wychowawczą, taką, jakiej się od pisarzy, „inżynierów dusz ludzkich“, wymagać powinno.

Henryk Bereza

NATAN RYBAK: *Rada perejasławska.* Przełożyła z jęz. ukraińskiego Maria Traczewska. Okładkę projektował Janusz Grabiański. „Książka i Wiedza“. Warszawa, 1951; str. 650.

Nie posiadamy dotąd pełnej wiedzy o dziejach walki wyzwoleńczej ludu ukraińskiego stoczonej w połowie XVII wieku pod wodzą Bohdana Chmielnickiego przeciwko szlacheckiej Rzeczypospolitej, przeciwko szlachcie i „królewiętom kresowym“ oraz jezuickiej przewrotności, przeciwko siłom uosabiającym ucisk społeczny i narodowy. Wiedzy tej dostarczyła nam w niedostatecznym na razie stopniu marksistowska historiografia, wiedza ta nie przemówiła dotąd z kart sugestywnych, prawdziwie artystycznych dzieł sztuki. Potoczne doświadczenie nakazuje co najmniej jednakowo doceniać oba wymienione źródła, z których powinna dotrzeć do czytelnika prawda o pięknych dziejach walki o wolność ludu ukraińskiego. Jeśli zaś chodzi o ten konkretny problem, trudno nie orzec, że walor dzieła sztuki jest tu zapewne bardziej doniosły. Pamiętajmy bowiem, jak bardzo na wyobrażenia polskiego czytelnika oddziałał mistrz prozy polskiej — Sienkiewicz, który swym niezwykłym talentem narzucał fałszywy, reakcyjny obraz „wojen kozackich“. Są to sprawy na ogół dobrze znane. Jeden ze współczesnych historyków — profesor uniwersytetu wrocławskiego, Władysław Czapliński, poświadcza ów stan rzeczy charakterystycznym wspomnieniem: „Jeszcze w latach dwudziestych pytając z historii przy maturze wiedziałem, że nawet najsłabszego ucznia wyratuję, dając mu temat związany z wojnami kozackimi lub szwedzkimi za panowania Jana Kazimierza. W tym wypadku bowiem uczeń nawet niezbyt przygotowany z historii odpowiadał niemal śpiewająco dzięki dobrej znajomości Trylogii“ (Zeszyty Wrocławskie, 1948, nr 2). Wynikają z tego, niestety, dwa wnioski: pierwszy, że Ogniem i mieczem kształtowało wiedzę ucznia, drugi — że wnioski wyniesione z lektury tej powieści uznawano za prawdziwe, że uczeń formułując je odpowiadał „śpiewająco“. Niewątpliwie wiele

zmieniło się po latach w tym zakresie. Ale gdy jeszcze około dwudziestu lat temu prof. Olgierd Górka zakwestionował prawdę historyczną powieści Sienkiewicza, wysłuchać musiał wiele gorzkich słów o „szarganiu świętości narodowej". To swoiste pojmowanie „świętości narodowych" mamy już na szczęście za sobą. Ale do otrzymania od polskiej historiografii pełniejszej wiedzy o wojnie wyzwoleńczej ludu ukraińskiego jest dość daleko. Jeszcze w 1946 roku historyk zbliżający się coraz bardziej do obozu postępu *expressis verbis* pisał o „rewolucji kozackiej", że zwalczała ona ustrój ziemiański „z wstecznych gospodarczo pozycyj ideologicznych i nie przeciwstawiała mu dojrzalszego ustroju..." I od tego czasu sporo się zmieniło. Słusznie, choć nazbyt lapidarnie, ocenia dzieje walk o wyzwolenie Ukrainy podręcznik H i s t o r i i P o l s k i dla szkół średnich Missalowej i Schoenbrenner, dużo słusznych uwag wypowiedziano na ten temat w publikacjach ogłoszonych w związku z trzechsetną rocznicą powstania chłopów podhalajskich pod dowództwem Aleksandra Kostki-Napierskiego.

Wiele obiecujący jest także wzrost zainteresowań historyków polskich zagadnieniami walk społecznych chłopstwa przeciwko uciskowi feudalnemu w szlacheckiej Rzeczypospolitej (obrady kieleckie zjazdu naukowego historyków, który odbył się w czerwcu br.).

Radziecka historiografia wiele uczyniła już dla właściwego oświetlenia dziejów wojny wyzwoleńczej Ukrainy pod wodzą Chmielnickiego. Dokonała ona zasadniczego przewartościowania sił napędowych walki, ukazała w sposób pełny jej właściwe źródła i tendencje rozwojowe, rolę poszczególnych warstw społeczeństwa ukraińskiego w tych dziejowych zmaganiach, ukazała rzeczywistą postać Chmielnickiego i jego historyczne zasługi. Nauka radziecka musiała w tym celu rozbić fałszywe, nacjonalistyczne koncepcje burżuazyjne, zwłaszcza burżuazyjno-nacjonalistyczne poglądy w historiografii ukraińskiej, zaciemniające klasową treść wojny narodowo-wyzwoleńczej ludu ukraińskiego.

Także sztuka radzieckiej Ukrainy podejmowała próby ukazania dziejów walk Chmielnickiego, korzystając z bogatych doświadczeń praktyki realizmu socjalistycznego w dziedzinie twórczości o tematyce historycznej. Dotychczas najudatniejszym rezultatem jest przełożona ostatnio na język polski obszerna powieść współczesnego pisarza ukraińskiego, Natana Rybaka, R a d a p e r e j e s ł a w s k a. Jest to dobra powieść. I jej wydanie w dobrym przekładzie polskim jest ze wszech miar inicjatywą pożyteczną.

II

Książka Rybaka jest udaną próbą epicką. Autor pisze o wielkich dziejowych sprawach, ich najwybitniejszych aktorach indywidualnych, o działaniu szerokich mas i jego odbiciu w jednostkowych losach postaci powieściowych. Ukazuje obiektywne wydarzenia i ich złożone pojmowanie przez tych ludzi, którzy je wywołali i tych, którzy je obserwowali. Książkę charakteryzuje szerokie tło dziejowe, włączenie w nurt prozy artystycznej historycznych wydarzeń i ludzi. Imponuje plastyka obrazu dziejowego i uwzględnienie w nim najistotniejszych elementów w sposób godny zarówno pisarza jak i historyka. Obie umiejętności świetnie harmonizują ze sobą. Wiedza historyczna pisarza — naprawdę imponująca — nie czyni zeń suchego kronikarza pełnych patosu dziejów, pisarz nie ucieka, jak to się zdarza aż nazbyt często w O g n i e m i m i e c z e m, ze sceny historycznej za kulisy Falstaffowych tarapatów i romansowych czy

malowniczo - batalistycznych epizodów. Rybak w sposób bardzo sugestywny, operując najrozmaitszymi środkami artystycznymi, ukazuje wielkość zmagań o wolność i ich sens historyczny. „Życie to nie baśń piękna, nie dumá śpiewana przez lirnika“ (str. 319). Prawa życia są nieubłagane i opanować je mogą jedynie ci, co potrafią je pojąć i chcą je kształtować. Ukazanie więc treści historii, jej tendencji rozwojowych, sił społecznych i ludzi kształtujących jej oblicze jest warunkiem prawdy opowieści o jej wielkich sprawach i twórcach. Ten warunek Rybak spełnia nie sprzeniewierzając się obowiązkom pisarza. Niezwykle rozległy jest widnokrąg spraw, które wyciskały swe piętno na dziejach wyzwoleńczego porywu ludu ukraińskiego, jego przebiegu i kierunku. I to ukazuje Rybak. Kozacy wznawiający pod wodzą Chmielnickiego nigdy nie zamierającą walkę przeciwko okrutnemu uciskowi społeczno-narodowemu mieli już za sobą bogate doświadczenie oparte na tragicznych klęskach i gorzkich niepowodzeniach. Powoli ustępować musiała wiara pokładana tylko w szabli, która okazała się zupełnie niedostateczną gwarancją wolności. Na niej nie można już było poprzestać. I wiedzieli o tym najlepsi z bojowników o swobody kozackie i swobody ludu ukraińskiego. Chmielnicki, który przetrawił te doświadczenia i pojął tę prawdę, w ujęciu Rybaka rozważa z troską o swych towarzyszy broni: „Czas, by zrozumieli, że samą szablą nie zdobędziesz wiecznej wolności dla Ukrainy. Nie w szabli tylko siła“ (268). Z jednej strony szlachecka Rzeczpospolita za sprawą „kresowych królewiąt“ i w śmiertelnym strachu przed rozszerzeniem się zarzewia powstania chłopskiego, antyfeudalnego, zmobilizowała wszystkie siły, na jakie była zdolna się zdobyć, aby „ogniem i mieczem“ zdławić powstanie ludowe na Ukrainie. Tatarzy traktowali kraj jako teren grabieży i obfitego jasyru. Mimo nieszczęść, o które ich obecność na Ukrainie przyprawiała ludność, musiał się z nimi Chmielnicki sprzymierzyć, aby przeszkodzić ich porozumieniu się z Polską. Lud oczekiwał bezpośredniego spełnienia swych odwiecznych marzeń o wolności, ochrony przed Tatarami. Znaczna część starszyzny kozackiej, łasa na złoto i majętności, skłócona między sobą, nie solidaryzująca się z aspiracjami mas, skłonna była do spiskowania i zdrady. Wobec takiego stanu rzeczy stał Chmielnicki. Niebezpieczne dlań były klęski militarne, ale i niebezpieczne były zwycięstwa. Główną jego podporą, podstawową siłą sprawczą wydarzeń były masy chłopskie, ale one też mogły przyprawić o niepowodzenie, gdyż Chmielnicki nie był w stanie spełnić ich nadziei, których zasięg znacznie przekraczał historyczne możliwości ówczesnej epoki.

Z tego gąszczu przeciwieństw i oporów nie do przewyciężenia wiodła jedna droga: włączenie Ukrainy do imperium moskiewskiego. Mogło to częściowo poprawić położenie chłopstwa, ratowało na pewno samoistne pierwiastki narodowe, uwalniało od zmory tatarskich najazdów i przewrotnych poczynań jezuickich. Ale i tu piętrzyły się trudności. Imperium carskie popierało walkę Chmielnickiego, równocześnie jednak bojarzy i car z dużą nieufnością odnosili się do charakteru ludowego, jaki walka ta przybrała. Dość świeże były jeszcze w Rosji wspomnienia potężnej walki, jakie masy chłopskie stoczyły w początkach wieku XVII pod wodzą Bołotnikowa przeciwko feudalnemu uciskowi i przemocy.

W rok po rozpoczęciu wojny przez Chmielnickiego ogłoszono w Rosji prawo poszukiwania przez właścicieli

ziemskich zbiegłych chłopów do końca ich życia i zmuszania ich do powrotu. I tu lud tkwił w okowach, które wykuł dla niego ustrój feudalny.

Ta nieufność klasy panującej Rosji do ludu ukraińskiego i wynikająca z niej opieszałość pomocy moskiewskiej w niezwykły sposób komplikowała działanie Chmielnickiego.

Postawę państwa moskiewskiego Rybak świetnie charakteryzuje. W jego ujęciu władca Moskwy, Aleksiej Michajłowicz, nazywany często „najłagodniejszym" carem, tak rozumuje: „Ziemie carstwa powiększyć byłoby, oczywiście, pożądane. Ale poseł królewski straszy: czerń zło zamyśla przeciw panom, powiada, zaraza morowa buntu i na carskie ziemie się przerzuci, jeżeli się jej wspólnymi siłami nie wytępi... Ukraińcy — ludzie prawosławnej wiary, jednego Boga dzieci... Jednakowoż działać należy ostrożnie" (str. 74). Carski dyplomata zaś, bojar Łopuchin, mówi już otwarcie do posła ukraińskiego: „Wasz lud występuje przeciwko panom — wprawdzie bije się on z polską szlachtą, ale bojarzy obawiają się, żeby i nasi chłopi nie poszli za jego przykładem. Bunt, miłościwy panie — to zaraza. Gorsza niż morowe powietrze... Weź to pod uwagę, a zrozumiesz, dlaczego teraz układu z Polakami zrywać nie możemy" (str. 558).

Ale połączenie z państwem rosyjskim przynosiło ludowi ukraińskiemu maksimum szans historycznych osiągalnych na danym etapie rozwoju, w konkretnej sytuacji historycznej. Do tego połączenia, albo raczej włączenia, dążył nieugięcie Chmielnicki i jego najbliżsi towarzysze walki.

Sprawie tej — jak pisała Prawda w roku 1943 — Chmielnicki „oddał swój wspaniały talent organizatora, wybitne zdolności stratega i dowódcy, swą sztukę wyjątkowego dyplomaty". Dziełem jego życia była uchwała powzięta w r. 1654 na radzie perejasławskiej o zjednoczeniu Ukrainy z Rosją.

III

Właściwym bohaterem powieści Rybaka jest lud ukraiński, osią akcji — jego ciężka dola i bohaterska walka. I jeśli potężna postać Chmielnickiego w miarę lektury osiąga coraz plastyczniejsze rysy i bogatsze barwy, zawdzięcza on to coraz bliższemu związkowi z masami, temu, że staje się coraz konsekwentniejszym wyrazicielem pragnień ludu, jego dążeń i aspiracji, marzeń i myśli. Pisarz nie munifikuje go, ukazuje jego ludzkie słabości i nałogi, ukazuje, jak dojrzewa wraz ze sprawą, której brzemię wziął na swoje barki. Nie od razu pojął jej wielkość. Zaczęło się przecież od obrony przywilejów kozackich, zaczęło się od pomsty za własne krzywdy doznane od sługi magnackiego — starosty Czaplickiego, który spalił mu chutor, syna na śmierć osmagał i ukochaną kobietę porwał. Droga wiodła od pomsty za krzywdy osobiste czy krzywdy wąskiej grupy starszyzny kozackiej do utożsamienia swej sprawy z walką wyzwoleńczą ludu, której potencjalne siły pobudził i pchnął na słusznie obraną drogę sprawiedliwej wojny. „Jeszcze w maju tego roku pod Żółtymi Wodami — pisze Rybak — kiedy po raz pierwszy odniósł zwycięstwo nad wojskami koronnymi, a nawet po bitwie korsuńskiej, nie zdawał sobie sprawy z wielkości rozpoczętego dzieła" (str. 13). Jeszcze później podszepty starszyzny czy własne wahania budziły w nim wątpliwości co do celowości i skuteczności obranej drogi. Wielkość jego — i to ukazuje właśnie Rybak — polegała na tym, że umiał przezwyciężać własną słabość i z niezwykłą odwagą i konsekwencją kroczyć po raz obranej drodze. Że umiał zwalczać przeszkody z ca-

łą bezwzględnością, nawet wtedy gdy musiał borykać się z najbardziej serdecznymi, osobistymi uczuciami, nawet wtedy, gdy otaczał go mur niezrozumienia czy wrogości. Wielką zasługą Rybaka jest to, że oczyścił postać Chmielnickiego z nalotów oszczerstw, kłamstw, których mu nie szczędzono za życia i przez wiele wieków. Z kart Rady perejesławskiej wyłania się jego bardzo ludzka postać, bogata indywidualność, charakter, jego słabość i siła, nałogi i wady, zalety osobiste i walory intelektualne czyniące go zdolnym do kierowania wielkim porywem wyzwoleńczym ludu ukraińskiego. „Siła Chmielnickiego — musieli w końcu przyznać jego szlacheccy antagoniści — leżała w tym, że cała czerń stała się jego wojskiem", w tym, że mścił nie tylko swoją krzywdę, lecz krzywdę całego ciemiężonego ludu. Zrozumienie właśnie tego dawało mu siły do walki, wolę zwycięstwa i wiarę w lepsze jutro. „Bez ludu — mówi on w powieści i takie było jego rzeczywiste przekonanie — nic nie jesteśmy warci"(str. 578). Zjednoczył Chmielnicki swój los z losem ludu. Głęboko odczuwał jego niedolę i sprzyjał jego pragnieniom. I znowu wielkim sukcesem artystycznym Rybaka jest obraz ludu, którego uczynił rzeczywistym bohaterem powieści. Oczywiście, nie ma tu mowy o jakiejś sumaryczności, bezkształtności jego obrazu. Losy ludu, walka ludu, dążenia ludu ukazane są w na wskroś zindywidualizowanych postaciach i grupach. W jednostkowych postaciach i jednorazowych, zindywidualizowanych zdarzeniach pisarz odzwierciedlił prawdę o życiu i walce ludu ukraińskiego. Pod batogiem i na palu giną jednostkowi bohaterowie, oddani na łup szlacheckich ciemiężycieli. Zupełnie wyjątkowe i niezwykle tragiczne są losy pięknej narzeczonej Martyna Ternowego — Katrii, lecz w nich zawarła się prawda o tragizmie ludzi — ofiar tatarskich najazdów. Zupełnie wyjątkową postać przybrał konflikt między pułkownikiem Hromyką a Kozakiem Hałajdą, który ocalił mu życie, a później zabije go za ucisk, jaki w swoim majątku stosuje wobec rodziny swego wybawcy. Ale ten konflikt z całą siłą artystyczną uprzytamnia przepaść, jaka dzieli znaczną część starszyzny od mas. Sylwetka Harmasza — „bohatera" pierwotnej akumulacji kapitału — jest nazupełniej szczególna, lecz jakże wiernie ukazuje ona całą niejednolitość poszczególnych grup sprzymierzonych lub pozornie sprzyjających walce wyzwoleńczej ludu ukraińskiego. I trzeba przy tym stwierdzić, że ukazane epizody, stanowiące szeroko rozbudowane tło wydarzeń historycznych, za sprawą talentu pisarza nie mają nic z ilustratywności. Każda z ukazanych postaci, każdy epizod, nie zatracając specyfiki artystycznego kształtu, w określony sposób wzbogaca naszą wiedzę o wielkich zdarzeniach w dziejach ludu ukraińskiego. Bogaty zasób środków artystycznych służy ukazaniu postaci Hulaj-Denia czy Martyna Ternowego, w których wyraziły się piękne ludowe pragnienia i marzenia o lepszym życiu. Kapitalna jest kronika Fedora Swiczki, z kart której poprzez młodzieńczą naiwność, ludowy rozsądek i nieporadność początkującego piewcy „bohaterskiej walki o wolność i wiarę" przebija patos wielkich spraw i wielkich czynów. W ogóle autor trafnie umie zużytkować autentyczny dokument, stylizować fikcyjny, wypowiedzieć się za pośrednictwem zobiektywizowanej relacji czy za pośrednictwem wyosobnionego sprawozdawcy. Naiwne i ograniczone widzenie spraw mówi nam często o ich wielkości, nienawiść do wroga przemawia żarliwością patriotyzmu, przewrotność intryganta ukazuje szlachetność bojowników o wolność, dyplomatyczna chytrość,

prawdę walki o wyzwolenie, zawiść — wielkoduszność bohaterów. Tymi środkami, w bezpośredniej narracji, poprzez plastyczne obrazy książki dociera do czytelnika rozległa prawda historyczna o wojnie wyzwoleńczej ludu ukraińskiego. Jednym z jej najpiękniejszych motywów jest prosta solidarność uciskanych mas, niezależnie od ich przynależności narodowej.—Na pal, wieszać! — oto wezwanie, które rzucać będzie „palej" Jeremi Wiśniowiecki, i pod tym zawołaniem kroczyć będą jego hufce na Ukrainę. Gdy natomiast hufiec ukraiński wkracza na terytorium Polski, to po to, aby nieść pomoc powstańcom chłopskim walczącym przeciwko wspólnemu wrogowi — panom. W epizodzie wyprawy Martyna Ternowego do Czorsztyna pisarz pięknie odmalował uczucia braterstwa, jedności mas walczących o swe wyzwolenie. Podobnie w epizodach z Kozakami dońskimi spieszącymi na pomoc swym pobratymcom. Rybak słusznie pokazuje, że szczególnie silne więzy uczuciowe łączą lud ukraiński z ludem rosyjskim. „Kozak Semen Krawczuk — pisze Rybak — wspomina Moskwę wdzięcznym sercem. Czegoż tam nie widział, czego się nie nasłuchał. A najbardziej pociągało to, że ludzie tam swoi, i wiara ta sama, i ta sama bieda... Chłopom w Moskwie też niesłodko. Pan, widać, wszędzie jednakowy..." (str. 414).

Tej solidarności plebejskiej Rybak przeciwstawia ostro zarysowaną zmowę ciemiężycieli, obozu, w którym obok polskiego magnata i papieskiego nuncjusza znajduje się spolszczony wnuk bohatera walk o wolność Ukrainy — Jeremi Wiśniowiecki, patriarcha kijowski Kossow czy zdrajca Wyhowski.

IV

Na szczególną uwagę zasługuje nader charakterystyczna kompozycja powieści Rybaka, doskonale harmonizująca z zawartą w niej treścią. Dla czytelnika polskiego, mającego za sobą lekturę Ogniem i mieczem, jest na pewno zaskakująca. Rada perejesławska, książka o walce wyzwoleńczej ludu ukraińskiego, jest niezwykle uboga w bezpośrednie obrazy batalistyczne, w obrazy bitew, potyczek, w epizody z życia obozowego itp. Tego rodzaju sceny, opisy, są raczej marginesowe, potraktowane pobieżnie, często nie bezpośrednio. Źródła takiej kompozycji obrazu walk są bardzo proste. Wynikają z zasadniczego zamierzenia pisarskiego — przesunięcia uwagi na inną problematykę, słusznie uznaną przez pisarza za najistotniejnieszą. Na rezultat zmagań nie wpłynął w decydującym stopniu taki czy inny rezultat tej czy owej bitwy. Rezultat walki warunkują nader złożone okoliczności i poczynania. Chmielnicki poucza swego syna Tymofija: „Sztuka nasza nie na tym polega, synu, by szablą dzielnie wywijać — tym już i dawniej sławili się Kozacy. Rozum to także oręż..." (str. 406). A w innym miejscu powie do swego portrecisty: „Kapryśny i nieprzewidziany jest los człowieka, panie artysto, ale siła i rozum zmuszają los do uległości" (str. 613). W niezwykle skomplikowanej sytuacji, w jakiej lud ukraiński toczył swą walkę, nie mógł wystarczyć tylko wysiłek orężny. Niezbędne było mądre kierownictwo polityczne i organizacyjne — i te zalety znalazła Ukraina w swym wodzu. Położenie akcentu na tę stronę działalności Chmielnickiego niewątpliwe wzbogaciło jego wizerunek jak też obraz wydarzeń historycznych. W tym celu pokazał Rybak arkana wielkiej polityki i rządzenia, zabiegów dyplomatycznych i gospodarskich, działań organizacyjnych i społecznych. Wyprowadzenie Ukrainy na właściwą drogę dziejową—to nie była tylko sprawa oręża, bezmiernego bo-

haterstwa, ale i sprawa żmudnych wysiłków i dużego trudu intelektualnego. I to z powodzeniem pokazał w swej książce Rybak. Uwieńczeniem dzieła Chmielnickiego jest uchwała rady perejesławskiej z r. 1654. Przebieg rady w zakończeniu książki ukazany jest może zbyt patetycznie. Był to jak wiadomo akt o wielkiej doniosłości w dziejach narodu ukraińskiego. „Siłą i rozumem" osiągnięte zostało połączenie z bratnim narodem rosyjskim. Utwierdzało to samoistność narodu ukraińskiego, zapowiadało poprawę doli ludu. Ale równocześnie zbytnia — moim zdaniem — patetyczność obrazu rady kłóci się z tonem umiaru i, powiedziałbym, pewnego stłumienia ekspresji, a zwłaszcza tłumi nieco piękną nutę tęsknoty ludu za pełną wolnością, która przewija się przez całą powieść. Tęsknota ta, stale obecna w powieści, oczywiście nie mogła się ziścić w XVII wieku. Ale jej piękno polega na tym, że wykracza najdalej w przyszłość ,jest najbliższa naszym przekonanaiom i naszym uczuciom. I dlatego gdy na majdanie perejesławskim rozlegają się gromko historycznie słuszne okrzyki Hulaj-Denia, Nieczypora Hałajdy i ich towarzyszy walki: „Chcemy pod berło cara moskiewskiego, prawosławnego", chciałoby się, aby pisarz pomny na przyszłość, uzupełnił je jakże pięknym i prostym okrzykiem: „Na pohybel wszystkim panom", przy którym gdzieś w powieści wychylają manierkę z gorzałą zbratani ze sobą moskiewski strzelec i Kozak z Ukrainy.

Samuel Sandler

JAN PETERSEN: *Nieznani przyjaciele.* Opowiadania z niemieckiego ruchu oporu 1933—1935, przekład Krzysztofa Radziwiłła. Na zlecenie RSW Prasa wydał Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951; str. 153.

Wieczorem dnia 10 maja 1933 roku bojówki SA i HJ paliły na Opernplatz w Berlinie tysiące tomów dzieł postępowych pisarzy niemieckich i obcych. Przy akompaniamencie ogłuszającego ryku i bicia w bębny rzucano na płonący stos najszlachetniejsze i najpiękniejsze utwory literatury światowej. Pod bezpośrednim wrażeniem tego haniebnego widowiska kilku antyfaszystowskich autorów postanowiło zwołać wszystkich wchodzących w grę kolegów przebywających jeszcze w mieście, by wspólnie naradzić się nad zorganizowaniem własnej, „literackiej" komórki ruchu oporu, której głównym zadaniem byłaby obrona kultury niemieckiej przed zalewem barbarzyństwa oraz aktywna walka z hitlerowską propagandą. Myśl ta znalazła gorące poparcie sześćdziesięciu, częściowo już przez Gestapo poszukiwanych pisarzy. Na dwóch konspiracyjnych zebraniach utworzono pięcioosobowe grupy, mające się w przyszłości kontaktować jedynie za pośrednictwem przemyślnego systemu łączników, a na czele całości stanął 27-letni nowelista i poeta robotniczy, Jan Petersen. Niebawem już ukazał się pierwszy numer tajnego pisma literacko-politycznego pod nagłówkiem Stich und Hieb, z którym współpracowali również antyfaszystowscy graficy i karykaturzyści. Wśród autorów, zamieszczających swe prace w tym piśmie, były m. i. Berta Watterstradt, obecna laureatka nagrody państwowej NRD za rok 1949 oraz Elfrieda Brüning, autorka przełożonej w r. 1950 na język polski powieści dokumentarnej T a j n a r a d i o s t a c j a d z i a ł a.

Berlińscy pisarze nie ograniczali się do działalności na terenie III Rzeszy. Nawiązawszy już w początkach czerwca 1933 r. łączność z emigracyjnymi ośrodkami literackimi, szczególnie w Czechosłowacji, zasilali opowiadaniami, wierszami, essayami i reportażami, de-

maskującymi niemiecki faszyzm, praskie Neue Deutsche Blätter, redagowane przez Oskara Marię Graafa, Wielanda Herzfelde i Annę Seghers. Niezwykle trudną i niebezpieczną wysyłką materiałów do Pragi zajmował się pewien bojownik ruchu oporu, urzędnik poczty dworcowej i... mąż zaufania Gestapo w jednej osobie. Wielokrotnie wyprawiał się też do Czechosłowacji sam Petersen, który jako przedstawiciel organizacji berlińskiej wchodził do zespołu redakcyjnego Neue Deutsche Blätter. Te „dojazdy" do redakcji były dosyć osobliwe. Pisarz, przeważnie w towarzystwie jednego z przyjaciół, korzystał z małego ruchu granicznego. W charakterze turystów przechodzili do schronisk czeskich w Sudetach, gdzie czekały już na nich emigracyjne pisma, broszury i książki. Zadaniem przyjaciela było przejrzenie tych wszystkich materiałów, zrobienie notatek i wyciągów oraz dokonanie trudnego wyboru tego, co należałoby zabrać do III Rzeszy. Tymczasem Petersen udawał się pospiesznie do Pragi, omawiał nie dające się uzgodnić na odległość sprawy redakcyjne, szczególnie dotyczące tego działu pisma, który pod nagłówkiem Głos z Niemiec był specjalnie zarezerwowany dla prac berlińskich kolegów — i wracał czym prędzej do oczekującego przy granicy towarzysza. Stąd uginający się pod ciężarem wypchanych plecaków „turyści" wędrowali z powrotem na niemiecką stronę, często po karkołomnych wertepach, byle tylko ominąć placówki i patrole straży granicznej czy SS.

Jedną z takich przepraw przez góry zimą na nartach opisuje Petersen w Powrocie narciarzy, najdłuższym opowiadaniu-wspomnieniu wydanego ostatnio po polsku zbioru pt. Nieznani przyjaciele. Autor i jego współtowarzysz, opuściwszy bezpieczny teren Czechosłowacji, skąd zabrali cenną „kontrabandę", między innymi pół rocznika czasopisma literackiego — „nasi towarzysze muszą się przekonać, że utwory ich pisane z narażeniem życia nie leżą na dnie jakiejś szuflady pokryte kurzem, ale rzeczywiście zostały za granicą wydane" — dostają się po niemieckiej stronie w gęstą mgłę, błądzą i dopiero po denerwujących przejściach docierają szczęśliwie do celu. Ale tylko to jedno, najbardziej rozbudowane opowiadanie omawianego tomu nawiązuje bezpośrednio do antyfaszystowskiej działalności, prowadzonej w pierwszych dwóch latach istnienia III Rzeszy przez berlińskich pisarzy. Inne, poza wstrząsającą Zmianą warty, której głównym bohaterem jest pewien żydowski poeta, katowany wraz z współtowarzyszami niedoli w podziemiach gmachu policji, są poświęcone walce komunistycznego ruchu oporu w Berlinie w latach 1933—1935.

Podobnie jak obszerniejsza, trzy lata temu wydana u nas książka tegoż autora, dokumentarna Nasza ulica, opowiadania przedstawiają przede wszystkim konspiracyjną robotę tzw. Koła Charlottenburskiego *(Charlottenburger Kreis)*. Z grupą tą, która składała się przeważnie z młodych robotników, Petersen utrzymywał żywy kontakt jako kierownik organizacji literatów. Ponieważ jednak niezwykle odważnemu pisarzowi i byłemu komunistycznemu aktywiście młodzieżowemu z czasów republiki weimarskiej nie wystarczało samo kierowanie bardzo zresztą czynną komórką, zaangażował się rychło w walce młodych robotników berlińskich i stał się jednocześnie jej ofiarnym kronikarzem.

Tak powstała w latach 1933—1934 Nasza ulica i tak powstały też nieco później, w drobnej tylko części na emigracji, opowiadania o Nieznanych przyjaciołach,

wydane po raz pierwszy po angielsku w roku 1940.

Mimo że zasadniczy temat obu tych książek, temat antyfaszystowskiej walki, jest taki sam, mimo że pewne opisane w nich sytuacje wykazują daleko idącą zbieżność, a niektóre osoby z autorem włącznie występują tu i tam, to jednak charakter Nieznanych przyjaciół jest zupełnie odmienny. Główną bohaterką pierwszej książki była tytułowa Nasza ulica, robotnicza Wallstrasse, która w sercu Berlina wiodła nieugięty bój z nazistowską przemocą. Autor kreśląc dzieje jej zwycięstw i klęsk przepoił całość proletariacko-rewolucyjnym duchem, a przy tym ukazał istotne źródła słabości i siły niemieckiego ruchu robotniczego, zilustrował m. i. na konkretnych przykładach spóźnione niestety, ale niezmiernie doniosłe montowanie wspólnego frontu przez komunistów i uczciwych socjaldemokratów. Natomiast w omawianym zbiorze Petersen zajął się losami i przeżyciami poszczególnych towarzyszy. Ofiarna praca łączników, nasłuch radiowy, powielanie i kolportaż ulotek, ustna propaganda w miejscach publicznych, demaskowanie prowokatorów i zdrajców, denerwujące ucieczki przed gestapowskimi szpiclami, różne niebezpieczne perypetie, z których wychodziło się cało dzięki przytomności umysłu, sprytowi i odwadze, ciągłe żonglowanie na wąskiej krawędzi między życiem a śmiercią — oto treść dwudziestu krótkich opowiadań i wspomnień tomu.

Szkice Petersena, przedstawiające w drobnych migawkach i obrazkach codzienny trud, codzienne, niepatetyczne bohaterstwo bojowników o wolność, posiadają dużą wartość poznawczą i krzepiącą, optymistyczną wymowę. Bije z nich przekonywająca prawda o ludziach prostych i pięknych, o najlepszych przedstawicielach proletariackiej młodzieży Berlina.

Terrorowi i okrucieństwu Gestapo przeciwstawia autor naturalną, samo przez się zrozumiałą solidarność walczących, solidarność, która — jak skądinąd wiemy — cechowała właśnie w szczególnie wysokim stopniu członków grupy charlottenburskiej. Petersen zaś, występując osobiście w dziewięciu opowiadaniach, ze znaną z Naszej ulicy skromnością, nie wysuwa siebie nigdy na pierwszy plan, raczej ukrywa rolę, którą odgrywał, tak jak to uczynił również we wspomnieniach drukowanych w r. 1950 na łamach Neues Deutschland, gdzie pisząc o kierowniku antyfaszystowskiej grupy berlińskich pisarzy, nie zaznaczył ani słowem, że tym kierownikiem był właśnie on sam.

Kilka opowiadań pozwala też na wyciągnięcie pewnych ogólniejszych wniosków dotyczących postawy społeczeństwa, w którym i dla którego działali konspiratorzy. I tu byli „nieznani przyjaciele“, jak choćby owi robotnicy rolni, którzy ostrzegają bojownika Franza przed łapanką urządzoną przez SA na szosie, albo młodzi narciarze ratujący autora i jego towarzysza podczas górskiej przeprawy z Czechosłowacji do Niemiec. Pod tym względem świadectwo Petersena, znającego z autopsji III Rzeszę w pierwszych latach po zagarnięciu władzy przez Hitlera i opisującego wyłącznie zdarzenia prawdziwe, jest może szczególnie cenne — cenniejsze niż innych postępowych autorów, którzy opuściwszy kraj przeważnie w początkach r. 1933, opierali się w swych książkach o ówczesnych Niemczech raczej na wiadomościach z drugiej ręki, względnie na mniej lub więcej trafnych domysłach.

Szkice Petersena są doskonałym przykładem umiejętnego stosowania małych form. Pomijając kilka ściśle kronikarsko-relacyjnych zapisków, oddają na

niewielu stronach sensacyjne przygody i emocjonujące, niekiedy wstrząsające sytuacje, osiągając przez eliminację każdego zbędnego zdania, przez skondensowaną plastykę rysunku i żywe tempo narracji niezwykły stopień napięcia. Przy tym autor rozładowuje przeważnie to napięcie nieoczekiwaną pointą, jak w owym opowiadaniu o Monterach, gdzie samochody z esesmanami zatrzymują się nie przed domem, w którym powielano ulotki, lecz przed położonym obok kościołem — domniemana obława okazuje się esesmańskim ślubem. Ale najlepsze szkice Petersena, nie rezygnując z elementu denerwującej przygody, przemawiają przede wszystkim optymizmem ludzi walki, którzy zwyciężając i przegrywając wierzą niezachwianie w sens swego trudu, męczeństwa czy śmierci. Ta piękna wiara, ocalona z odmętów barbarzyństwa, terroru i zdrady, opromienia całą książkę, napisaną przez wiernego towarzysza i dobrego, kochającego przyjaciela charlottenburskich bohaterów. Prawie nikt z nich nie dożył wolności. Gdy Petersen jako tajny wysłannik antyfaszystowskich intelektualistów berlińskich uczestniczył w I Międzynarodowym Kongresie Pisarzy dla Obrony Kultury, który odbywał się w r. 1935 w Paryżu, Koło Charlottenburskie już nie istniało, a grupa literatów została właśnie wykryta. Autor Naszej ulicy gorączkowo poszukiwany przez Gestapo rozpoczął gorzki żywot emigranta.

Jan Petersen zawsze wierzył w niemiecką młodzież robotniczą, „Jednym z najpilniejszych i najważniejszych naszych zadań — pisał w r. 1948 w demokratycznym tygodniku młodzieżowym Start — będzie wykazanie, że młodzież niemiecka nie jest „stracona". Od chwili mego powrotu z emigracji (Petersen przebywał kolejno we Francji, Szwajcarii i Anglii — przyp. mój) przekonałem się, a było to dla mnie olbrzymim, radosnym przeżyciem, że większość niemieckiej młodzieży bynajmniej nie jest „beznadziejnie zatruta przez nazizm", jak to się utrzymuje zagranicą. Młodzież niemiecka... okazała się o wiele bardziej odporna na bakcyl hitleryzmu niż reszta narodu. I z niej też, z naszej młodzieży, czerpię nadzieję i wiarę w nowe, demokratyczne Niemcy". Wiemy, że Petersen w swych nadziejach się nie zawiódł. Zaświadczył o tym przed całym światem zeszłoroczny Zlot Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie, na który przybyło ponad 2 miliony chłopców i dziewcząt z całego kraju, przytoczył na to liczne dowody Osmańczyk w swej książce o młodych Niemcach. Jonny, Rudi i inni z opowiadań Petersena zginęli, lecz ich ideały realizuje dziś młodzież z FDJ, realizuje opisany przez Osmańczyka 22-letni Robert, przedstawiciel tego najlepszego i najofiarniejszego odłamu młodzieży zachodnio-niemieckiej, który w podobnych warunkach walczy o to samo, za co bohaterską śmierć ponieśli „nieznani przyjaciele" — o wolną, demokratyczną i pokój miłującą ojczyznę.

Egon Naganowski

T E A T R

W SPRAWIE „LALKI"

Dnia 12 lipca wystawiono w Teatrze Polskim czternaście scenicznych obrazów Leśnodorskiego, mających przedstawiać powieść Prusa Lalka.

Zawczasu, na pół roku przedtem, 19 lutego na sekcji dramatu ZLP w Warszawie Kazimierz Kercelli i niżej podpisany wystąpiliśmy z referatami biorąc na warsztat tę sceniczną przeróbkę.

I nikt nie może powiedzieć, że którykolwiek z nas lakierował. Korcelli stawiał sprawę bezwzględnie. Domagał się szacunku dla dorobku marksistowskiej wiedzy, a nie przechodzenia nad nią do porządku dziennego. Przecież Jan Kott w swych głośnych artykułach o L a l c e udowodnił, że konflikt między wielkim finansistą Wokulskim a arystokratą Łęckim był tylko wybiegiem Prusa-ideologa i stąd nieszczęśliwa miłość do Izabeli jest miłością z „papieru". Prus jest wielkim realistą — ale wówczas, gdy pokazuje, jak mały sklepik na Podwalu przemienia się w spółkę akcyjną do handlu z Ceserstwem, obracającą kapitałami arystokracji, gdy pokazuje przemiany kapitału handlowego w finansowy i początki imperializmu, przemiany społeczne i rozczarowania do kapitalizmu, gdy pokazuje trzech ludzi, którzy raptem znikną, bo objęły ich aresztowania, jakie spadły na Wielki Proletariat, gdy poznajemy wreszcie różne środowiska starej Warszawy, Warszawy ludzi trzeciego stanu i głównego ich bohatera, Rzeckiego. A więc stara Warszawa jest tam realistyczna, jest dziełem sztuki i z nią — myśląc o L a l c e — czytelnicy Prusa związani są uczuciem, a niedoszły romans dorobkiewicza z zubożałą ex-ziemnianką i kosmopolityczne środowisko arystokratów, znane Prusowi raczej z drugiej ręki, należą do najmniej szczęśliwych partii powieści.

Leśnodorski nie wyciąga stąd żadnych wniosków. Nie obraca się w sferze realizmu, w sferze starej Warszawy i dzieła sztuki, a ogranicza się do romansu Wokulskiego z Izabelą, do konfliktu Wokulskiego z arystokracją. Zmierza do tego, by resztki feudalizmu doprowadziły Wokulskiego do samobójstwa czy ucieczki, by z daleka od kraju pracować nad wynalezieniem metalu lżejszego od powietrza. Leśnodorski za oś kompozycyjną wziął romans, wypełnił nim całą przeróbkę, przez co zwichnięte zostały proporcje L a l k i, a uwydatnione jej streszczenie. Leśnodorski poszukując gotowych dialogów wypełnił swą przeróbkę rozmowami osób z „wyższych sfer". Korcelli stwierdził, że Leśnodorski nie ma własnego widzenia L a l k i, że postąpił mechanicznie, dał wyciąg z anegdoty, a w tym wyciągu nie ma Prusa, nie ma L a l k i, nie ma sporego kawału naszej historii i nie ma atmosfery powieści, ani cienia nawet artyzmu i humoru Prusa. W tym założeniu Prus przestał być pisarzem realistycznym, utracił swą artystyczną jakość i rangę.

Z kolei w moim referacie starałem się tylko rozwinąć dalej myśli Korcellego, wskazując, jakie artystyczne skutki wynikają z antyrealistycznego wyboru.

Leśnodorski pojął swą robotę jako zabieg czysto techniczny, nie podjął dyskusji zasadniczej, a przecież było o co. Praca Kotta drukowana w Kuźnicy w 1947 r. doczekała się trzech wydań książkowych. Pięćdziesięcioma tysiącami egzemplarzy dotrzeć musiała przede wszystkim do młodzieży. Była jedną z pierwszych, niewątpliwie najbardziej interesujących prac z zakresu naszej nowej polonistyki. Dotyczyła jednego z największych arcydzieł naszej literatury tłumacząc, iż na miarę wielkich zalet powieść ta ma i wielkie błędy. Sprawa, jak odczytać L a l k ę, co odczytać w L a l c e, to sprawa wielkiej wagi dla rozwoju kultury naszego czytelnictwa, dla trudnej, klasowej interpretacji społecznej i politycznej treści arcydzieła naszej literatury. Kott zadał sobie trud uczenia dzisiejszych czytelników, by umieli odrzucić to, co w L a l c e zafałszował Prus-ideolog i wychowawca, a zwrócili uwagę na to, co Prus wbrew swym poglądom i ogra-

niczeniu ideologicznemu odtworzył wiernie jako artysta realistyczny. Ta konieczność interpretacji nasuwa się przy wszystkich powieściach realizmu krytycznego. Rozprawa Kotta ma więc znaczenie szkoleniowe i wdraża do samodzielnego i krytycznego ustosunkowania do powieści XIX wieku w ogóle.

Koncepcję Kotta rozwinął Henryk Markiewicz popularyzując ją we wstępie do jednotomowego popularnego wydania najcelniejszych dzieł Prusa i w oddzielnej pracy o L a l c e, stanowiącej pierwszy tom Biblioteki Komentarzy Literackich, oraz w wielu artykułach. Nawet w programie teatralnym Leśnodorskiego jest artykuł Markiewicza, gdzie czytamy, iż wbrew rzeczywistości „stwarza Prus pozory jakiegoś zasadniczego konfliktu między arystokracją a Wokulskim-mieszczaninem".

Pisma Prusa ukazały się w Polsce Ludowej w nakładzie 3.300.000 egzemplarzy. W tym samym czasie L a l k a wydana została pięciokrotnie w łącznym nakładzie 288.000 egzemplarzy. Zasięg słowa drukowanego jest więc znacznie większy od pojemności sal teatralnych. Ale teatr propagujący wręcz przeciwną interpretację tej, której pionierskim wysiłkiem dobiła się nasza młoda polonistyka, godzi w osiągnięcia naukowe i pracę popularyzacyjną i oświatową. Leśnodorski wybierając oś Wokulski — Izabela jakby mówił widzom: „Krytykę marksistowską zawieszamy na kołku — rzecz serio w teatrze, to pokazać romans".

Leśnodorski nie podejmując dyskusji z interpretacją Kotta występuje z teoretycznym uzasadnieniem swej przeróbki. W artykule nadesłanym do pisma Teatr wykazuje zdumiewającą erudycję, gdy chodzi o różne adaptacje sceniczne. Nie wspomina jednak o pracy Kotta. W artykule zamieszczonym w programie teatralnym powiada: „Całą odpowiedzialność za załamanie się polskiego kapitalizmu zrzuca Prus — częściowo zgodnie z prawdą historyczną — na arystokrację".

Takie rzeczy wypisuje się czarno na białym, chociaż każdy wie, że polski kapitalizm w XIX wieku nie załamał się a rozwinął. Polski kapitalizm załamał się i to nie częściowo a całkowicie w roku 1944—45 i to już bez udziału arystokracji.

Adaptację sceniczną Leśnodorskiego przedyskutowano po raz pierwszy w Krakowie — rok wcześniej niż w Warszawie bo w lutym 1951 — na dwóch kolejnych posiedzeniach sekcji dramatu ZLP. Po tym zebraniu Leśnodorski przerobił swą adaptację. W maju 1951 po posiedzeniu kolegium repertuarowego TOF przerobił swą adaptację raz jeszcze. Po zebraniu warszawskim w lutym 1952 przerobił ją po raz trzeci. Ta wersja uległa przeróbkom po raz czwarty w czasie prób w Teatrze Polskim. Po próbie generalnej ulega przeróbkom nadal.

Pod wpływem dyskusji Leśnodorski stara się uwzględnić w coraz to większym stopniu osoby i epizody wychodząc poza wątek miłosny. Ale skoro zasadnicza oś kompozycyjna pozostała nienaruszona — zawarto tylko kompromis. Bezustannym poprawkom poddawano to, co pochodne i rzecz sprowadzała się do usuwania tego, co wydawało się najbardziej rażące. Ale zasadniczy konflikt pozostał nadal fałszywy; wyolbrzymione zostały tylko na scenie wady oryginału.

Gdy Prus wiedziony instynktem artysty pokazuje nam Wokulskiego przede wszystkim poprzez pamiętnik Rzeckiego, dodając mu tym sposobem ciepła i serca, to Wokulski, jakiego widzimy na scenie, staje się zupełnie papierowy i deklaratywny. Nieprzekonujący ani jako człowiek zakochany, ani jako czło-

wiek, który potrafi coś zrobić, a przede wszystkim pieniądze. Na scenie robi on tylko złe interesy, nie ma jednego rysu ludzkiego, którym zdołałby zwrócić na siebie uwagę.

„Oto panna Izabela nigdy nie była zakochana. Przyczyniał się do tego jej chłodny temperamet" — pisze Prus. Pojawienie się Izabeli w powieści poprzedza Prus opisem na dziesięciu stronicach, które należą do arcydzieł literatury. To nierealność feudalizmu w świecie nowoczesnym pokazana jest na przykładzie pięknej frigidy Łęckiej. Tymczasem Leśnodorski uzyskuje zupełnie przeciwne wrażenie. Oto jak do Izabeli mówi jej ciotka hrabina Karolowa: „Tak, droga Belciu, musisz przyznać, że popełniłaś kilka błędów nie do darowania. Nie mówię o Wiktorze Emanuelu, bo tamto był przelotny kaprys króla — trochę liberalnego i bardzo zadłużonego".

Przelotny kaprys króla trochę liberalnego i kilka innych błędów nie do darowania — gdy mówi o tym stara ciotka — to już wówczas nie ma mowy o frygidzie, ale o kobiecie z temperamentem — wbrew Prusowi. Kiedy w dalszym ciągu otoczona fatygantami Izabela daje dobrą szkołę Wokulskiemu, a także potrafi przepędzić wierzycieli i w ogóle zajmować się interesami, to wszystko daje pojęcie o energii, nie zaś o osobie pośród puchów wąchającej kwiaty i perfumy i jedzącej wodorosty Oceanu Spokojnego.

Przeróbka pozostała podręcznikiem niedemokratycznego savoir vivre'u. Uczy jak bankrut arystokrata ma stroić miny, pokazywać nosy, robić fumy, podawać dwa palce dorobkiewiczowi, wyciągając od niego pieniądze.

Wątek romansowy zdradza się na scenie ubóstwem akcji. Okazuje się, że w miarę trwania spektaklu charaktery ludzkie nie zostały wystawione na żadne próby, nie było więc możliwości kreacji aktorskich. W miarę jak trwa spektakl, o postaciach nie dowiadujemy się niczego więcej w sensie psychologicznym. Przedstawienie zmierza do francuskiej farsy w partiach salonowych. Ale huragany śmiechu na widowni i huczne brawa wywołuje inny rodzaj humoru. To — kiedy w kamienicy na Kruczej 26 jeden ze studentów mówi, że chodzi bez koszuli, podczas gdy drugi bez majtek. Tego rodzaju płaskie trywialności, które przed wojną były do pomyślenia tylko chyba w Teatrze Letnim — pokazuje się na pierwszej scenie polskiej i to pod imieniem Prusa.

I jeszcze jedno. Ochocki pyta Wokulskiego: „W którym roku życia zaczynają mężczyźnie obojętnieć kobiety?" „Myślę, że one nigdy nie obojętnieją" — odpowiada Wokulski. Na pewno to nie jest dialog do teatru. Przykład jest symptomatyczny, bo błąd jest kardynalny. Dialog sceniczny jest jakościowo inny od powieściowego. W powieści tylko niekiedy mamy dialog i to zazwyczaj w strzępach. Powieściopisarz posługuje się także narracją, opisem i komentarzem. Leśnodorski przerzucił tylko na scenę wyciągi dialogowe i je podłączył. Był głuchy na to, że dowcip, wdzięk, urok przydaje Prus swym postaciom w komentarzu i w czysto literackim opisie osób i sytuacji. Oto dlaczego Rzecki stał się w przeróbce gderliwym mentorem i napoleonizm Rzeckiego wypadł poważnie. Cóż z tego, że Leśnodorski uwzględnił pamiętnik starego subiekta, skoro staliśmy się świadkami jakiegoś wieczoru autorskiego czy wykładu, gdzie mowa jest o prezydencie Grévy, który jest mieszczaninem, i o zamachu na króla hiszpańskiego, z czego pierwsza wiadomość ma być negatywna, a druga pozytywna. Skoro pozbawić dialogi całego uwarunkowania kontekstem i charakterystyki osób, to

przestają i one charakteryzować osoby, a brzmią jak obiektywnie słuszne. I wówczas poznajemy utwór politycznie zaciemniony: Na przykład Wokulski przemawiając do kapitalistów-arystokratów powiada, że jeśli spółka do handlu ze wschodem sprowadzając towary do Królestwa godzić będzie w przemysł łódzki, to rzecz ta jest bez znaczenia, bo Polacy w Łodzi są pariasami, a łódzcy kapitaliści i majstrzy to Niemcy. To rozumowanie bez komentarza, zestawione ze słowami, które radca Węgrowicz wypowiada w renomowanej jadłodajni — że na dostawach bogacą się Niemcy i Żydzi, nasi do tego nie mają głowy — jest już po prostu ideologią endecką.

W tych warunkach spektakl musiał stać się bezkształtny ideologicznie i artystycznie. Ze sceny padają aforyzmy w rodzaju: „Kobiety są inne niż pan je sobie wyobraża... ładne, miłe, lubią was wszystkich prowadzić za nos". Te rzeczy mijają niepostrzeżenie w powieści, darowujemy je Prusowi, ale te rzeczy właśnie wydobywa adaptacja, i gdy padają ze sceny, uzyskują niespodziewany rezonans. Tego rodzaju degradacja Prusa, tego rodzaju „głębie", schlebiają gustom drobnomieszczańskim. Starałem się udowodnić, że służy temu cała robota Leśnodorskiego. Odbierając jakość i rangę artystyczną Prusowi, posługując się tekstami Prusa — zaciemnił Leśnodorski ich interpretację.

Cóż zrobił jeszcze?

Proszę spojrzeć na afisz: Bolesław Prus: Lalka (opracowanie sceniczne Zygmunta Leśnodorskiego).

Gdyby na afiszu napisano: Zygmunt Leśnodorski Lalka (według powieści Bolesława Prusa), wysiłki Leśnodorskiego obciążyłyby jego samego, nie zaś Prusa. Tymczasem utwór Leśnodorskiego — którego rangę starałem się wyznaczyć, a jakość scharakteryzować — przedstawiony jest publiczności na pierwszej scenie polskiej jako dzieło Prusa.

Prapremierę starano się połączyć z inną jeszcze uroczystością, z 50-leciem pracy artystycznej znakomitego aktora. Jubilat, jak wiadomo z wypowiedzi prasowych, miał wystąpić w Zemście, gdzie w ciągu swej długiej kariery artystycznej grał już wszystkie męskie role. Nie danym mu jednak było wystąpić w arcydziele napisanym osobiście przez wielkiego klasyka literatury polskiej.

Reżyser Bronisław Dąbrowski i scenograf Otto Axer poszli po linii wytkniętej przez Leśnodorskiego.

Adam Mauersberger

WYSTĘP TEATRU FRANCUSKIEGO

Pułkownik Foster nie jest jedynym bohaterem sztuki Rogera Vailland, choć jest w tej sztuce bohaterem tytułowym. Ciekawą właściwość tego utworu stanowi fakt, iż składa się na nią jakby kilka sztuk różnorodnych, a przynajmniej kilka równouprawnionych wątków. Każdy z nich ma swego własnego „bohatera", swój sens ideowy i artystyczny, swoją własną wymowę; każdy z nich jest nie tylko funkcją pozostałych, ale i zjawiskiem samodzielnym. Mimo to (i to mi się wydaje niewątpliwym sukcesem autora) — całość sztuki jest jednoznaczna i jasna.

Spróbujmy te twierdzenia uzasadnić; posłuży nam do tego analiza utworu: Le Colonel Foster plaidera coupable. Pułkownik Foster— dowódca oddziału ubezpieczającego konwoje przyfrontowe w Korei — nie jest w sztuce Rogera Vaillanda jedynym przedstawicielem strony amerykańskiej; ma on po swojej „prawej" stronie bezmyślnego porucznika Mac Allena i otumanionego szeregowca Joe,

a także bezwzględnie działające dowództwo dywizji; po „lewej“ jest wierzący chrześcijanin i krytyczny obserwator, sierżant-radiotelegrafista Paganel, oraz — nie występujący w utworze — owi robotnicy amerykańscy, których działalność sabotażową pozdrawia już, w imię międzynarodowej solidarności proletariatu, skuty w kajdany koreański komunista, Masan.

Wśród tych prądów i dążeń pułkownik Foster zajmuje zrazu postawę chwiejną, pod koniec coraz wyraźniejszą, coraz bliższą stanowisku wojennego zbrodniarza. Ten inteligentny oficer zawodowy, nieco snob, nieco sceptyk i nieco ignorant, wierzy z początku — jak się zdaje — że sprawa, o którą walczy, nie jest zupełnie niesłuszna. Foster to człowiek powierzchowny, chętnie przyjmujący gotowe formuły. Wchłonął w siebie sporo wiedzy, umie cytować poetów starohelleńskich; ale o Europie jako kolebce jej kultury ma pojęcia niejasne, bliskie obserwacjom turystów; mówi na przykład, że we Francji czy we Włoszech większość ludzi to „konserwatorzy muzeów“. Odcień, z jakim te słowa wymawia, każe wnosić, że wielbiciel Hellady i zwolennik Picassa, rzadko i z roztargnieniem zwiedzał sale Luwru czy muzeum amsterdamskiego. Równie powierzchowne są polityczno-społeczne poglądy Fostera. Nie pochwala bicia więźniów, z początku czynnie się temu przeciwstawia; nie aprobuje też planu koreańskiego milionera, który by chciał rozstrzelać wszystkich komunistów swego kraju, wszystkich Obrońców Pokoju, a nawet — „ich przyjaciół, krewnych i sąsiadów“. Kiedy przez jego gabinet pracy przesuwa się skuty w kajdany komunista, Foster zaczyna z nim dyskusję — jak w klubie. Patrzy na tego przedstawiciela odmiennego światopoglądu jak na ciekawą odmianę gatunku. W pewnych punktach gotów nawet przyznać rację przeciwnikowi (czy też, zgodnie ze swym światopoglądem sceptyka — rację połowiczną). Rozmowa, jaką toczą ze sobą Foster, Masan i umyślnie wyolbrzymiająca różnice ich poglądów Lya — jest prowadzona arcysubtelnie. Owo słówko „niezupełnie“, jakimi Foster prostuje raz po raz sformułowania swych myśli przez koreańską dziewczynę, świetnie odtwarzają istotę jego, bardzo tu połowicznego, stanowiska.

Trzeba uznać za duży sukces Vaillanda, iż z tak psychologicznie wycieniowanej postawy Fostera pozwala nam wywieść, zupełnie logicznie i naturalnie, jego przesunięcie się ku — zbrodni. Pamiętamy jedną z najlepszych sztuk Bernarda Shaw S z c z y g l i z a u ł e k. Shawowi udało się tam wykazać — jak w dowodzie matematycznym — że nawet tak zwany „dobry kapitalista“ nieuchronnie musi — czy chce czy nie chce — korzystać z wyzysku i niesprawiedliwości, które w sobie zawierają podstawowe założenia ustroju. Indywidualna postawa nic tu nie znaczy i niczego nie może zmienić — jak długo mieścimy się w ramach kapitalistycznego systemu i kapitalistycznych urządzeń. Podobnie i Vailland bardzo logicznie i z pełną umiejętnością przekonywania pokazuje, jak sam rozwój wypadków, sam fakt udziału na kierującym stanowisku w wojnie agresywnej sprawia — że pułkownik Foster, sceptyk i esteta, wyda barbarzyńskie i sprzeczne z prawem międzynardowym rozkazy palenia szkół, świątyń, domów i zbiorników żywności ludności cywilnej; że każe rozstrzelać młodego komunistę, z którym niedawno dyskutował tak chętnie. Oczywiście Foster nie byłby Fosterem (tylko np. Mac Allenem) gdyby nie powołał się przy tym na wyższy rozkaz — dowództwa dywizji — i nie umotywował mordu dokonanego na

Masanie aż trzema, formalnie zastosowanymi punktami otrzymanej przez siebie instrukcji. Ale także i hitlerowcy powoływali się na wyższe rozkazy, na dyscyplinę, na okólniki i instrukcje. Dlatego w końcowej, bardzo śmiałej, scenie — pułkownik Foster, na wezwanie dziewczyny koreańskiej, która była świadkiem jego postępków — sam, dobrowolnie, zgłasza się przed sąd partyzantów, którzy wzięli go do niewoli i nie zidentyfikowali. Czy można powiedzieć, że przyznaje się już do winy? Być może, iż rację mają ci, co we francuskiej formule prawniczej „plaider coupable" dostrzegają nieco odmienny odcień myśli. Pewne jest, iż Foster uznaje prawidłowość i słuszność zastosowanej do siebie procedury norymberskiej. Ale czy uznaje już swoją winę (lub współwinę)? Na pewno przytoczy wszystkie okoliczności, które go pchnęły na równię pochyłą.

Sprawa pułkownika Fostera nie wyczerpuje — jak wspomniałem — bogatej problematyki utworu. Ciekawe stadium budzenia się świadomości reprezentuje Paganel, sierżant o nazwisku przypominającym jedną z postaci Verne'a. Paganel widzi wyraźną sprzeczność między ideami, jakim rzekomo służy cywilizacja amerykańska, a praktyką dowódców. To co ten samodzielnie myślący i konsekwentnie wierzący człowiek rozumie, upoważnia Paganela do zaopatrywania słów swoich przełożonych w ironiczne uwagi, wypowiadane półgłosem czy nawet zupełnie jawnie. W sposób zupełnie naturalny spełnia on zarazem zadania „komentarza" autorskiego i nasycenia sytuacji elementami ironii; ale nie odbiera to Paganelowi ani na chwilę właściwości żywego, dobrze zaobserwowanego człowieka.

Obóz amerykański został przez Vaillanda zróżnicowany subtelnie. To samo można powiedzieć o działających tu Koreańczykach. Jest w sztuce scena, doskonale napisana, gdzie bogaty spekulant Cho Aodi Yang stara się młodemu komuniście Masanowi wykazać potęgę starego kapitalizmu. Przemówienie Yanga ma różnorakie znaczenie. Koreańczyk powołuje się na to, iż „cały świat śpieszy mu na pomoc". Dla obrony jego interesów i przywilejów — pułkownik Foster, który nim pogardza i który go potępia, przebył Ocean Spokojny. Posłuchajmy dalej: „Kijami zmusza się chłopów z Anatolii, by stworzyli armię ku mojej pomocy. Szkockie matki opłakują synów, ginących w walce ze zbuntowanymi przeciw mnie tragarzami. Australijczycy wysyłają myśliwce, by mi pomóc, Szwedzi swe sanitariuszki, Lapończycy bandaże dla młodych ludzi, którzy narażają się na rany, aby chronić moje banki". To wszystko mogło być oczywiście wypowiedziane przez cynicznego spekulanta koreańskiego, chwalącego się swą potęgą nie tylko wobec Masana, ale i wobec gardzących nim Amerykanów. Zarazem działa ta przemowa jak płomienny protest przeciw wyzyskowi i przemocy kapitalizmu. Cho Aodi Yang, potomek starej koreańskiej rodziny wojowników i uczonych, zdradził swój naród — zanim jeszcze ekspedycja Mac Arthura w jego i w obcym interesie zaczęła krwawe swe żniwo. Spekulował zbożem, zarabiał na nim wielokrotnie, robił majątek na transakcjach mających czasem tylko „symboliczne" znaczenie (gdy sprzedawane na odległość zboże nie opuszczało nawet jego śpichrzy), a zawsze kosztem nędzy, głodu i poniewierki własnego narodu. Sprawa Cho Aodi Yanga, choć najściślej związana z całością utworu, mogłaby się stać osią osobnego dramatycznego wątku.

A wreszcie — siły rewolucji koreańskiej, patriotycznej zarazem, wyzwoleńczej i społecznej. Reprezentują je w

sztuce trzy postaci odmienne i niewspółdziałające jeszcze ze sobą — ale bliskie. To więzień polityczny, ofiara Fostera, komunista Masan, i córka milionera koreańskiego, Lya, potajemnie pracująca na rzecz partyzantów, wspólnie z milczącym cały czas, a związanym z patriotami, służącym. Masan ma w sztuce niewiele odezwań; ale każde z nich jest nadzwyczaj celne. To nie przypadek, iż efektowne — jak końcowe akordy w symfonii — zakończenia dwóch aktów są replikami Masana, tym mocniejszymi, że skondensowanymi do kilku słów. Masan to upostaciowanie siły i wiary walczącego ludu. Choć ginie, jest czynnikiem zwycięstwa.

Sprawa Lyi Aodi Yang — jest bardziej skomplikowana. Podobnie jak In-Sen, córka lekarza w sztuce autora koreańskiego Thai Dian Czun Na południe od 38-ego równoleżnika, Lya pełni rolę wallenrodyczną. Stara się pozyskać zaufanie oficerów amerykańskich, aby tym skuteczniej pomagać stronie przeciwnej. Swym urokiem przyciąga dwóch oficerów amerykańskich (Fostera i jego adiutanta), a równocześnie przy pomocy służącego Sve donosi partyzantom o każdym ruchu wojsk najeźdźczych. Zabrakło jednak autorowi tchu, by całkowicie wyjaśnić pobudki i psychologiczne motywy działań tej dziewczyny, córki milionera, wychowanki amerykańskich uniwersytetów. Pewne światło rzuca na tę sprawę zakończenie aktu pierwszego: nagłe gwizdy i wycia żołnierzy amerykańskich tłumaczy Lya zdumionemu Fosterowi pojawieniem się na balkonie „kolorowej" dziewczyny. Być może, że wiele takich scen przeżyła już młoda Koreanka; być może, iż podczas jednej z nich zrozumiała, gdzie tkwią istotne źródła ucisku i krzywdy. Niemniej te niedomówienia są pewnym niedostatkiem bogatego i otwierającego szerokie perspektywy utworu.

Roger Vailland napisał Pułkownika Fostera w lipcu 1950 roku, to jest w miesiąc po rozpoczęciu działań wojennych na Korei. Działania te musiały być dla francuskiego pisarza przeżyciem; nic dziwnego, iż sztuka stanowi wyraźny etap w jego artystycznym i ideowym rozwoju. Trzy lata wcześniej napisał Roger Vailland pierwszą swą sztukę: Heloizę i Abelarda. także i tamten utwór był wielowątkowy, snuł równolegle trzy — czy nawet cztery — dramaty ludzkie: sprawę Abelarda, uczonego wykazującego oczywistość świata realnego ludziom zatopionym w abstrakcji; Heloizy, dziewczyny broniącej na przekór wszystkim i aż do końca swej miłości do Abelarda; Fulberta, człowieka pożeranego przez swoją nienawiść, podłość i strach; i wreszcie znudzonego, niedbałego nawet w realizacji dobrych swych odruchów, ks. d'Anjou. Cztery te wątki także i w tym pierwszym dramacie Vaillanda łączą się w jednolitą całość; lecz piękny filozoficznie i poetycko (nie wolny zresztą od oczarowania teatrem Giraudoux) początek sztuki roztapia się w wieloznacznościach i chwiejnościach aktów dalszych. Natomiast Pułkownik Foster ma świetnie utrzymany rytm narastania, rozwoju, dynamicznego potęgowania wydarzeń. Świadcząc wyraźnie o rozwoju samego Vaillanda, sztuka ta mówi zarazem o coraz mocniejszym i szybszym dojrzewaniu myśli artystycznej wśród postępowych pisarzy Zachodu.

Dobrze się stało, iż mogliśmy ujrzeć tę sztukę w kształcie, jaki jej dali artyści francuskiego zespołu kierowanego przez Ludwika Daquin. Gra Pierre Asso, Philippe Kellersona, Loleh Bellon, O'Brady'ego, André Charpaka, Raoula Guilleta, Vincent Viala, Jean Bertho,

Georges Montant i innych była nasycona gorącym tchnieniem wypadków, które sztuce Vaillanda uniemożliwiły przebywanie na scenach Paryża, zapewniając jej za to azyl intelektualny i artystyczny — w naszym kraju. Postępowi artyści francuscy przekonali się zarazem, jak bliski jest kontakt między Polską a najlepszymi walorami kultury francuskiej. Podniósł to w telefonicznych sprawozdaniach z Polski tygodnik Narodowego Komitetu Pisarzy, Les Lettres Françaises.

Wojciech Natanson

NA WIDNOKRĘGU

NOWE WSTRZĄSY NA BLISKIM WSCHODZIE

Ostatnie miesiące przyniosły nową falę wybuchów antyimperialistycznych na Bliskim Wschodzie. Wspólną ich cechą jest po pierwsze rozszerzenie masowej bazy ruchu narodowo-wyzwoleńczego w krajach blisko-wschodnich, połączone z burzliwym wzrostem świadomości politycznej mas; po drugie fakt, że jednym z elementów ułatwiających rozwój ruchu jest zaostrzenie międzyimperialistycznych sprzeczności w całym rejonie.

W chwili obecnej mamy do czynienia z trzema zasadniczymi ogniskami ruchu narodowo-wyzwoleńczego na terenie Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Są to Persja, Egipt oraz Tunis i Maroko. Poniżej mowa o dwóch pierwszych

* *
*

Najwyżej pod względem świadomości politycznej mas stoi ruch narodowowyzwoleńczy w Persji. Nowy etap w rozwoju sytuacji w Persji rozpoczął się w momencie, kiedy imperialiści amerykańscy postanowili przejść do bezpośredniego ataku na zdobycze narodu perskiego i „objąć spadek" po AIOC. Należy pamiętać, że po wyparciu Anglików z Persji taktyka amerykańska była w pewnym sensie taktyką „odczekania". Gospodarczo przyniosła im ta taktyka znaczne korzyści. Zyski ciągnięte przez naftowe koncerny amerykańskie z faktu eliminacji AIOC z rynku perskiego były wprawdzie zyskami pośrednimi, ale niemniej bardzo znacznymi. Koncerny amerykańskie nie śpieszyły się z próbą przejęcia na swój rachunek perskiej produkcji naftowej — korzystały natomiast z faktu odpadnięcia tej produkcji ze światowego rynku naftowego. W trzy miesiące po nacjonalizacji perskiego przemysłu naftowego 19 największych koncernów naftowych USA utworzyło specjalny kartel dla „podziału" dawnej klienteli AIOC. Oficjalnym celem kartelu, według sformułowania jego przewodniczącego, ministra rządu USA Chapmana, było „zapobieżenie brakowi wyrobów naftowych", jaki mógł powstać po nacjonalizacji przemysłu naftowego w Persji. Współdziałając z AIOC w blokowaniu sprzedaży ropy naftowej przez Persów, koncerny amerykańskie rozbudowały znacznie własną produkcję i przejęły cały szereg angielskich rynków zbytu. Jednocześnie, na gruncie powstałego w ten sposób w wyniku nacjonalizacji perskiego przemysłu naftowego nowego układu sił na światowym rynku nafty — nastąpiło odrodzenie międzyimperialistycznego kartelu pięciu największych koncernów naftowych świata: Standart Oil of New Jersey, Socony Vacuum, Gulf Oil (wszystkie trzy ame-

rykańskie), AIOC i Shell Oil (angielsko-holenderski). W tym międzynarodowym superkartelu rozpoczęto realizację nowego podziału rynków naftowych na gruncie istniejącego już nowego podziału sił. Rzecz jasna, iż ta imperialistyczna „współpraca“ odbywała się w toku usilnej walki, w trakcie której Anglicy próbowali uzyskać możliwie najlepsze warunki. Jednakże walka między imperialistami nie miała już takiego charakteru, jak w pierwszej fazie konfliktu naftowego w Persji. AIOC nie mogła już liczyć na odzyskanie swej przodującej pozycji w Persji, mogła co najwyżej liczyć na uratowanie z pogromu części tych pozycji przy odstąpieniu Amerykanom pozycji kluczowych.

W tej sytuacji koncerny amerykańskie i odgrywający rolę ich egzekutywy Departament Stanu doszły mniej więcej w zimie bieżącego roku do wniosku, że można przystąpić do bezpośredniego „objęcia spadku“. Ułatwić im to miał — według oceny ambasadora USA w Persji, p. Hendersona — rozwój sytuacji wewnętrznej w tym kraju. Rząd perski bowiem, kierowany przez premiera Mossadeka, prowadził politykę antyludową, politykę, której wyrazem na arenie zagranicznej stało się kapitulanctwo wobec imperialistów amerykańskich. Mossadek utrzymał w mocy wszystkie antyludowe dekrety, między innymi zakaz działalności lewicowej partii Tudeh i, co więcej, ukoronował je przeprowadzeniem w atmosferze antylewicowego terroru wyborów do Medżlisu (parlament). Wybory te przyniosły w konsekwencji większość parlamentarną składającą się częściowo z jawnych agentów imperialistycznych, częściowo zaś z kapitulanckich elementów Frontu Narodowego (ugrupowanie Mossadeka). Postępowe elementy Frontu Narodowego, reprezentujące te odłamy burżuazji narodowej i drobnomieszczaństwa, które pozostają wierne hasłom wyzwolenia narodowego — znalazły się w mniejszości. Partia Tudeh — o której jeszcze przed rokiem pisała agencja brytyjska Reuter, że „w razie przeprowadzenia prawdziwie wolnych wyborów zdobyłaby większość“ — w ogóle nie mogła wystawić kandydatów.

Jednocześnie sytuacja gospodarcza Persji szybko się pogarszała. Zakończony 31 marca rok budżetowy przyniósł 4.340 mln. rialów deficytu. Deficyt ten pokryto tylko częściowo — i to sposobami przyczyniającymi się do wzrostu inflacji w kraju i pogorszenia sytuacji mas pracujących.

Kapitulanctwo rządu Mossadeka wobec imperialistów wyraziło się przede wszystkim w podpisaniu, parafowanej przed rokiem, umowy o tzw. pomocy wojskowej USA dla Persji. Umowa ta stanowi próbę przekształcenia Persji w bazę wojenną USA u granic ZSRR i — jak to wskazał rząd radziecki w swej nocie na ten temat — jest jawnie sprzeczna z układem radziecko-perskim z 1921 r. Fakt, że Mossadek zdecydował się podpisać umowę po roku zwlekania, zwlekania wywołanego naciskiem mas — został zrozumiany przez Waszyngton jako sygnał, iż „można iść na całego“. „Iść na całego“ — oznaczało wkroczyć jawnie na terytorium Persji jako następca Anglików. W tym celu jednak potrzebna była Amerykanom zmiana rządu w Persji. Żaden bowiem, najbardziej nawet kapitulancki polityk perski, nie mógłby tak otwarcie zaprzepaścić wszelkich osiągnięć ruchu wyzwoleńczego. Na takie posunięcie mógł pójść tylko bezpośredni agent imperialistyczny. Odpowiedniego agenta znalazła ambasada amerykańska w osobie Ghavama es Sultaneha wspieranego przez całą kamaryllę

dworską z szachem na czele*). 19 lipca Sultaneh otrzymał nominację na premiera i tegoż dnia — jak doniósł dziennik Siasatma — pośpieszył na konferencję z ambasadorem Hendersonem. „Mówiono o wydarzeniach dnia i o rozwoju stosunków persko-amerykańskich". Prasa nowojorska pośpieszyła już z wyrażeniem swego zachwytu, kiedy do rozmów włączył się czynnik niedoceniony w spekulacjach ambasadora Hendersona.

20 lipca w Teheranie i na prowincji rozpoczęły się masowe manifestacje ludności. Hasła manifestacji w streszczeniu amerykańskiej agencji UP to: „Precz z imperialistami amerykańskimi", „Sultaneh na latarnię", „Precz z szachem", „Żądamy republiki", „Wolności dla partii politycznych". „Front Narodowy" w obawie przed utratą panowania nad masami musiał przyłączyć się do manifestantów. Nastąpiły dwa dni ostrych starć z policją i wojskiem. Padło 80 zabitych, 300 rannych. Część żołnierzy przeszła na stronę manifestantów. „Żołnierze bratali się z demonstrantami" — donosił przerażony Reuter. 21 lipca proklamowano strajk generalny, który przypieczętował losy Sultaneha. Trzydniowy amerykański premier uciekł w nocy z 21 na 22 z Teheranu. Władzę objął ponownie Mossadek.

Przebieg „Dni Lipcowych" wykazał, że czasy rządów agenturalnych w Persji skończyły się. Masy ludowe wykazały olbrzymi rozwój świadomości politycznej w porównaniu z okresem sprzed roku. Świadczy o tym chociażby nowe, skrajnie antyfeudalne hasło „Precz z szachem". Nic dziwnego, że prasa amerykańska w osobie N. Y. Times obawia się, iż „zjednoczony front irański inspirowany przez komunistów obraca się nie tylko przeciw szachowi, ale również przeciw interesom amerykańskim w Persji". Washington Post rozpisuje się o „tragedii zachodniego świata w Persji" itd.

Wygnanie Sultaneha krzyżuje plany ambasady amerykańskiej i w tym sensie jest zwycięstwem ludu perskiego o wielkim znaczeniu międzynarodowym. Nie zmienia tego bynajmniej fakt, że Mossadek powrócił do władzy i że potrafił się utrzymać na fali ruchu wyzwoleńczego. Londyński Daily Mail tłumaczy, że „Mossadek powrócił do władzy w gruncie rzeczy dzięki akcji partii Tudeh, której wpływy wzrosną bardzo silnie". W prasie amerykańskiej pojawiły się już doniesienia, że rząd Mossadeka odwołał swój podpis na układzie o amerykańskiej „pomocy wojskowej". Najprawdopodobniej są to pogłoski mające na celu uspokojenie wrzenia w Persji. Jednakże, jeśli rozpuszczanie takich pogłosek okazało się potrzebne — mamy bardzo dobitny dowód, że kapitulanckie elementy w rządzie perskim muszą w coraz większym stopniu liczyć się z wolą mas. W tym sensie teherańskie „Dni Lipcowe" to nie tylko wygnanie Sultaneha, to również *memento mori* dla wszystkich amatorów naśladowania, w tej czy innej formie, jego polityki. Należy się również spodziewać, że niepowodzenie Amerykanów w Persji zaostrzy rozgrywkę pomiędzy nimi a AIOC. Ta ostatnia szła bowiem na rozliczne ustępstwa w ciągłej nadziei, że Amerykanie przejmując perski przemysł naftowy rzucą swemu konkurentowi ochłapy w charakterze odszkodowania. Amerykanie okazali się jednak za słabi

*) Sultaneh — agent angielski od 1931, amerykański zaś od m. w. 1947 — „wsławił się" w szczególności krwawą masakrą patriotów Azerbejdżanu w 1946 i 1947 r. oraz serią prowokacji antyradzieckich, zorganizowanych przy tej okazji.

dla takiego przejęcia „masy spadkowej" i ich rachunki z AIOC ulegną z konieczności skomplikowaniu. Sygnałem tych komplikacji może być decyzja brytyjska zatrzymywania wszystkich tankowców transportujących ropę zakupioną w Persji. Pierwsze takie transporty należące do włoskiego towarzystwa o amerykańskim kapitale, Ento Petr, Brytyjczycy już zatrzymali.

* * *

Ruch wyzwoleńczy w Egipcie nie osiągnął jeszcze tego stopnia świadomości politycznej co w Persji. Tym się też tłumaczą pewne względne sukcesy amerykańskie na terenie tego kraju oraz fakt, że sama sytuacja polityczna jest w Egipcie daleko mniej przejrzysta niż w Persji.

Odpowiednikiem perskiego „Frontu Narodowego" jest w Egipcie partia Wafd kierowana przez b. premiera Nahasa. Organizacje lewicowe są nielegalne i prześladowane. Podobnie jak kapitulanctwo Mossadeka wobec imperialistów prowadziło do zastąpienia go przez sultanehowską agenturę — w Egipcie rząd Nahasa został przed pół rokiem usunięty przy współudziale dworu i króla Faruka. Różnice były jednak poważne. W Persji pozycje imperializmu brytyjskiego są bez porównania słabsze niż amerykańskie. W Egipcie takiej sprecyzowanej przewagi amerykańskiej nie było. Toteż po obaleniu rządu Nahasa nastąpił w gabinecie kairskim kontredans przy udziale, mówiąc delikatnie, proangielskiego Hilaly, proamerykańskiego Ali Mahera i „neutralnego" Sirry paszy. Każda ze zmian gabinetu przynosiła ludowi egipskiemu tylko rosnącą nędzę i coraz ostrzejsze represje. Stan wyjątkowy trwa w Egipcie od 26 stycznia. Parlament został rozwiązany i wybory odroczone na czas nieograniczony. Z drugiej strony wszakże żaden z kolejnych rządów egipskich roku 1952 nie poważył się na odstąpienie od podstawowych żądań narodowych: wycofania się Anglików ze strefy Suezu oraz połączenia Egiptu i Sudanu. Te postulaty utrudniały zaś w sposób zasadniczy zorganizowanie przez imperialistów tzw. dowództwa blisko-wschodniego, przybudówki paktu atlantyckiego na Bliskim Wschodzie. Waszyngton opracował był wprawdzie koncepcję „kompromisową", jednakże napotkał nie tylko na sprzeciw narodu egipskiego, ale również na odmowę Londynu. Waszyngtoński „kompromis" polegał bowiem na formalnym zaspokojeniu postulatów egipskich w odniesieniu do Sudanu — to Amerykanów kosztowało niewiele — i na utrzymaniu okupacji strefy Kanału Sueskiego przez wojska imperialistyczne pod inną firmą. Mianowicie pod firmą komendy blisko-wschodniej. Byłyby to wprawdzie nadal wojska przeważnie angielskie, ale — wyjaśniał Waszyngton Egipcjanom — dowódcą komendy blisko-wschodniej będzie przecież Amerykanin. Anglicy jednak „uporczywie" trzymali się zasady, że dowódcą powinien być Anglik. „Kompromis" został zablokowany. Departament Stanu rozpoczął wobec tego przed czteroma miesiącami akcję bezpośredniego łamania oporu brytyjskiego. W pierwszej fazie Departament Stanu postanowił zorganizować „dowództwo blisko-wschodnie" w formie zalążkowej, w oparciu o te pozycje, w których posiadał bezwarunkową przewagę nad Londynem: Grecja, Turcja, Jugosławia. W lipcu nastąpiło mianowanie amerykańskiego generała (W. Wymana) dowódcą sił lądowych wschodnio-śródziemnomorskiego rejonu paktu atlantyckiego, tzn. formalnie wojsk lądowych Grecji i Turcji, a nieformalnie również Jugosławii. W Egipcie

przeprowadzono szeroko zakrojoną akcję propagandową mającą wmówić Egipcjanom, że Stany Zjednoczone bronią ich postulatów narodowych. Między innymi na rozkaz Departamentu Stanu Grecja i Włochy uznały formalnie króla Faruka królem „Egiptu i Sudanu", co było policzkiem pod adresem Anglików i niekosztownym gestem wobec Egiptu.

Anglicy ze swej strony spekulowali w Egipcie przede wszystkim na wpływach kamarylli dworskiej. W pierwszych dniach lipca „kontredans premierów" uległ gwałtownemu przyśpieszeniu. W ciągu jednego tygodnia trzy razy zmieniał się gabinet i król Faruk, przy akompaniamencie pochwalnych głosów prasy brytyjskiej, szykował się do objęcia dyktatury. Wówczas nastąpiło kontruderzenie amerykańskie. Generał Naguib zorganizował zamach stanu. Władzę objęło wojsko, Faruka zmuszono do abdykacji. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że ambasador USA, Caffery, okazał się *spiritus movens* akcji generałów. Według amerykańskiej agencji UP, Caffery w ciągu krytycznych dwóch dni bez przerwy kursował pomiędzy Aleksandrią i Kairem. Tenże Caffery na trzy dni przed abdykacją Faruka zapowiedział korespondentowi UP — *„Faruk is off"*, „Faruk jest wykończony".

Premierem został panowie Ali Maher pasza, a generał Naguib zadeklarował już swą gotowość do „współpracy z Zachodem". Co więcej, londyński Daily Worker dowiaduje się, iż przywódcy Wafdu z Nahas paszą na czele, którzy po zamachu Naguiba powrócili z czasowej emigracji do kraju, przeprowadzili już poufne rozmowy z Amerykanami.

Nie ulega kwestii, iż Amerykanie potrafili zapewnić sobie w Egipcie względny sukces, kosztem przede wszystkim angielskiego konkurenta. Bazą akcji amerykańskiej w Egipcie jest w każdym razie znaczna część posiadającej wpływy partii Wafd, podczas gdy w Persji bazą była przede wszystkim agentura Sultaneha. Wobec niższego poziomu świadomości politycznej mas reakcyjni przywódcy Wafdu i kliki wojskowej mają szersze możliwości manewru i wiązania się z imperialistami niż analogiczne elementy „Frontu Narodowego" w Persji. Jednakże nie należy zapominać, że wspomniany względny sukces amerykański osiągnięto przede wszystkim poświęcając na rzecz nastrojów mas osobę Faruka, tzn. podważając samą zasadę feudalnego reżimu, który w danym wypadku był wprawdzie sojusznikiem raczej angielskim niż amerykańskim, ale w każdym razie stanowił najpoważniejszą wewnętrzną ostoję władzy imperialistów, łącznie traktowanych, w Egipcie. Do chwili obecnej udało się Amerykanom wykorzystać na swoją rzecz postulaty egipskiego ruchu wyzwoleńczego. Jednakże nie należy zapominać, że w ruchu tym jeszcze przed rokiem ujawniło się coraz mocniejsze ostrze antyimperialistyczne, a nie tylko antybrytyjskie. Manifestacje 26 grudnia, po których wprowadzono stan wyjątkowy, były manifestacjami również antyamerykańskimi. Należy też pamiętać, że również w Persji Amerykanie zaczynali swą grę od wykorzystywania haseł antybrytyjskich. Toteż — jeśli jeszcze uwzględnimy oczywisty fakt, jak mianowicie wzrosnąć muszą tarcia angloamerykańskie na Bliskim Wschodzie po „bezceremonialnej" akcji Departamentu Stanu — wydarzenia w Egipcie, pomimo w z g l ę d n e g o sukcesu Amerykanów, kryją w sobie poważne elementy b e z w z g l ę d n e j porażki imperializmu w tym kraju.

Krzysztof Wolicki

AKTUALNE ZAGADNIENIA RADZIECKIEJ DRAMATURGII FILMOWEJ

Podstawowe tezy i wytyczne artykułu redakcyjnego Prawdy pt. O przezwyciężenie opóźnienia dramaturgii, który ma przełomowe znaczenie dla dalszego rozwoju teorii i praktyki dramaturgii realizmu socjalistycznego, dotyczą również dramaturgii filmowej.

Najlepsze filmy powstałe w ciągu przeszło 30-letniego rozwoju radzieckiej sztuki filmowej, filmy, które weszły do klasycznego dorobku filmowego całego świata, zawdzięczają swój wysoki poziom ideowo-artystyczny przede wszystkim bardzo dobrym scenariuszom. Ze starych filmów wystarczy tu wymienić: Czapajewa, Człowieka z karabinem, cykl filmowy o Maksymie, Matkę, Piotra I, z filmów powojennych: Młodą Gwardię, Upadek Berlina, Pawłowa, z filmów wyróżnionych Nagrodą Stalinowską za rok 1951 — Kawalera Złotej Gwiazdy, Światła w Koordi, jeden z najlepszych filmów, który wszedł na ekrany radzieckie wiosną bieżącego roku — Niezapomniany rok 1919*). Wiele z wymienionych scenariuszów wyszło spod pióra wybitnych prozaików i dramaturgów. Tak więc dzieje radzieckiej dramaturgii filmowej splotły się z twórczością najwybitniejszych pisarzy radzieckich: Gorkiego, Furmanowa, A. Tołstoja, Pawlenki, Wiszniewskiego, Pogodina i wielu innych. Sztuka filmowa nie może być traktowana w oderwaniu od literatury; dramaturgia filmowa rozwija się w ścisłym powiązaniu z dramatopisarstwem, żyje jego sprawami i zagadnieniami ujętymi — oczywiście — pod kątem widzenia specyfiki sztuki filmowej, najbardziej masowej ze wszystkich rodzajów sztuki.

W artykule wstępnym zamieszczonym w n-rze 5/52 miesięcznika Iskusstwo Kino (Sztuka Filmowa) — wydawanego przez Ministerstwo Kinematografii i Związek Pisarzy Radzieckich — i poświęconym omówieniu aktualnych zagadnień dramaturgii filmowej, czytamy: „...Wytknięcie przez Prawdę niewłaściwego pojmowania przez dramatopisarzy i krytyków pewnych zagadnień teorii i praktyki realizmu socjalistycznego, a przede wszystkim zagadnienia konfliktu jako podstawy utworu dramatycznego posiada ważne znaczenie także dla rozwoju dramaturgii filmowej. Wśród niektórych dramaturgów i krytyków filmowych do niedawna panowała „teoria bezkonfliktowości", która w praktyce spowodowała powstanie utworów, przedstawiających ludzi radzieckich schematycznie i jednostronnie, zubożających ich świat duchowy, zamazujących sprzeczności powstałe w walce nowego ze starym. Dramaturgowie okazywali nieśmiałość, a niekiedy tchórzostwo w odsłanianiu ujemnych przejawów naszego życia".

W dalszym ciągu autor tego artykułu (zatytułowanego: Podstawą dramaturgii filmowej jest prawda życiowa) udowadnia, że brak prawdziwie życiowego konfliktu w niektórych scenariuszach literackich pociągał za sobą schematyzm i jednostronność w odmalowaniu życia, sprzyjał zatuszowywaniu rzeczywiście występujących w życiu sprzeczności i przeciwieństw, powodował przeidealizowanie, lakierowanie rzeczywistości.

Wokół podstawowego zagadnienia dramaturgii filmowej — sprawy konfliktu dramatycznego — rozwinęła się ożywiona dyskusja. Między innymi

*) Nagrodzony na Międzynarodowym Festiwalu w Karlowych Varach.

szczegółowo zanalizował to zagadnienie znany dramaturg i reżyser filmowy, autor scenariusza Matki, A. Zarchi, w artykule Charakter odsłania się w konflikcie zamieszczonym w czasopiśmie Sowietskoje Iskusstwo (nr 49/52) — w stałej rubryce tego pisma: Zagadnienia dramaturgii. „Konflikty dramatyczne — pisze Zarchii — dojrzewają w uporczywej walce, toczącej się codziennie w realnej rzeczywistości. I takie konflikty artystycznie odtworzone w scenariuszu warunkują prawdziwość, określają życiową wiarogodność utworu, a — w następstwie — budzą do niego zaufanie widzów".

W takich konfliktach odsłaniają się w całej głębi charaktery bohaterów, tylko wtedy postacie te ukazują się widzowi nie jako schematy, lecz jako żywi ludzie.

W dalszym ciągu artykułu Zarchii analizuje konflikt w filmie Czapajew (autorami tego scenariusza byli bracia Wasiliewowie). W filmie tym są właściwie dwa konflikty: antagonistyczny — walka Czapajewa z białogwardyjskim pułkownikiem Borozdinem — i nieantagonistyczny — stosunki między Czapajewem a komisarzem Furmanowem. Ten drugi konflikt — to walka Partii, jej przedstawiciela Furmanowa i wreszcie samego Czapajewa — o Czapajewa, o rozwój jego rewolucyjnej świadomości, o ukształtowanie jego rewolucyjnego charakteru.

„Wiecznie świeży urok, moc, przekonywająca siła stworzonej w filmie postaci Czapajewa, olbrzymie, powszechne powodzenie filmu — wszystko to w niemałym stopniu uwarunkowane jest tym, że w filmie autor odzwierciedlił złożoną, pełną sprzeczności rzeczywistość, plastycznie uwypuklił swoisty charakter bohatera" — wywodzi Zarchi.

Autor omawianego artykułu powołuje się na Stanisławskiego, który wymagał w sztuce absolutnej jasności tzw. „danych warunków". Jasność ta, zgodność koncepcji dramatycznej z „danymi warunkami" oznacza przestrzeganie prawdy życiowej i psychologicznej w konstrukcji postaci, jej jak napełniejsze konkretyzowanie. Zarchi analizuje również postać prof. Poleżajewa z filmu Deputowany Bałtyku (Zarchi był współautorem scenariusza tej filmowej przeróbki sztuki Rachmanowa Niespokojna starość) i dochodzi do wniosku, że walka bohatera ze środowiskiem reakcyjnie nastrojonych profesorów toczy się równolegle z walką wewnętrzną, ze zwalczaniem własnych przyzwyczajeń, pokonywaniem własnej starości. „Partia bolszewicka — pisze Zarchi — okazała Poleżajewowi pomoc w zrozumieniu sensu i znaczenia jego pracy, dzięki czemu wyszedł on zwycięsko z walki. W ten sposób konkretna prawda „danych warunków" i prawda przeżyć wewnętrznych — jak sądzę — ułatwiły przekazanie widzowi wielkiej idei zawartej w scenariuszu Deputowany Bałtyku.

Zagadnieniem konfliktu i postaci bohatera w dramaturgii filmowej zajmowało się wielu autorów artykułów dyskusyjnych. M. Smirnowa, autorka scenariusza filmu Nauczycielka wiejska, zanalizowała w artykule Konflikt i jego rozwiązanie (Sowietskoje Iskusstwo nr 46/52) zagadnienie konfliktu i konstrukcji postaci w swoim scenariuszu Lekarz wiejski. Smirnowa szczególnie wielką wagę przykłada do tzw. konfliktów wewnętrznych. „W konstrukcji dramaturgicznej scenariusza — wywodzi autorka — najważniejszy dla mnie jest zawsze nie konflikt wydarzeniowy, sytuacyjny, przy którym zainteresowanie losem bohatera wytycza się

takimi lub innymi wydarzeniami dramatycznymi. W każdym temacie, w każdym swoim scenariuszu szukałam konfliktu wewnętrznego, zachodzącego w duszy samego bohatera; tego konfliktu, którego opanowanie znamionuje proces rozwoju charakteru, proces kształtowania się. I właśnie ten proces kształtowania się człowieka, rozwój charakteru — staje się dla mnie najbardziej zajmującym, najostrzejszym wątkiem posuwającym akcję scenariusza".

Wysuwając na pierwszy plan konflikt wewnętrzny Smirnowa zastrzega się jednak: „To bynajmniej nie znaczy, że wydarzenia, wątek fabularny uważam za coś mało lub niezbyt ważnego. Przeciwnie, im mocniej spleciony jest wątek, im bardziej napięta, zajmująca fabuła, tym lepiej i pełniej można ukazać bohatera".

Sprawa odsłonięcia w scenariuszu wewnętrznego życia bohatera zajmuje bardzo i innych uczestników dyskusji. Wybitny aktor teatralny i filmowy L. Swierdlin również zabrał głos w tej sprawie w artykule D r a m a t u r g f i l m o w y i a k t o r (Iskusstwo Kino nr 5/52) „Dramaturg filmowy — wywodzi Swierdlin — szczerze pragnący przekazać widzowi ideę swojego utworu, wzruszyć go wyrazistymi postaciami — winien pomyśleć o nas, aktorach. Przecież to my, aktorzy, będziemy odtwarzać na ekranie postacie scenariusza. My będziemy mówić, działać — w działaniu i słowach odsłaniać wewnętrzny świat bohatera. Każdy błąd, każda nieprzemyślana linijka scenariusza uderza boleśnie w aktora, a w następstwie — wywołuje niezadowolenie widza".

O tym, by scenariusz stał się dla realizatorów i wykonawców filmu żywym i pełnokrwistym materiałem twórczym, pisał też Zarchi:

„W dramaturgiczną tkaninę filmu muszą być wplecione możliwości grania poszczególnych scen nie tylko w ich ścisłym, bezpośrednim sensie, ale i — odzwierciedlenia wewnętrznego stanu psychicznego bohaterów. Jeśli brak jest tych możliwości, dramaturgiczna konstrukcja filmu będzie niedoskonała i — w konsekwencji — niedoskonała będzie praca reżysera i aktora".

„...Scenariusz — to podstawa utworu filmowego — czytamy nieco dalej w artykule Zarchiego — wytycza bowiem linię pracy reżyserskiej i aktorskiego wykonania... Im bliższy jest rzeczywistości stworzony scenariusz, im bardziej wykończone i złożone są postacie, tym więcej skojarzeń życiowych powstaje w umyśle reżysera i aktora, tym silniejsza jest sugestywność postaci, tym więcej myśli i uczuć budzi w widzu film".

Wybitny reżyser filmowy, G. Aleksandrow, we wnikliwej pracy O p e w n y c h z a g a d n i e n i a c h d r a m a t u r g i i f i l m o w e j (Iskusstwo Kino nr 1/51) również wystąpił przeciwko suchej deklaratywności, przeciwko nie przetworzonemu artystycznie głoszeniu prawd, przeciwko niewbudowanym w kompozycję scenariusza, oderwanym od dramatycznego wątku koncepcjom i nastawieniom ideowo-wychowawczym. „Scenariusz — pisze Aleksandrow — powinien mieć taką strukturę dramatyczną, by film zmuszał widza do przeżywania, wzruszania się, rozmyślań... Wówczas dopiero widz wyciągnie wnioski, które podsuwa mu autor".

Wymagany od scenarzysty wysoki kunszt dramaturgiczny stawia scenariusz jako samoistny gatunek literacki w jednym rzędzie z innymi rodzajami twórczości literackiej. W artykule wstępnym poświęconym temu zagadnieniu (S c e n a r i u s z — to w i e l k a l i t e r a t u r a) Litieraturnaja Gazieta w n-rze 71/52 pisze: „Scenariusz filmowy

— to taka sama wielka literatura jak powieść, nowela, sztuka...“ Wszyscy się z tym zgadzają, „niektórzy pisarze nie pracują jednak nad scenariuszem z taką starannością i pieczołowitością, z jaką pisaliby powieść lub dramat. Często oddaje się do produkcji scenariusz w stanie surowym, niewykończonym... Zbyt mało pisze się jeszcze scenariuszy, które słusznie zaliczyć by można istotnie do wielkiej literatury, które stanowiłyby samoistny utwór literacki, o własnych odrębnościach, o własnych prawach gatunku literackiego...“

Szukając przyczyn tego zjawiska autor omawianego artykułu dochodzi do wniosku, że winę za ten stan rzeczy ponosi w niemałym stopniu krytyka literacka i filmowa. W błędnym mniemaniu, że scenariusz stanowi dla filmu twór pomocniczy, półfabrykat, krytycy nie interesują się scenariuszami literackimi. Rzecz jasna, że bez wytyczania przez krytykę i teorię literacką szlaków rozwojowych dramaturgia filmowa nie może się rozwijać owocnie. W n-rze 83 Litieraturnej Gaziety (z 10.VII. br.) I. Raczuk w artykule Stare wady w zreorganizowanym czasopiśmie stwierdza, że również czasopismo filmowe Iskusstwo Kino niewiele miejsca poświęca krytyce scenariuszów literackich. Miesięcznik ten w roku bieżącym zamieścił zaledwie kilka recenzji zawierających analizę krytyczną scenariuszów gotowych już filmów, a zaledwie jeden artykuł poświęcony rozbiorowi scenariusza literackiego, opublikowanego w tym właśnie czasopiśmie. W bieżącym roku Iskusstwo Kino (Nr Nr 1—5) opublikowało sześć scenariuszów literackich. dwa o tematyce współczesnej — Bałtuszisa i Gabriłowicza Ranek nad Niemnem (o budownictwie kołchozowym na Litwie Radzieckiej) oraz sensacyjną nowelę filmową Wolpmana i Erdmana Na dalekiej straży, cztery scenariusze o tematyce biograficzno-historycznej: świetny scenariusz pióra Pogodina i Tażibajewa Dżambuł, Grebnera — Szturm Izmaiłu, Abramowej i Roszala — Rimski-Korsakow, Figurowskiego — Dokuczajew.

Z powyższego zestawienia scenariuszy (z których kilka weszło już w stadium realizacji) wynika, że na równi z tematyką współczesną radziecka dramaturgia filmowa nadal opracowuje tematy historyczno-biograficzne. Do rodzaju historyczno-biograficznego należy też zaliczyć film fabularno-naukowy. A. Piotrowski w artykule Postać bohatera w filmie fabularno-naukowym (Sowietskoje Iskusstwo nr 41/52) podkreśla nowatorski charakter tego gatunku filmowego, wcielającego w życie apel Gorkiego, by... „naukę, jej odkrycia i osiągnięcia, jej pracowników i bohaterów uczynić własnością sztuki“.

Treścią konfliktu dramatycznego w filmach tych jest walka wielkich uczonych i wynalazców, gorących patriotów, nowatorów w swojej dziedzinie nauki i nowatorów postępu w ogóle — z przestarzałymi, wstecznymi i reakcyjnymi poglądami panującymi w carskiej Rosji. Jednakże dramaturg filmowy — ostrzega Piotrowski — nie może rozwiązywać tych starć i walk jedynie w płaszczyźnie czysto naukowego, dogmatycznego konfliktu, bez realistycznego, plastycznego odzwierciedlenia epoki historycznej, bez wnikliwego scharakteryzowania i wyrazistego zarysowania postaci dramatu.

Leżące u podstaw konstrukcji dramatycznej „zagadnienie rozwiązane przez uczonego-nowatora — czytamy w artykule Piotrowskiego — powinno być potraktowane z pełnym uwzględnieniem skomplikowanych warunków życiowych,

które je zrodziły. Wówczas starcie różnych teorii naukowych okaże się znakomitą podstawą dla stworzenia ostrego konfliktu dramatycznego i zajmującej fabuły, bez czego film fabularno-naukowy, podobnie jak każdy inny film, staje się utworem sztucznym, zmyślonym".

Wywody Piotrowskiego przywodzą na myśl słowa artykułu Prawdy o dramaturgii — z 7.IV. br. „Należy podkreślić — pisała Prawda — że jednostronne odtwarzanie jedynie techniczno-produkcyjnej działalności bohaterów jest wynikiem uproszczonego poglądu na realizm socjalistyczny. Realizm socjalistyczny wymaga wielostronności i pełni artystycznego obrazu życia w całej jego złożoności, a przede wszystkim odmalowania bogactwa wizerunku duchowego człowieka".

W dramaturgii filmowej wielkie znaczenie posiada bogactwo i różnorodność form i rodzajów twórczych, z których każdy wykazuje specyficzne odchylenia i warianty w konstrukcji dramaturgicznej. Sprawa ta wiąże się zresztą ściśle z różnorodnością i wielostronnością tematyki twórczej. W związku z tym warto wspomnieć, że plan tematyczny scenariuszów na okres 1952/53 — opracowany przez Ministerstwo Kinematografii i Związek Pisarzy Radzieckich — przewiduje 127 tematów dla wszystkich rodzajów filmu fabularnego. W samej naturze sztuki realizmu socjalistycznego leży wielopostaciowość i różnorodność nie tylko tematów, lecz także gatunków i stylów — w zależności od indywidualnego oblicza twórczego pisarza.

Walka o poszerzenie wachlarza rodzajów twórczych w dramaturgii filmowej wzmogła się po artykule Prawdy, w którym czytaliśmy:

„Trzeba rozwijać naszą dramaturgię w pełnej różnorodności jej gatunków, trzeba śmielej podjąć pracę nad sztukami satyrycznymi i dobrymi, wesołymi komediami, którym pisarze wciąż jeszcze nie poświęcają należytej uwagi".

Redaktor czasopisma Sowietskoje Iskusstwo w artykule wstępnym pt. O śmiałe przenikanie w nowe dziedziny sztuki filmowej (Sowietskoje Iskusstwo Nr 52/52) omówił szczegółowo znaczenie ścisłego powiązania bogactwa tematycznego z wielopostaciowością, różnorodnością form i rodzajów twórczości dramatopisarzy filmowych. „Film radziecki — czytamy w omawianym artykule — zawsze był sztuką nowatorską, nie tylko bowiem rozwijał istniejące rodzaje filmowe, lecz także torował drogi nowym gatunkom filmowym". Po omówieniu uprawianych i istniejących gatunków filmowych autor artykułu zatrzymał się nad zagadnieniem komedii filmowej. Apelując do scenarzystów, by tworzyli więcej pełnowartościowych komedii filmowych, przytacza wypowiedź Józefa Stalina o komedii (cytowaną na podstawie wspomnień reżysera Cziaureliego): „...komedia — to ważny rodzaj sztuki radzieckiej, jeśli tylko nie ma tendencji wyszydzania obywateli radzieckich, lecz stawia sobie szlachetne zadanie wychowania widza, jeśli komedia jest optymistyczna, tryskająca radością życia, jeśli pomaga w walce z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi".

W poszukiwaniu tematów radziecka dramaturgia filmowa sięga do innych dziedzin twórczości pisarskiej, przede wszystkim do wielkich dzieł prozy radzieckiej i klasycznej, a także do utworów dramatycznych. Pisanie scenariuszów na podstawie powieści i sztuk teatralnych — należy do chlubnych tradycji radzieckiego dramatopisarstwa filmowego. Można się o tym przekonać

przy lekturze sześciotomowego wydawnictwa retrospektywnego Wybrane scenariusze radzieckich filmów (Goskinoizdat 1949—1950): wiele bardzo dobrych scenariuszów opracowano na podstawie powieści Gorkiego, Furmanowa, A. Tołstoja, Pierwencewa, Pawlenki, Fadiejewa, Babajewskiego i wielu innych, a często pisarze ci byli współautorami tych scenariuszów. O mistrzostwie filmowania najlepszych utworów powieściowych najlepiej wiedzą polscy miłośnicy filmu radzieckiego i radzieckiej literatury pięknej.

Wspomniany zbiór scenariuszów ma duże znaczenie dla przestudiowania dziejów rozwoju radzieckiej dramaturgii filmowej, dla opracowania teorii dramaturgii filmowej. We wszystkich wystąpieniach i artykułach dyskusyjnych na temat dalszych dróg rozwojowych radzieckiego dramatopisarstwa filmowego rozlegały się głosy wzywające do opracowania teorii sztuki filmowej, teorii kunsztu scenaryjnego. Nie są jeszcze też opracowane zasady teoretyczne filmowych przeróbek powieści, jakkolwiek wiele wywodów znaleźć można w recenzjach i artykułach ogłaszanych od czasu do czasu w prasie literackiej i filmowej.

Więcej materiałów teoretycznych znajdujemy w recenzjach z teatralnych inscenizacji powieści, co daje możność przeprowadzenia pewnej analogii z filmowaniem utworów prozy. W Nrze 72/52 Litieraturnej Gaziety N. Kowarski zamieścił artykuł Powieść a dramat, poświęcony analizie porównawczej kilku takich inscenizacji (Szczęścia w opracowaniu autora powieści, Pawlenki, i dramaturga Radzinskiego, Drogi wolności H. Fasta w dwóch odmiennych inscenizacjach: Ochłopkowa i Fajko, cyklu powieściowego Fiedina — Pierwsze porywy i Niezwykłe lato — opracowanego przez Fiedina i Mescheteliego — i innych). Omówienie tych inscenizacji przekracza ramy niniejszego przeglądu, pragnę jednak przytoczyć teoretyczne wnioski, do jakich doszedł Kowarski. Autor omawianego artykułu jest zwolennikiem twórczych inscenizacji, takich inscenizacji, które „nie tylko nie przynoszą szkody teatrowi, lecz go wzbogacają. Zresztą sama powieść także często zyskuje na adaptacji teatralnej. Szereg utworów belestrystycznych przeżyło swoje drugie narodziny i drugie życie na scenie".

Kiedy tak się dzieje? Wówczas gdy zachowane zostają zasady dramatopisarstwa, gdy autor nie ogranicza się do prostej, „scenicznej kompozycji" fabuły i epizodów powieści.

„W każdej prawdziwie realistycznej powieści — pisze Kowarski — kryje się dramat. Zadanie autora inscenizacji polega więc przede wszystkim na tym, by zrozumieć, wykryć prawa, na jakich opiera się szkielet dramatyczny powieści, a następnie, by przenieść go do sztuki. To znaczy, że należy przenieść do sztuki, przelać w nią konflikt powieściowy, albowiem na konflikcie i na rozwinięciu tego konfliktu oparta jest budowa dramaturgiczna powieści".

Praca autora takiego scenariusza jest więc też pracą twórczą. Kowarski cytuje artykuł Prawdy sprzed laty pt. „Młoda Gwardia" w powieści i na scenie: „Utwór teatralny lub obraz filmowy oparty na materiale literackim stanowi samoistny utwór artystyczny. To nie kopiowanie, lecz twórczość".

Józef Spinc

KIEŁ MAMUTA, CZYLI SĄDŹMY Z DROBIAZGÓW

Wśród biało-różowych gajów brzoskwiń i pomarańczy, wśród palm strzelistych rozkwita w Kalifornii „Zjednoczona Ludzkość". Tę dźwięczną nazwę nosi organizacja religijna, którą założył Mr. Arthur Lowler Osborn Fountain Bell. Mr. Bell ma cztery imiona, ale aż siedem sobowtórów. I to jest właśnie główny dogmat wiary nowego Kościoła, który ogarnąć ma całe człowieczeństwo. Prócz tego Mr. Bell ma dwie pralnie, sześć hoteli, pięć restauracyj, dwie fabryki konserw, serowarnię, dwa tartaki, 4.000 ha ziemi i 3.400.000 dolarów na koncie bankowym. Mr. Bell dorobił się tego wszystkiego drogą wpajania swoim wyznawcom nauki o sobowtórach. Inny artykuł wiary głosi, że Mr. Bell może aktem swej woli przenieść się dokądkolwiek zechce oraz, że zbawienie osiąga się przez „energię i moc" — amerykański synonim faszyzmu. Niemal równie zasobna organizacja „Jestem" zebrała ponad 3 miliony ze składek, sprzedaży „wtajemniczających" broszur i „danin miłosnych". Poza prostytucją — mówiąc bez osłonek — „Jestem" również widzi zbawienie w „energii i mocy".

Od takich organizacyj roi się po wszystkich stanach. W bogatej Kalifornii czy Nowym Jorku są bardziej zasobne niż gdzie indziej — to cała różnica. Poza tym roi się w Stanach Zjednoczonych od organizacyj pozbawionych nuty „religijnej", a z silnym akcentem położonym na rozrywkowość i dziwaczne obrzędy. Są „Córy Rewolucjii", różnego autoramentu „Synowie" i „Legion Amerykański" — ich zjazdy i zebrania przypominają staroświecki kotylion: papierowe ordery, papierowe czapeczki i parasolki dla mężczyzn. Są loże masońskie. Są „Kluby Lwa", których obrady przeplata chóralny ryk poważnych panów — przemysłowców, adwokatów, bankierów; liczą 350.000 członków. I roi się w USA od wyznań, sekt, kongregacyj i kościołów skromnych i bez znaczenia oraz dostojnych, wielkich, poważnych — od Kościoła Świętego Przybytku z 200 członkami do potężnego, najliczniejszego ze wszystkich Kościoła katolickiego z 26 milionami członków — ogółem 256.

Chwalcy i wielbiciele „amerykańskiego stylu życia" mówią o tym wszystkim, z dumą podkreślając „tolerancyjny ustrój swego kraju i jego obyczajów. Przemilczają dyskretnie pewną znamienną stronę zagadnienia: wszystkie niemal owe organizacje są z istoty swej i programu zdecydowanie reakcyjne, w najlepszym zaś razie hołdują prymitywnemu i nieszkodliwemu dla kapitału reformizmowi. Organizacje zaś o obliczu choć trochę radykalnym, organizacje, w których programie kryje się rzeczywista troska o postęp społeczny, są zakazane, są tępione dziesiątkiem ustaw Kongresu, zwalczane przy pomocy całej potęgi FBI, klątw kościelnych, interdyktów Sądu Najwyższego. I wielbiciele stylu USA mętną zaćmą ckliwych frazesów kryją przed wzrokiem ludzkim glebę, na której rosną kongregacje i kluby, fałszują obraz ich celów i zadań, przysłaniają źródła, z których czerpią swe siły. Są to bowiem źródła bezsiły społeczeństwa.

Wbrew twierdzeniom chwalców Ameryki „wielka demokracja" nie umie, nie może i nie chce zapewnić dobrobytu wszystkim swym obywatelom. Wbrew „Głosowi Ameryki" głos urzędów statystycznych mówi, że bardzo znaczny odsetek ludności żyje w skrajnej nędzy i bez żadnych widoków na poprawę bytu. Większość pozostałych, choć wiąże koniec z końcem, żyje bez zabezpieczeń na wypadek kryzysu czy osobistych klęsk i również pozbawiona jest wszelkich perspektyw życiowych. Niewielka

tylko mniejszość — najwyżej 3—4% — dorabia się majątku lub dodaje miliony do już posiadanych. Innymi słowy społeczność amerykańska albo wypruwa żyły z siebie ale nie dla siebie, albo też poświęca życie na ołtarzu Mammona — cisi bohaterowie dolara. Lecz człowiek nie znajduje na ogół szczęścia i sensu istnienia w robieniu pieniędzy nawet na własny rachunek, cóż dopiero na cudzy. Rusza więc na poszukiwanie szczęścia prawdziwego.

Ale gdzie ma je znaleźć? Czy w pracy — ciężkiej, niewdzięcznej, której końca nie widać, której celu nie dostrzec, której treścią jedyną jest sobotnia wypłata? Czy w zawodnej pogoni za błękitnym ptakiem mieszczańskich ideałów? Jednemu na sto tysięcy udaje się go schwytać — domek z ogródkiem, radio, gazeta, standartowe meble i standartowe dzieci, życie-stereotyp, którego tysiączne repliki toczą się wszędzie dokoła. Owsianka z rana, kufel piwa wieczorem, niedzielny obiad i niedzielna nuda — za cenę młodości, której nikt nie wróci, za cenę lat dojrzałych, które zapadły w nieodwracalną przeszłość. A skoro sam nie znajdzie — któż mu wskaże drogę? Nie prasa i radio, które odebrały mu zdolność myślenia, nie film, który pozbawił go lotu wyobraźni, nie książka — narkotyk unoszący w sztuczne światy niezdrowych dreszczy, w panopticum wszechrzeczy, skąd widać tylko nędzę i bezsens własnego istnienia.

Ale prasa i radio, książka i film, zrobiły swoje. Nie nadaremnie bogowie Wall-halli zmienili kastalskie zdroje na fabrykę Coca-Coli, a zmotoryzowany zespół Helicon-girls wyposażyli w tysiące instrumentów dętych. Nękany ich produkcją Amerykanin oślepł i ogłuchł: posuwa się tylko na grzmiący odgłos megafonów, dostrzega tylko jarzące się światła neonowych reklam. I idzie jak we śnie lunatycznym.

Nie mówimy o całym społeczeństwie. Mówimy o tych, co z pozorami samowiedzy tworzą podstawę kapitalistycznej piramidy myśląc, że w ten sposób może dostaną się w pobliże szczytu. Wbrew tym iluzjom piramida ugniata ich na miazgę, a wraz z nimi i dzięki nim przytłacza inne klasy. Taka jest dziś rola drobnej i średniej burżuazji w USA.

W sercu New Yorku wznosi się dumny gmach najwspanialszego hotelu świata: Waldorf Astoria. Zaćmiewa wszystko, co dotąd istniało — Ritza w Paryżu, londyński Savoy i Claridge, pałacowe przybytki Riwiery. Rezydują tam szczyty kosmopolityczne dolara. Wiosną roku 1897 znakomita rodzina Bradley Martinów wydała bal kostiumowy goszcząc śmietankę milionów. „Wnętrze hotelu — notował w pamiętniku brat pani domu — przekształcono w dokładną replikę Wersalu, rzadkie dywany i arrasy, przepiękne kwiaty, potoki niezliczonych świateł tworzyły imponujące tło dla cudownych strojów zachwycających dam i świetnych kawalerów. Nie sądzę, by kiedykolwiek przedtem czy potem widziano taki przepych, tyle zbytku i kosztowności; brylantowe guzy i spinki mężczyzn przedstawiały nieraz cenę dziesiątków tysięcy dolarów, a wartości historycznych klejnotów pań nie da się nawet określić. Moja siostra wystąpiła jako Maria Stuart, jej suknię ze złotogłowiu pokrywały wymyślne hafty z pereł i drogich kamieni. Bradley jako Ludwik XV miał na sobie strój dworski ozdobiony kolekcją olbrzymich szmaragdów. Pan Belmont był w zbroi złocistej, wartości dziesięciu tysięcy, naszyjnik jego żony szacowano na sześćset tysięcy...“

Nazajutrz wielkie dzienniki przyniosły barwny opis targowiska próżności. Lecz w kraju ze wszystkich stron podniosły się głosy protestu. Augurowie Wall Street uznali to trafnie za omen. Sięgając po wzory do czasów cezariańskiej Romy zaczęto organizować tanie igrzyska dla pospólstwa i drobnego mieszczaństwa. Dawało to korzyść podwójną: zapewniało wysokie dywidendy oraz wprzęgało lumpenproletariat, a zwłaszcza drobną burżuazję w rydwan monopoli. Stanowi bowiem środek niezawodny przekształcania mózgów ludzkich w tępe automaty.

Otępienie tych warstw i pewnych odłamów warstw innych nie jest wcale przenośnią. To zjawisko realne, uchwytne w testach inteligencji, a przejawia się w całej obyczajowości. Rezultatem jest nieraz absurd przekreślający sam siebie. Rosnące dawki reklamy wytworzyły stan rzeczy, w którym koszty ogłoszeń przewyższają nieraz wielokrotnie koszt produkcji towarów. Właściciel sklepu czy subiekt za ladą przestał być doradcą klienta, wskazującym najlepszy, najkorzystniejszy artykuł. Nie może walczyć w jego i własnym interesie z wszechobecną reklamą. Nie może też walczyć z monopolem, który pod grozą zniszczenia kupca każe mu sprzedawać tylko zatwierdzone przez związki producentów asortymenty towarów. I kupiec z czynnika samodzielnego pośrednika handlowego stał się powoli zwykłym agentem sprzedażnym wielkich fabryk — monopole ujarzmiły drobnomieszczaństwo, które wbrew dobru własnemu znalazło się po ich stronie barykady.

Zależność gospodarcza pociąga za sobą zależność polityczną, obyczajową, zależność w myśleniu. Drobnomieszczanin i ten, kto chce nim zostać — nieuświadomiony odłam klasy robotniczej lub wreszcie farmer, pozostający w orbicie jego wpływów — ulegają bez reszty terrorowi tak zwanej opinii publicznej. A owa opinia to gazeta miejscowa w służbie machiny partyjnej, organizacja kościelna i organizacja „społeczna“ czy „towarzyska“.

Po raz drugi wymieniliśmy kongregacje kościelne równocześnie ze zrzeszeniem politycznym i towarzyskim. Nie bez powodu. Kościoły w USA naciskiem wychowawczym, dławieniem opinii, poziomem i metodami „propagandy wiary“ uczyniły z religii jeden z wielu kapitalistycznych cepów młócących myśl ludzką na sieczkę ciemnoty, rzucaną we wszystkie kąty nieszczęsnego klepiska. Kościoły mniejsze znalazły się w rzędzie przemysłu widowiskowego — przy każdej niemal parafii jest dancing, sala kinowa, gdzie wyświetla się przygody „Supermana“ i inne szlagiery, niemal że bar; wiernych przywołują kolorowe neony, kaskady świateł układają się w napis: „Stój! Wejdź tu, a dowiesz się kim jesteś i dokąd dążysz!“, barwne strzałki wskazują drogę do nieba.

Kościół katolicki nie zniża się do takich środków. Nie potrzebuje. Jego dochody, jak przystało na wielką potęgę kapitalistyczną, płyną z dywidend od udziałów w bankach, z lokat pewnych i niezawodnych. I jak na wielką kapitalistyczną potęgę przystało utwierdza swoją moc na fundamencie ignorancji, zabobonu i fanatyzmu. Stolica Apostolska leży dziś z tamtej strony Atlantyku. Papież faktyczny mieszka w New Yorku i nazywa się Francis J. Spellman. Ale stało się to dopiero sześć lat temu. Kardynał Spellman jest bez wątpienia tworem politycznym XX wieku. Ktokolwiek jednak zgłębiłby jego listy pasterskie, odczułby powiew czasów, kiedy wiedzę społeczną Tomasza z Akwinu i błogą woń kwiatków świętego Franciszka krył jeszcze obłok dalekiej

przyszłości. Tętni w nich nakaz Tertuliana: „wierz w bezsens, ponieważ jest bez sensu!". Drgają te listy echem Soboru w Nicei, gdzie pogański cesarz przewodniczył pisaniu dogmatów katolickich, inspirowanych odgłosem policzka, jakim Mikołaj z Myru gasił światło wiedzy uczonego Ariusza. Z epok późniejszych wypełnia je tylko śmiercionośne wołanie Inocentego III, żądnego krwi zbyt chrześcijańskich Albigensów, głoszących czystość serc i pokój wśród ludzi. Dziś nie ma kacerzy, postęp jest poza religią. Naturalnym więc biegiem rzeczy z rozkazu arcybiskupa New Yorku biskup rzymski sprzymierza się z muftim Jerozolimy i składa hołd sztandarowi Proroka w nadziei, że Półksiężyc wesprze Krzyż w krucjacie przeciwko Gwieździe Postępu. Za aprobatą atlantyckiego patrona następca Księcia Apostołów śle błogosławieństwo dostojnikom Gestapo i wzywa następców Hitlera do zaboru Wrocławia, Gdańska i Katowic i nowego całopalenia Warszawy. A w Nowym Jorku ksiądz Francis Spellman skrzętnie buduje faszyzm.

Podział ról został mistrzowsko przeprowadzony. Kościół katolicki jest panem i doradcą wydziedziczonych, obywateli drugiej sorty, Irlandczyków, Włochów, Słowian, Spaniardów, umacnia ich w pokorze i poddaniu się woli Opatrzności. Kościoły protestanckie hartują ducha i wolę możnych tego świata, albo miarkują zbyt liberalne zapały, wprowadzają w łożysko łagodnej filantropii działania wiernych zbyt dosłownie przejętych nauką ewengelii. Na peryferiach grasują twory parareligijne — „Zjednoczona Ludzkość" Bella, „Sprawiedliwość Społeczna" ojca Coughlina, „Krzyż i Chorągiew" Geralda K. Smitha — organizacje jawnie faszystowskie, ścigane przez rząd Roosevelta za zdradę, finansowane przez Forda i Goebbelsa, otaczane opieką Lindbergha i hitlerowskich konsulatów.

Tak wygląda fasada gmachu. Za podmurówkę służą wspomniane już „córy" i „synowie", kukułcza dziatwa kontrrewolucji, przybrana w skradzione piórka. Burżuazja, która do władzy szła w walce z Kościołem i pieśnią rewolucyjną na ustach, dziś Kościół uczyniła głównym filarem swej budowli, a skamieniałe hasła postępu wkopała głęboko w fundament w nadziei, że nie odżyją. Resztę murów świątyni Złotego Cielca, rzeźni myśli i tkanki społecznej, tworzą machiny partyjne, urzędy i szkoły, biura i sklepy, i miejsca rozrywki, czynniki tworzące opinię, styl życia i obyczaje. Poznać te obyczaje — to znaczy zrozumieć Amerykę schyłku kapitalizmu.

„Czy wiecie, że"...

Z kła mamuta Cuvier odtworzył wygląd całego zwierzęcia. Obyczaje amerykańskie najlepiej widać w drobiazgach.

„Czy wiecie, że..." — tymi słowami zaczyna się w każdym większym dzienniku amerykańskim opis ciekawostek, najbardziej może popularna rubryka. Rubryka — symptom.

Czy wiecie, że... pierwszą wannę w Ameryce zaintalował sobie niejaki Adam Thompson z Cincinnati, który w pamiętnym dniu 28 grudnia 1842 lekceważąc pełne troski o jego zdrowie przestrogi powag lekarskich, bohaterską pierś i inne części ciała wystawiając odważnie na sztych potępienia zgorszonych autorytetów moralnych, zanurzył swą nagość w łazienkowe odmęty, pluskiem wody bieżącej ogłaszając światu nową epokę dziejów...

Ubolewając nad „zapomnianą rocznicą" podał tę zmyśloną całkowicie wiadomość złośliwy dziennikarz nowojor-

ski Mencken, wyśmiewając w satyrycznym felietonie zamiłowanie swych rodaków do niepotrzebnych nikomu ciekawostek. W dziesięć lat później ogłosił wyjaśnienie, które powtarzał odtąd rok rocznie. Na próżno. Data pierwszej wanny weszła do annałów historii, podręczników szkolnych i żelaznego repertuaru prasy. Menckena, wyznającego z pokorą swą winę i żart, okrzyczano za kłamcę szargającego świętości. Taki jest odrzut narodowego bębenka.

Czy wiecie, że natura ludzka zawsze i wszędzie była i pozostanie ta sama — jak tego dowiódł w sposób nieodparty (i tylko z logiką oraz oczywistością sprzeczny) prof. Hutchins, rektor uniwersytetu w Chicago. Wiekopomny ten wywód ukazał się kilka lat temu na łamach światłego miesięcznika Fortune i wiąże się w jedną całość z szeregiem najnowszych odkryć nauki amerykańskiej, z których wynika jasno, że świat został stworzony dla bardzo wyraźnych celów i zadań. Należy tylko zdobyć umiejętność czytania w otwartej księdze przyrody, a cele te i zadania ukażą się w całym majestacie.

Trzeba przyznać, że biegłość tę uczeni USA posiedli w stopniu niezwykłym. Głęboką prawdą stała się dzisiaj żartobliwa — jak sądził autor — uwaga Bernardina de Saint Pierre, że pręgi na melonie umieściła Opatrzność, aby ułatwić strudzonym paniom domu krojenie równych kawałków. Ernest Thompson Seton poświęcił obszerny tom ukazaniu na barwnych przykładach, jak cały świat zwierząt przestrzega Dziesięciorga Przykazań. Tylko stosunek sroki do cudzej własności i pcheł do świętowania niedzieli nasunął wielkiemu przyrodnikowi pewne wątpliwości. Jest jednak nadzieja, że były to tylko objawy zaniedbań wychowawczych, które obecnie pod wpływem żywszych kontaktów z prezydentem Trumanem zostaną wyrównane.

Trudno o lepszy dowód wyczucia przeznaczeń świata, jak szacunek okazywany przez stworzenie o czystym sercu tym, których powołaniem jest przeznaczenie to ziścić. Dowiadujemy się oto z Chicago Sun, że pewien młodziutki foksterier niezmiennie „powstawał, ilekroć grano „Gwiaździsty Sztandar“ i wraz z publicznością w najwyższym skupieniu wysłuchiwał hymnu do końca“. Zaznaczmy, że na angielski hymn reagował już tylko „spokojną godnością“, subtelnie ale wyraźnie wskazując, że jednak dni chwały brytyjskiej uznaje za na zawsze przebrzmiałe. Maleńki piesek z Chicago daje świadectwo rzeczom wielkim, jak w ziarnku piasku odbija się nieskończoność. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Przeznaczeniem świata stwierdzonym naukowo jest służyć Ameryce.

Tych rewelacji nikt już nie prostował. Autorzy fabrykowali je nie dla żartów, lecz dla ponurej, prostackiej kalkulacji. I krążą w milionach wersji, w niezliczonych odmianach, aż wchodzą jako pewniki do elementarzy wiedzy o świecie, jako dogmaty do narodowego pamiątek kościoła USA. Głos sprzeciwu, głos krytyki nie mógł się przebić poprzez zorkiestrowaną instrumentację „organów opinii“, środków szerzenia tanich a dochodowych sensacji zwanych „informacją publiczną“, rozpowszechnianie mętnych, bezwartościowych i najczęściej fałszywych wiadomości, darzonych mianem „wiedzy“, propagowania pod nazwą „głębszej kultury“ rozpadu hamulców i więzi społecznych.

Przykłady? Proszę!

„Piętnastoletni Eugene Paul Domonkos z Paton, Pennsylvania, przyznał się do zarżnięcia swej siedemnastoletniej kuzynki Crowell, ponieważ nazwała go kłamcą“.

„Pełen wyrzutów sumienia Marshall Jacobs-Słupnik powrócił dziś po czterodniowej nieobecności na swój 53-metrowy słup, na którym spędził 26 dni i miał pozostać jeszcze dalszych 10. „Uniosłem się — wyznał Jacobs — ale wciąż kocham Lonnie, przemyślałem wszystko i nadal ją pragnę poślubić". Jakkolwiek Jacobs odmówił bliższych co do tego wyjaśnień, do powrotu skłoniło go zdaje się zachowanie Lonnie, która w dowód wierności ideałom kochanka zastępowała go w siedzeniu na słupie. Ślub odbędzie się w niedzielę, udzieli go za pośrednictwem instalacji elektrycznej wielebny Carl Hoop, który pozostanie na ziemi. Również na ziemi przygrywać będzie orkiestra. Pierwsze dni miodowego miesiąca młodzi spędzą na słupie. Jacobs zamierza w przyszłości podwyższyć słup niemal w dwójnasób i ustanowić nowy rekord siedzenia. Nie powziął jednak decyzji co do próby pobicia rekordu siedzącego na słupie małżeństwa".

„Przy dźwiękach kwartetu, grającego „Dajcie mi stąd wyjść!", Jim Moran wysiedział dziś w Hollywood o godz. 14.05 funtowego strusia. Moran przez cały czas wysiadywania miał na sobie ubiór zrobiony z piór strusich i cekinów. Odmówił pozwolenia na sfotografowanie swej progenitury, dopóki nie nabierze sił".

„Max Mann, piekarz o jedwabistym, łagodnym brzmieniu głosu, jest ocaleniem dla setek cierpiących na bezsenność. Wystarczy słuchać go przez chwilę bezpośrednio, przez telefon lub wreszcie na płycie, aby zapaść w głęboki krzepiący sen. Mann wydał ostatnio „księgę spania" Chociaż nie ma w niej jego głosu, mało kto zdołał przeczytać więcej niż parę rozdziałów..."

„Najboleśniej odczują wojnę koreańską młode panny wstępujące w życie towarzyskie. Młodociane piękności już się zastanawiają, z kim też będą tańczyć w przyszłym karnawale". Tę syntezę przeżyć duchowych młodzieży w stolicy wielkiego kraju podał wpływowy dziennik liberalny San Francisco Chronicle.

Dziesiątki takich wiadomości znaleźć można codziennie w całej prasie. Podają je dzienniki poważne i z jak największą powagą traktują. Rzecz jasna, nie chodzi w tym wszystkim o głupca na słupie, strusia w cekinach, czy o elektryczny ślub. Chodzi o miliony, które to czytają, które po latach takiej terapii dochodzą do całkowitego zaniku zdolności zdrowego myślenia, logicznego rozumowania i krytycznej oceny zjawisk. I chodzi o dziesiątki tysięcy wielkich i małych widrwigroszów, którzy na tym żerują.

Czy wiecie, że w Stanach Zjednoczonych jest 25.000 astrologów, którzy wydają dziesiątki własnych publikacji i prowadzą rubryki astrologiczne w setkach wpływowych dzienników i czasopism? Że za rządów Trumana rozwinął się wcale szeroko ruch za utworzeniem stanowiska „Astrologa Federalnego", o czym na wpół żartobliwie, na poły serio donosi znany tygodnik satyryczny New Yorker? Ze byznesmeni zaczytują się w specjalnie dla nich przeznaczonych „poufnych" biuletynach, w których prognozy finansowe i przemysłowe układane są na podstawie równie źródłowych danych i z równą trafnością co przepowiednie astrologów. A medycyna, adwokatura, dzienikarstwo, literatura, nauka i wszelkie w ogóle zawody wyzwolone uprawiane są w pierwszym rzędzie w oparciu o recepty handlowe, w których wiedza dozowana jest w dawkach aptekarskich, a doświadczenie jest przede wszystkim doświadczeniem kupieckim. Że miażdżąca większość ogłoszeń prasowych zachwalając towar na sprze-

daż — a wszystko jest na sprzedaż, od lodówek i specyfików lekarskich do sumień ludzkich — operuje świadomie i niemal bez reszty kłamstwem?

Czy wiecie, że w czasie wojny pewna firma sprzedała po zawrotnie wysokiej cenie pół miliona biblii i książeczek do nabożeństwa w stalowej oprawie opatrzonej napisem „Boże błogosław", a mającej chronić od kul? Sprzedawano te maskoty mimo orzeczenia komisji wojskowej, że przebijające biblię kule wywołać muszą rany śmiertelne. Że kilkanaście lat temu niejaki Glenn Voliva przekreślił teorię Kopernika rewelacyjnym odkryciem, że ziemia jest „płaska jak naleśnik" i zapowiedział koniec świata na rok 1943. Niestety, sam tego nie doczekał, ale dorobił się licznego tłumu wyznawców. Czy wiecie, że New York Times podał w okresie 10 lat opisy kilkudziesięciu przestępstw na tle czarnoksięstwa? Czary same dzienników nie interesują — zbyt są rozpowszechnione. Dopiero zbrodnia wprowadza je na łamy prasy. W sąsiedztwie miasteczka York, w Pennsylwanii trzech sąsiadów zamordowało Nelsona D. Rehmeyera dla zdobycia włosów czarownika. Sędzia śledczy ustalił, że w tej okolicy połowa mieszkańców wierzy w czary i uprawia magiczne praktyki. Nie dziwmy się pennsylwańskim farmerom. W Cleveland, milionowej stolicy Ohio, przed kilku laty pani Mary Pauer „z dość znacznym skutkiem stosowała sztuki diabelskie" dla wpędzenia swego małżonka w obłęd. Ciekawy ten eksperyment psychologiczny zakończył się smutnie dla apostołki wiedzy empirycznej. Zamiast wzbogacić psychiatrię i demonologię o szereg doniosłych odkryć otrzymała rozwód z rąk sędziego Silberta, który w motywach uznał „diaboliczność" przedsiębiorczej damy za dowiedzioną. Nie w sądzie, ale w szpitalu zakończył się niedawno żywot sekty czcicieli węży rozpowszechnionej w pewnych okolicach Wirginii. Pod wpływem rozmyślań i namów „pastora", Marvina Simpsona, panowie ci doszli do wniosku, że głębia ich wiary zdolna jest oprzeć się najjadowitszym nawet ukąszeniom kusicieli matki rodu ludzkiego. Niestety, mdłe ciała nie umiały znaleźć się na poziomie i potęgę ducha trzeba było wesprzeć silnym zastrzykiem surowicy.

Książę Radziwiłł Panie Kochanku miał na swoim dworze chłopca wychowanego przez niedźwiedzie. Dziś „wielkie rody" hodują już tylko podagrę. W działalności publicznej wyręczają arystokrację Podfilipscy współcześni — Czapscy i Komorowscy — pielęgnując tradycje Targowicy i handel Polską na targu w Bonn. Spadek w dziedzinie kultury objęli uczeni USA. A tak są przejęci tym wzniosłym zadaniem, że w pełni wojny dwaj profesorowie — dr Foley i dr Zingg z uniwersytetu w Denver — oddali cały swój czas badaniu młodocianego Lukasa, wychowanka małp afrykańskich. Wpływy wychowania autentyczny Tarzan zdradzał wyraźnie i w sposób świadczący o przejęciu się rolą dowodu naukowego przez zjadanie na jednym posiedzeniu po 89 sporych kaktusów. Obaj czcigodni profesorowie opisywali go długo na łamach American Weekly i American Journal of Psychology, aż sielankę zakłócił pewien urzędnik policji nieostrożnym wykryciem, że Lukas spędził młodość nie w dżungli na łonie dziewiczej przyrody, ale w smutnych murach więzienia w Burghersdorp, wtrącony tam za jakieś zgoła nieprzystojne dziecięciu natury kolizje z prawem własności.

Idźmy dalej. Pewien teologiczny spór, który spędzał sen z powiek wielu scholastykom średniowiecza, odżył pod koniec wojny w Kongresie amerykańskim. Przewodniczący komisji wojskowej

Izby, Demokrata Carl T. Durham spowodował zakaz rozpowszechniania w wojsku broszury Rasy ludzkie, ponieważ na jednej z rycin Adam i Ewa występują jako posiadacze pępków, co nie jest rzeczą jak dotąd dowiedzioną. Broszura — dodajmy w nawiasie — głosiła niebezpieczną teorię, że ludzie wszystkich ras są równi. Ale Kongres nie musiał staczać bitwy z nauką na tak przykrej płaszczyźnie: teologia nadbiegła skutecznie z pomocą zagrożonej zasadzie wyższości białego człowieka. Zresztą prawowierna nauka USA zawsze dzielnie wstępuje w szranki, ilekroć jaki heretyk podniesie bluźniercze ramię na odwieczne pochodnie rasistowskiej wiary. Wzorem niezliczone razy naśladowanym a wciąż nieprześcignionym jest książka dr. Roberta W. Shufeldta Murzyn jako groźba cywilizacji amerykańskiej. Ani dr Shufeldt, ani nikt z jego wielbicieli i współteoretyków nie pomyślał zapewne, że największą groźbą dla cywilizacji Ameryki jest właśnie ich działalność. A nawet z punktu widzenia imperializmu Stanów Zjednoczonych jakże zawodnym może okazać się oręż, dzięki któremu politycy USA chcą skłonić cztery piąte ludzkości do uznania ich wyższości i władzy.

Na zasadzie tej samej teorii, zręcznie zmodyfikowanej na użytek „wrodzonych" różnic klasowych, oparto sterylizacyjne ustawodawstwo szeregu stanów. Kryteria są proste: posiadanie majątku jest niezbitym dowodem biologicznej „pełnowartościowości". W ten sposób w ciągu kilkunastu lat wysterylizowano 27.000 osób spośród warstw najuboższych. Na tej zasadzie w Kansas City, gdzie prezydent Truman studiował prawo, poddano masowej sterylizacji wszystkie wychowanki zakładu poprawczego dla dziewcząt, ponieważ „były niesforne i sprzeciwiały się strażniczkom".

Prasa amerykańska zamieszcza niekiedy pełne zgrozy i troski wypowiedzi pastorów i wychowawców przerażonych falą przestępstw popełnianych przez młodzież. Między wierszami komentarzy prasowych dostrzec można niekiedy uśmiech politowania dla naiwnych szermierzy moralności. Bo fala przestępstw, nikłość zainteresowań i nicość moralna — to zło konieczne, to nieuchronne koszty handlowe, wpisane w bilans, wliczone w kalkulację. Inne pokolenie nie może wyrosnąć z młodzieży, której ci sami, pełni alarmów wychowawcy w szkołach swych dają za cały pokarm zaprawę sportową oraz pouczenie, że zrobienie majątku jest celem naczelnym w życiu i najwyższym kryterium etyki i postępowania. W kontekście społecznym historyjka ze strusiem czy słupem wcale nie jest zabawna. Wieje od niej grozą jak z makabrycznej głupoty hitlerowskiego rasizmu i uebermenschostwa, wiodących w linii prostej do Treblinki, Oświęcimia i gruzów połowy świata. Ale jak wrzaski burszowskie w Niemczech, Struś i Słupnik w Ameryce są konsekwencją kapitalizmu. Rodzą bezmyślność i odbierają sens życiu — własnemu i cudzemu. Inaczej młodociany Domonkos z Patton tak łatwo nie zabiłby swej małej kuzynęczki. A Domonkos stał się filarem współczesnego ustroju USA. Już nie musi zabijać siostrzyczki — ma do wyboru miliony małych Koreanek. Nie bez powodu Stany Zjednoczone zalewają kraje Marshalla filmami i Coca-Cola — interes wytwórców szmiry i lury jest tu na wtórnym miejscu. Na pierwszym, na naczelnym jest nawożenie tą ohydą gleby, z której się zrodzi mięso armatnie.

Głęboki sens kapitalistyczny mają

głupiutkie rekordy na słupach, obrazkowe dzieje Supermana, idiotyczne zawody polegające na wypuszczeniu z gumy do żucia największej bańki powietrznej, konkursy tańca w workach, bezsensowne a „wstrząsające“ powieści, filmy i audycje kryminalne. Idiotyczne i bezsensowne dla odbiorcy — czytelnika, widza, słuchacza — do czasu aż jego wrażliwość nie przestanie tego dostrzegać. Ale wytwórców, autorów i szerzycieli nie posądzajmy o bezmyślność. Wkładają w to wiele wysiłków, pomysłowości i pracy intelektualnej, pracy wyobraźni. I wiedzą do czego zmierzają. To nic, że tu i ówdzie instynkt morderczy przedwcześnie się wyładuje, że jakaś dłoń niecierpliwa zamierzy się świętokradczo na nietykalne prawa rodzimej wielkiej własności, czy skorumpowany urzędnik zaskoczy magnatów dolara niewczesną próbą szantażu. To manco przewidziane, brak w kosztorysie ujęty; róże ogniste, świadczące, że lasy płoną, że gnije mierzwa drobnomieszczańska, pogłębia się sfaszyzowanie kraju, rosną zastępy janczarów, gotowych pójść wszędzie — na równik i pod bieguny, na Pekin i Warszawę — niosąc znaki zaborcze imperializmu.

Taki jest głębszy, taki jest istotny, taki jest właściwy sens obyczajów, jakie od lat, od kilku już pokoleń szerzą wytrwale i uporczywie prawo, moralność, polityka, prasa, nauka i literatura Stanów Zjednoczonych.

Jeden jest tylko błąd w tej kalkulacji: zgnilizna zakaża zawsze swych twórców. A w ogniu walki rozpada się z zabójczą dla nich szybkością.

Julian Stawiński

W numerze 8 (sierpniowym) „Twórczości“ tytuł na str. 136 powinien brzmieć: IV Rozszerzone Plenum ZG ZLP — 20—21.VI 1952 r. W tym samym numerze w spisie treści opuszczono pozycję: Awicenna — Czterowiersze, przeł. Ananiasz Zajączkowski.

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

Czigariow I. — Partia bolszewicka — organizator Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 155, 1 nlb.

Engels Fryderyk — Położenie klasy robotniczej w Anglii. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 424.

Gubanija W. — Dwunasty Zjazd RKP(b). Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 194, 2 nlb.

Glezerman G. — Baza i nadbudowa przy przejściu od socjalizmu do komunizmu. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 27, 1 nlb.

Koniuchow G. — Trzynasta konferencja RKP(b). Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 111, 1 nlb.

Lenin W. I. — Drugi ogólnorosyjski zjazd rad delegatów robotniczych i żołnierskich. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 34, 2 nlb.

— Sprawozdanie dla międzynarodowego biura socjalistycznego o ogólnorosyjskiej konferencji SDPRR. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 24, 2 nlb.

— W sprawie haseł, Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 39, 2 nlb.

Lenin i Stalin — O budownictwie partyjnym. Artykuły, przemówienia i dokumenty. Tom II. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 1088, 12 nlb.

Sołdatienko J. — Piętnasty Zjazd WKP(b), Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 203, 5 nlb.

Stalin J. W. — Nowa sytuacja — nowe zadania budownictwa gospodarczego. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 30 2 nlb.

— O industrializacji kraju i o prawicowym odchyleniu w WKP(b). Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 43, 1 nlb.

— W kwestii polityki agrarnej w ZSRR. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 30, 2 nlb.

— Wyniki pierwszej pięciolatki. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 51, 1 nlb.

Szoriezew L. — Dwunasta ogólnorosyjska konferencja RKP(b). Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 88, 4 nlb.

Zagadnienia filozofii marksistowsko-leninowskiej. Zbiór artykułów. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 569, 3 nlb.

POLSKA LUDOWA

Jóźwiak Franciszek (Witold) — Polska Partia Robotnicza w walce o wyzwolenie narodowe i społeczne. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 284, 4 nlb.

BUDOWNICTWO SOCJALISTYCZNE ZSRR, KRAJE DEMOKRACJI LUDOWEJ.

Jak zbudowano socjalizm w ZSRR. Materiały dla kursów partyjnych do tematu czwartego. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 85, 3 nlb., 1 fotografia.

Kozłowski Józef — „Międzynarodówka" wielka pieśń rewolucji. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 38, 1 nlb.

Szarikow I. — Zwycięstwo ustroju kołchozowego — rewolucyjny skok w rozwoju społeczeństwa radzieckiego. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 164, 4 nlb.

POLITYKA I GOSPODARKA ŚWIATOWA

Dworkin I. — Rozkład i upadek ekonomiki Anglii. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 27, 1 nlb.

FILOZOFIA

Schaff Adam — Poglądy filozoficzne Kazimierza Ajdukiewicza. (Szkic krytyczny). Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 67, 1 nlb.

NAUKI SPOŁECZNO-POLITYCZNE I EKONOMICZNE

Bobińska Celina — Szkice o ideologach polskiego Oświecenia. Kołłątaj i Staszic. Wrocław, 1952, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. 169, 3 nlb. (Instytut Badań Literackich — Studia historyczno-literackie).

Inglot Stefan — Próby reform włościańskich w Polsce XVIII wieku. Wybór źródeł. Wrocław, 1952, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. XLII, 340, 2 nlb.

Kieniewicz Stefan — Galicja w dobie autonomicznej (1850—1914). Wybór tekstów. Wrocław, 1952, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str.LIII, 1 nlb, 397, 1 nlb.

WYDANIA ZBIOROWE

Dygasiński Adolf — Nowele i opowiadania. Tom IX. — Pisma wybrane. Pod red. Bogdana Horodyskiego. Tom XXIII. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 303, 5 nlb.

Sienkiewicz Henryk — Korespondencja. Tom I i II. — Dzieła. Wydanie zbiorowe pod red. Juliana Krzyżanowskiego. Tom LV i LVI. Warszawa, 1951, GIW; t. I str. 515, 5 nlb; t. II str. 385, 3 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Asnyk Adam — Wybór wierszy. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza", str. 53, 3 nlb.

Czing-czi Ho i I Ting — Dziewczyna o białych włosach. Sztuka w pięciu aktach. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 133, 3 nlb.

Gałczyński K. I. — Wit Stwosz. Warszawa. 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 26, 2 nlb.

Iwaszkiewicz Jarosław — Wiersze z różnych epok. 1912—1952. Warszawa, „Czytelnik"; str. 306, 2 nlb, 1 fotografia.

Kubiak Tadeusz — Wśród ludzi. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 131, 1 nlb.

Leonardo da Vinci — Bajki. Zebrał i przełożył Leopold Staff. Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 65, 3 nlb.

Lutnia Puszkina. Wybrał i przełożył Julian Tuwim. Wydanie IV, uzupełnione. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 257, 3 nlb.

Pollak Seweryn — Pocisk i słowo. 1947—1952. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 62, 2 nlb.

Simonow Konstanty — Rosjanie. Sztuka w trzech aktach, dziewięciu obrazach. Warszawa, 1952, „Czytelnik", str. 110, 2 nlb.
Słowacki Juliusz — Beniowski. Wrocław, 1952. Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. 186, 2 nlb. (Nasza Biblioteka).
Szeksipr Wiliam — Hamlet królewicz duński. Tragedia w pięciu aktach. Przekład Romana Brandstaettera. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 227, 3 nlb.
Wydrzyński Andrzej — Rewolucja trwa. Opowieść filmowa. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 256, 4 nlb.

PUBLICYSTYKA

Bylina Wojciech — Obrońcy zachodniej kultury. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 29, 3 nlb.

REPORTAŻE

Piwowarczyk Andrzej — Podróż czechosłowacka. Warszawa, 1952, „Czytelnik", str. 188, 4 nlb.
Warneńska Monika — Nasi Kowalowcy. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 45, 3 nlb.

PROZA

Baszirow G. — Honor, Warszawa, 1952, Książka i Wiedza"; str. 45, 3 nlb.
Boguszewska Helena — Czarna kura. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 226, 2 nlb.
Breza Tadeusz — Uczta Baltazara. Powieść, Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 398, 2 nlb.
Broszkiewicz Jerzy — Kształt miłości. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 398, 6 nlb.
Czernyszewski Mikołaj — Prolog. Powieść z lat sześćdziesiątych. Warszawa, 1952, Książka i Wiedza"; str. 458, 2 nlb.
Fast Howard — Droga do wolności. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 288, 4 nlb.
— Obywatel Tom Paine. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 300, 4 nlb.
Felis Tadeusz — Życie za dniówkę. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 187, 1 nlb.
Ford Aleksander — Młodość Chopina. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 111, 1 nlb., 20 ilustracji.
Jefriemow J. — Biały róg. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 256, 4 nlb.
Kerbabajew Berdy — Ajsołtan z krainy Białego złota. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 198, 2 nlb.
Klimas-Błahutowa Maria — Miasto pod łuną, Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 186, 2 nlb.
Koźniewski Kazimierz — Piątka z ulicy Barskiej. Powieść. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 283, 5 nlb.
Kubalski Zdzisław — Świt. Warszawa, 1952, Czytelnik"; str. 196, 2 nlb.
Miedynski Grigorij — Maria. Warszawa, 1952, Książka i Wiedza"; str. 578, 2 nlb.
Newerly Igor — Pamiątka z celulozy. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 518, 2 nlb.
Niemcowa Bożena — Wybór obrazków i opowiadań. Przełożył i opracował Józef Magnuszewski. Wrocław, 1952, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. XXXV, 1 nlb, 205, 3 nlb. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 76).
Novy Karol — Żelazo ostrzy się żelazem. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 348, 2 nlb.
Orkan Władysław — Komornicy, Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 158, 2 nlb.
— W Roztokach. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 297, 3 nlb.
Paustowski Konstanty — Wybór utworów, Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 522, 2 nlb.
Płatoszkin M. — Opowiadania. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 365, 3 nlb.
Polewoj Borys — Opowiadania, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 136, 4 nlb.
Reymont Władysław St. — Chłopi. Tom I. Jesień. Tom II. Zima. Tom III. Wiosna. Tom IV. Lato. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; t. I str. 257, 3 nlb.; t. II str. 290, 2 nlb.; t. III str. 350, 2 nlb.; t. IV str. 319, 3 nlb.
Robotniczy Zespół Literacki „Budujemy" — Na Starówce. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 141, 3 nlb.
Rudnicki Adolf — Żywe i martwe morze. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 510, 2 nlb.
Sałtykow-Szczedrin M. — Państwo Gołowlewowie. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 330, 4 nlb. (Biblioteka „Głosu Pracy").
Siedych Konstanty — Dauria. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 870, 2 nlb.
Sieroszewski Wacław — Kulisi. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 50, 2 nlb.
Still André — „Sekwana" spływa na morze. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 162, 2 nlb.
Tołstoj Lew — Anna Karenina. Tom II. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 311, 3 nlb.
Toka Salezak — Słowo arata. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza"; str. 184, 4 nlb.
Turgeniew I. S. — Burmistrz. Wrocław, 1952, Zakład Narodowy im. Ossolińskich; str. 45, 3 nlb. (Nasza Biblioteka).
Verês Péter — Opowiadania wiejskie. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 210, 4 nlb.
Wasilewska Wanda — Ziemia w jarzmie. Powieść. Warszawa, 1952, „Książka i Wiedza", str. 273, 3 nlb.
Ziegler Gilette — Helena Wetterlé. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 189, 3 nlb.
Zola Emil — W matni. Tom II. Warszawa, 1592, „Książka i Wiedza"; str. 237, 3 nlb.
Żeromski Stefan — Wybór opowiadań. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 34, 2 nlb.
Żukrowski Wojciech — Córeczka. Opowiadania o dzieciach i zwierzętach. Warszawa, 1952, Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 195, 3 nlb.

JĘZYKOZNAWSTWO

Kalina Paweł — Słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki. Część pierwsza. Niemiecko-polska. Wydanie nowe, przejrzane i uzupełnione. Warszawa, 1952, „Czytelnik"; str. 752.

SPIS TREŚCI

Str.

Stefan Zawadzki: Plac Konstytucji 3

Jan Koprowski: Wiersz; Ballada o wodzie źródlanej; Nad Pilicą; Piosenka o Ziemi Opolskiej 4

Ludwik Hieronim Morstin: Polacy nie gęsi 7

Stanisław Zieliński: Rodacy 56

W. P. Zubow: Spuścizna naukowa Leonarda da Vinci 120

Percy Bysshe Shelley (1792—1822): Oda do wiatru zachodniego — przeł. Witold Chwalewik 133

Barbara Rafałowska: Oczami Gorkiego 136

Z KLASYKÓW BUŁGARSKICH:

Christo Botew: Do matki — przeł. Leopold Lewin; Do ukochanej — przeł. Gabriel Karski;

Iwan Wazow: Moje pieśni — przeł. Gabriel Karski; Do bojownika; Do poety — przeł. Leopold Lewin 145

WŚRÓD KSIĄŻEK: Włodzimierz Maciąg — Jan Koprowski „Pejzaże polskie"; Lech Budrecki — Tadeusz Breza „Mury Jerycha", „Niebo i ziemia", „Uczta Baltazara"; Andrzej Lam — Kazimierz Brandys „Człowiek nie umiera"; Salomon Łastik — Leon Pasternak „Komuna miasta Łomży"; Ludwik Grzeniewski — Jan Koprowski „Opowieść o moim ojcu"; Wojciech Natanson — Wilhelm Szewczyk „Kleszcze"; Henryk Bereza — Edmund Niziurski „Gorące dni"; Samuel Sandler — Natan Rybak „Rada perejesławska"; Egon Naganowski — Jan Petersen „Nieznani przyjaciele" 150

TEATR: Adam Mauersberger: W sprawie „Lalki"; Wojciech Natanson: Występ teatru francuskiego 186

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński 194

KSIĄŻKI NADESŁANE 214

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Cena zeszytu zł 5.—. Prenumerata kwartalna zł 15.—, półroczna — zł 30.—.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Od dnia 16. V. 1952 r. indywidualne zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bezpośrednich zamówień i wpłat do PPK „Ruch" kierować nie należy. Prenumerata zbiorowa, tzw. zakładowa, pozostaje jak dotychczas, tzn. zamówienia i wpłaty kierowane są bezpośrednio do PPK „Ruch".

0 584003

Cena zł 5.–